

WARTA NA RENIE



JOHN RINGO
TOM KRATMAN

John Ringo
Tom Kratman

WARTA NA RENIE

Watch On The Rine

Tłumaczenie: Przemysław Bieliński
DZIEDZICTWO ALDENATA 5

GTW

Spis treści

* Prolog *

* CZĘŚĆ I *

* 1 *

* 2 *

* 3 *

* 4 *

* CZĘŚĆ II *

* 5 *

* 6 *

* 7 *

* 8 *

* 9 *

* CZĘŚĆ III *

* 11 *

* 12 *

* 13 *

* CZĘŚĆ IV *

* 15 *

* 16 *

* 17 *

* CZĘŚĆ V *

* 19 *

* 20 *

* EPILOG *

* POSŁOWIE *

* Prolog *

Villers Bocage, 12 czerwca 1944

Żołnierz był ubrany na czarno. Na prawym wyłogu jego kołnierza widniały srebrne błyskawice; na lewym lśniły trzy rozetki *Hauptsturmführera* – inaczej kapitana – *Schützstaffeln*, SS.

Stał we władze czołgu Tygrys I, patrząc przez lornetkę na ciemne pole bitwy. W półmroku widział spaliny wydobywające się z silników wrogiej kolumny pancernej, zatrzymanej na drodze w dole. Naliczył około dwudziestu pięciu nieprzyjacielskich pojazdów, transporterów półgąsienicowych i czołgów. Prawdopodobnie było ich więcej. Tego właśnie się spodziewał. Był nieporuszony.

Chociaż stał samotnie i jego czołg był sam, żołnierz w czarnym mundurze nie znał strachu. Jeśli kiedykolwiek poznał prawdziwe przerażenie, nie było nikogo, kto mógłby o tym zaświadczyć. Jego towarzysze nigdy tego nie widzieli, a bardzo niewielu wrogów mogłoby to wykryć, nawet gdyby przeżyli.

Z tego, co widział, jak dotąd nieprzyjaciel nie wykrył również jego czołgu.

Podjęcie decyzji zajęło mu zaledwie kilka chwil. Kierowca odpalił silnik z rykiem zagłuszonym przez warkot pracujących na jałowym biegu nieprzyjacielskich silników i ruszył w stronę polnej drogi, na lewo od wrogiej kolumny. Strzelec Wohl już obracał wieżę w prawo.

– Zdejmij pierwszego, Baltazar – rozkazał dowódca.

– Transporter? – spytał z niedowierzaniem Wohl. – Nie może nam nic zrobić.

– Wiem. Ale zablokowanie drogi może nam pomóc.

– Ach... Rozumiem, *Herr Hauptmann* – odparł Wohl, nachylając się z powrotem nad celownikiem. – Chodź, maleńka... – szepnął. – Jeszcze kawałeczek... Cel! – krzyknął do mikrofonu.

– Ognia.

Osiemdziesięcioośmiomilimetrowa armata L56 rzygnęła dymem i płomieniami. Jadący na czele brytyjskiej kolumny transporter półgąsienicowy obróciło gwałtownie w poprzek drogi, przez co całkowicie ją zablokował. Pojazd zajął się ogniem i zaczęły z niego buchać kłęby dymu.

Tygrys z rykiem ruszył naprzód, a jego armata siała śmierć i zniszczenie z niewiarygodną szybkością. Każdy pocisk rozwałił czołg, gąsienicowy Bren Carrier albo transporter. Z tej odległości Wohl po prostu nie mógł spudłować. Wróg, zastawiony zniszczonym półgąsienicowcem, nie mógł nacierać. Na wąskiej, otoczonej drzewami drodze nie mógł też się cofać. Mógł tylko umierać.

Na drogę wjechał pojedynczy czołg przeciwnika. W wyścigu z czasem dwie wieże i armaty zaczęły się do siebie obracać. Chociaż Wohl lekko zadrżał, jego dowódca nawet nie drgnął. Tygrys okazał się szybszy i kolejny brytyjski czołg eksplodował w ogniu i dymie.

Droga do miasta była otwarta. Chociaż teren zabudowany był dla czołgu śmiertelną pułapką, dowódca nie czuł strachu. Kazał kierowcy jechać do miasteczka. Tam Tygrys spotkał jeszcze trzy brytyjskie czołgi. Bum... bum... bum... i zostały zamienione w zwęglony, pokrwawiony złom.

Kiedy droga i miasto były już zasłane zniszczonymi pojazdami oraz umierającymi i zabitymi ludźmi, dowódca wycofał się, by uzupełnić paliwo i amunicję. Siódma Brytyjska Dywizja Pancerna została zatrzymana przez samotny czołg; przez odwagę i siłę woli jednego człowieka. Niedługo zamierzał powrócić tu z posiłkami, by zlikwidować do reszty pancerną szpicę natarcia.

Chociaż został mu tylko miesiąc życia, tego właśnie dnia, w tym nieistotnym miasteczku, Michael Wittman dostał nieśmiertelności.

W nieodległej przeszłości

Chociaż dym w pokoju pochodził nie z palonego tytoniu, lecz kadzidła na Ołtarzu Łączności, i chociaż istoty biorące udział w spotkaniu, odziane w połyskujące, przypominające tuniki stroje, miały delikatne, pociągłe rysy, spiczaste uszy i zęby jak szpilki, każdy członek zarządu dowolnej korporacji natychmiast dostrzegłby, że zebrała się tu niezrównana ekonomiczna i polityczna potęga.

Istoty – nazywano je „Darhelami” – siedziały wokół okrągłego stołu narad. Wszystkie były przywódcami najważniejszych klanów składających się na ich gatunek. Stół – rzadki i cenny mebel z opalizującego drewna, pochodzącego z mało znanej i skąpo zasiedlonej planety – świadczył o bogactwie zebranych. Fotel każdego członka zgromadzenia został zbudowany przez rzemieślniczych mistrzów Indowy pod wymiary i kształt ciała konkretnego osobnika.

Za każdym z darhelskich panów stał służący Indowy – zważywszy na niuanse galaktycznego systemu prawnego i gospodarczego, można by go równie dobrze nazwać „niewolnikiem” – gotowy zaspokoić każdą jego potrzebę i zachciankę. Chociaż niektórzy Darhelowie być może zdawali sobie z tego sprawę, większość pozostawała w błogiej nieświadomości, że ich służący, nigdy nie pogodzeni ze swoim niewolniczym statusem, byli jednym z głównych źródeł informacji dla Bane Sidhe, wszechgalaktycznego spisku mającego na celu strącenie Darhelów z ich pozycji panów wszelkiego stworzenia.

Przed każdym fotelem unosiła się holograficzna projekcja, widoczna tylko dla siedzącego na tym miejscu. Mimo dostępności informacji o stratach wśród mieszkańców – głównie porośniętych zielonym futrem pokornych Indowy – planet padających ofiarą zębatach paszcz najeźdźców, niewielu Darhelów chciało na nie patrzeć. Nie był to objaw ich przewrażliwienia. Darhelom straty Indowy były po prostu obojętne. Skoro w Federacji było ich osiemnaście bilionów, śmierć kilku czy nawet kilkuset miliardów nie miała znaczenia.

Ale zyski? Straty? To właśnie były kluczowe i niezwykle istotne dane, które wyświetlały holograficzne projekcje.

– Na Panów Stworzenia! – wybuchnął jeden z Darhelów, uważnie wpatrując się w swój hologram. – Strata kapitału poświęconego na tę inwazję jest nie do przyjęcia! Zrujnowane fabryki! Zmniejszone zyski! Zachwiany handel! Nie można tego dłużej tolerować! Należy to jak najszybciej przerwać.

Darhel niemal dał się ponieść niestosownemu i niebezpiecznemu wybuchowi; opuścił głowę i zmusił się do spokojnego oddechu, zaczynając recytować mantrę, by zwalczyć *lintatai*, rodzaj katatonii, na którą Darhelowie byli wyjątkowo podatni, a która nieodmiennie prowadziła do śmierci.

Ghin, pierwszy między równymi wśród obecnych, cmoknął cicho, pogrążony w myślach. Ci młodzi, zwłaszcza z klanu Urdan, tak łatwo się emocjonują. Przez pół życia doprowadzają się na skraj *lintatai*, drugie pół dochodzą do siebie. Nie po raz pierwszy Ghin zrywał się na system kontroli nad galaktyką, który pozwalał nawet trzeciorzędnym Darhelom gromadzić bogactwa i władzę kosztem Indowy. Oczywiście nie przejmował się ani trochę samymi Indowy. Współczuł jednak odrobinę znajdującemu się w ciężkiej sytuacji klanowi Urdan. Wiedział, że są obiektem wielu nacisków. I że mają tendencję do wydawania na świat zbyt wielu trzeciorzędnych umysłów.

Niezależnie od swoich przemyśleń Ghin wiedział, że jego rolą jest przewodzić.

– Nie obawiajcie się straty kapitału. Jeśli powinniście się czegoś obawiać, to eksterminacji naszego ludu, jeżeli tej posleńskiej plagi nie uda się zatrzymać.

Przywódcą Urdan podniósł wzrok, przerywając walkę z katatonią i śmiercią, po to tylko, by zapytać:

– A co w tej sprawie robicie?

Jego głowa natychmiast znów opadła, a usta wróciły do powtarzania ratującej życie mantry.

– Wszystko co się da – odparł spokojnie Ghin. – Armie i floty barbarzyńskich najemników, ludzi, już walczą na pograniczu, miejscami nawet przesuwają front. Prognozy wskazują, że przy obecnym stosunku sił i możliwości wyhodowania większej liczby ludzkich najemników z ich dzieci, które przyjęliśmy jako naszych... gości... będziemy w stanie stosownie się zabezpieczyć do czasu, aż ta plaga przeminie. Zadbamy o siebie.

Machnął ręką i wszystkie hologramy wyświetliły mapę federacyjnego sektora galaktyki; układy, które padły już pod naporem najeźdźców, były czerwone, federacyjne – niebieskie. Mapę otaczały statystyki zysków i strat, tak ukochane przez darhelskich kupców i bankierów.

– Obrzydliwość – mruknął Urdan. – Jakim prawem obciążasz nas absurdalnymi stawkami, których żądają ci barbarzyńcy? Jestem odpowiedzialny przed moimi udziałowcami i inwestorami. Koszt utrzymania tych ludzi jest zbyt duży. Powinni przyjąć stawki Indowy i być wdzięczni.

Ghin zgadzał się z tym ostatnim twierdzeniem. Arogancja ludzi była wprost niebywała.

– To wina najliczniejszego z podgatunków ludzi, zwanego przez nich Chińczykami – odparł.

Zaczynał odczuwać gniew na ludzką arogancję. Zdławił go jednak bezlitośnie; *lintatai*, gdyby już w nią wszedł, była dla Ghina tak samo niebezpieczna, jak dla każdego Darhela.

– Ludzie zwani Chińczykami dokonali obliczeń i ustalili, że proponowane przez nas stawki są o wiele niższe niż te, na które moglibyśmy się zgodzić. Wraz z pozostałymi barbarzyńcami po prostu odmówili nam pomocy, dopóki nie złożyliśmy im lepszej propozycji. Oczywiście zapłacilibyśmy i trzy razy więcej niż zażądali – dokończył z przebiegłym uśmiechem. – Ale oni tego nie wiedzieli. Cieszcie się, że koszty są takie niskie. Mogłoby być o wiele gorzej. I bądźcie spokojni, moje wydatki były jeszcze większe niż wasze. Mam też plan, by ci Chińczycy odpowiedzieli za swoją bezczelność.

Z wciąż pochyloną głową – bo rzeczywiście był niebezpiecznie bliski *lintatai* – Urdan podniósł wzrok i spojrzał na hologram.

– I jeszcze jedno. Widzę, że granica jest wyraźnie zaznaczona. Dlaczego ludzcy najemnicy zostawili ten sektor otwarty, skoro Posleeni przeciskają się tamtędy całą masą?

W odpowiedzi Ghin zaledwie się uśmiechnął.

Bliżej teraźniejszości

Statek tunelowy tętnił życiem i świadomością celu: życie dla Po'oslen'ar, Ludu Statków, i śmierć dla wszystkich, którzy staną im na drodze.

Athenalras rozmyślał, pełen dumy i zadowolenia, przyglądając się przyrządom po trzykroć przeklętych Aldenat'; oprócz niego samego mało kto z Ludu pojmował ich działanie. Wokół niego krzatali się kenstainowie, kilku kessentaiów i minimalna liczba rozwiniętych normalsów, konieczna do kierowania kulą bojową. Większość Ludu spoczywała nieprzytomna i zahibernowana – a co ważniejsze, nie jedząca – głębiej w trzewiach statku. Wszystko szło dobrze, a Lud podążał drogą do kolejnego podboju na długiej i ognistej ścieżce gniewu i wojny.

– Panie? – zapytał jeden z kessentaiów, Ro'moloristen, z czymś pomiędzy szacunkiem a podziwem. – Mam informacje, których żądałeś.

– Daj mi je, młodzieńcze – rozkazał krótko starszy wiekiem i stopniem.

– Ten półwysep wystający w kierunku przeciwnym do kierunku obrotu celu wygląda na najlepszy dostępny obszar lądowania. Jest zaludniony, bogaty w przemysł i obrobione metale, żyzny i płodny. Byłby doskonałym miejscem dla Ludu z naszego klanu... do chwili, oczywiście, kiedy przysłaby pora wyruszyć dalej.

Kessentai zawahał się; jego wódz skinął mu głową.

– Bogaty i płodny, ale...

– To dziwne miejsce ta „Europa”, jak je nazywają. Zjednoczona i podzielona. Mądra i

bezmyślna. Odważna i lękliwa. Nie mająca znaczenia w czasie pokoju, jak twierdzą archiwa, do których dotarliśmy, ale potencjalnie groźna w boju.

Starszy nastroszył grzebień.

– Czy są gorsi od szarych threshkreen z Diess? Metalowych threshkreen z Kerlen? Czy są gorsi od przeklętych thresh z mniejszego kontynentu, którzy pokonali w boju nasze pierwsze lądowanie i nawet teraz opierają się Ludowi ogniem i krwią?

Młodszy Wszechwładca opuścił wzrok, odpowiadając.

– Mój panie... To są właśnie szarzy threshkreen, to ich dom. A istoty z mniejszego kontynentu? To potomkowie kolonistów, bardzo podobnych do Ludu, którzy opuścili swoje pierwotne siedziby i wyruszyli do nowych i niemal pustych miejsc, niszcząc i eksterminując thresh, których tam zastali.

Wódz zjeżył się, rozpościerając grzebień.

– A więc chcesz powiedzieć, młody Ro'moloristenie, że podbój tego miejsca, tej Europy, jest zbyt trudnym zadaniem dla Ludu, zbyt trudnym dla mnie?

– Nie! Mój panie, nie! – przeprosił pospiesznie młodszy kessentai. – To da się zrobić. Ale musimy podejść do sprawy ostrożniej niż zazwyczaj. Musimy zdobyć przyczółek... albo może dwa, jak sądzę. Tam rozbudujemy nasze siły, zanim dokonamy podboju reszty. Spójrz, panie. Tu są moje zalecenia.

Wszechwładca przesunął szponami nad aldenatańskim ekranem.

Ułagodzony nieco Athenalras spojrział na monitor.

– Rozumiem. Proponujesz, żebyśmy wylądowali tutaj, na wschodzie, na równinie...

– Nazywają to Polską, panie.

– Polską? – powtórzył Athenalras. – Barbarzyńska nazwa – prychnął.

– W rzeczy samej – zgodził się Ro'moloristen. – Thresh z tej barbarzyńskiej krainy, Polski, mają opinię groźnych w walce, chociaż sukcesy odnosili niewielkie.

– A drugie lądowanie?

– Tę krainę nazywają Francją. I znów ich reputacja na Ścieżce Gniewu jest dobra, a mimo to również odnosili niewielkie sukcesy.

– Nie rozumiem, pisklaku. Proponujesz, żebyśmy wylądowali w dwóch miejscach, w których thresh są groźni w boju, ale nie odnoszą sukcesów? Po prostu tego nie pojmuję.

– Czasami, mój panie – odparł Ro'moloristen – można być potężnym na Ścieżce Gniewu, a mimo to przegrać, bo jest ktoś inny, jeszcze potężniejszy. – Młody Wszechwładca dotknął ekranu pazurem. – Tutaj. To jest to miejsce. Dom odzianych w szarość thresh. Kraina, która usuwa w cień threshkreen Francji i Polski. Kraina, na którą musimy przygotować inwazję, jakiej Lud jeszcze nie widział.

– A jak się zwie ta straszliwa kraina, pisklaku?

– Mój panie, jej thresh nazywają swój dom „Deutschland”.

* CZEŚĆ I *

Mögen andere von ihrer Schande spreche, Ich Spreche
von der meinen. O' Deutschland bleiche mutter! Wie
haben deine Söhne dich zugerichtet Dass du unter dem
Völken sitzt Ein Gespörrt oder eine Furcht!

– Bertolt Brecht, 1933

Fredericksburg, Wirginia, 11 listopada 2004

Śnieg osiadał na policzkach i brwiach, zakrywając z wolna scenę grozy czystym białym kocem. Białe płatki spadały na włosy mężczyzny, który sam był blady jak śnieg. I zgarbiony. Przygięty ciężarem lat i troskami swego ludu, spoczywającymi na jego starym, umęczonym grzbiecie.

Bundeskanzler odwrócił wzrok od ohydneho, zasypywanego śniegiem widoku. Wystarczyło, że widział to niegdyś tętniące życiem, zabytkowe miasto starte z powierzchni ziemi, jakby nigdy nie istniało. A lista ofiar... Tak olbrzymia lista ofiar... armii państwa o wiele potężniejszego niż jego własne. *Kanzler* zadrżał ze strachu o swój kraj, swoją kulturę i swój lud.

Ale ze wszech miar gorsze były mdłości obrzydzenia.

– To te kości, Günter – szepnął, bojąc się spojrzeć na swojego doradcę. – To te małe stosiki ogryzionych kości.

Günter, doradca – chociaż tak naprawdę był kimś więcej – usłyszał ten szept i skrzywił się.

– Wiem, *mein Herr*. To odrażające. My... my też robiliśmy w przeszłości straszne rzeczy. Straszne, okropne, godne potępienia rzeczy. Ale to? To przekracza wszystko...

– Nie oszukuj sam siebie – sprostował *Kanzler*. – My byliśmy gorsi, Günter, o wiele gorsi. Byliśmy gorsi, bo to, co robiliśmy, robiliśmy własnym pobratymcom. Spalone miasta. Abazury. Mydło. Złote koronki z zębów. *Einsatzgruppen*. Komory gazowe i piece. Cała gama grozy, z którą zapoznali niewinnych nasi przodkowie... i my sami.

– A Drezno? – odparł sardonicznie Günter, unosząc brew. – Hamburg? Damstadt?

– Nie powiedziałem, mój młody przyjacielu, że byliśmy osamotnieni w naszych przewinach.

Kanzler zamrugał, by pozbyć się kilku płatków śniegu, które osiadły na jego siwych rzęsach.

– Zresztą... czym są przewiny przeszłości? – westchnął. – Czy nasi młodzi muszą ginąć za to, co zrobili ich dziadowie? Czy to słuszne, by nasze dzieci były pożerane, zamieniane w małe stosiki gołych, ogryzionych kości? Jak daleko sięga grzech Adama i Ewy, Günter?

Kanzler wyprostował swój stary, zmęczony i obarczony brzemionami grzbiet.

– Tak czy inaczej, to nie ma znaczenia – oznajmił. – Cokolwiek zrobiliśmy, nic nie zasługuje na tę... tę rzeźnię. I jeśli możemy coś zrobić, by temu zapobiec... to właśnie mam zamiar to zrobić.

Günter, jego doradca, w zamyśleniu podrapał się po brodzie.

– Ale to, co mogliśmy zrobić, już zrobiliśmy. Produkcja wszystkiego, co może nam być potrzebne do obrony albo ewakuacji, idzie pełną parą. Wszyscy starzy żołnierze Wehrmachtu zostali zmobilizowani i właśnie są odmładzani. Wprowadziliśmy pobór do wojska wszystkich oprócz tych, którym sumienie nie pozwala służyć. Robimy wszystko, co możemy.

– Nie, mój młody przyjacielu – odparł *Kanzler* wolno i dobitnie. – Jest jeszcze jedna grupa, której nie tknęliśmy. Której sam bym nie tknął, gdybym nie zobaczył tego koszmaru na własne oczy.

Jedna grupa? Jedna grupa? Co *Kanzler* mógł mieć na myśli? Nagle Günter szeroko otworzył oczy.

– *Mein Herr*, chyba nie mówi pan o nich.

Otulając się szczelniej płaszczem i unosząc rękę, by otrzeć twarz z wciąż padającego śniegu, starzec spojrział w niebo, jakby szukał tam natchnienia. Nie otrzymawszy go, odparł stanowczo, wciąż patrząc w górę:

– Właśnie o nich.

I o wszystkim innym – pomyślał, ale nie powiedział – co muszę sprowadzić z powrotem, by to się nie stało z naszymi miastami i naszym ludem.

Paryż, Francja, 13 listopada 2004

Tłum był olbrzymi, a jego napięcie wręcz namacalne. Wśród miliona demonstrantów Isabelle De Gaullejac czuła się tak, jak nie czuła się od czasów szczęśliwych i beztrudnych dni w Młodzieżówce Socjalistycznej.

Chociaż już po czterdziestce, Isabelle wciąż była atrakcyjną przedstawicielką płci pięknej. Jako typowa Francuzka zachowała smukłą sylwetkę. Jej sięgających do ramion brązowych włosów nie tknęła siwizna. A nawet jeśli miała na twarzy więcej zmarszczek niż za czasów studiów, to spojrzenia starych i młodych mężczyzn mówiły jej, że nie straciła jeszcze swojego powabu.

Wtedy protestowała przeciwko Amerykanom; przeciwko nim i wojnie, którą odziedziczyli po Francji. Teraz protestowała przeciwko Francji; Francji i wojnie, którą ten kraj dostał w spadku po Amerykanach.

Była przekonana, że to wszystko wina właśnie Amerykanów. Czy ci obcy, Posleeni, zaatakowali Ziemię pierwsi? Nie. Lekkomyślnie, za namową Amerykanów, francuska armia poleciała do gwiazd, szukając kłopotów i wdając się w bezowocną wojnę przeciwko nieznanej dotąd cywilizacji.

I po co? By ocalić sypiącą się federację galaktyczną?

Francja miała swoje sprawy tutaj, na Ziemi, i miała troszczyć się o Francuzów.

A teraz mówili o podniesieniu podatków. Żeby pomóc prostym ludziom? Znow nie. Mieli nimi naoliwić tryby maszyny wojennej. Isabelle zadrżała z obrzydzenia.

Jeszcze gorsze od wyższych podatków były zapowiedzi rozszerzenia poboru. Isabelle spojrzała na swoich dwóch młodych synów, których prowadziła za ręce, i przysięgła, że nigdy nie pozwoli, by zabrano ich z jej domu i zamieniono w mięso armatnie w głupiej i niepotrzebnej wojnie.

Jej głos dołączył się do ryku skandującego tłumu.

– Chcemy pokoju! Chcemy pokoju! CHCEMY POKOJU!

Berlin, Niemcy, 14 listopada 2004

Wieści się rozeszły; dopilnował tego Günter.

Kiedy kanclerz wszedł do Bundestagu, niemieckiego ciała ustawodawczego, zobaczył morze obojętnych twarzy, tu i ówdzie usiane obliczami bardziej wrogimi, a w bardzo nielicznych przypadkach chętnymi. Nie był pewien, kogo obawia się bardziej – lewicy, która zamierzała podnieść krzyk, by go usunąć, czy nowej prawicy, która mogła zażądać, by przyjął tytuł, którego nienawidził – *Führera*.

Nieważne. Mógł jedynie trwać przy podjętej decyzji i mieć nadzieję, że parlamentarzyści ocenią sytuację tak samo jak on. Aby tak się stało, wiedział, że musi im ją pokazać.

Siadając, kanclerz wykonał ruch dłonią. Natychmiast przygasły światła, a spod wysokiego sklepienia zjechał ekran.

Przez cztery dni specjalnie dobrany zespół dziennikarzy i dziennikarek montował materiał dokumentalny, wykorzystując głównie amerykańskie, ale też i inne źródła. Jednak to Ameryka właśnie, która wyczuła, że Niemcy chcą pozostać jej sojusznikiem, była najbardziej skłonna dostarczyć niemieckim reporterom wszystkiego, czego potrzebowali, by wypełnić swoje zadanie.

Niczego nie cenzurowano, wszystkie chwytły były dozwolone. Niemiecki parlament miał dostać kopa widokiem grozy, jaka czekała ich kraj w wyniku najazdu obcych.

* * *

Annemarie Mai, reprezentantka zielonych i socjalistów z Wiesbaden, zaliczała się do nieprzejednanych wrogów pomysłu *Kanzlera*. Kiedy film się zaczął, z niekłamaną przyjemnością patrzyła na ruiny Waszyngtonu. Poczynając od kowbojskich przygód w epoce imperializmu, przez niszczycielskie projekty energetyczne i środowiskowe, po – co najgorsze – uporczywe obstawanie

przy przestarzałym systemie gospodarczym, przy którym irytująco często jej preferowany system etatystyczny wydawał się nieskuteczny – wszystko to czyniło z Waszyngtonu symbol tego, czego Annemarie w Ameryce nienawidziła.

Jednak podobnie jak wielu innych, tak jak nienawidziła ich kraju, tak lubiła Amerykanów jako ludzi.

Dlatego jej reakcja na resztę filmu była zupełnie inna. Widok małych dzieci, popadających z przerażenia w katatonię na widok rodziców zarzynanych i pożeranych na ich oczach, sprawił, że zaczęła łkać. Jeszcze straszniejsze były jednak te dzieci, które nie straciły zmysłów, te, które bez przerwy krzyczały. Posłanka zadrżała ze zgrozy.

A potem byli żołnierze o chorych, brudnych i zmęczonych twarzach. Było wśród nich wielu białych, którzy nie różnili się od chłopców i dziewczyn z Niemiec. Zwłaszcza wrzaski rannych kaleczyły serce Annemarie.

A potem pokazano stosy odartych z mięsa kości, ludzkich kości, i osobne stosy równo rozłupanych czaszek, niektórych bardzo małych. Wtedy Annemarie pobiegła do damskiej toalety, nie mogąc już ani chwili dłużej powstrzymać wymiotów.

* * *

– Musicie państwo mieć bardzo kiepskie zdanie o demokratycznym duchu w niemieckich sercach, jeśli tak się obawiacie odmłodzenia dwudziestu czy dwudziestu pięciu tysięcy starców – powiedział kanclerz do grupy wykrzykujących z galerii protestujących.

Jeśli jego słowa wywarły jakikolwiek skutek, nie dali tego po sobie w żaden sposób poznać. Ich skandowanie: „Nigdy więcej nazistów! Nigdy więcej nazistów!” przybrało jeszcze na głośności i zaciętości.

– Nie zawsze byli starcami – odparł jeden z parlamentarzystów. – Kiedy byli młodzi, tacy, jakimi chce ich pan znów uczynić, uzbrojeni i zorganizowani, co znów chce im pan zapewnić, byli potworami, opryszkami, przestępcami... mordercami.

– Nie wszyscy – upierał się kanclerz. – Może nawet nie większość z nich. Niektórych wzięto z poboru. Inni nie znaleźli dla siebie miejsca w Reichswehrze i jako żołnierze wstąpili do pierwszej wojskowej organizacji, która ich przyjęła. Poza tym zamierzam dopilnować, by ani jeden z tych, którzy byli skazani czy chociaż niebezpiecznie oskarżeni o zbrodnie wojenne albo zbrodnie przeciwko ludzkości, nie został dopuszczony.

– Wszyscy byli winni zbrodni przeciwko ludzkości – odparował poseł. – Każdy, kto brał udział w niesprawiedliwej wojnie, którą nasz kraj wydał niewinnemu światu, jest winny.

– Gdyby tak było – odparł spokojnie kanclerz – wtedy równie winni byłiby Heinz Guderian, Erich Manstein, Erwin Rommel czy Gerd von Rundstedt. To oni byli w tej wojnie odpowiedzialni za planowanie na wysokim szczeblu. Ludzie, których proponuję odmłodzić, byli zaledwie pionkami w porównaniu z tymi słynnymi i podziwianymi niemieckimi żołnierzami.

– Mordowali więźniów! – wrzasnął inny poseł.

– Na tej wojnie wszyscy mordowali więźniów.

I tak to się ciągnęło, pozornie bez końca. Przeciwnicy się wypowiadali, kanclerz spokojnie odpowiadał. Zwolennicy się wypowiadali, zazwyczaj spokojnie, a przeciwnicy podnosili wściekły wrzask. W końcu doszło do głosowania... i stosunek głosów był naprawdę bardzo wyrównany.

* * *

Wszystkie oczy zwróciły się na poszarzałą twarz wchodzącej na mównicę Annemarie Mai. To jej głos miał zadecydować.

– Mam pewne warunki – oznajmiła, mając przed oczami obrazy rozłupanych dziecięcych

czaszek.

– Warunki? – spytał kanclerz.

– Kilka. – Kiwnęła głową. – Po pierwsze, ci ludzie są nosicielami zarazy, politycznej zarazy.

Muszą zostać poddani kwarantannie, byśmy mieli pewność, że jej nie rozniosą.

– By mieć z nich jakikolwiek pożytek, muszę wykorzystać ich jako kadry do szkolenia innych.

– Rozumiem – odparła Annemarie. – Ale kiedy ta grupa zostanie już wprowadzona w struktury wojskowe, tak jak pan chce, musi być od nich jak najbardziej odizolowana, tak by zaraza nie rozprzestrzeniła się w stopniu większym, niż jesteśmy w stanie kontrolować.

– W takim razie zgoda – powiedział kanclerz.

– Po drugie, muszą być obserwowani.

– Będą.

– Po trzecie, nie wolno im będzie głosić swoich politycznych przekonań, i to nie tylko publicznie.

– Prawo zakazujące głoszenia ideologii nazistowskiej pozostaje w mocy i służyło nam dobrze przez kilkadziesiąt lat.

– Po czwarte, musimy ich zużyć, wykorzystać, wypalić, wraz z, przykro mi to mówić, młodymi ludźmi, których skażemy na ich „opiekę”.

– To akurat mogę pani zagwarantować.

– W takim razie głoszę za. Niech pan rekrutuje swoją formację, panie kanclerzu.

Zgromadzenie w jednej chwili wybuchło okrzykami aprobaty i przekleństwami.

Babenhausen, Niemcy, 15 listopada 2004

Dla niektórych starość oznacza spokój. Innym słabnący z wiekiem umysł przybliża coraz okrutniejsze wspomnienia.

Bardzo niewielu, czy wręcz nikt, w domu opieki wiedziało, ile dokładnie lat ma starzec, chociaż informacja ta znajdowała się w jego karcie. Wśród personelu krążyła plotka, że przekroczył już setkę, jednak nikt nie pofatygował się, aby to sprawdzić. Starzec odzywał się rzadko, a jeszcze rzadziej zdawał się mówić z sensem. Czasami w nocy dyżurna pielęgniarka słyszała, jak krzyczał w swoim pokoju: „*Vorwärts, Manfredie! Zatrzymać ich, meine Brüdern!*” albo „*Steisse, die Panzer!*”.

Czasami zaś starzec cicho wołał kogoś po imieniu, szeptał coś z żalem albo nucił kilka taktów jakiejś dawno zapomnianej, a może nawet zakazanej piosenki.

Ci, którzy go myli, i ci, którzy rozmawiali z myjącymi, szeptali, że ma na torsie wytatuowany numer. Szeptali też o bliznach i śladach oparzeń.

Codziennie, w słońce czy w deszcz, owiniętego w koce lub nie, zależnie od pogody, pielęgniarze wywozili starca na wózku na werandę, żeby odetchnął trochę świeżym powietrzem. Tego dnia świeże powietrze było zimne i ciężkie, nabrzmiące wilgocią padającego śniegu. Jakie sny czy koszmary budził w nim śnieg, nikt nie wiedział – starzec nigdy o tym nie mówił.

Stojąca w drzwiach wejściowych kierowniczką domu opieki wskazała miejsce, gdzie siedział.

– Tam jest.

– Od tej pory my się nim zajmiemy – powiedział jeden z dwóch mężczyzn, ubrany w skórzany płaszcz zdradzający jego przynależność do Bundesnachrichtendienst – Federalnych Służb Informacyjnych, niemieckiego wywiadu. – Pani i pani zakład już nie musicie się nim kłopotać.

Kierowniczką lekko skinęła głową. *Alles war in ordnung*. Wszystko w porządku. Dwaj mężczyźni odwrócili się już do niej plecami i skupili całą uwagę na starcu. Podeszli do niego; jeden przykucnął przed wózkiem, drugi stanął z boku.

– *Herr Gruppenführer?* – powiedział cicho kucający. – *Gruppenführer Mühlenkampf?* Nie

wiem, czy mnie pan rozumie. Ale jeśli tak, idzie pan z nami.

W wyblakłych niebieskich oczach starca błysnął jakby ślad rozpoznania.

– Aha – powiedział ten w płaszczu. – Rozumie mnie pan, prawda? A przynajmniej rozpoznaje pan swoje nazwisko i dawny stopień. Bardzo dobrze. A to zrozumiesz, starcze? Twój kraj znów cię wzywa. Potrzebujemy cię, i to pilnie.

Berlin, Niemcy, 17 listopada 2004

Jejku, tym dwóm to się spieszy, pomyślał klient *gasthausu* położonego w zaułku niedaleko miejsca, gdzie mieszkał. Jak zwykle siedział w ciemnym kącie, popijając piwo. Kiedy wreszcie Gestapo, czy jak tam się teraz nazywają, zrozumie, że te płaszcze wyróżniają ich tak samo, jak moje *Sigrunen*, podwójne błyskawice, wyróżniały mnie?

Obiekty zainteresowania klienta przechodziły od stolika do stolika, rozmawiając z innymi gośćmi. Wirt, właściciel i kierownik lokalu, zerkał dyskretnie na starszego mężczyznę siedzącego w słabo oświetlonym kącie. Mam im powiedzieć?

Klient wzruszył ramionami. *Machts nihts*. Bez różnicy. Wiesz, kim są, tak samo jak ja. Jeśli zechcą mnie znaleźć, znajdą.

Kiwnąwszy głową na znak, że rozumie, Wirt zawołał dwóch mężczyzn do siebie.

– Jeśli szukacie panowie *Herr Braschego*, siedzi tam, w kącie.

Brasche z zainteresowaniem patrzył, jak obaj podchodzą do jego stolika, potem pozdrowił ich, unosząc kufel piwa.

– Co mogę dziś zrobić dla BND, panowie?

– Hans Brasche? – spytał jeden z dwójki, błyskając legitymacją.

– To ja – odparł Hans.

– Musi pan iść z nami.

Brasche uśmiechnął się. Nawet jeśli się bał, żaden z dwóch odprowadzających go mężczyzn ani innych klientów nie mógł tego wiedzieć. Nigdy nie był mężczyzną, ani chłopcem, który okazywałby strach.

Czasy były ciężkie, a robiły się jeszcze gorsze. Według kalendarza na ścianie był rok 1930. Kiedy chłopiec wszedł do skromnej kuchni, twarz jego matki wyrażała jedno: strach.

– *Ojciec chce cię widzieć, Hansi.*

Chłopiec, najwyżej dziesięcioletni, stłumił drżenie. To nigdy nie wróżyło nic dobrego. Zebrał całą odwagę, uniósł swoją dziesięcioletnią głowę i odważnie ruszył tam, gdzie czekał na niego jego jednoręki ojciec – a co ważniejsze, także jego pas. Wiedział, że nie może zapłakać, nie może okazać lęku – w przeciwnym razie lanie będzie jeszcze gorsze, o wiele gorsze.

Potem, kiedy długie bicie się skończyło, Hans, z suchymi oczami, minął swoją matkę krokiem sztywnym od siniaków i skaleczeń.

Kobieta objęła syna, rozpaczliwie próbując ulżyć mu w cierpieniu. Poczula tylko drżenie, kiedy jej dłonie gładziły jego sińce i rany.

– *Za co, Hansi? Co zrobiłeś?*

Chłopiec, wysoki jak na swój wiek, ale nie tak wysoki jak matka, zwiesił głowę i wtulił twarz w matczyne łono.

– *Nie wiem, Mutti. Nie powiedział. Nigdy nie mówi.*

– *Nie był taki przed Wielką Wojną, Hansi, zanim stracił rękę.*

Chłopiec nie mógł płakać, dawno już to z niego wybito. Wzruszył ramionami. Matka mogła płakać... i płakała.

– Muszę przyznać, że opanowany z pana gość, *Herr Brasche* – powiedział jeden z dwóch agentów już później, w mercedesie.

– Jestem stary. Dużo już widziałem. Nigdy nie widziano, żebym się bał albo okazywał, że się boję; ani ja, ani nikt inny nigdy nie miałby z tego żadnego pożytku. Dlaczego teraz miałoby być inaczej?

– Tym razem nie ma pan powodu do obaw, *Herr Brasche* – odparł drugi mężczyzna, kierowca.
– Przyjechaliśmy wyświadczyć panu przysługę.

Hans wzruszył ramionami.

– Ludzie wyświadcza mi już przysługi. Rzadko wynikało z tego coś dobrego.

Czasy się zmieniły. Obfitość i nadzieja zastąpiły głód i rozpacz. W oknach, na latarniach, na ramionach mężczyzn i kobiet w całych Niemczech łopotał nowy symbol. W radio trzeszczał chrapliwy, uszkodzony przez gaz głos nowego bohatera.

Hans poczuł, że jego trzynastoletnie serce zaczyna bić szybciej, kiedy jego Führer przemówił do narodu.

– *Meine alte Kameraden – zaczął Hitler, a Hans poczuł, że jego jednoręki ojciec z synowską miłością staje na baczność. – Die grosse zeit ist jetzt angebrochen... Deutschland ist nun erwacht... (Moi starzy towarzysze... Nadeszły wielkie czasy... Niemcy się przebudziły...).*

– *Widzisz, mój mały Hansi? Widzisz, jaką ci wyświadczyłem przysługę, przyprowadzając cię tutaj?*

Na to Hans nie miał szczerzej odpowiedzi; każdy dar jego ojca miał swoją cenę.

To było publiczne radio, takie z głośnikami, mające nadawać swój przekaz do tłumu. Mundurowe patrole HitlerJugend pilnowały porządku, głównie świecąc przykładem własnej dyscypliny. Ale Niemcy w Roku Pańskim 1933 nie potrzebowali przykładu; wciąż byli narodem, który stawał przeciwko połowie świata od 1914 do 1918 roku. Dyscypliny mieli pod dostatkiem.

Ojciec zauważył, jak Hans przygląda się obwieszonym kolorowymi wstążkami chłopcom w krótkich spodniach, ze sztyletami, o zaciętych twarzach.

– *Ach, widzę, że interesuje cię Ruch Młodzieży. Nie bój się. Załatwiłem, żeby przyjęli cię trochę wcześniej. Zrobią z ciebie mężczyznę.*

Niby jak, ojcze?, pomyślał chłopiec. Mają twardsze pasy? Ciekaw jestem, jakie jeszcze przysługi mi wyświadczysz.

Bad Tolz, Niemcy, 20 listopada 2004

– Nie chcę od was żadnych pierdolonych przysług – warknął Mühlenkampff.

Kanzler – kanclerz Republiki Federalnej Niemiec – oderwał wzrok od skurzonej postaci przykutego do wózka mężczyzny na zdjęciu w aktach. Spojrzał ostro na stojącego przed nim młodego, wysokiego, ciemnowłosego, wyprostowanego jak struna i barczystego mężczyznę. Dla postronnego obserwatora Mühlenkampff, noszący insygnia generała porucznika Bundeswehry, wyglądał co najwyżej na dwadzieścia lat. Mimo tego w jego oczach była surowość zdradzająca cierpienia i doświadczenia, których dwudziestolatek nie miałby kiedy przeżyć.

– To niesamowite, Günter – zauważył kanclerz – jak odjęcie komuś osiemdziesięciu czterech lat wpływa na jego usposobienie.

Mühlenkampff prychnął z pogardą.

– Pierdolcie się, *Herr Kanzler* – wypalił. – Pierdolcie się wszyscy, cywilni dranie. Pierdolcie się wszyscy, którzy wyciągnęliście mnie z tego domu starców. Pierdolcie się za to, że oddaliście mi mój umysł, że mogę znów pamiętać i tęsknić za żoną i dziećmi, i za przyjaciółmi, których straciłem. Pierdolcie się za to, że posłaliście mnie znów na wojnę. Ponad trzysta lat mojego życia spędziłem

na wojnie, *Herr Kanzler*. Bez chwili pokoju od 1916. Myślałem, że w końcu mam to za sobą. Więc odpierdolcie się wszyscy.

W połowie tej tyrady Günter wstał z fotela, jakby chciał uciszyć tego młodego-starego człowieka. Spojrzenie Mühlenkampfa i gest dłoni kanclerza kazały mu wrócić na miejsce.

Kanclerz uśmiechnął się z zadowoleniem.

– Pieprzy pan, Mühlenkampff, aż się kurzy. Co więcej, dobrze pan o tym wie. „Bez chwili pokoju”? Bzdura. Jedyne pokój, jakiego pan zaznał, zaczął się w 1916, kiedy wstąpił pan do służby, a skończył w 1918, wraz z Wielką Wojną. Potem miał pan jeszcze trochę „pokoju” między 1918 a 1923, we *Freikorps*... O tak, wiem o panu wszystko, Mühlenkampff. A potem nastąpił największy pokój, od 1939 do 1945, prawda? Spójrz prawdzie w oczy, esesmanie. Wojna to dla pana pokój. A pokój to dla pana piekło.

Mühlenkampff przekrzywił głowę, bezskutecznie usiłując ukryć przelotny uśmiezek.

– Jedno pan przeoczył, *Herr Kanzler*. Hiszpania, od 1936 do 1939. Oczywiście nieoficjalnie. To dopiero był ubaw.

Jego uśmiech się poszerzył, a potem Mühlenkampff głośno się zaśmiał.

– Bardzo dobrze, *Herr Kanzler*. Cokolwiek zrobiliście, żeby mnie odmłodzić, musieliście mieć jakiś powód. Czego ode mnie chcecie? Jakie macie dla mnie zadanie?

Kanclerz odwzajemnił uśmiech.

– Mamy pewne problemy – przyznał. – Jak bardzo nie miał pan kontaktu ze światem w tym domu starców?

Mühlenkampff zastanawiał się przez chwilę.

– Straciłem go chyba w 1921. A skoro o tym mowa, który mamy rok? Skąd się tu wzięłem? Dlaczego znów jestem młody? Jak to się stało, że odzyskałem sprawność umysłu?

– Ach, od czego zacząć? Mamy rok 2004. Tak, generale Mühlenkampff – ciągnął kanclerz, widząc zaskoczenie byłego oficera. – Jest pan dziarskim stuczterolatkiem. A skąd ma pan umysł i ciało dwudziestolatka? To interesująca historia.

Kanzler już dawno postanowił mówić wprost; Mühlenkampff był znany jako człowiek bezpośredni.

– Grozi nam inwazja, panie generale.

– Niemcom? – najeżył się stary-młody. – Ojczyzna jest w niebezpieczeństwie?

– Wszyscy są w niebezpieczeństwie – odparł kanclerz. – Planeta Ziemia zostanie zaatakowana... właściwie już została... przez obce istoty z kosmosu. Jak powiedziałem, zaczęły już lądować w Stanach Zjednoczonych i...

– Bzdura! Amerykańskie pierdoły. Obcy? Z kosmosu? *Herr Kanzler*, proszę! Urodziłem się wieczorem, ale nie wczoraj wieczorem!

– To wcale nie pierdoły, Mühlenkampff. Proszę powściągnąć swoje uprzedzenia; ostatnia wojna już dawno się skończyła. A Amerykanie przynajmniej całkowicie pokonali pierwszą inwazję obcych. Nie wszyscy mogą to o sobie powiedzieć. Chociaż zapłacili za to straszliwą cenę. Co do tego, kiedy pan się urodził... Cóż, urodził się pan ponownie jakieś pół godziny temu. Czy byłby pan łaskaw rozważyć implikacje tego faktu?

– Aha – przytaknął Mühlenkampff z namysłem.

– Tak czy inaczej – ciągnął kanclerz – te pierwsze lądowania były dość niewielkie, relatywnie rzecz biorąc. To, co nas czeka za zaledwie osiem miesięcy, to pięć kolejnych inwazji, każda z nich dziesięć do piętnastu razy większa. Natura i liczebność wroga zostaną panu bardziej szczegółowo przedstawione, kiedy skończymy rozmawiać.

Mühlenkampff wzruszył ramionami. Szczegóły mogą zaczekać.

Kanclerz splótł dłonie przed twarzą.

– Mamy jednak problem. Nie będzie to wdawaniem się w szczegóły, jeśli powiem panu, że te atakujące nas istoty są wyposażone w o wiele lepszą od naszej broń; jest to głównie... swego rodzaju piechota. Będą całkowicie panować w powietrzu i kosmosie. Każda inwazja będzie liczyć od dziewięćdziesięciu do dwustu milionów walczących.

– Brzmi groźnie, *Herr Kanzler*. Pięć albo dziesięć tysięcy dywizji piechoty.

Kanclerz już to przerabiał. Wiedział, że Mühlenkampff liczy według ludzkich norm sił zbrojnych. Westchnął.

– Nie. Nie mają żadnych liczących się jednostek wsparcia. Milion tych stworzeń – przy okazji, nazywają się „Posleenami” – oznacza milion walczących. Dlatego nie, nie liczymy trzydziestu, czterdziestu, czy nawet pięćdziesięciu dywizji piechoty na milion. Mówimy tu o około stu tysiącach dywizji piechoty, i to rodem z koszmaru szalonego naukowca, dywizji spadających nam na głowy, oczywiście głowy nas wszystkich, w ciągu najbliższych pięciu lat. A mamy powody wierzyć, wiedząc, jak owe istoty się zachowują, że atak na Europę będzie większy niż na pozostałe, zbliżone wielkością obszary planety. Powiedzmy, dwadzieścia procent, z możliwym wyjątkiem tego, co może spaść na Stany Zjednoczone.

Mühlenkampff przemyślał jego słowa, a potem zaprotestował.

– Ależ to niemożliwe, *Herr Kanzler*. Żadne siły wojskowe nie mogą się tak zorganizować. Jak by się wyżywili?

Kanclerz zadrżał, przypominając sobie stosy małych ogryzionych kości w śniegu. Zadrżał, a potem nagle uznał, że przyprawienie generała o wstrząs sprawi mu przyjemność.

– Ależ generale Mühlenkampff, oczywiście zjedzą nas.

Nawet zaprawionego w bojach generała SS te ponure słowa oszołomiły.

– Pan żartuje. Pan nie może mówić poważnie. Sto tysięcy dywizji piechoty ze sprzętem lepszym niż to wszystko, co my posiadamy? Może dwadzieścia tysięcy z nich przeciwko nam? Całkowite panowanie w powietrzu i kosmosie? I zeżrą nas, zeżrą wszystkich, jeśli przegramy?

– Nie „jeśli przegramy”, Mühlenkampff. Kiedy.

Günter, dotąd siedzący w milczeniu obok kanclerza, zaczął protestować, ale kanclerz zaraz go uciszył.

– Powiedziałem „kiedy”, Günter, i miałem na myśli „kiedy”. Tylko wielka desperacja mogła mnie skłonić, by znów odziać w mundur generała Mühlenkampffa. Chociaż zgodzę się, że są różne stopnie przegranej, niektóre lepsze niż inne.

Odwrócił się z powrotem do generała.

– Bądźmy ze sobą szczerzy, Mühlenkampff. Wie pan, że komunizm upadł?

– Pamiętam, że myślałem, *Kanzler*, kiedy jeszcze mogłem myśleć, że chociaż komunizm może i upadł, nie umiem powiedzieć, na czym polega różnica między czerwonym Rosjaninem a zielonym Niemcem.

Günter, zdeklarowany zielony i socjaldemokrata, nastroszył się.

Partia kanclerza otrzymywała spore poparcie zielonych. Mimo to sam musiał przyznać, choćby w duchu, że w swoim czasie ta różnica rzeczywiście była niewielka, przynajmniej między skrajnymi odłamami tych ruchów. A jednak...

– Generale, my, Niemcy, tłoczemy się w tym kraju jak szczury w klatce. Chciałby pan, żeby ktoś szczał panu do wody? Powiem panu coś: każda szczyna każdego Niemca tam właśnie trafia. Chciałby pan, żeby nasze dzieci rodziły się zdeformowane i niedorozwinięte od tego, co nasz

przemysł spuszcza albo spuszczałby do rzek, gdybyśmy mu pozwolili? Nie sądzi pan, że potrzebujemy drzew, żeby tworzyły tlen, którym oddychamy? A jeśli lubi pan polować, generale, albo wędrować na łonie natury, nie sądzi pan, że te zwierzęta i lasy potrzebują ochrony?

Mühlenkampff obojętnie wzruszył ramionami.

– Polityczny fanatyk jest niebezpieczny niezależnie od tego, czy chce wieszać kapitalistów, gazować Żydów, czy uniemożliwiać rozwój gospodarczy, *Herr Kanzler*.

– Nie jestem fanatykiem, esesmanie – prychnął Günter.

– Ja też nie, biurokrato – odparł chłodno Mühlenkampff. – Jestem żołnierzem i raczej wątpię, by kanclerz sprowadził mnie tu po to, żeby porozmawiać o polityce. Ale dla mnie czerwony i zielony fanatyk są nie do odróżnienia. A Niemcy miały już wystarczająco dużo jednych i drugich.

Cóż, nie wskrzesiłem tego człowieka dla jego postępowych poglądów, pomyślał kanclerz.

– Tak... – podjął. – Cóż, jak by nie było, po zakończeniu Zimnej Wojny okroiliśmy nasze siły wojskowe do minimum. A to, co zostało, upolityczniliśmy, zdemoralizowaliśmy i wykastrowaliśmy. Wie pan, Mühlenkampff, że obowiązuje obecnie prawo zakazujące naszym żołnierzom nosić publicznie mundury wyjściowe, żeby nie drażnić pewnych typów *Gästarbeitern*?

Kanclerz westchnął. By zdobyć poparcie lewicy, sam głosował za tą uchwałą.

– Całe Niemcy, zanim to wszystko się zaczęło, były w stanie wystawić co najwyżej siedem marnych dywizji. Z tych jedna została prawie całkowicie zniszczona na innej planecie. Uzupełnienie jej strat i rozwinięcie pozostałych sześciu do około sześciuset okazało się niemożliwe. Mamy broń albo niedługo będziemy ją mieli. Mamy ludzi... ale nie mamy wyszkolonych kadr. Zmobilizowaliśmy i odmłodziliśmy wszystkich weteranów ostatniej wojny, jakich mogliśmy znaleźć, oprócz pana i panu podobnych. A teraz...

– A teraz – podjął Mühlenkampff, przeczuwając prawdę – teraz potrzebujecie nas.

– Tak. Kraj was potrzebuje. Wasz lud was potrzebuje. Wasz gatunek was potrzebuje.

– Z kim miałbym pracować? – spytał były esesman.

– Damy wam rekrutów, dobrych, z tych młodych ludzi, których mamy. Co do kadry, jest wystarczająco wielu odmłodzonych esesmanów, by zapewnić dowodzenie sporym *Korps*, około pięciu dywizji plus wsparcie.

Mühlenkampffowi natychmiast przyszedł do głowy pewien problem.

– Chcecie nam nadać regularne numery dywizji? 413. *Volksgrenadiers* i tak dalej? Regularne mundury Bundeswehry? – Generał pokręcił głową. – *Herr Kanzler*, to się nie uda.

– Dlaczego nie?

Mühlenkampff wzruszył ramionami.

– Może być trudno to wytłumaczyć. Ale proszę wziąć na przykład mnie. Byłem jak Paul Hauser... albo Felix Steiner Najpierw służyłem w regularnych siłach, a do SS wstąpiłem nie z pobudek politycznych, ale dlatego, że chciałem należeć do elitarnej organizacji wojskowej. Oraz oczywiście po to, żeby walczyć. Myślę, że niewielu oficerów miało mocne przekonania narodowo-socjalistyczne, chociaż niektórzy na pewno. Ale jedno, co nas wszystkich łączyło, to była duma z symboli świadczących o nas jako o żołnierzach.

Generał westchnął.

– A potem oczywiście przegraliśmy wojnę. I to dość paskudnie. Spadliśmy z samej góry do roli pogardzanych przez Niemców, przez cały świat. Nasze symbole zamieniły się w gówno. Na ich widok ludzie się odwracali. Naszym rannym weteranom odmawiano rent i opieki, przysługujących innym formacjom Wehrmachtu, tak samo winnym jak my, o ile można mówić o winie w kontekście czegoś takiego jak front wschodni. Straciliśmy naszą dumę – zakończył weteran. – A żołnierze bez

dumy nie mogą walczyć.

Tym razem Günter nie dał się uciszyć.

– Wasze *Hakenkreutzer*?! Wasze *Sigrunen*?! – wykrzyknął. – Wasze Trupie Główki?! Tych symboli nigdy już nie będzie wolno nosić!

Przez dłuższą chwilę Mühlenkampf nonszalancko polerował paznokcie o pierś. Cały czas przeszywał doradcę kanclerza morderczym spojrzeniem.

– Nie strasz mnie, człowieczku. Himmlerowi i Hitlerowi, którzy mogli kazać nas rozstrzelać na miejscu, SS kazało spierdalać tyle razy, że straciłem już rachubę. Zatrzymywaliśmy rosyjskie hordy w połowie kontynentu. Szarżowaliśmy w ogień amerykańskich i brytyjskich bombowców i krążowników bez słowa sprzeciwu... a nawet bez nadziei. Kiedy wszystko było stracone, dalej walczyliśmy, bo to była nasza rola. Niech ci się nie zdaje, człowieczku, nawet przez chwilę, że ktoś taki jak ty może nas zastraszyć – zakończył, prychając.

– Spokojnie, panowie – odezwał się kanclerz. – Mühlenkampf, Günter ma do pewnego stopnia rację. Chociaż, zapewniam pana, są ludzie, zwłaszcza w Bawarii... – kanclerz wznosił oczy ku niebu – którzy wiwatowaliby na cześć powrotu SS, większa część narodu jednak by się odwróciła. Co więcej, moje polityczne poparcie mogłoby zniknąć. Nie mogę pozwolić, byście odzyskali wszystkie swoje symbole. Czy coś jeszcze?

Mühlenkampf zastanowił się.

– Nasze medale. Rozdać je na nowo, może nieco zmienione?

Kanclerz lekceważąco machnął ręką.

– Już to zrobiliśmy. – Potem przypomniał sobie listę strat z planety Diess i postukał palcem w usta. – Obawiam się jednak, że głównie pośmiertnie. Tak, to możemy zrobić.

– I nazwy dywizji – nie ustępował Mühlenkampf. – Numery dajcie nam jakie chcecie. Ale zostawcie nam nasze dawne nazwy dywizji.

– Co? – prychnął Günter. – LSSAH? *Leibstandarte SS Adolf Hitler*?

– Mieliśmy także inne dywizje – odparł chłodno generał. – *Wiking*? Z ich nazwą nie łączą się żadne warte wzmianki zbrodnie. *Götz von Berlichingen*? Oni też mają czyste konto. Mówił pan o pięciu dywizjach, *Herr Kanzler*. *Wiking*, *G von B...* Nie *Hitler Jugend*, ale samo *Jugend*? *Hohenstauffen*? *Fruntsberg*? Tak, te pięć. Nie popełniły żadnych zbrodni, oprócz jednej przypisywanej *Jugend*, ale popełnionej najprawdopodobniej przez 21. Dywizję Pancerną – proszę zwrócić uwagę – Wehrmachtu. Może wykorzystalibyśmy jeszcze jakieś, jako niezależne brygady wchodzące w skład *Korps*. Tak, *Herr Kanzler*. Medale, nazwy... mundury nieco inne od zwykłych. Może nawet *Sigrunen*, kiedy już pokażemy, co potrafimy? To niewiele, ale mając to, będę mógł zbudować, czy raczej odbudować, dumę tych ludzi.

Twarz Mühlenkampfa rozjaśnił niespodziewany uśmiech.

– Jeszcze jedno, *Herr Kanzler*. SS było chyba najbardziej wielonarodowościową formacją w dziejach, a już na pewno najbardziej wielonarodowościową formacją tej wielkości. Mieliśmy bataliony, pułki, brygady i dywizje Holendrów, Belgów, Francuzów, Duńczyków, Szwedów, Litwinów, Estończyków... Niemal wszystkich narodowości Europy. Przez chwilę mieliśmy również kontrolę, choć nie należała do nas, nad jedną dywizją hiszpańską, Azul albo Błękitną. Muzułmanie? Całe mnóstwo. Nie wątpię, że gdybyśmy wygrali wojnę i niektóre co bardziej szalone pomysły Reichsheiniego co do ojczyzny Żydów zostałyby zrealizowane, w końcu mielibyśmy brygadę *Waffen SS* z opaskami z napisem *Juda Machabeusz*. Tak, nie żartuję – zakończył były generał SS.

– Do czego pan zmierza? – spytał kanclerz.

– Do tego. Niech pan rozpuści wieści. Albo raczej niech pan pozwoli mi rozpuścić wieści, a

możemy mieć kadrę byłych esesmanów liczniejszą, niż pan myśli. Może też nowych ochotników.

– Co pan z tego będzie miał, *Herr General*? – spytał nadąsany Günter.

– Coś, czego nigdy nie pojmiesz, biurokrato.

Berlin, Niemcy, 22 listopada 2004

Nawet widok oszałamiająco pięknej, piersiastej i długonogiej blondynki w recepcji Tiranie mógł poprawić nastroju Güntera. Przerażony decyzją kanclerza, by wskrzesić – nawet w okrojonej formie – znienawidzone Waffen SS, biurokrata postanowił zrobić to, co dotąd było nie do pomyślenia: wesprzeć oficjalnie sprzymierzonych, ale potajemnie – czego był pewien – wrogich ludziom Darhelów.

SS lojalne wobec kanclerza? Tego nie można tolerować. Kanclerz go zlekceważył. Obrząził.

Co gorsza, Günter był pewien, że kanclerz na tym nie poprzestanie. Biurokrata przewidywał mroczne czasy dla Niemiec. Do tej pory kanclerz opierał się na luźnej koalicji centrum i umiarkowanej lewicy. Czy mając w ręku odrodzone SS, nie odrzuci tej zależności? Günter obawiał się, że tak się może stać.

Nie bez znaczenia była też remilitaryzacja. Günter walczył, by prawo powszechnego poboru pozostawało w zawieszeniu. Żadne zagrożenie nie mogło usprawiedliwić wyciągania siłą z domów niegodzących się na to i oświeconych młodych chłopców i poddawania ich praniu mózgu, które – nie miał co do tego wątpliwości – było w wojsku chlebem powszednim. Jak bowiem inaczej armia mogłaby przekonać rozsądnego młodego człowieka, by robił coś, co w tak oczywisty sposób nie leży w jego osobistym interesie?

Günter odsłużył swój „rok społeczny”, robiąc coś pożytecznego dla społeczeństwa – pomagając w prowadzeniu programu odwykowego dla narkomanów. Nie zmarnował go na atawistyczne hołdowanie dawno niepotrzebnemu duchowi.

Przyszłość jawiła się mroczna, ciemna.

Jasnowłosa recepcjonistka przerwała jego rozmyślenia.

– Tir pana przyjmie, *mein Herr*.

Wszedłszy do gabinetu Tira, zaskoczony Günter ujrzał kilku swoich politycznych sprzymierzeńców, w tym jednego żołnierza. Ich krzesła stały w półkolu przed olbrzymim biurkiem Darhela.

Niemiecki Tira był gramatycznie doskonały, chociaż skażony seplenieniem spowodowanym świszczącym między jego rekinimi zębami powietrzem. Mimo to Günter nie miał trudności ze zrozumieniem obcego.

– Proszę, *Herr Stössel*, niech pan siada. Przyznam, że jestem zaskoczony pana widokiem po tym, jak odrzucił pan naszą ostatnią propozycję.

Zajmując miejsce na krześle wskazanym palcem przez obcego, Günter przez dłuższą chwilę milczał.

– Odrzuciłem waszą propozycję – odparł w końcu – ale wtedy jeszcze kanclerz nie postanowił zamienić znów Niemiec w państwo faszystowskie. Lepiej, żebyśmy zostali zniszczeni, niż żeby ten horror znów rozprzestrzenił się po świecie.

– Niemcy zawsze były państwem faszystowskim – wtrącił jeden z pozostałych ludzi głosem tak przesyconym nienawiścią, że zabrzmiało to jak splunięcie.

Günter go zignorował. Sam należał do zielonych, i chociaż w ruchu tym był silny trend lewicowy, mówiący, Andreas Dunkel, był po prostu czerwony. Za każdym razem, kiedy Günter myślał o bilionach marek wydanych na naprawianie ekologicznych szkód wyrządzonych przez komunistów na wschodzie kraju, szlag go trafiał. Nawet ta olbrzymia suma nie wystarczała; tylko

czas mógł wyleczyć rany zadane Matce Ziemi przez komunizm.

Teraz też się zirytował, ale tłumiąc to uczucie, zwrócił całą uwagę na Tira.

– Wasz gatunek jest niebezpieczny – powiedział Tir. – A wasz naród jest chyba najbardziej niebezpieczny ze wszystkich. Chociaż Federacja w tej chwili was potrzebuje, na dłuższą metę jesteście takim samym zagrożeniem dla cywilizacji jak Posleeni.

Tir dobrze ocenił swoich słuchaczy. Posiadał bardzo szczegółowe informacje na temat Güntera Stössela w swoim przekaźniku, urządzeniu produkowanym jedynie przez Darhelów. Przez ten czas, gdy Günter siedział w poczekalni, Tir mógł się z tymi informacjami zapoznać.

– Federacja galaktykańska to spokojna kraina, a raczej była taka przed inwazją – powiedział Tir. – Co więcej, to kraina, której surowce są starannie chronione. Wytwarzamy niewiele produktów, za to wysokiej jakości, dzięki czemu nasze ekosystemy pozostają niezanieczyszczone.

To ostatnie było prawdą, ale prawda ta kryła większe kłamstwo. Galaktykańska cywilizacja ograniczała zużycie surowców, mniej lub bardziej dosłownie głodząc Indowych, którzy stanowili trzon jej populacji, wytwarzali większość jej faktycznie doskonałych produktów, a zarazem posiadali najmniej władzy.

W tym momencie jednak prawda umknęła na... bardziej zielone pastwiska.

– Troszczymy się o nasze planety – ciągnął Tir. – Nasze prognozy wskazują, że jeśli wpuścimy ludzi na scenę galaktyki, szybko dojdzie do katastrofy ekologicznej. Nie możemy do tego dopuścić. A jednocześnie potrzebujemy was, byście bronili naszej cywilizacji. To trudny problem.

– Jak mogę pomóc? – spytał Günter.

* * *

Gdyby Tir miał choć blade pojęcie, że jest podsłuchiwany, bez wątpienia tkalby swoje kłamstwa jeszcze staranniej. Tak przynajmniej uważał asystent Zastępcy Koordynatora Klanu i agent Bane Sidhe, Rinteel.

Kiedy słuchał rozmowy między Tirem, Günterem i pozostałymi obecnymi w gabinecie Tira, w głowie wirowało mu jedno słowo. Plany. Darhelowie mają swój plan. Ludzie mają swój. My mamy trzeci. Ale nasz przynajmniej pozostawia ludzi wolnymi i uwalnia nas. Na pewno będą sprawiać trudności, są tacy gwałtowni, tacy agresywni, tacy samolubni. A mimo to dopóki Posleeni istnieją i są zagrożeniem, będą nas potrzebować... do produkcji ich machin wojennych, do dbania o nie. Bez wątpienia nas zdominują. Ale mimo dominacji ludzi mój lud czeka przyszłość pod każdym względem jaśniejsza, niż kiedykolwiek pod rządami Elfów. Ludzie przynajmniej mają jakieś poczucie sprawiedliwości. Elfy nie mają żadnego.

Rinteelowi bardzo trudno było śledzić rozmowę w gabinecie Tira. Pomieszczenie było zabezpieczone przed podsłuchem i Indowy o tym wiedział. Próbował założyć pluskwę, ale niestety bez powodzenia. Przekażnik Darhela, w przeciwieństwie do tych, które ludzie dostali w takiej obfitości, był nie do złamania, przynajmniej przy użyciu środków dostępnych Bane Sidhe.

Ale każdy płot ma bramę, a każda szczurza nora wyjście. W tym wypadku był to zwykły dźwięk. Głos dochodzący z głośników mówiącego powodował, że ściany gabinetu Tira wibrowały, wprawiając w ruch powietrze w przyległych pomieszczeniach. Powietrze z kolei poruszało inne ściany. Ostatecznie cały budynek, chociaż ledwo ledwo, ale się poruszał.

Umiejscowiony w pobliżu, ale poza zasięgiem wzroku, posterunek nasłuchowy Bane Sidhe wychwytywał te wibracje. Komputer skonstruowany przez Indowych i zaprogramowany przez Tchpth, „Kraby” – myślicieli, mozolnie tłumaczył je na mowę. Przekład wymagał doskonałej znajomości głosu każdego z mówiących. Mogło go zaburzyć cokolwiek – przeziębienie, ból gardła. Przy nowych uczestnikach rozmowy maszyna była bezradna, dopóki nie zdobyto próbek ich głosu.

Dlatego podczas gdy jeden z mówiących, nowy głos, pozostawał poza zasięgiem możliwości komputera, słowa Tira rozbrzmiewały głośno i wyraźnie.

Rinteel słuchał uważnie tłumaczeń. Muszę porozmawiać z władcą tych ludzi, pomyślał. Sam na sam.

INTERLUDIUM

– Co takiego jest w tej krainie, w tych thresh, co pozwala im zejść tak daleko na Ścieżce Gniewu? – spytał Ro'moloristena Athenalras.

– To wciąż niejasne, mój panie. Zgromadzone przez nas dane wskazują tylko na ich wielki, budzący strach postęp na Ścieżce. Cóż...

Młodszy Posleen zawahał się.

– Tak? – ponaglił go Athenalras, nieświadomie unosząc grzebień.

– Cóż, mój panie... Archiwa thresh wskazują na wielką, być może nieznędną zdolność prowadzenia wojen... ale prawie zawsze kończą się one ostateczną klęską.

– Bzdura. Wielka zdolność. Wielkie klęski. Zdecyduj się, pisklaku.

Bacząc, by jego grzebień pozostał poddańczo obwisły, Ro'moloristen zawahał się przed udzieleniem odpowiedzi.

– Mój panie... W tym wypadku jedno idzie w parze z drugim. Klęska najwyraźniej nie powstrzymuje ani nie zniechęca tych szarych thresh. Zawsze wracają, nieważne, jak boleśnie przegrali, i zawsze chcą spróbować jeszcze raz.

Starszy Posleen prychnął.

– Niech spróbują wrócić, kiedy przejdą przez nasze układy trawienne.

Zakłady Kraus-Maffei-Wegmann, Monachium, Niemcy,
27 grudnia 2004

Karl Prael, tęgi mężczyzna z hiszpańską bródką, w nieokreślonym wieku, zamknął potężne wrota krypty, odcinając raniący uszy i otępiający jazgot pracującej pełną parą fabryki czołgów. Kraj, który przeszedł od produkowania kilkuset czołgów rocznie do ponad tysiąca miesięcznie, nie mógł dłużej przejmować się subtelnościami ograniczeń emisji zanieczyszczeń i hałasu. Robotnicy w fabryce – mocno rozbudowanej – zakładali po prostu głuchosłuchy i pracowali dalej.

Oczywiście poza murami fabryki – ponieważ to były Niemcy, Niemcy były zielone, a wielu, chociaż nie wszyscy, z przywództwa zielonych zaprzedało się Darhelom – trwały bezustanne głośne protesty przeciwko jej istnieniu, jej produkcji, wysiłkowi wojennemu, poborowi... Wszystkiemu, co może przeszkadzać lewakom.

Hałas w środku krypty wcale nie był o wiele mniejszy.

Prael przeszedł do zespołu projektowego z prężnej firmy produkującej oprogramowanie. Jego zadanie było dość proste: wyprodukować pakiet programowo-sprzętowy kontrolujący czołg klasy lekkiego krążownika, wyposażony w działo klasy ciężkiego krążownika. Potrafił to zrobić, właściwie prawie już skończył. Ale reszta zespołu...

– Działo elektromagnetyczne! Działo elektromagnetyczne, powtarzam. Nic innego się nie nadaje. Nic innego nie da nam takiego zasięgu, takiej prędkości wylotowej, szybkostrzelności, takich zapasów amunicji, takich...

Aha, Johannes Mueller znów zabiera głos, pomyślał Prael.

– To daj mi działo elektromagnetyczne – odparł Henschel, waląc pięścią w stół, zresztą nie po raz pierwszy. – Powiedz mi, jak je zbudować. Powiedz, jak zrobić, żeby się nie paliło. Skąd wziąć moc. I powiedz mi, jak to wszystko zrobić w tej chwili!

– Ba! – odparował Mueller. – To wszystko można załatwić. W inżynierii połowa problemu to jego zdefiniowanie. A ty właśnie to zrobiłeś.

– Tak – zgodził się Henschel. – Ale druga połowa to rozwiązanie, a na to nie mamy czasu.

– Nie wiemy, czy nie mamy – upierał się Mueller.

– Ale, przyjacielu – ustąpił w końcu Henschel – nie wiemy też, czy go mamy.

Mueller westchnął, niechętnie się zgadzając. Rzeczywiście nie wiedzieli, czy wystarczy im czasu.

– Skończyliście panowie wydzierać się na siebie? – spytał Prael.

Mueller odwrócił się plecami do Henschela i wyrzucił obie ręce w górę.

– Tak, Karl?

– Mam nowe wiadomości, i to sporo. Zaczniemy od tego.

Prael zaczął rozdawać egzemplarze pozszywanych papierów.

– Zapadła decyzja w sprawie specyfikacji. Wygląda to tak, i właśnie to zaprojektujemy.

Starszy, brodaty jegomość o twarzy zoranej zmarszczkami od lat spędzonych na powietrzu nachylił się nad dokumentacją.

– Odrzucili pomysł zasilania każdego koła napędowego, prawda?

– Tak, Franz, odrzucili. Odrzucili też... – Prael pomyślał z irytacją o tysiącach zielonych protestujących pod fabryką. – Odrzucili też zasilanie reaktorem jądrowym.

– Co? To niedorzeczne – odezwał się Reinhard Schlüssel, członek zespołu odpowiedzialny za napęd. – Nie możemy tego napędzać czymś mniejszym niż reaktor. To albo antymateria.

– Możemy, musimy, napędzimy – odparł Mueller. – Gaz ziemny. Da radę.

– Widzę, że zgodzili się przynajmniej na pancierz MBA – zauważył Stephan Breitenbach ze swojego miejsca za zawalonym papierami biurkiem. Skrót MBA oznaczał molibden, bor, aluminium.

– Ograniczone MBA, Stephan. To draństwo jest za drogie i za trudne do wyprodukowania, by użyć go do czegoś więcej niż wzmocnienia zwykłego pancierza.

Breitenbach wzruszył ramionami na uwagę Henschela. Lepsze to niż nic. A zmniejszona w ten sposób waga oznaczała, że gaz ziemny może się okazać odpowiednim paliwem.

– Jeszcze jedna wiadomość, być może zła – powiedział Prael ze złośliwym uśmiechem. – Przysyłają nam doradcę. Właściwie nawet dwóch. Jednym jest facet, który właśnie wrócił z planety Diess, *Oberst* Kiel. Będzie tu najdalej za kilka tygodni. Drugim jest...

Drzwi krypty otworzyły się. Do środka wszedł sztywnym i władczym krokiem wysoki, szczupły mężczyzna, ubrany w szary mundur Bundeswehry pod czarnym skórzanym płaszczem i noszący insygnia generała porucznika *Panzertruppen*. Wyglądał jednak zbyt młodo, by być...

– Panowie, mam przyjemność przedstawić panom *Generalleutnanta* Waltera Mühlenkampfa, niegdyś z Reichswehry, *Freikorps*, la Armada de España, Wehrmachtu i Waffen SS. Teraz siorbie z koryta Bundeswehry. Widzę, że sam pan do nas trafił, *Herr General*.

Berlin, Niemcy, 28 grudnia 2004

Kanzler jeszcze nie przyszedł. Wydawało się niemożliwe, by zabłądził w tym mieście, swoim mieście.

Rinteel się wściekał, na tyle, na ile Indowy może się wściekać. Przez cały cykl księżycowy czasu ludzi czekał na sposobność prywatnej rozmowy z przywódcą tych Niemców. Ilu zginie przez tę zwłokę? O ile bardziej sprawa, czy wiele spraw, będzie narażona na niebezpieczeństwo?

Czy to jego ludzcy... strażnicy? Tak, to na pewno byli strażnicy. Mimo to traktowali go z obojętnością. Co dziwne, przysadzisty, porośnięty zielonym futrem obcy o twarzy nietoperza czuł się przez to pewniej. Nic na tym świecie nie przyprawiało Indowy, nawet odważnego – a Rinteel był wśród swoich uważany za nadnaturalnie dzielnego – o atak paniki bardziej, niż widok wyszczerzonych mięsożernych kłów, które tubylcy pokazywali jako oznakę radości.

Na szczęście ludzie z BND nigdy się nie uśmiechali. Dlatego Indowy musiał się martwić tylko o ich jednotorowe myślenie, o ich ledwie tłumioną wrodzoną agresję. To wystarczyło.

W obecności tych barbarzyńskich mięsożerców Rinteel nie mógł nawet wyładować swojej frustracji przez chodzenie. Mógł tylko cierpliwie czekać na przybycie kanclerza.

Bad Tolz, Niemcy, 28 grudnia 2004

W odludnym Kaserne, niegdyś domu elitarnych jednostek od niemieckich *Schützstaffeln* po amerykańskie Siły Specjalne, Hans Brasche patrzył sceptycznie na szeregi nowo przybyłych przerażonych jak króliki rekrutów, szurających nogami w kolejce po przydział kwater i oddziałów szkoleniowych.

Wyglądają na silniejszych i zdrowszych niż moje pokolenie. Ale pewnie lepiej się odżywiali. Nie przeżyli Depresji, nie przeżyli skutków brytyjskiej blokady. *Wirtschaftswunder* dobrze im zrobił.

A mimo to oczy mają wodniste, cerę bladą. Nie ma w nich twardości, nie ma zaciętości. Za dużo tłuszczu. Jak mamy zrobić cegły bez słomy?

Hans odwrócił wzrok od swoich podwładnych i rozejrzał się po Kaserne. Amerykanie dobrze o wszystko dbali. Niewiele się tu zmieniło, pomyślał, od czasów, kiedy sam tu byłem jako dwudziestolatek.

– *Und so, chcecie zostać oficerami Waffen SS, tak?* – spytał surowo wyglądający *Oberscharsführer* sztywno stojących w szeregu i pełnych nadziei chłopców z *Junkerschule*.

Ja niczego nie chcę, pomyślał Hans Brasche, pilnując, by się nie odezwać. Tylko tego, żeby ojciec nie bił matki za moje niepowodzenia, za które ją wini. To on chciał, żebym się tu znalazł, nie ja. Dlatego muszę tutaj być, dla niej.

– *By zasługiwać na dowodzenie żołnierzami SS – ciągnął podoficer – musicie stać się twardsi niż stal Kruppa, bardziej bezlitośni niż lodowiec, niewzruszeni jak otaczające nas góry.*

Podoficer wskazał teatralnym gestem wznoszące się ze wszystkich stron bawarskie Alpy.

– *W SS nie ma miejsca na podwójną lojalność. Dlatego niech wszyscy, którzy nie odeszli jeszcze z kościoła, wystąpią.*

Hans, wraz z ponad połową grupy, posłusznie wystąpił przed szereg. Zza pleców podoficera wyszła gromada szeregowców – jeden w drugiego chłopcy jak byki.

Hans nie zobaczył nawet pięści, która go znokautowała.

Tutaj tak się nie da, pomyślał, wracając do terażniejszości. Te dzieciaki w ogóle nie rozumieją, co to jest Bóg. Chyba że znajdowałyby się między nogami ich dziewczyn... albo pokazywali go w telewizji. Nie ma w nich niewinności, nie ma naiwności. Nie mają symboli. Nie mają nadziei ani wiary. W nic.

Cegły bez słomy.

Może generał będzie miał odpowiedź. Zostało nam jeszcze kilka dni.

Berlin, Niemcy, 28 grudnia 2004

– Mam odpowiedzi, których pan szukał, *Herr Bundeskanzler* – powiedział Rinteel wprost.

Indowy czekał bardzo długo. Długo musiał odpychać i ukrywać swój strach przed bliskością tyłu groźnych mięsożerców. Kiedy kanclerz w końcu – potajemnie – przybył, Indowy poczuł ulgę. Wreszcie przynajmniej jeden barbarzyńca, który nie góruje nad nim wzrostem. Chociaż uśmiech białowłosego „polityka” był jeszcze bardziej przerażający niż puste spojrzenia jego strażników.

– Jakie odpowiedzi, Indowy Rinteelu? Jakie odpowiedzi, skoro nie mam jeszcze nawet pytań?

Rinteel zmusił się, by spojrzeć kanclerzowi w twarz, co było niemałym wyczynem jak na kogoś z jego rasy. Jego twarz automatycznie wykrzywiła się w grymas „szczerłość w słowie i czynie”, chociaż wiedział, że człowiek ani go nie rozpozna, ani nie zrozumie.

– Więc ja je panu podpowiem, *Herr Bundeskanzler*. Dlaczego, stojąc w obliczu inwazji, która prawie na pewno eksterminuje cały wasz naród, pana polityczna opozycja sprzeciwia się wszystkim próbom zwiększenia waszych szans przeżycia? Dlaczego, skoro Posleeni zniszczą większą część waszego świata, a resztę zanieczyszczą obcymi formami życia, ci najbardziej troszczący się o czystość ekologiczną robią wszystko, co w ich mocy, by podkopać wasze umocnienia? Dlaczego, kiedy nadciągający wróg jest tak potężny, nawet niektórzy wasi wojskowi dowódcy tak niechętnie popierają remilitaryzację i są tak niewiarygodnie niekompetentni w jej przeprowadzaniu? Dlaczego ci, którzy najbardziej kochają myśl o państwowej kontroli nad gospodarką, wysokich podatkach i centralnym planowaniu, nie zgadzają się na zastosowanie tych środków, by zapewnić przeżycie waszego ludu?

Twarze ochroniarzy z BND przybrały surowy, a nawet rozgniewany wyraz. Na Indowy nie robiło to wrażenia. Przynajmniej nie obnażają tych swoich kłów do darcia mięsa.

– Zastanawiałem się nad tym – przyznał kanclerz.

– Więc niech pan uzna to za odpowiedzi – powiedział Rinteel, podając mu kompatybilny z ludzką technologią dysk komputerowy. – I niech pan pamięta, że nie wolno panu nikomu ufać. Ten dysk zawiera niepełne informacje. Jest ktoś, być może z pańskiego otoczenia, czyjego głosu nie potrafiliśmy odcyfrować.

- Rozumiem – odparł kanclerz, chociaż w rzeczywistości nie rozumiał, nie w pełni.
- Mam nadzieję – powiedział Rinteel. – Bo jeśli nie, będzie pan miał bardzo niewiele czasu na zrozumienie.

Zakłady Kraus-Maffei-Wegmann, Monachium, Niemcy,

28 grudnia 2004

– Jak długo pan u nas zabawi, *Herr General*?

– Tym razem co najwyżej kilka dni – odparł Mühlenkampff. – Będę od czasu do czasu wracał. Jestem oczywiście zawsze gotowy do konsultacji, gdyby była potrzebna. Odkąd wyszedłem z odmładzania, studiuje nowoczesne systemy uzbrojenia.

– Bardzo dobrze – powiedział Prael. – W połączeniu z pana olbrzymim doświadczeniem bojowym spodziewamy się stworzyć coś wyjątkowego. Chciałby pan poznać resztę zespołu?

– Oczywiście. Proszę mi ich przedstawić. I pokazać mi plany.

– W takim razie chyba najpierw plany. A potem będę panu przedstawiał członków zespołu odpowiedzialnych za każdą część planu.

Prael wskazał Mühlenkampffowi stół, na którym stał model czołgu.

– Ładnie wygląda – mruknął niezobowiązująco generał.

– Och, nie tylko wygląd się panu spodoba, *Herr General* – odparł Prael. – To będzie co najmniej o dwa rzędy wielkości najpotężniejszy czołg, jaki kiedykolwiek jeździł.

– Poczekamy, zobaczymy – stwierdził Mühlenkampff. – Skąd ta absurdalnie długa armata?

– Johann?

Mueller podszedł bliżej.

– Bo nie chcieli mnie słuchać, kiedy mówiłem o dziale elektromagnetycznym, *Herr General*.

Prael prychnął. Mueller nigdy nie przepuszczał sposobności.

– Proszę mi wybaczyć – powiedział Mühlenkampff – ale co to jest działo elektromagnetyczne?

– Mój najbardziej hołubiony projekt... i marzenie. To broń, która przepuszcza prąd elektryczny przez dwie szyny. Elektryczność wytwarza pole magnetyczne. Pole chwyta, a potem wyrzuca pocisk z wielką prędkością.

– To jest możliwe? – spytał generał, natychmiast zdając sobie sprawę z potencjału takiej broni.

– Możliwe – przyznał Henschel, przedstawiając się. – To jest możliwe, generale Mühlenkampff, ale jeszcze nie w tej chwili.

Mueller wzruszył ramionami.

– Za jakiś czas. Mniej więcej za rok. Dobrze, może dwa – przyznał, patrząc na skrzywionego Henschela. – W każdym razie Henschel ma rację. To jeszcze potrwa. To, co pan widzi, generale Mühlenkampff, to armata kaliber 305 milimetrów, o wiele dłuższa od swojego poprzednika kaliber 120 milimetrów i wykorzystująca ładunek miotający zaprojektowany przez Amerykanów. Skoro nie mogę mieć swojego dział elektromagnetycznego, pozostało mi zaprojektowanie systemu odrzutu tej armaty. Poza tym, ponieważ nasze specjalności są dość zbliżone, zajmuję się projektem zawieszenia razem z tym tu *Herr Schlüsselem*.

– Reinhard Schlüssel – przedstawił się zgarbiony, przypominający gnoma weteran niemieckiej marynarki. – Moim zadaniem jest też zaprojektowanie wieży. Benjamin okazał się nieocenioną pomocą.

Mühlenkampff przekrzywił głowę.

– Benjamin?

– Dawid Benjamin – przedstawił się jedyny w pomieszczeniu naprawdę ciemnoskóry mężczyzna. – Z Tel Awiwu – dodał chłodno, starając się nie zdradzić wrogości w głosie. – Jestem tu

oddelegowany z izraelskiego przemysłu zbrojeniowego. Sami zamierzamy kilka takich zbudować, a następne kupić.

Odpowiednia na przeprosiny chwila minęła, zanim okazały się naprawdę potrzebne, pomyślał Mühlenkamp. Zresztą nic by nie dały.

– Bardzo dobrze – powiedział więc po prostu. – Projekt wszystkich czterech wersji waszej Merkavy zrobił na mnie wielkie wrażenie. Rozsądny. Mądry. Cieszę się, że pan tu jest, *Herr Benjamin*.

Izraelczyk wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: „Bardziej by mnie cieszyło, gdyby moja obecność była dla ciebie nieprzyjemna, esesmanie”.

– Faktycznie – powiedział Prael, przerywając kamienną ciszę – można zauważyć, że wśród przodków naszego czołgu była Merkava.

– Tak – zgodził się Mühlenkamp, zadowolony, że udało się wyjść z przykłej sytuacji. – Zwłaszcza ta odsunięta wieża. Jak duże jest to coś?

– *Tiger Drei* – odparł Henschel, zdradzając w końcu nazwę projektu – ma dwanaście metrów szerokości, trzydzieści jeden metrów długości i waży z pełnym wyposażeniem bojowym w przybliżeniu tysiąc siedemset pięćdziesiąt ton. Jest bardzo ciężko opancerzony.

– *Mein Gott!* – zawołał generał, kiedy w końcu dotarły do niego rozmiary armaty na makiecie. – Na co komu potrzebny taki potwór?

– Pan pozwoli, *Herr General*, pokażę panu odpowiedź – odparł Henschel, odkrywając kilka modeli posleńskich okrętów desantowych i szturmowych.

Bad Tolz, 3 stycznia 2005

Generał miał odpowiedź, chociaż nie mogła ona zadowolić jego nominalnych politycznych zwierzchników ani – zwłaszcza – pewnych elementów ich popierających.

Nowych rekrutów zagoniono jak bydło na mróz i śnieg na środku Kaserne. Tam stali, dygoczący i nieszczęśliwi w swoich cienkich mundurach bez oznaczeń, nie licząc małej czarno-czerwono-złotej flagi na każdym rękawie. Nagle jakby na rozkaz – i rzeczywiście na rozkaz – wokół placu apelowego zapaliły się reflektory, krzyżując swoje snopy światła w górze i tworząc łuk, czy raczej stożek, z tuzinów, dziesiątek świetlnych włóczy.

Zaskoczeni rekruci drgnęli zupełnie nie po wojskowemu, ale odmłodzona kadra esesmanów stojących dookoła niczego nie zauważyła. Wtedy usłyszeli muzykę... i śpiew...

* * *

Mühlenkamp, z Braschem u boku, stał odziany w ciepłą czarną skórę pod tym samym stożkiem światła co rekruci, a mimo to znajdował się w innym czasie, a może nawet w innym świecie. Wyraz twarzy miał lodowaty, tak lodowaty jak powietrze.

– Wiesz, mój Hansi – spytał Braschego, wciąż z twarzą zastygłą w maskę – dlaczego skinheadzi w Niemczech nigdy do niczego nie doszli w polityce?

– Nie, *Herr Obergruppenführer* – odparł szeptem Hans.

– Generale poruczniku, Hansi, generale poruczniku – poprawił go Mühlenkamp uprzejmie, ale z sardonicznym uśmiechem, którego nie próbował ukrywać. – Nasi panowie nie lubią tego, co było kiedyś.

– *Zu befehl, Herr Generalleutnant* – odparł Brasche niemal automatycznie.

Uśmiech nie schodził z twarzy Mühlenkampfa, za to stał się jeszcze bardziej pogardliwy.

– Skinheadzi nigdy do niczego nie doszli, Hansi – podjął generał – bo tu są Niemcy, a ci frajerzy nigdy nie nauczyli się maszerować w nogę...

* * *

– ...*Marschiern im Geist, in unsern Reihen mit...* – śpiewali maszerujący, dzwoniąc bucioremami o lód i kocie łby. Rekruci wyciągali szyje; przechodząc zwartymi szeregami przez bramy Kaserne, widzieli już pierwszych weteranów.

– Die strasse frei!

Piosenka była oczywiście zakazana. *Ganz verboten*. Ale cóż mogły oznaczać zakazy słabego i pogardzanego rządu dla ludzi, którzy kazali Hitlerowi i Himmlerowi „spierdalać” nie raz, lecz niezliczoną ilość razy?

– *Die Fahne hoch! Die reihen fest geschlossen...* – zabrzmiała ostatnia powtarzana zwrotka.

W szeregach starego SS śpiewał ją niejaki Helmut Krueger. Jakże dobrze się czuł, jak bardzo dobrze, gdy znów krew młodości krążyła w jego żyłach. Jak dobrze było maszerować ze starymi towarzyszami i śpiewać dawne piosenki. Jak dobrze było być tym, za kogo Krueger zawsze się uważał – nieprzejednanym, wrogim Żydom nazistą starej szkoły.

Krueger marzył, śnił na jawie o powrocie dawnych czasów. Wyobrażał sobie znów kulące się z przerażenia żydowskie, słowiańskie i cygańskie kurwy, rozwierające przed nim ze strachu swoje pośladki, nogi i usta. Władza upajała. Widział oczami wyobraźni tchórzy powieszonych na latarniach, kopiających, charczących i wydających ostatnie tchnienie. Nawet samo wspomnienie wystarczyło, by zadrżał lekko z rozkoszy. Usłyszał *Heil!* wykrzykiwane przez tysiąc gardeł i dźwięk ten był bardziej niż przyjemny. Przypomniawszy sobie, jak wspaniale się czuł, zatracając się w tej boskiej potędze. Ujrzał płonące miasta i uśmiechnął się. Usłyszał krzyki z komór gazowych i krematoriów i niemal zadrżał z seksualnej rozkoszy.

Krueger był przekonany, że po dziesięcioleciach wygnania wreszcie wrócił do domu.

* * *

Tęskniąc za domem, Dieter Schultz, lat osiemnaście, wraz z innymi rekrutami szurał nerwowo nogami w zimnym śniegu. Można by pomyśleć, że chłopcy nigdy nie słyszeli tych piosenek, skoro to były Niemcy, a zasady to zasady. I rzeczywiście, nie znali ich. A mimo to je rozpoznawali.

Dieter i pozostali wiedzieli, że z całą pewnością zwłaszcza ta piosenka jest niezgodna z prawem, zakazana. Niedługo wpadnie tu *polizei* i rozbije to nielegalne na pewno zgromadzenie. Niedługo, dosłownie za kilka minut, ci przekłeci, powyciągani z grobów naziści zostaną aresztowani, a rekruci – odesłani do domów. Wszyscy to wiedzieli.

* * *

Mühlenkampff nieświadomie tupał lewą stopą, kiedy kolumna tysięcy starych-młodych weteranów rozdzieliła się, by otoczyć podległych im chłopców. Muzyka i piosenka zmieniły się, ale weterani dalej śpiewali głosami strącającymi ptaki w locie w zasięgu kilometra.

Unser Fahne flattert uns voran.

Unser Fahne ist die neue Zeit.

Und die Fahne führt uns in die Ewigkeit.

Ja, die Fahne ist mehr als der Tod.

Uświadamiając sobie nagle, że tupie, Mühlenkampff zmusił się, by przestać.

– Ach, przyznaję, zawsze lubiłem tę piosenkę, Hansi. Dlaczego pamiętam...

Nie dokończył jednak tej myśli.

Piosenka zakończyła się łoskotem werbli i fanfara rogów. Mimo to maszerujące stopy dalej wybijały rytm na skutym lodem betonie: chrup, chrup, chrup, chrup. Gwoździe podkutych butów krzeszały iskry na kamieniach, tworząc atmosferę niesamowitości.

Brasche podszedł do mikrofonu.

– Żołnierze SS *Korps*... stać.

Maszerujące stopy zrobiły jeszcze jeden krok, a potem jednocześnie huknęły, stając na baczność.

– Links und rechts... Um.

Otoczające rekrutów szczytce zwróciły się do środka, jakby były częścią jednej myślącej istoty.

– Generalleutnant Mühlenkampf sprach.

Hans Brasche cofnął się szybko od mikrofonu, a jego miejsce zajął odziany w czarną skórę Mühlenkampf.

Generał arogancko zadarł brodę.

– Najpierw zwracam się do moich starych towarzyszy, którzy nie potrzebują mów. Znów się spotkaliśmy, przyjaciele, znów się spotkaliśmy. Razem wstrząsnęliśmy kiedyś światem. Wstrząśniemy jeszcze kilkoma, zanim odejdziemy.

Dumna głowa z prostym arystokratycznym nosem zwróciła się w stronę rekrutów.

– Teraz mówię do tych, którzy są tutaj po to, by się do nas przyłączyć. Śmieci! Jesteście niczym, mniej niż niczym. Słabi, bez kondycji... Odpady społeczeństwa, które zamieniło się w śmietnik. Rozpuszczone, rozkapryszone bachory, uczepione matczynych spódnic. Niedobrze mi się robi na wasz widok. Niedobrze robi się waszym instruktorom, mojej kadrze. Jesteście zakałą swojego gatunku, hańbą dla waszej kultury... Hańbą dla naszego narodu i jego tradycji.

Twarz Mühlenkampfa wykrzywił niemal niedostrzegalny uśmiech.

– Ale my, starzy wojownicy, mamy inną tradycję. Potrafimy, parafrazując angielskiego poety, „tworzyć strzelców z błota”. Dowódcy pułków, do swoich oddziałów!

Na dany znak orkiestra zagrała *Yorkische Marsch* Beethovena. Na skutym lodem placu rozbrzmiały ostre komendy. Oddziały stawały na baczność i wykonywały zwroty. Nawet nowi rekruci, urażeni krótką i pogardliwą słowną chłostą, nie mieli innego wyjścia, niż maszerować do rytmu ciężkiego refrenu marsza. Niczym długi wijący się wąż, kolumna wymaszerowała spod namiotu światła i weszła w świat ciemności.

– Myśli pan, że to podziała, *Herr General*? – spytał Brasche, kiedy ostatnie kompanie zniknęły w mroku.

Mühlenkampf prychnął, jakby sama myśl wydała mu się niedorzeczna.

– Ta przemowa? Trochę światła? Trochę obelg? Małe przestawienie? Czy ja myślę, że to podziała? Hansi, daj spokój. Nic nie „działa” w takim znaczeniu. Łatwa transformacja, tak samo jak bezsensowne pospolite ruszenie, to brednie lewicy, liberałów, czerwonych i zielonych. Ale oni, Hansi, o czymś zapominają, ci czerwoni i zieloni. Niemcy były tak samo dekadentkie, podzielone i słabe w latach dwudziestych. Byłem tam, pamiętam to. A mimo to w latach czterdziestych wstrząsnęliśmy światem. Dlaczego? Bo ci chłopcy w głębi duszy są Niemcami, Hansi, innymi słowy: lemingami. Są lemingami, Hansi. W najlepszym razie stadem bezmyślnych owiec.

Krótki uśmiech zadowolenia zniknął, zastąpiony przez drapieżny grymas. Mühlenkampf serdecznie klepnął Braschego po ramieniu.

– Ale woleliby być innym stadem, przyjacielu... Stadem wilków.

INTERLUDIUM

Wchodzące na pokład hordy warczały i kłapały na siebie zębami, kiedy ich Wszechwładcy zapędzali je do ładowni wciąż formującej się kuli. Ten czy inny zdezorientowany i przerażony normalś kłapał krokodylami zębami, kiedy tylko w ich zasięgu znalazł się podwładny innego kessentaia. Czasami ostre jak igły rzędy kłów upuszczały trochę żółtej krwi i wyrwały strzępy gadziego mięsa, zanim ich posiadaczy nie zmuszono batożeniem z powrotem do uległości.

Nie po raz pierwszy Ro'moloristen poczuł, że do gardła podchodzi mu żółć, a grzebień się stroszy. Częściowo wynikało to z własnych pierwotnych wspomnień czasu spędzonego w zagrodach rozrodczych, czasu nieustannej walki i strachu przed pożarciem żywcem przez własne rodzeństwo. Drugi powód był bardziej cuchnący.

Kiedy normalśi byli zdenerwowani albo przestraszeni, często tracili panowanie nad sobą. Brutalne ładowanie i rozładowywanie, połączone ze stresem lotu kosmicznego, wystarczyło aż nadto, by zdenerwować większość z nich, a wielu przerazić, mimo że byli tacy tępi. Rezultatem tego był smród rozbryzganych wszędzie posleeńskich odchodów, bijący ze świetlnych głębi. W tej sekcji kuli, za której załadunek młody Wszechwładca odpowiadał, smród był tak silny, że przyprawiał o mdłości. Ci normalśi, pomyślał Ro'moloristen, są tacy słodcy, tacy piękni. Ale zarazem tacy brudni.

Wzdłuż kolumny szli, mniej przejęci smrodem, w którym żyli na co dzień, cosslaini – bardziej rozwinięci normalśi – utrzymując namiastkę porządku. Utrzymywanie go nie było jedynym powodem ich obecności. Drugim było przenoszenie i ładowanie na pokład statku broni, której nie można było powierzyć normalśom z powodu stresu, w jakim byli.

Obok Ro'moloristena pojawił się kenstain.

Wszechwładca przywołał gestem hologram kuli, który zmaterializował się w powietrzu. Kolejny gest pazurem i fragment hologramu oraz prowadząca do niego droga nagle zaślniły jaśniej niż reszta.

– Poprowadź tę grupę tutaj i wprowadź ją do zbiorników hibernacyjnych – rozkazał.

Athenalras posiadał lenna na dziewięciu światach. Pierwszy, mimo masowej ewakuacji Ludu, popadał już w Orna'adar, posleeński Ragnarok. Tamtejsi Posleeni mieli być załadowani jako ostatni. Mieli wyruszyć do nowego świata, nazywanego przez nich „Aradeen”, chociaż jego mieszkańcy zwali go „Ziemią”.

Bad Tolz, Niemcy, 31 stycznia 2005

Schultz jest za czysty, pomyślał Krueger. Po ćwiczeniach w błocie, których celem było niewiele więcej, niż przyzwyczajenie chłopców do brudu – no, a oprócz tego zmuszenie ich do przełamania swojej wrażliwości – chłopak wciąż był za czysty.

Krueger schylił się i wziął garść na wpół zamrożonego błota, a potem rozsmarował je na twarzy Schultza.

– Ty mała cipo – warknął. – Ty mała, cuchnąca szparko. Jesteś niczym, jesteś wart tyle, co żydowska obozowa kurwa. Ona przynajmniej znalazła się na swojej robocie.

Potem odwrócił się do reszty ustawionego w szeregu plutonu.

– Ziemia to wasz przyjaciel! – krzyknął. – Macie z niej korzystać. Macie się do niej tulić jak do cycka matki. Przytulać się do niej jak do tych małych dziwek, na które traciliście czas. Wkopujcie się w nią. Nie bądźcie tacy jak ten gnojek Schultz, co się boi ubrudzić. Brud można zmyć. Własna krew schodzi trudniej. Spocznij.

Nie obdarzywszy żołnierzy już ani jednym spojrzeniem, Krueger odwrócił się i poszedł wyprostowany, zwawym krokiem do koszar podoficerów.

Pluton zebrał się wokół Schultza, stojącego z twarzą ociekającą szlamem. Nikt nic nie powiedział, wszyscy tylko się gapili. Sam Schultz dygotał z wściekłości. Jakim prawem, jakim prawem ten człowiek, na oko młodszy od niego, traktuje go jak śmiecia? Nie tylko dzisiaj, ale codziennie wydawało się Schultzowi, że Krueger, ćwiczący z jego plutonem, ma dla niego jakieś nowe upokorzenie.

Jeden z chłopaków, Rudi Harz, położył Dieterowi rękę na ramieniu.

– Mój przyjacielu... Krueger to dupek, nazistowski dupek. Ale to nazistowski dupek, który się zna na rzeczy. I widzi w tobie coś użytecznego. Korzystaj z tego.

Pozostali z powagą pokiwali głowami.

Schultz, wdzięczny za troskę, przekrzywił głowę i wzruszył ramionami. Harz był dobrym kolegą. Wszyscy byli dobrymi kolegami.

– Ale ten dupek Krueger – powiedział cicho – to zły człowiek, na czym by się nie znał.

– Tak – przytaknął Harz. – Najgorszy ze złych. Jeśli jeszcze raz usłyszę jego opowieści o gwałtach w obozach koncentracyjnych, chyba się porzygam. Mimo to wykorzystaj go do tego, do czego się nadaje: na przykład do nauczania nas, jak pozostać przy życiu.

Schultz znów pokiwał głową.

– A więc wracamy maszerując? – spytał pozostałych. – Nie będziemy pełzać ani się wlec? Pomaszerujemy ze śpiewem?

Wśród powszechnej zgody chłopcy ustawili się w cztery szeregi. Harz mrugnął okiem do Dietera.

– Ty nas poprowadź, Dieter. Właśnie, Dieter... Pokaż temu draniowi Kruegerowi, że nas nie zламаł.

Schultz stanął po lewej stronie plutonu.

– Vorwaaaaats... Marsch!

Stojący w pierwszym szeregu Harz zaczął śpiewać.

– Vorwärts! Vorwärts! Schmettern die hellen Fanfaren...

Tymczasem w oddali Krueger uśmiechnął się pod nosem, czując ogromną radość.

– Stare sposoby wciąż działają.

Nad Renem, 13 lutego 2005

Strome brzegi rzeki przemawiały do Indowy głosem ochryplym ze starości. A on pamiętał; pamiętał.

– Byliśmy już kiedyś na waszej planecie, dawno, dawno temu – powiedział Rinteel, pozornie do kanclerza. – To bardzo smutna historia.

– Naprawdę? – spytał kanclerz. – Dlaczego smutna?

– Każda zniweczona nadzieja jest smutna – odparł Indowy nieobecny głosem.

W oddali widział kamieniste wzgórze. Jego usta zaczęły cicho wypowiadać słowa w jego własnym języku. Kanclerz nie miał pojęcia, co te słowa oznaczały, ale w ich tonacji było coś, co chwyciło za serce.

– Co mówisz? – spytał.

Indowy zwlekał z odpowiedzią kilka chwil, niewyobrażalnie smutnych chwil.

– To pieśń mojego ludu, starożytna pieśń. Opowiada o próbie wyzwolenia się spod ucisku naszych panów, o starożytnej twierdzy, o próbie stworzenia broni, by obronić tych, którzy w swoim czasie mogli stać się naszymi zbawcami.

Indowy westchnął i wskazał za okno śmigłowca.

– Opowiada krwawą historię tej skały, tam.

Jego słowa podsyciły ciekawość kanclerza; wydał polecenie pilotowi, ignorując zmarszczenie brwi swoich ochroniarzy. Śmigłowiec skręcił ostro w prawo. W zachodzącym słońcu kamieniste wzgórze lśniło złotem.

Mimo mocnego bocznego wiatru helikopter wylądował bez wstrząsów na wzniesieniu. Indowy, wyglądający na pogrążonego w transie, wysiadł pierwszy. Za nim wyszedł kanclerz i jego ochrona.

Śmigłowiec usiadł zaledwie trzysta metrów od szczytu. Indowy ruszył przed siebie po kamienistej stromiźnie; jego zaśpiew z każdym krokiem był głośniejszy. Kanclerzowi wydawało się, że rozpoznaje niektóre ze słów:

– Fafneen... Mineem... Albletoon... Anothungeen... Nibleen... Fostvol.

W końcu wszyscy zatrzymali się przed gładką skalną ścianą.

– To mój klan, mój i tylko mój, podjął tę próbę. Zapłaciliśmy za nią wysoką cenę.

– Jaką próbę? – spytał jeden z agentów BND.

– Chcieliśmy stworzyć święty zakon – powiedział Rinteel nieobecny głosem. – Grupę bohaterów, wojowników, którzy obsadziliby wzniesione tu przez nas umocnienia. Myśleliśmy, że pod osłoną Anothungeen, niepokonanego systemu obronnego waszej planety, wasz lud wzniesie się ku potędze. My nie mogliśmy was obronić. Ale chcieliśmy wam dać środki, dzięki którym sami moglibyście się obronić.

Ludzie kiwający się na omiatanym wiatrem zboczu wyraźnie byli znudzeni. Nagle Indowy wyciągnął dłoń i wypowiedział zdanie w jego własnym języku. Fragment urwiska zniknął, odsłaniając wyciosane w skale łukowato sklepione przejście. Ludzie, w tym i kanclerz, aż sapnęli z wrażenia. Wciąż pogrążony w niby-transie Rinteel wszedł do środka; w zamkniętych pomieszczeniach Indowy byli o wiele odważniejsi niż synowie Adama.

– Wybrano to miejsce, bo znajdowało się na obrzeżach dominującej w tamtym czasie cywilizacji – powiedział Rinteel, stając tuż za progiem. – Tutaj mogliśmy, a przynajmniej tak się nam zdawało, rozwijać w spokoju systemy obronne Anothungeen i Fafneen. Myśleliśmy też, że będziemy mogli rozprzestrzenić je stąd dyskretnie wśród ówczesnej cywilizacji dominującej, którą wy, ludzie, nazywacie „rzymską”.

Indowy opuścił głowę na pierś.

Kanclerz spojrział ponad jego ramieniem i ujrzał starożytne pobojuwisko: bezgłowe trupy ludzi i Indowy, wyschnięte i kruche. Przypomniawszy sobie małe stosiki ogryzionych kości w miejscu zwanym „Fredericksburgiem”.

– *Mein Gott* – szepnął.

– Tylko jeden z nas, Albletoon, uszedł rzezi – tłumaczył Rinteel. – Ludzki najemnik, zdrajca swojej rasy, poprowadził natarcie. Zygfyrd, przeklęte niech będzie jego imię, zdradził Lud. Z chciwości... dla przyobiecanej mu partnerki... sprzedał nas... i tak upadła sprawa wolności. Zdrajca Mineem przeprowadził wroga, otworzył bramę i podstępem pokonał strażę. Dla marnego złota i sławy nasz bohater Zygfyrd zaprzedał swoją duszę.

Indowy był pogrążony w tak głębokim transie, że kanclerz zaczął się o niego bać. Niemal koleżeńskim gestem wyciągnął do niego rękę.

Rinteel strząsnął jego dłoń.

– Czy ja dobrze zrozumiałem? – spytał kanclerz. – Wasz lud wiedział o nas i próbował nas uratować już wieki temu?

– Więcej niż wieki, tysiąclecia.

– Ale wam się nie udało? Plan się nie powiódł?

– Nie – odparł Rinteel ze smutnym i bolesnym westchnieniem. – Zapomnieliśmy; minęło tak wiele czasu, odkąd znaleźliśmy wojnę. Tylko broń z waszych własnych kuźni mogła was ocalić. Elfy sabotują wszystko, co możemy wam dać. Dlatego nie, *Herr Kanzler*, nie udało się. Nie udało się.

Zakłady Kraus-Maffei-Wegmann, Monachium, Niemcy,

15 lutego 2005

– Cóż, nie udało się – westchnął Mueller.

– Wracamy do projektowania – przytaknął Prael; każde jego słowo ociekało obrzydzeniem.

Przedmiot tego obrzydzenia, olbrzymi stalowy cylinder roniący gęsty czerwony płyn hydrauliczny niczym pęknięte serce, stał strzaskany w swoim mocowaniu testowym. Cylinder, który miał być jednym z dziesięciu, które pochłaniałyby odrzut działa Tygrysa III kaliber 30 centymetrów, okazał się wadliwy... i to w najbardziej katastrofalny z możliwych sposobów. Tak katastrofalny, że przynajmniej jeden z członków ekipy testującej broczył czerwonym płynem prawie tak samo obficie jak cylinder. Natychmiastowa dekapitacja miewa taki skutek.

Wychodząc ze schronu – metalowego bunkra – Mueller spojrział na zwłoki i ze znużeniem pokręcił głową.

– A ja chciałem mieć działo elektromagnetyczne. Ciągłe przyspieszenie. Większa, o wiele większa ładowność amunicji...

– W którym momencie metal pękł? – przerwał mu Izraelczyk Benjamin pytaniem skierowanym do Praela.

Zamiast odpowiedzieć wprost, Niemiec podał Żydowi wydruk.

– Rozumiem – powiedział Benjamin. – Hmm. Moglibyśmy zmniejszyć ładunek... Nie, chyba nie, nie osiągnęlibyśmy takiej prędkości wylotowej, jakiej potrzebujemy.

W dawniejszych czasach Izraelczyk, walczący w swojej Merkawie, zniszczył niejednego arabski czołg produkcji rosyjskiej czy ukraińskiej.

– Nie możemy też zmniejszyć ciężaru pocisku, jeśli mamy zachować konieczny współczynnik penetracji – dokończył Mueller.

– GalTech – zaproponował Nielsen.

– Opierając się na radach BND, kanclerz postanowił tego nie robić – odparł Henschel. – Wydaje mi się, że zasadniczo ma słuszość. Galaksjanie mają własne plany. A te plany niekoniecznie

muszą zakładać istnienie ludzkości po zakończeniu wojny.

– Kiedy Dawid ruszył na pojedynek z Goliatem – powiedział Benjamin, drapiąc się w zamyśleniu w ucho – król Saul zaproponował chłopcu własną zbroję i broń. Dawid odmówił, twierdząc, że lepiej poradzi sobie z własną bronią niż z cudzą, do której nie był przyzwyczajony. Miał rację. Wasz kanclerz też ma rację. Nasz premier również się z tym zgadza. To musi być ludzka broń, coś, na co Galaksjanie nie będą mieli wpływu.

– Czy nie można wzmocnić cylindrów, robiąc je po prostu większe? – spytał Mueller, przynajmniej raz nie wspominając o swoim wymarzonym dziale elektromagnetycznym.

– Nie – odparł Prael, pocierając dłonią twarz. – Już sprawdzaliśmy. Możemy zredukować liczbę cylindrów do ośmiu i zrobić je trochę większe i wytrzymalsze. A wtedy komora działa uderza w tył wieży. Scheisse! Przesadziliśmy.

Chociaż Schlüssel i Breitenbach nie byli obecni przy testach, huk pękającego cylindra rozszedł się po całej fabryce i obaj zjawili się biegiem. Wpadli do komory testów, zerknęli na cylinder, potem na trupa, a następnie przeżegnali się, jak przystało na dobrych katolików.

– Kurwa mać! – stwierdził zaraz potem Schlüssel, widząc nie będąc aż tak dobrym katolikiem jak Breitenbach.

To, co się stało, było tak oczywiste, że ani Prael, ani nikt inny nie czuł potrzeby wyjaśniania sytuacji nowo przybyłym.

– Cóż – powiedział Schlüssel. – Są też i dobre wiadomości. Breitenbach dostał coś bardzo interesującego od Amerykanów. Powiedz im, Stephan.

Breitenbach miał w lewym ręku małe czarne pudełko, z którego zwisała uprzęż.

– Może lepiej im pokażę, *nicht war*, Reinhard?

Schlüssel westchnął, zrezygnowany. Porywczy chłopak!

– Dobrze. Pokaż im, skoro musisz.

Breitenbach bez słowa odwrócił się na pięcie i wyszedł. Kiedy znów się pojawił kilka minut później, stał na stalowej galerii dwadzieścia kilka metrów nad podłogą fabryki, z zapiętą na sobie uprzężą.

Ku ogromnemu zdumieniu wszystkich poza Schlüsselem, Breitenbach rzucił się z chłopięcym okrzykiem w otchłań poniżej galerii. Spadał coraz szybciej i szybciej, wrzeszcząc z bezmyślnej radości. Spadał tak szybko, że trudno było nadążyć za nim wzrokiem. Henschel w ogóle nie nadążał, bo zamknął oczy, nie chcąc oglądać nieuniknionego upadku.

Do którego jednak nie doszło. Jakież siedem czy osiem metrów nad podłogą ciało Breitenbacha zaczęło zwalniać. Zwalniało coraz bardziej, aż dotknęło podłogi już lekko jak spadające piórko.

– Co to, u diabła, spowodowało? – spytał Mueller.

Schlüssel wzruszył ramionami.

– Szczerze mówiąc, wyliczeń nie ogarniam. Gdyby Amerykanka, która odkryła tę zasadę, ich nie spisała, prawdopodobnie również by ich nie ogarnęła. To długa historia, jak mi powiedziano. Ale spójrzmy na to tak: czarne plastikowe urządzenie na uprzęży Stephana gromadzi energię upadku, a potem zamienia ją w energię zwalniania. Uważamy, że można by to wykorzystać w zawieszeniu czołgu, nie zmieniając znacząco projektu, a także do zmniejszenia rozmiarów amortyzatorów odrzutu, tak by oszczędzić od piętnastu do dwudziestu ton. Nie mówiąc już o redukcji koniecznej obsługi.

Oczy Muellera, które nie wróciły jeszcze do normalnych rozmiarów po skoku Breitenbacha, zrobiły się jeszcze większe. Spojrzenie Praela zaczęło tańczyć; nie mógł się skupić na nikim ani na niczym. Henschel i Benjamin popatrzyli po sobie w zamyśleniu.

A potem wszyscy powoli odwrócili się w stronę szczątków cylindra. W ich oczach zaświecił

nowy blask.

Paryż, Francja, 15 lutego 2005

Mąż Isabelle wszedł bez słowa do kuchni, ściskając w ręku jakiś papier.

W pierwszej chwili nie zauważyła dokumentu. Zobaczyła jedynie, że twarz jej ukochanego jest szara jak popiół.

– Co się stało? – spytała.

Nie odpowiedział, wyciągnął tylko papier w jej stronę.

Drżącą dłonią wzięła formularz i przeczytała go pospiesznie. Nie rozumiejąc, pokręciła głową.

– Nie mogą ci tego zrobić, nam tego zrobić. Odслужиłeś w wojsku jako młody chłopak. Nie mają prawa.

Jej mąż zacytował świstek, który przeczytał już pięćdziesiąt razy.

– W zgodzie z naszym uświęconym od wieków dziedzictwem i tradycją, wszyscy Francuzi zostają na stałe powołani do obrony Republiki.

– Ale ty jesteś lekarzem, nie mordercą – zaprotestowała Isabelle.

– Mordercy bywają ranni. Wtedy potrzebują lekarzy. Mam się zgłosić pojutrze.

Isabelle stała długą chwilę oszołomiona, niezdolna wykrztusić słowa.

Bad Tolz, Niemcy, 17 lutego 2005

Długa, wijąca się kolumna mężczyzn maszerowała w ciszy leśnym szlakiem w środku nocy. W ciemności błyskały białka oczu, a czasami zęby. Twarze uczerniono spalonym korkiem i farbą... a także sporą ilością zwykłego brudu. Zamarznięta ziemia i żwir chrzęściły cicho pod butami żołnierzy.

Chłopcy, jak myślał o nich Brasche, radzili sobie dobrze z podstawowym szkoleniem. Ze strzelaniem mieścili się w dopuszczalnych granicach, chociaż Brasche miał poważne wątpliwości, czy najdłuższy nawet zwykły trening strzelecki nauczyłby kogokolwiek dobrze strzelać, kiedy wróg odpowiada ogniem. On sam służył w końcu na froncie wschodnim.

Ale „dobrze” to określenie relatywne, pomyślał. A my znamy kilka sztuczek, które mogą pomóc. Brasche uśmiechnął się na myśl o tym, co czeka chłopców dalej na szlaku.

Ich oficjalnym zadaniem było przeprowadzenie kontrnatarcia i odbicie sekcji okopów straconych w wyniku ataku Posleenów. W rzeczywistości, jak wiedział Brasche i kilku innych prowadzących ćwiczenie, techniki kontrataku w okopach miały tu czysto drugorzędne znaczenie. Celem ćwiczenia było przestraszenie chłopców prawie do nieprzytomności, żeby w przyszłości trudniej było ich przerazić.

Brasche usłyszał trzask krótkofalówki przy boku. Zgłosił się swoim nazwiskiem.

– Tu *Oberst* Kiel, Brasche. Moi ludzie są na pozycjach.

– Doskonale, *Herr Oberst*. – Brasche zerknął szybko na tylne wejście do systemu okopów, do którego właśnie zaczęli schodzić pierwsi żołnierze. – Zabawa powinna się zacząć... już.

Jak w zegarku – bo tak właśnie wszystko było ustawione – na obszar zadania spadły pierwsze pociski moździerzy. W aktywnym błysku wybuchów Brasche zobaczył niewyraźne sylwetki około tuzina ludzi Kiela. Sami odporni na ogień broni, której chłopcy mogli użyć – tak samo jak na ogień moździerzy – żołnierze piechoty mobilnej mieli dodać do ćwiczeń trochę pikanterii i strachu. Ich projektory holograficzne doskonale sportretowały masę nacierających Posleenów. Ale co najlepsze...

– *Liebe Gott im Himmel!* – Brasche usłyszał w radiu krzyk któregoś z chłopców, młodego Dietera Schultza, jak mu się zdawało. – Oni do nas, kurwa, strzelają! Naprawdę!

– Tak jest, *Kinder*. – Brasche rozpoznał głos Kruegera. – Z takiej broni, jaką będą mieli najeżdźcy. A co mielibyście robić, kiedy ktoś do was strzela? – spytał Krueger z pogardą.

Radio natychmiast zamilkło. Jednocześnie, jak Brasche zauważył z zadowoleniem, z okopów

zaczął błyskać ogień karabinowy, trafiając hologramy, a czasem nawet pancerze. Tam, gdzie przechodziła trajektoria pocisku albo wybuchał pocisk lub granat, przekaźniki AID eliminowały jeden lub więcej posleńskich celów. Tymczasem z okopów i ponad nimi pancerze prowadziły ostrzał w kierunku chłopców. Celowały jednak tak, by ich przestraszyć, a nie zabić czy ranić, uważając, by strzelać z dala od ich głów i korpusów.

Głos młodego Schultza znów zatrzeszczał w radiu, po chwili zaś odpowiedział mu dowódca czołgu regularnej Bundeswehry, wypożyczonego dla brygady szkoleniowej na czas ćwiczenia.

Poprzez trzask ognia karabinowego, wybuchy pocisków i huk przekraczających prędkość dźwięku pocisków działek grawitacyjnych pancerzy Brasche usłyszał gardłowy ryk dieslowskiego silnika szarżującego czołgu Leopard II.

Dobry chłopak ten Schultz, pomyślał. Nie każdy pamiętałby, że nie są w walce sami.

Czołg oświetlił nagle własny płomień, gdy armata plunęła na obszar ćwiczenia chmurą fleszetek...

Brasche i jego skrzydłowy nacierali samotnie przez burzę stali. Przed nimi artyleria waliła w rosyjskie pozycje, które udało się jedynie w przybliżeniu zlokalizować. Ale ostrzału nigdy nie było dość.

Ostrzeżono ich, że umocnienia są niewiarygodne. Ale ani Brasche, ani ludzie, którzy rozpoczęli bitwę pod jego dowództwem, nie byli przygotowani na rzeczywistość Kurska. Rzeczywistość tę przypominałaby jedynie wycieczka po piekle.

Z ludzi, których początkowo miał pod swoją komendą, pojedynczego plutonu Panzerów IV i plutonu piechoty wsparcia, pozostały tylko dwa czołgi. Piechota była już tylko wspomnieniem.

A PAK-i Iwanów, ich działa przeciwczołgowe, były wszędzie. Brasche zadrzał na wspomnienie starcia między jego średnimi Panzerami a przynajmniej tuzinem rosyjskich dział, okopanych, zamaskowanych i strzelających pod rozkazami jednego dowódcy. Sam ten pojedynek kosztował go dwa Panzery. Krzyki palących się żywcem załóg wciąż rozbrzmiewały w jego uszach.

Usłyszał w słuchawkach krzyk dowódcy drugiego czołgu.

– Achtung! Achtung! Panzer Abwehr Kanonem zum...

Spanikowany głos ucichł jak ucięty nożem.

Ale Brasche nie potrzebował wskazówek. Stojąc w otwartym włazie dowódcy, sam zobaczył dym i płomień buchające z prawej strony. Wyteżając wzrok, by zlokalizować dokładnie przeciwnika, nie widział, lecz czuł pół tuzina pocisków, które pomknęły w stronę jego i jego skrzydłowego.

Oba czołgi pospiesznie zaczęły się obracać, by nadstawić w stronę ognia swoje grubsze przednie pancerze, a ich wieże obracały się jeszcze szybciej, by ostrzelać wroga.

To był wyścig z czasem. A potem Brasche uświadomił sobie, że te działa nie otworzyły ognia w tym właśnie momencie bez powodu. Odwrócił się w samą porę, by zobaczyć błyski wystrzałów.

Dla Hansa Braschego z Piątej Dywizji Pancерnej SS (Wiking) świat utonął w czerni.

Leopard znów wystrzelił, odpędzając wspomnienia Hansa. I bardzo dobrze. Wtedy, pod Kurskiem, ponad sześćdziesiąt lat temu, druga bateria dział wypatroszyła czołg jego i jego skrzydłowego. Hans stracił przytomność. Nie wiedział, jak to się stało, że uciekł z wraku. Wyobrażał sobie siebie jako przerażoną, pełznącą istotę, uciekającą przed ogniem jak zwierzę z płonącego lasu. Podczas podróży powrotnej do Niemiec, gdzie przeszedł rekonwalescencję, wspomnienie to zostało zredukowane do wspomnienia o bólu, czasem tępym, czasem przeszywającym.

Nawet po tylu latach sprawiło, że zadrzał.

Brasche odegnął wspomnienia, ostatecznie i bez reszty. Rampa prowadząca do okopów czekała. Podszedł do niej i zszedł na dół.

* * *

Na dole, w okopach, Dieter Schultz, lat osiemnaście, dygotał z bólu po trafieniu fleszatką, która otarła się o jego ramię, zostawiając trzycentymetrowe rozdarcie na jego skórze. Krew plamiła jego *kampfanzug*, mundur polowy. W blasku pocisków smugowych lśniła matową czerwienią.

Inny z chłopców, Harz, patrzył z przerażeniem na jego ranę.

– Dieter, ty krwawisz.

– Nieważne – powiedział z naciskiem Schultz, przyciskając rozdarcie dłonią, by powstrzymać upływ krwi. – Biegnij do trzeciej drużyny. Niech przesuną się w prawo i otworzą ogień... Niech zdejmą z nas trochę ostrzału.

– *Zu Befehl*, Dieter – odparł Harz na poły kpiąco, ale i na poły poważnie.

Krueger tymczasem kuczał w milczeniu nieopodal, obserwując sokolim okiem poczynania Schultza. Kątem oka zauważył przeciskającego się okopem Braschego i stanął na baczność z pochyloną głową.

– *Herr Major?* – powiedział.

– Spocznij, sierżancie – odparł Brasche. – Ja tylko oglądam.

Dieter, pochłonięty swoją raną, ale jeszcze bardziej swoim zadaniem, nie zauważył stojącego niedaleko Braschego. Za to Hans dostrzegł, że w tym zimnym i błotnistym okopie chłopiec zaczyna wykorzystywać swój potencjał.

– Kryć się! – zawołał Dieter do pozostałych żołnierzy. Potem rzucił kilka krótkich słów do radia.

– Pięć pocisków przeciwpiechotnych.

Brasche i Krueger znów się skulili. W samą porę – czołg zaczął szybki ostrzał, zalewając teren nad okopem fleszatkami. Rozległo się pięć głośniejszych eksplozji i pięć cichszych, kiedy pociski kasetowe pękły, uwalniając swoją morderczą zawartość.

Odczekawszy nie więcej niż pół sekundy po piątej z tych cichszych eksplozji, Schultz wykrzyczał następny rozkaz i chłopcy, idąc za jego przykładem, wystawili głowy i karabiny ponad krawędź okopu, otwierając ogień do hologramów i pozostałych na polu bitwy pancerzy.

Bardzo dobrze, pomyślał Brasche.

Paryż, Francja, 17 lutego 2005

Dom był pogrążony w porannym smutku. Matka i młodszy syn płakali otwarcie. Starszy chłopiec, prawie trzynastoletni, z trudem starał się niczego po sobie nie pokazać. Zeszłego wieczora jego ojciec kazał mu obiecać, że zaopiekuje się domem. Poprosił o tę obietnicę z powagą... i z powagą została złożona.

– Będę pisał codziennie, ma chérie... ma belle femme – obiecał mąż, głaszcząc płaczącą Isabelle po głowie. – Pewnie co jakiś czas będę dostawał przepustki.

Isabelle wtuliła mokrą twarz w jego ramię i objęła go mocno. Nie mogła się zmusić, by cokolwiek powiedzieć.

Zeszły wieczór był nieprzyjemny. Pokłócili się tak, jak rzadko im się zdarzało. Ona chciała nakłonić go, by zdezerterował, by uciekł gdzieś, gdzie armia go nie znajdzie. On twardo odmawiał, twierdząc – zgodnie z prawdą – że nie ma na Ziemi miejsca, w którym byłby bezpieczny przed wojskiem, skoro cała planeta zbroi się aż po zęby.

Ostatecznie widząc, że on tego nie robi, to ona ustąpiła. Obawiając się o własną przyszłość i pamiętając młodzieńcze, szczęśliwsze czasy, zawlokła męża do ich wielkiego drewnianego łóżka i

kochała się z nim z oszalamiającą wprawą i entuzjazmem, które odebrały mu dech.

– To żeby ci przypomnieć – powiedziała – co tu masz i do czego masz chcieć wrócić.

– Po takim wyczynie, kochanie – odparł, wciąż zdyszany – i w moim wieku... Lepiej, żebym trzymał się z dala w trosce o własne życie.

Zakłady Kraus-Maffei-Wegmann, Monachium, Niemcy,

21 czerwca 2005

Mühlenkampff był... Cóż, innego określenia na to nie było: był oczarowany.

Stał przed nim lśniący – bo bestia nie została jeszcze pokryta farbą – Tygrys III. W dole, na poziomie gruntu – chociaż grunt ten był wielometrową warstwą betonu – gąsienice były oblepione błotem, co Mühlenkampff natychmiast zauważył.

– Jeździ – oznajmił drżącym głosem, wyciągając z tego faktu właściwy wniosek.

Mueller, Schlüssel, Prael i inni wyprostowali się z dumą.

– Jeździ, *Herr General*. To prototyp numer jeden. Jest jeszcze kilka usterek. Ale jeździ. Strzela. Może dostać w swój wielki pancerny nos i oddać.

– Poza tym – dodał Prael, który zaprojektował i niemal ręcznie zbudował całą elektronikę – Tygrys III jest najlepszym w dziejach zaprojektowanym i zbudowanym przez człowieka pojazdem szkoleniowym z symulatorami wirtualnej rzeczywistości, pozwalającymi na pełny zakres ćwiczeń kierowcy i strzelca bez opuszczania Kaserne.

– Mimo to będziemy musieli nim wyjechać – odparł generał. – W przeciwnym razie nigdy się nie dowiecie, co jeszcze może być nie tak. Kiedy taki dostanę? Albo, jeszcze lepiej, dużo takich dostanę?

– Ten już jest pański – powiedział Mueller. – Mamy nadzieję, że testy polowe pomogą w rozwiązaniu wszelkich pozostałych problemów.

Ale Mueller powiedział to do pleców Mühlenkampffa. Weteran mocował się już ze swoim nowym, niewygodnym, a czasami wyklinanym telefonem komórkowym.

– Brasche? Przyjeżdżaj do Monachium. Ale już!

Sennelager, Niemcy, 28 czerwca 2005

Podstawowe szkolenie już dawno się skończyło. Wychudzony, wynędzniały szkielet *Korps* zaczynał rozrastać się i nabierać masy w bazie szkoleniowej na północnoniemieckiej równinie, gdzie chłopców przeniesiono na szkolenie w oddziałach.

Chociaż podstawowe szkolenie mieli już za sobą, dni wciąż im się dłużyły, a noce czasem jeszcze bardziej. Ale mimo to rozkoszowali się mianem „żołnierzy”. Podczas przemarszów przez okoliczne miasteczka szli z dumą, sprężystym krokiem.

To, że oglądały się za nimi dziewczyny, też bynajmniej w niczym nie szkodziło.

Żołnierze ginęli podczas szkolenia i byli zastępowani nowymi. Dawna niemiecka armia uważała, że jeden procent zabitych podczas ćwiczeń to nie tylko dopuszczalna, ale wręcz pożądana liczba. Nowa-stara niemiecka armia miała podobne zdanie, przynajmniej w tej materii.

W regularnej Bundeswehrze rzadko się to zdarzało. Tam nieliczni, rozsiani po jednostkach weterani Wehrmachtu byli bezsilni wobec politycznie poprawnej, wielokulturowej brei, którą politycy zrobili z niemieckiej armii.

Jedynie w 47. *Panzer Korps*, nazywanym zarówno przez politycznych wrogów, jak i zwolenników „SS *Korps*”, było wystarczająco wielu ludzi, którzy znali dawne sposoby postępowania – i co więcej, byli skłonni powiedzieć politykom i teoretykom społecznym, żeby się „odpierdolili” – żeby zamienić swoich nowych podwładnych w to, czego Niemcy, Europa, ludzkość potrzebowały.

Dlatego chłopcy maszerowali sprężystym krokiem, wiedząc, że być może jako jedyni spośród obrońców ich kraju potrafią i mogą sprostać czekającemu ich zadaniu.

Czy to właśnie widziały w nich dziewczyny z małych miasteczek? Czy widziały w nich jedynych obrońców, którzy nigdy nie zostawiliby ich na pastwę losu, dopóki nie zabrałaby ich śmierć?

Tego chłopcy nie wiedzieli.

– Wiem tylko, że mam okazję podymać o wiele częściej niż kiedyś – zaśmiał się niepoprawny Harz na chwilę przed tym, nim coś przykuło jego uwagę.

Zaczęło się od niskiego grzmotu w powietrzu. Już po chwili chłopcy wybiegali z namiotów, obawiając się trzęsienia ziemi.

– Co to, kurwa, jest? – spytał Harz.

Dieter tylko pokręcił głową, równie zdezorientowany.

– Tam! – krzyknął inny chłopak. – To czołg. Nic wielkiego.

Schultz obejrzał się i zobaczył żelaznego potwora pokonującego szczyt wzgórza. Tak, to był czołg. Nic specjalnego. Cały czas mieli do czynienia z czołgami. Potem jednak, kiedy maszyna podjechała bliżej, a ryk jej silnika się wzmógł, oczy Dietera wypatrzyły coś maleńkiego, wystającego ze szczytu wieży.

– Liebe Gott im Himmel!

Z wieży Tygrysa III, zupełnie jakby był na defiladzie – defiladzie przed wszechświatem, który należy do niego osobiście – Hans Brasche, niegdyś z Piątej Dywizji Pancерnej SS (*Wiking*), salutował energicznie swoim przyszłym załogom.

INTERLUDIUM

Jak przystało na młodszego kessentaia, Ro'moloristen stanął, nie rzucając się w oczy, w głębi dziwnie zaprojektowanej, przypominającej aulę sali zgromadzeń.

Podłoga, o ile statek Aldenat' mógł mieć stałe podłogi, unosiła się w górę od środka pomieszczenia, dzięki czemu młody kessentai widział całe zgromadzenie Wszechwładców i centralny podest pod przeciwległą ścianą.

Podczas gdy jego własna pozycja w hierarchii umiejscowiła go z tyłu, lepsi – a przynajmniej starsi – od Ro'moloristena zajęli bardziej prestiżowe miejsca z przodu. Na samym środku, tuż przy pustym półokręgu wokół podestu, stał Athenalras, z ramionami skrzyżowanymi na potężnej końskiej piersi, w postawie uniżenia i spokoju.

Tysiące innych Wszechwładców obecnych w auli stało w takiej samej nabożnej pozycji, gdy pojawił się przed nimi podstarzały Posleen, kenstain – Bin'ar'rastemon – niegdyś wybitny kessentai, który wszedł ze Ścieżki, by zostać wyjątkowego rodzaju kessenaltem. Bin'ar'rastemon nie był zwykłym castellainem, nie był zwykłym sługą innego Wszechwładcy. Kiedy brzemień lat i odniesionych ran zaczęło dawać mu się we znaki, przekazał władzę nad swoim klanem i jego majątek swojemu najstarszemu eson'antaiowi, czyli synowi, zachowując dla siebie zaledwie tyle, by wystarczyło mu na skromne życie kogoś, kto wszedł na Ścieżkę Pamięci.

Kessenaltowie Ścieżki Pamięci – połączenie historyków z kapelanami – mieli zapisywać i przypominać Ludowi jego dzieje, wartości, wierzenia... oraz wredny los zgotowany im przez Aldenat' i ich jednakową dla wszystkich, jak spod sztancy, filozofię.

Odziany w ceremonialną uprząż z czystego ciężkiego metalu, Bin'ar'rastemon – stary, ze stawami powykręcany przez posleński odpowiednik artretyzmu – z trudem wszedł po stopniach prowadzących na podest; za pasy uprząży miał zatknięte starożytne zwoje.

Chociaż kenstaini zazwyczaj nie cieszyli się szacunkiem jako klasa, może z wyjątkiem Wszechwładców, którym bezpośrednio służyli, idący Ścieżką Pamięci byli powszechnie wysoko cenieni. Bin'ar'rastemon ustawił się na środku podestu i ceremonialnie powitał zgromadzonych Wszechwładców.

– Opowiedz nam, Pamiętający – odpowiedzieli chórem – o ścieżkach przeszłości, żebyśmy poznali ścieżki przyszłości.

Bin'ar'rastemon rozwinął jeden ze zwojów i położył go na kruchej mównicy. Potem oparł na nim dłoń. Był Pamiętającym wciąż w pełni władz umysłowych, jakkolwiek stare mogło być jego ciało. Nie potrzebował zwoju, by opowiedzieć swoją opowieść.

– Z Księgi Wiedzących... – zaczął.

Sennelager, Niemcy, 14 lipca 2005

Baza została wybrana na punkt zborny 47. *Panzer Korps* ze względu na centralne położenie. Ze wszystkich małych Kaserne w całych Niemczech, nowych, starych i odnowionych, spływały tysiące świeżo wyszkolonych żołnierzy i weteranów z kadry oficerskiej.

Baza nadawała się na miejsce stacjonowania dużego korpusu, była jednak zbyt blisko Hamburga, Berlina, Essen i Frankfurtu. Innymi słowy, niemiecka lewica, a przynajmniej ta jej część, której przywódcy potajemnie zaprzędali się Elfom, zbyt łatwo mogła się do niej dostać.

I robiła to. Tysiącami, dziesiątkami tysięcy.

– Tych drani jest tam chyba z pięćdziesiąt tysięcy – mruknął Mühlenkamp, stojąc przy oknie swojego gabinetu, które wychodziło na główną bramę Kaserne. – Skąd oni wszyscy, u diabła, się wzięli? Dlaczego ci chłopcy nie są w wojsku? Dlaczego te dziewczyny nie są w cholernym wojsku, skoro już o tym mowa?

Oczywiście znał odpowiedź. Mimo zagrożenia ze strony Posleenów idea służby zastępczej była zbyt głęboko zakorzeniona w niemieckiej kulturze politycznej i społecznej, by przewyciężyło ją nawet widmo całkowitej anihilacji. Co ciekawe, Wielka Brytania i Stany Zjednoczone, nie mające długiej ani utrwalonej tradycji poboru w czasie pokoju ani „obowiązkowej służby społecznej”, radziły sobie o wiele lepiej z powoływaniem młodych ludzi do wojska. Tam domy spokojnej starości i tym podobne placówki nigdy nie uzależniły się od nisko płatnej niewolniczej pracy. Zawsze prywatne – a przynajmniej nie do końca państwowe – mogły takimi pozostać. A w Niemczech? W Niemczech tak dobrze nie było.

Niezależnie od tego, skąd się wzięli protestujący, nie było wątpliwości, dokąd zamierzali się dostać. Mühlenkamp bez najmniejszego śladu rozbawienia patrzył, jak demonstranci, ustawieni w falangę, zostają nie bez trudu odepchnięci od bramy. Jeszcze mniej bawiła go tablica – z napisem „Przyjaźń z braćmi z kosmosu” – która spadła z trzaskiem na głowę i ramiona policjanta.

Na biurku generała zadzwonił telefon. Mühlenkamp odwrócił wzrok od protestujących i odebrał.

– Mühlenkamp.

W słuchawce usłyszał głos kanclerza. Choć generał wciąż nie był przyzwyczajony do nowoczesnych urządzeń, głos wydał mu się odległy i nieco stłumiony. Tryb głośnomówiący, domyślił się.

– Mówi kanclerz. Siedzi tu ze mną w gabinecie i słucha Günter. Jak sytuacja, generale?

– Moja sytuacja? Mam czterdzieści czy pięćdziesiąt tysięcy demonstrantów pod bazą. Połowa z nich to niedomyci długowłosi, którzy powinni być w wojsku, ale nie są. W tej chwili właśnie szturmują bramę. A miejscowa policja nie potrafi ich zatrzymać.

Po drugiej stronie zapadło krótkie milczenie.

– Jadą do was autobusami dwa bataliony policji do tłumienia zamieszek. Powinni tam być co najwyżej za dwie godziny.

Choć kanclerz nie mógł tego widzieć, Mühlenkamp potrząsnął głową.

– To o wiele za późno. Zresztą to i tak by nie wystarczyło, nawet gdyby byli tu już teraz.

– To wszystko, co mam, generale.

– Ja mam więcej – odparł stary esesman w zamyśleniu. – Mam pół stanu osobowego pancernego *Korps*.

W słuchawce odezwał się nowy głos, przepełniony gniewem. Mimo zniekształceń generał był

prawie pewien, że to Günter.

– Esesmanie, nie wolno ci użyć twojego *Korps* przeciwko tym cywilom; skutki dla public relations byłyby katastrofalne.

Powstrzymując warknięcie gniewu, generał postanowił spróbować innego podejścia.

– Przepraszam, *Herr Kanzler*. Chyba mam jakieś zakłócenia na linii. Nie rozumiem, co mówicie. Czy Günter coś powiedział? Rozłączę się i spróbuję jeszcze raz.

Mühlenkampf odłożył słuchawkę.

– Lucy! – krzyknął do swojej sekretarki. – *Kanzler* albo jacyś inni ważniacy będą tu za chwilę dzwonić. Dopilnuj, żeby wszystkie linie były zajęte, dobrze? I poślij kogoś po moich dowódców dywizji i brygad.

Berlin, Niemcy, 14 czerwca 2005

Grupa ludzkich podwładnych Tira znów siedziała półkolem przed jego biurkiem. Tir miał zamknięte oczy, ale uszy szeroko otwarte. Oddychał płytko, lecz równomiernie. Jego usta poruszały się w mantrze odmawianej w jego własnym języku.

– Wszystko gotowe – powiedział Dunkel, czerwony. – Co najmniej pięćdziesiąt tysięcy demonstrantów zbiera się pod bazą w Sennelager, by walczyć z faszystami.

– Armia nie ma nic przeciwko temu – oznajmił jedyny z obecnych odziany w szary mundur; był przedstawicielem pewnych kół Sztabu Generalnego. – Nawet jeśli niektórzy sprzeciwiali się niszczeniu naszych własnych baz, praktycznie nikt nie chce, by ci ohydni esesmani dalej nosili mundury.

Günter, zielony, przez chwilę milczał.

– Mamy tam także swoich ludzi, co najmniej sześćdziesiąt procent protestujących to zieloni.

Tir wciąż nie otwierał oczu i płytko oddychał.

– Wszyscy dobrze się spisaliście – powiedział zduszonym głosem. – Za dobre sprawowanie czekają was nagrody...

Sennelager, Niemcy, 14 czerwca 2005

Dieter Schultz, w hełmie na głowie i z otrzymanymi za swoje talenty insygniami *Stabsunteroffiziera* – sierżanta sztabowego – oraz Rudi Harz, sierżant, ustawili swoich ludzi w szeregi, a potem stanęli po ich prawej stronie.

– Co się dzieje, Dieter? – spytał Harz.

– Nie mam pojęcia, Rudi. Może będziemy świętować Dzień Bastylli.

Harz prychnął.

– Jakoś mi się nie wydaje. Dostaliśmy rozkaz założenia hełmów i masek przeciwgazowych oraz zabrania pałek, więc chyba nie.

– Zapytamy Kruegera? – spytał szeptem Schultz. – Nie znoszę pytać tego bydlaka o cokolwiek.

Krueger – teraz sierżant major kompanii dowodzenia 501. *Schwere Panzer Abteilung* – batalionu ciężkich czołgów – usłyszał swoje nazwisko i słowo „bydlak” mimo odległości dzielącej go od chłopaków. Założył, że „bydlak” może odnosić się tylko do niego samego, i uśmiechnął się na tę myśl.

Stojąc przed oddziałem, Krueger obejrzał się przez ramię.

– Rozpierzdolimy parę łbów, *Knaben*. To wszystko, co musicie wiedzieć.

Adiutant stojący przed trzynastoma czworobokami po dwudziestu albo dwudziestu jeden ludzi – wszystkimi, których do tej pory wyszkolono – oraz większym czworobokiem po lewej, składającym się z żołnierzy służby pomocniczej, wydał rozkaz „baczość”. Żołnierze zeszywnieli.

Przed szeregami pojawił się Brasche. Tak samo jak chłopcy, był ubrany w szary polowy

mundur. Nowocześniejszy wzór kamuflażu, który wcale nie był bardziej skuteczny przeciwko posleńskim prętom wizyjnym, był trudno dostępny. Tak czy inaczej, nie miało to znaczenia. Brasche i reszta kadry *Korps* czuli się o wiele lepiej w szarym polowym mundurze, niż w kalejdoskopie kolorów składających się na nowoczesny niemiecki mundur polowy.

Nastąpiła wymiana salutów. Adiutant odsunął się na bok i pomaszerował na miejsce za Braschem.

Hans mówił krótko i zwięźle. Czekał na ich zadanie było nieprzyjemne, i chociaż zamierzał je wykonać, nie czuł autentycznego entuzjazmu.

– Chłopcy, przed główną bramą są ludzie, którzy próbują się tu włamać i zdemolować nasz mały domek. Na mój rozkaz założycie maski przeciwgazowe. Zrobicie to po to, żeby gazety i telewizja, a także przypadkowo wymiar sprawiedliwości nie mogły zidentyfikować waszych twarzy. Potem pomaszerujemy do bramy, śpiewając „*Panzerlied*”. Jeśli sami sobie pójda, tym lepiej. Ale jeśli nie, pošlemy jak najwięcej z nich do szpitala.

Schultz zauważył, że Krueger parska śmiechem z niepohamowanej radości. Wydawało mu się, że usłyszał szept: *Jak za starych dobrych czasów*.

Brasche ryknął rozkaz, który poniósł się echem wzdłuż szeregów. Żołnierze zaczęli zakładać maski. Od czasu wybuchu wojny z Posleenami ten sprzęt stał się w dużej mierze nieprzydatny, bo Posleeni byli odporni na wszystkie ziemskie gazy bojowe. Jedynym powodem, dla którego go wydawano i z nim ćwiczono, była nadzieja niemieckiego przemysłu chemicznego, współpracującego blisko z Rosjanami, że któregoś dnia uda się stworzyć militarnie przydatną toksynę z jadu grąt, posleńskiego szkodnika przypominającego osę.

Na kolejny rozkaz żołnierze unieśli pałki. Jeszcze jeden rozkaz – i bataliony wykonały w prawo zwrot. Ostatnia komenda – i ruszyli po bruku w stronę głównej bramy Kaserne.

Nie trzeba było rozkazu, żeby zaczęli śpiewać.

Ob's stürmt oder scheid, ob die Sonne uns lacht
Der Tag glühend heiss oder eiskalt die Nacht...

Choć stłumiony przez maski, ryk dziesiątków tysięcy gardel wyśpiewujących tradycyjną pieśń wojsk pancernych niemieckiej armii – czy to Reichswehry, Wehrmachtu, SS, czy Bundeswehry – sprawił, że drewno i kamień koszar zdrząły.

Demonstranci tak byli zajęci próbami sforsowania bramy Kaserne, że ich pierwsze szeregi nawet nie zauważyły nadejścia żołnierzy *Korps*. Trzask łamanych tablic z hasłami i krzyki mężczyzn i kobiet zagłuszyły marszową pieśń. Żaden z protestujących nie zauważył niczego niestosownego w fakcie, że hasła na tablicach brzmiały: „Chcemy pokoju” i „Nie oliwcie trybów maszyny wojennej”. Ani jeden z nich nie dostrzegł niczego dziwnego w próbie przeszkodzenia w szkoleniu ludzi, którzy mieli ocalić Ziemię przed Posleenami, którzy chcieli ją zniszczyć. Demonstranci po prostu nie przyjmowali do wiadomości faktu, że Posleeni są zagrożeniem. Wielu z nich nie chciało przyznać, że obcy w ogóle istnieją.

Nieco dalej siedział, przyglądając się zamieszkom, ale nie biorąc w nich udziału, stosunkowo dobrze naćpany Andreas Schüler. Wysoki, chudy, niespecjalnie domyty, Schüler nie przyszedł tu dlatego, że obchodziło go „ratowanie” Ziemi. Nie przyszedł tu, bo miał coś przeciwko wojsku, chociaż kiedyś miał coś przeciwko niemu zupełnie osobiście i odsłużył swój „rok społeczny” w nieskończenie wygodniejszym domu opieki.

Andreas nie miał nawet większych obiekcji co do 47. *Panzer Korps*. Prawdę mówiąc, miał gdzieś, czy Korps oprócz nazwy jest wskrzeszonym upiorem SS. Przeciwnie, za młodu należał przez

jakiś czas do skinheadów, chociaż ruch ten nie dał mu żadnej satysfakcji.

Schüler przyszedł tu – tak jak za każdym razem, kiedy niemiecka lewica gromadziła się, by rozbijać i demoralizować inne jednostki armii – dla trawki, panienek i widowiska. I nie był w tym osamotniony.

Widowisko przez jakiś czas go bawiło, potem jednak spowszedniało. Wszystko z czasem powszednieje. Przypominał sobie, jak się śmiał, kiedy kilku demonstrantów wymalowało srebrne *Sigrunen* SS na oknie biura werbunkowego Bundeswehry. Maszerujący tłum śmiał się wtedy razem z nim.

Mimo to Schüler nie potrafił czuć się częścią bezkształtnej ludzkiej masy, z którą maszerował od biura werbunkowego. Maszerujący śpiewali... ale jego ten śpiew nie poruszał.

Podobnie jak setki innych w pobliżu, bardziej zajęty był rozmową z płcią przeciwną niż toczącymi się pod bramą walkami.

Ale potem usłyszał. A później ze swojego wysoko położonego miejsca zobaczył.

* * *

Ze wszystkich zakątków Kaserne nadchodzili ubrani na szaro mężczyźni. Szli równym, spokojnym krokiem. Huk butów o beton słyhać było z odległości setek metrów. Podoficerowie utrzymywali porządek, automatycznie przeplatając kolumny, a zarazem trzymając oddziały i szeregi w szyku. Był to spektakl niewidziany w Niemczech od wielu lat.

Maszerujący śpiewali:

Bestaubt sind die Gesichter,
doch froh ist unser Sinn, ja unser Sinn,
Es braust unser Panzer, im Stürmwind dahin...

Na czele kolumny, na czubku włóczni, maszerowali Brasche i Krueger, potem kompania dowodzenia 501. Batalionu Czołgów Ciężkich i reszta batalionu. Za batalionem szły pierwsze oddziały szkieletu dywizji *Wiking*, potem *Hohenstauffen*, *Fruntsberg* i reszta.

Mühlenkampf wyszedł na kamienny ganek, by obejrzeć przemarsz. Rozkaz „*Augen... rechts*” – „Na prawo... patrz” – rozbrzmiewał za każdym razem, kiedy kolejna kompania mijała dowódcę *Korps*.

Zgodnie z rozkazem Dieter skierował wzrok z powrotem w przód. Za nazistą Kruegerem zobaczył Braschego maszerującego prosto i, zdawałoby się, dumnie. W przeciwieństwie do swoich podwładnych, Brasche szedł bez broni; jego pięści miały wystarczyć. Z lekkich poruszeń maski przeciwigazowej dowódcy Dieter wywnioskował, że Brasche śpiewa wraz z pozostałymi. Za dowódcą batalionu widać było ostatnich policjantów, zakrwawionych i poobijanych, padających pod ciosami tablic pacyfistów oraz – co mniej niedorzeczne – czerwonych i zielonych.

* * *

Schüler stał niczym zahipnotyzowany, patrząc, jak pierwszy z odzianej w szarość masy żołnierzy wpada między demonstrantów. Chociaż mężczyzna padł dość szybko – w niecałą minutę – chłopak nie mógł powstrzymać podziwu dla zaciekłości, z jaką tamten walczył.

Bardziej niż odwaga tego pierwszego żołnierza – *Oberstleutnanta* Braschego, chociaż on o tym nie wiedział – Schülera zadziwiła – czy raczej zaszokowała – reakcja idących za nim.

* * *

Krueger nie przepadał za Braschem, ani trochę. Staremu naziście dowódca wydawał się podejrzany, może nawet słaby. Nie chodziło o to, co Brasche mówił. Krueger wyczuwał w nim jakąś głęboką niechęć za każdym razem, kiedy raczył nowych chłopców opowieściami z dawnych czasów.

Ale niezależnie od swoich uczuć, kiedy Krueger zobaczył dowódcę padającego na ziemię pod ciosami pięści i kopniakami długowłosego motłochu pod bramą, nie ujrzał w nim słabeusza czy choćby nie nazisty. Zobaczył towarzysza w niebezpieczeństwie. Uniósł pałkę nad głowę i obejrzał się przez ramię.

– Na nich, chłopcy!

* * *

Dzięki mięśniom i kościom wzmocnionym przez ten sam proces, który przywrócił osiemdziesięcioletniego Braschego do pełnej młodości, pięści Hansa migotały i uderzały jak dwie błyskawice. Wbijając się w tłum, zostawiał za sobą zakrwawionych, plujących zębami, krztuszących się i poobijanych lewaków. Za sobą słyszał coraz głośniejszy i coraz bliższy śpiew.

Miał nadzieję, że ten śpiew stanie się bardzo głośny i bardzo bliski... bardzo szybko.

Nagle stanęła przed nim kobieta, wysoka nawet jak na Niemkę, wyzywająco uniosła brodę i rozdarła bluzkę, obnażając piersi i wzywając pułkownika, by zhańbił się uderzeniem kobiety. Brasche zamachnął się... i zatrzymał. Nie potrafił tego zrobić.

Nieszczęśliwie dla niego ani ta kobieta, ani druga, niższa, która złapała go za nogi, nie czuły takich oporów. Podcięty Brasche stracił równowagę i upadł. Nie zobaczył ani nie poczuł stopy w ciężkim bucie, która trafiła go w głowę, wysyłając go na krótko z tego padołu łez w zupełnie inny.

Wiatr wiał z zachodu, niosąc ze sobą smród, którego Leutnant Brasche z początku nie potrafił rozpoznać. Młody oficer chodził ostrożnie, mimo długiej rekonwalescencji w szpitalu. Blizny po oparzeniach na jego nogach wciąż były sztywne i delikatne, pękające i broczące ropą. Wstrząs mózgu również nie dawał mu spokoju, dręcząc go mdłościami i zawrotami głowy.

Szyld na peronie stacji głosił „Birkenau”. Nazwa ta niewiele Hansowi mówiła, poza tym że oznaczała wytchnienie od niekończącej się grozy i trudów frontu wschodniego. Nawet ci, z którymi rozmawiał na froncie, nie mieli do powiedzenia nic ponad to, że obóz ten, tak jak pozostałe, był miejscem, w którym ciężko ranni żołnierze SS mogli przez kilka miesięcy czy tygodni odpocząć w spokoju, służąc jako wartownicy, przed powrotem do frontowego kotła.

Na południowy wschód od peronu Hans zobaczył obóz, który nawet z tej odległości wydawał się dosyć porządnym, może nawet schludnym.

– Co to jest? – spytał esesmana, którego spotkał na peronie, tak samo jak on wysłanego wcześniej na urlop zdrowotny.

– Obóz dla kobiet – odparł tamten. – Za nim jest jeszcze jeden, bardzo podobny. Dobre miejsce, żeby poruchać, jeśli nie zniechęca pana cena kostki mydła, szczotki do zębów albo czegoś do jedzenia. Albo można im po prostu kazać się obsłużyć... Tak słyszałem.

– Kogo tam trzymamy?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Głównie Żydów. A także Polaków i Cyganów. I trochę innych. Wszystko to wrogowie Rzeszy... Tak mówią. Tak czy inaczej, proszę za mną, Leutnant Brasche. Przedstawię pana komendantowi Hössowi.

Obaj w milczeniu poszli na północ, do wygodnych koszar SS. Skromny bagaż Hansa niósł niesamowicie wychudzony, ogolony na tyso Żyd. Kiedy zbliżyli się do obozu, smród stał się gorszy, o wiele gorszy.

Hans wciąż nie potrafił go rozpoznać. A potem poczuł zimny dreszcz na plecach. Tak samo śmierdział jego czołg... po tym, jak wyleciał w powietrze. Przez krótką chwilę przytomności, zanim go ewakuowano, czuł coś podobnego, chociaż bardziej zalatującego spalinami ropy.

– *Co to jest? – spytał. – Ten okropny smród?*

– *Żydzi, Leutnant Brasche – odparł jego nowy towarzysz i przewodnik, ignorując, jak większość esesmanów, skomplikowany system rang odziedziczony po Sturm Abteilung. – Żydzi. Zbieramy ich do kupy, głodzimy, zapracowujemy prawie na śmierć, potem gazujemy i palimy trupy, na zachód stąd.*

– *Mein Gott!*

– *Tu nie ma Boga, Brasche. A po pobycie tutaj zaczynam myśleć, że nigdzie Go nie ma.*

Hans popadł wtedy w rozpaczliwe milczenie i nie odzywał się, dopóki nie został wprowadzony do gabinetu swojego nowego tymczasowego dowódcy. O Hössie wiedział niewiele. Tyle, że dowódca, mimo obecnych obowiązków, był odznaczonym bohaterem Wielkiej Wojny, weteranem Freikorps i w głębi ducha był żołnierzem frontowym. Wiedza ta zadecydowała o tym, co zrobił.

Stając na baczność przed biurkiem Hössa, wyciągnął ramię w salucie.

– *Heil Hitler, Leut... Obersturmführer Hans Brasche melduje się na rozkaz.*

Höss zignorował jego przejęzyczenie, patrząc na lśniący na szyi Braschego nowiutki Żelazny Krzyż Pierwszej Klasy.

– *Przyda się pan nam tutaj, Brasche. Brakuje mi oficerów...*

Hans przerwał mu. Desperackie pragnienie, by nie widzieć i nie wiedzieć nic więcej niż już widział, dodało mu odwagi.

– *Panie komendancie, bardziej przydam się na froncie. Moje rany wystarczająco się wygoiły. Chciałbym wrócić do dawnej jednostki, dywizji Wiking, służyć ojczyźnie i Führerowi.*

Höss przyjrzał mu się uważnie. Nie, na kamiennej twarzy chłopaka nie było śladu niczego innego poza głębokim poczuciem obowiązku. Komendant skinął głową.

– *Dobrze, Brasche. Całkowicie rozumiem pragnienie powrotu na front. Przygotowanie rozkazów potrwa dzień czy dwa. Wyślę pana z powrotem do pana dywizji. Dobry z pana chłopak. SS może być z pana dumne.*

Dieter Schultz nie był fanatykiem. Nie był nim również jego przyjaciel Harz. Ale kiedy zobaczyli, jak ich dowódca pada po zdradzieckim, podstępny ataku, nawet zniechęcony i pogardzany Krueger nadawał się, by ruszyć za nim do szturm.

Chłopcy runęli niczym niepowstrzymana masa spadających pałek, wymachujących pięści i kopiących stóp. Tych, którzy przed nimi upadli, nie oszczędzali; kopali do nieprzytomności, w niektórych przypadkach nawet na śmierć. Śpiew w pierwszych szeregach ucichł, szybko zastąpiony łkaniem, wrzaskami i błaganiami czerwonych i zielonych.

– *Żadnej litości, chłopcy! – krzyczał Krueger w uniesieniu, choć niepotrzebnie. – Połamać im gnaty!*

* * *

– *Mein Gott!* – wykrzyknął Schüler, patrząc szeroko otwartymi oczami na rozgrywającą się przed nim scenę rzezi. Zdezorientowani protestujący uciekali w panice. Żołnierze formowali szyki do pościgu, podczas gdy ci z tyłu pomagali pobitym towarzyszom, jednocześnie kopiąc jeszcze i bijąc powalonych demonstrantów.

Młoda kobieta – stratowana przez uciekający tłum – przeszła obok, słaniając się, z twarzą zalaną krwią. Schüler ruszył ku niej, by pomóc. Kiedy się zbliżył, usłyszał, jak dziewczyna mamrocze coś bez przerwy.

– *To niemożliwe. To nie do wiary. To niemożliwe.*

Zarzucił sobie jej ramię na szyję i zaczął ją ciągnąć tam, gdzie powinni być bezpieczni – do

pobliskiego miasteczka Paderborn. Dziewczyna wciąż powtarzała: „To niemożliwe”.

Chociaż Schüler naprawdę chciał jej pomóc, powtarzany w kółko refren w końcu go zmęczył.

– Jak się pani nazywa, Fräulein? – spytał.

Zawahała się, jakby musiała sobie przypomnieć.

– Liesel. Liesel Koehler.

– Co tu jest „niemożliwe” i „nie do wiary”?

Liesel, wciąż opierając się na nim ramieniem, stanęła. Słowa wydawały się przychodzić jej z trudem.

Zmusił ją, by ruszyła z miejsca, aby uciec przed rozszalałymi żołnierzami.

– To niemożliwe, żeby ludzie zachowywali się tak jak oni – powiedziała w końcu. – Po prostu niemożliwe. To niemożliwe, żeby nasze dobre zamiary dziś tutaj nie zwyciężyły. To nie do wiary, że czeka nas inwazja. Jaki inteligentny gatunek mógłby się zachowywać tak, jak podobno zachowują się ci „Posleeni”? Wszechświat po prostu nie może być tak urządzony. To niemożliwe.

Schüler nic nie odpowiedział. Pomyślał jednak: To niemożliwe, mówisz... A jednak żołnierze zrobili to, co zrobili. Niemożliwe, żeby dobre intencje nie zdały się na nic. A mimo to tak się stało. Dlaczego więc niemożliwe miałyby być to, że ci obcy zachowują się tak, jak nam się mówi? Bo nie chcesz się z tym pogodzić? Nie potrafisz ujrzeć świata czy wszechświata takim, jaki jest? W czym jeszcze się mylisz, Liesel, ty i tobie podobni?

* * *

Dieter Schultz i Rudi Harz, prowadzący swoich ludzi przez miasteczko, napotkali młodego mężczyznę na wpół niosącego na ramieniu dziewczynę. Instykt i rozkazy, wzmocnione przez niedawne wydarzenia, kazały im zabić tę dwójkę. Ale oboje wyglądali niegroźnie; mężczyzna był zajęty, a kobieta zakrwawiona.

– Co wam się stało? – spytał podejrzliwie Harz.

Mężczyzna podniósł rękę w geście pokoju.

– Stratował ją spanikowany tłum – skłamał.

Harz i Schultz popatrzyli po sobie i opuścili pałki.

– Nie jesteście tu bezpieczni – powiedział Harz. – Idźcie stąd.

Schüler skinął głową.

– Gdzie jest najbliższe biuro werbunkowe? – spytał. – I co to za jednostka?

Schultz zastanowił się, a potem wskazał mu drogę.

– Czterdziesty Siódmy *Panzer Korps*. A o co chodzi?

– Myślę, że myliłem się co do paru ważnych spraw. „Niewiarygodnie” się myliłem.

Harz ani Schultz nie drążyli dalej tematu. Schüler poszedł swoją drogą, niosąc Liesel. Zostawił ją w pierwszym punkcie opatrunkowym, jaki znalazł, a potem ruszył dalej.

Po kilku minutach dotarł do biura werbunkowego Bundeswehry w Paderborn. Szyba w oknie była pęknięta, ale cała. Srebrna farba z dwóch prymitywnych błyskawic ściekała po szkło. W środku stał sierżant dzierzący pałkę.

– Nazywam się Andreas Schüler. Chcę wstąpić do 47. *Panzer Korps*.

Sennelager, Niemcy, 21 lipca 2005

Mühlenkampf siedział za wielkim biurkiem pochodzącym jeszcze z połowy dziewiętnastego wieku, zaś jego dowódcy dywizji i brygad stali przed nim. Z tyłu, przy podwójnych drzwiach sali konferencyjnej, stały dwie kompletne, ale różne zbroje z połowy piętnastego wieku. Na ścianach wisiały sztandary; najstarsze z nich były osiemnastowieczne. Wzdłuż ścian stały proporce, zwieńczone orłami i wieńcami czerwono-biało-czarne chorągwie ze złotymi lamówkami.

Na każdym z nich widniały podwójne błyskawice. W wieńcach znajdował się jakiś symbol: zakrzywione koło słoneczne, klucz przebity błyskawicą, zaciśnięta pancerna pięść. Na jednym widać było stylizowaną literę H, na innym F.

– *Fruntsberg*? – zaczął Mühlenkampff tonem swobodnej rozmowy, używając nazwy dywizji zamiast nazwiska jej dowódcy, *Generalmajora* von Ribbentropa. Uważał go za całkowitego mięczaka, kabotyna i głupca. Tylko jego stopień oficera SS i współczesne polityczne powiązania pozwoliły mu objąć dowodzenie dywizją. – *Fruntsberg*, dlaczego według pana dopuszczono, byśmy zostali zaatakowani w naszym obozie? Dlaczego oddziały do tłumienia zamieszek nie były dostępne w liczbie wystarczającej, by zapobiec tak oczywistemu i masowemu wystąpieniu?

Pytania były retoryczne. Mühlenkampff nie czekał na odpowiedź.

– *Hohenstauffen*, co się dzieje z naszym krajem? *Jugend*, dlaczego wszystkie *Korps* sił zbrojnych oprócz naszego były sabotowane? *G von B*, dlaczego tak wielu młodych mężczyzn zwalnia się od poboru? *Wiking*, dlaczego pewne frakcje w rządzie próbowały sabotować nas i *Kriegseconomie*?

Wzrok Mühlenkampffa spoczął w końcu na jedynym obecnym dowódcy batalionu.

– W czym tkwi problem, Hansi?

– Nie wiem, *Herr Generalleutnant* – przyznał Brasche.

– Ja wiem – powiedział z pewnością siebie Ribbentrop. – To Żydzi.

Mühlenkampff prychnął z pogardą.

– Bzdura, Ribbentrop, ty mięczaku. W Niemczech nie ma dziś dość Żydów, żeby sformować z nich pluton. Są najmniej wpływową grupą, jaką mamy. Żałuję, że nie ma ich więcej. Izraelczycy przynajmniej potrafią walczyć.

Potrząsnął głową.

– Zapomnijcie o Żydach, panowie. Nasze problemy są naszego własnego chowu. Kanclerz jest... w porządku... chyba. Ale poza nim? Kalejdoskop czerwonego, zielonego i jeszcze jakiegoś koloru, którego nie potrafię z tej odległości rozpoznać. A to może być czerń najgłębszej nocy, czarna jak dalekie rubieże kosmosu.

Mühlenkampff wstał, wziął z biurka cienki plik papierów, a dokładnie kopii, i zaczął je rozdawać.

– Szybko zbliżamy się do końca najbardziej intensywnego okresu szkolenia. Od tej pory możemy się odprężyć, chociaż nie za bardzo. Myślę nawet, że niektórym naszym ludziom mogą już przysługiwać przepustki. Macie zacząć je przydzielać tym, którzy zasłużą, maksymalnie piętnastu procentom stanu osobowego jednocześnie. W dokumentach tych znajdują się nazwiska ludzi, których podejrzewam o to, że są naszymi wrogami. Byłoby dobrze, gdybyście pozwolili żołnierzom zobaczyć te nazwiska, zanim podpiszą się na bramie obozu – dokończył dowódca, wracając na swoje miejsce.

Berlin, Niemcy, 15 września 2005

Chociaż Darhel tego nie wymagał, Günter stał przed jego olbrzymim biurkiem na baczność. W końcu przecież był Niemcem.

Twarz Darhela była niewzruszona. Jego spojrzenie wędrowało, omiatając wszystko oprócz twarzy biurokraty. Słowa, zniekształcone seplenieniem spowodowanym przez rekinie zęby obcego, były wymawiane jak do kogoś nieobecnego.

– Projekt ciężkiego pojazdu bojowego nie został wstrzymany – zauważył Darhel. – Dopuszczono do odmłodzenia najgroźniejszych wojowników niemieckiego ludu. Nie zakończono sabotażu sił zbrojnych zgodnie z wytycznymi. Moi zwierzchnicy będą chcieli usłyszeć ode mnie jakieś wytłumaczenie. A ja nie mam wytłumaczenia dla tej porażki poniesionej przez moich

podwładnych.

Chociaż w gabinecie było chłodno, wręcz nieprzyjemnie zimno, twarz Güntera pokrywała warstewka zimnego potu.

Poprzez seplenienie Darhela dało się słyszeć irytację.

– Jakieś wytłumaczenie będzie konieczne.

– Mój panie – wyjąkał Günter – ci esesmani po prostu nie chcą słuchać rozkazów. Każemy im robić konkretne rzeczy albo ich nie robić, a oni nas lekceważą. Polityczni przywódcy, którzy postrzegają sprawy we właściwy sposób, tak jak ja, są wypędzani z ich obozów przez gromady umundurowanych opryszków.

– Można wstrzymać płace – zasugerował Darhel, zamykając oczy; jego drobnym ciałem wstrząsnął lekki dreszcz. – Cofnąć racje żywieniowe. Nałożyć kary. Wręczyć łapówki.

– Wszystkiego tego już próbowano, mój panie. Nic nie podziałało. Poza tym co najmniej jedenastu naszych zwolenników w Bundestagu zniknęło w podejrzanych okolicznościach, za każdym razem po dwóch albo trzech. Bardzo niewielu właściwie myślących polityków ma odwagę działać w obliczu takiego zagrożenia. Ale, mój panie, czy twoi zwierzchnicy nie mogą zrozumieć, że osiągnięto dużo dobrego? Z trzynastu pancernych *Korps* szkolenie pełnego tuzina było sabotowane przez propagandę, odwoływanie się do praw młodych żołnierzy, wstrzymywanie dostaw zaopatrzenia i rygorystyczne egzekwowanie wymogów ochrony środowiska. Co więcej, projektowany czołg będzie miał słabszy pancerz. Odmówiono zgody na jądrowy napęd i uzbrojenie. Te rzeczy na pewno przeważają nad drobnymi niepowodzeniami.

– Być może – zgodził się z wahaniem Darhel. – Mimo to widzieliśmy i musimy pamiętać, jak często udawało wam się uniknąć jedynej słusznej pozycji w galaktycznej cywilizacji dzięki przeciskaniu się przez najdrobniejsze szpary.

INTERLUDIUM

Głos Bin'ar' rastemona Pamiętającego niósł się po auli zgromadzeń.

– Na początku, jak mówi nam Zwój Tenusaniara, Lud był nieliczny, słaby, bezsilny... i łatwowierny. I stało się tak, że kiedy przybyli do niego Aldenat', Lud obdarzył ich czcią niczym bogów. A moce Aldenat' były niczym boskie. Uzdrawiali chorych. Pokazali nowe sposoby uprawy roli i zdobywania pożywienia. Nieśli ze sobą słowa miłości i pokoju, a Lud pojął je i stał się niby ich dzieci. Aldenat' czynili cuda ponad wszelkie wyobrażenia.

– Ponad wszelkie wyobrażenia – zaintonował w odpowiedzi tłum.

– I Lud rozkwitł – ciągnął Bin'ar' rastemon. – Liczba jego rosła i rosła, i radował się, służąc swoim bogom Aldenat'. Z czasem jednak niektórzy zaczęli zadawać pytania. Pytali o wszystko. A odpowiedź Aldenat' zawsze była jednaka: „My wiemy, a wy nie wiecie”. Ci, którzy pytali, Wiedzący, skarżyli się: „Planety, które nam daliście, nie są w stanie wyżywić rosnącej populacji”. Aldenat' odpowiadali: „My wiemy, a wy nie wiecie”. Wiedzący pytali: „Czy nie ma lepszego sposobu podróżowania od gwiazdy do gwiazdy?”. A Aldenat' odpowiadali: „My wiemy, a wy nie wiecie”. Wiedzący zauważali: „Życie jest walką. A wy zabroniliście nam brać w niej udział. Czy wobec tego w ogóle żyjemy?”. A Aldenat' odpowiadali: „My wiemy, a wy nie wiecie”.

– Mówili, że oni wiedzą, a tamci nie wiedzą – znów wyrecytowało zgromadzenie.

– A tamci nie wiedzą – wygłosił razem z nim Bin'ar' rastemon.

– I stało się tak, że ci spośród Ludu, których zwano Wiedzącymi, zbuntowali się. I wybuchła wojna pośród Ludu. I doszło do rzezi. Był ogień i śmierć. A Aldenat' odwrócili twarze, nie chcąc tego widzieć...

* CZĘŚĆ II *

Weszli w normalną przestrzeń, plując ogniem i śmiercią. W zimnej próżni wyszła im naprzeciw Flota 4.2, z supermonitorem *Lexington* i jego załogą na czele. *Lexington* odpowiadał ogniem i śmiercią, bronią jądrową, antimaterią, pociskami kinetycznymi i plazmą.

Wszystko to na nic. Chociaż Posleeni ginęli milionami, *Lexington* – zwany *Lady Lex* – i jego eskorta wytrzymały zaledwie kilka dni, zanim uległy pod naporem mas fanatycznych obcych.

Wkrótce przestrzeń wokół Bazy Tytan stała się polem bitwy, a w próżni unosiło się coraz więcej złomu i zwęglonych, zmrożonych strzępów ciała. Tę bitwę również przegrano. Pozornie niekończąca się flota Posleenów runęła na Ziemię, drżącą pod ich naporem.

Wäller Kaserne, Westerburg, Niemcy, 26 marca 2007

Nieogolony, ale opanowany *Mühlenkampf* warknął ponuro na widok obrazów wyświetlanych na jego monitorze.

– Przebili się. Amerykańcy nie mogli ich zatrzymać, ledwie ich spowolnili. Baza tak samo.

– My ich powstrzymamy, *Herr Generalleutnant* – powiedział pogodnie stojący obok adiutant.

– Oczywiście, Rolf – odparł generał z większym przekonaniem niż rzeczywiście czuł.

Wyświetlane liczby nie wyglądały zachęcająco. – Odwołaj wszystkie przepustki. Kod „*Gericht*”. Wszyscy żołnierze mają się zgłosić na swoje stanowiska bojowe i w punktach zbornych.

Giessen, Niemcy, 25 marca 2007

Jej imię oznaczało „walczącą”, nawet jeśli nosiła nieodpowiednie imię. Wysoka i szczupła, ze złotymi włosami, alabastrową skórą i zgrabnymi nogami, Gudrun nie kojarzyła się w najmniejszym stopniu z walką. Poruszała się wdzięcznie jak dojrzała kobieta, chociaż Dieter podejrzewał, że miała co najwyżej szesnaście lat.

Schultz widział ją po raz pierwszy w wojskowym ośrodku wypoczynkowym obsługującym żołnierzy z rejonu miasta Giessen. Potem wracał tam za każdym razem, kiedy miał okazję, z nadzieją ujrzenia jej ponownie.

Teraz – czyżby los się do niego uśmiechnął? – dziewczyna siedziała przy stoliku obok. Z bliska wydała się Dieterowi jeszcze śliczniejsza niż z daleka, i to pomimo dość oczywistych prób okazania wyrobienia, którego prawdopodobnie nie miała. Wyjęła papierosa i nonszalancko trzymała go w dłoni, czekając, aż ktoś go przypali.

– Dawaj zapalniczkę, Rudi – zażądał Schultz od Harza. – Szybko. Wiesz, że nie palę.

Z uśmiechem, który można by opisać jedynie jako pełen współczucia, nawet jeśli był nieco rozbawiony, Rudi podał Dieterowi zapalniczkę. Już w następnej chwili Dieter stał obok Gudrun z wystrzelającym z dłoni płomykiem.

Dziewczyna uśmiechnęła się ciepło i podziękowała, co Dieter potraktował jako zachętę; przysiadł się więc i przedstawił.

– Ach, mam na imię Gudrun.

– Bardzo mi miło cię poznać, Gudrun. Bardzo.

Dziewczyna nie spytała go, czy służy w wojsku, bo to było oczywiste – miał na sobie szary połowy mundur. Zapytała jedynie o jednostkę i specjalność.

– Jestem strzelcem Tygrysa III w 501. Batalionie Czołgów Ciężkich, 47. *Panzer Korps* – odparł.

Gudrun natychmiast się odsunęła.

– *SS Korps*? Nazistów?

Dieter zaśmiał się.

- Nie jesteśmy korpusem SS, Gudrun. Według mojego dowódcy, sierżanta majora Kruegera, nie zasługujemy, żeby czyścić buty prawdziwym esesmanom. Ale to oni nas szkolili – przyznał.
- A więc nie jesteś nazistą?
- Ja? – Dieter zaśmiał się jeszcze głośniejsze. – Nie, *Liebchen*. Byłem studentem, kiedy mnie powołali i dali mi wybór. Tak jakby wybór. Niespecjalny, skoro o tym mowa. – Wzruszył ramionami. – Dziadek powiedział, że lepiej na tym wyjdę, jeśli będzie mnie szkolić stare SS niż nowa Bundeswehra. No to tam poszedłem. A ty?
- Ja się jeszcze uczę, chcę zostać krawcową – odparła. W tym momencie muzyka zmieniła się na jakiś wolny kawałek.
- Zechcesz zatańczyć, krawcowo Gudrun?

* * *

Brasche pozwolił iść na tańce prawie wszystkim, oprócz załogi szkieletowej. W Tygrysie III, ochrzczonego – jeśli to właściwe słowo – imieniem *Anna*, został razem z nim Krueger i nowy chłopak, Schüler, którego dopiero co przydzielono. Dwaj inni obsługiwali dodatkowe dwudziestopięciomilimetrowe działo MauserWerke, zdalnie sterowane z opancerzonego centrum bojowego w głębi czołgu. Ładowniczy, którego zadaniem było kierowanie windami i automatycznymi prowadnicami, ładującymi trzydziestopięciocentymetrowej średnicy pocisk i jego ładunek wyrzutowy do komory działa, czuwał na swoim stanowisku.

Pozostałych szesnastu członków załogi *Anny*, w tym Schultz i Harz, było w Giessen, gdzie usiłowali po raz ostatni zakosztować miłości przed wyruszeniem w czekający ich bój.

Braschego to jednak nie interesowało, mimo że znów miał ciało dwudziestolatka. Spotkał już tę jedyną w życiu dziewczynę, która cokolwiek dla niego znaczyła. A ona była dla niego stracona na zawsze; pozostało mu tylko zdjęcie, kosmyk włosów i obrazy oraz uczucia wyryte w jego sercu i umyśle.

Tamta dziewczyna, pierwsza Anna – kiedyś z krwi i kości – uśmiechała się do niego ze zdjęcia, które Hans trzymał w dłoni.

* * *

Gudrun lekko i wdzięcznie tańczyła w ramionach Dietera. Sam chłopak nie był najlepszym tancerzem. Mimo to taniec w swojej najpiękniejszej postaci, tak jak akt miłości, spaja dusze w harmonijną jedność. I tak było z nimi dwojgiem, ruchy ich ciał składały się w jedno. Kiedy taniec się skończył, Dieter wiedział już, że znalazł swoją jedyną dziewczynę. Po prostu do siebie pasowali. Doskonale.

Słodki zapach jej perfum drażył jego umysł, zgodnie z zamierzeniem wywołując w nim krótkie śpięcie. Wrócili razem do stolika Gudrun, obejmując się w pasie i przytulając.

Przy stoliku zaczęli rozmawiać. I oboje wiedzieli, że to poważna rozmowa. Nie było czasu na gry i podchody, tak uwielbiane przez autorów romansów.

– Pragnę cię, Gudrun – oznajmił po prostu Dieter. – Teraz. Tu albo gdzieś blisko. Wszystko jedno gdzie. Ale w tej chwili.

Dziewczyna wyglądała na rozdartą. Jej twarz promieniała pożądaniem co najmniej tak samo silnym jak jego. Mimo to z wahaniem pokręciła głową.

– Mam chłopaka, Dieter. W 33. *Korps*, 165. Dywizja Piechoty. To by było nie w porządku... przynajmniej dopóki mu nie powiem o tobie... o nas.

Schultz doskonale to rozumiał.

– Ale kiedy mu powiesz albo napiszesz...

– Wtedy tak. Ty i ja – zgodziła się.

Pokiwał głową.

– Tak. Ty i ja.

W tej chwili przy wejściu wybuchło jakieś zamieszanie. Dieter zobaczył Harza przeciskającego się przez gęstniejący tłum.

– Zaczęło się, Dieter – oznajmił Harz. – „*Gericht*”. *Sie kommen*. Nadchodzą.

* * *

Ze swojego miejsca wysoko na szczycie wieży *Anny* Brasche zobaczył strzelające w dół i w górę błyskawice – to posleńskie okręty zmiękczały systemy obronne, a ludzkie Centra Obrony Planetarnej im się odgryzały. Niechętnie i z żalem schował zdjęcie drugiej *Anny* do małego futerału, który nosił na sercu od prawie sześćdziesięciu lat.

– *Anno*, na dół – rozkazał, a system rozpoznawania głosu Tygrysa wysłał polecenie opuszczenia platformy małej windy, na której stał Brasche. do ciężko opancerzonego centrum dowodzenia czołgu.

Był tam Krueger ze szkieletową załogą. Jak to często miało miejsce, sierżant major raczył chłopców opowieściami z ostatniej wojny. Co do tego Brasche nie mógł mieć i nie miał zastrzeżeń. Czasami jednak Krueger opowiadał im inne, okropne rzeczy. Tego Brasche nienawidził, tak jak nienawidził samego Kruegera.

– Było świetnie, chłopcy, mówię wam. Wybór kobiet w tych obozach. Niektóre były nawet niezłe, chociaż to były tylko żydowskie suki.

– Jak pan trafił do takiego obozu? – spytał Schüler. – Myślałem, że był pan żołnierzem frontowym.

– Widzisz, byłem tam tylko przez jakieś pół roku. Leczyłem się po postrzale przez Ruskich. W Ravensbrück. To był obóz dla kobiet. Było ich tak dużo, że nawet nie pytaliśmy, jak się nazywają.

Brasche usłyszał już dość, więcej niż dość.

– Sierżancie majorze, to by było na tyle. Żołnierze, na stanowiska. Wróg nadciąga. Wyruszmy na jego spotkanie, kiedy tylko wróci reszta załogi.

Żołnierze zaczęli zajmować swoje stanowiska bojowe. Dłoń Hansa instynktownie pogładziła lewą kieszeń jego kombinezonu czołgisty, „*Panzerkomph*”, i mały futerałik, który w niej spoczywał. Pilnował się, by zachować obojętny wyraz twarzy.

* * *

Harz uprzejmie odwrócił wzrok, kiedy Dieter i Gudrun zegnali się, szepcząc czule słówka i obietnice.

– Już przyjechał po nas autobus, Dieter. Przykro mi, musimy jechać.

Schultz niechętnie wysunął się z objęć Gudrun. Jej dłonie puścił ostatnie. Nawet wtedy nie mógł się powstrzymać; uniósł jedną z nich do ust i przycisnął do niej wargi.

– Wrócę – powiedział. – Obiecuję. Gudrun natychmiast zalała się łzami.

– Będę czekać, obiecuję – powiedziała drżącym głosem. Zwiesiła głowę w prawdziwej rozpacz. – Obiecuję.

W głowie wirowała jej myśl, że to była ich ostatnia szansa, że Dieter nie mógł czekać, aż ona zerwie z tamtym chłopakiem. Ale nie było na to czasu. Ogłoszono zbiórkę. Autobus czekał.

– Pisz do mnie – załkała. – Proszę, napisz.

Pospiesznie nabazgrała na serwetce adres e-mailowy.

Dieter, z sercem jednocześnie przepelnionym radością i pękającym z bólu, pokiwał głową, wziął serwetkę, puścił dłoń dziewczyny i odwrócił się. Przed ośrodkiem czekał już autobus. W środku żołnierze śpiewali:

Muss I'denn, muss I'denn,
Zum Stadtele hinaus, Stadtele hinaus,
Und du, mein Schatz, bleibst hier...

Brasche z satysfakcją popatrzyl z fotela dowódcy na swoję załogę. Bez przepychanek i zamieszania wszyscy zajęli swoje miejsca i zapięli pasy. Tylko młody Schultz, główny strzelec, wydawał się rozkojarzony.

- Co się stało, Dieter?
- Nic, *Herr Oberst* – odparł chłopak.

Brasche uniósł pytająco brew.

– Zakochał się – powiedział zawsze pomocny Harz. – I to w miłej dziewczynie, jeśli pozory nie mylą.

Nakreślił dłońmi w powietrzu figurę Gudrun, sporo przesadzając.

Schultz spojrział ze złością na przyjaciela. Brasche tylko się uśmiechnął.

- Ciesz się więc, *Unteroffizier* Schultz. Teraz być może już wiesz, o co warto walczyć.

Brasche spojrział na mapę wyświetloną na ekranie przymocowanym do lewej poręczy jego fotela. Nakreślił na niej palcem trasę, którą zamierzał skierować swój batalion. Naciśnięciem przycisku wysłał ją do każdego z dwunastu Tygrysów 111. Potem włączył mikrofon krtaniowy.

- *Achtung, Panzer. Aufrollen.*

INTERLUDIUM

Nawet w środku B-Deka, otoczonego przez C-Deki i Minogi, Athenalras czuł szarpnięcia mijających okręt pocisków kinetycznych. Cały statek aż podskakiwał.

– Faktycznie, jedzenie, które żądli – prychnął, kiedy okręt obok eksplodował i zniknął z jego ekranu.

Przeklął stratę, a potem wydał rozkaz skupienia ognia na baterii thresh, która zniszczyła jego jednostkę. Relatywistyczny grad runął z dziesiątków okrętów na jedną z gór we francuskich Pirenejach. Dla obrońców na dole wyglądało to jak stożek ognia z ręki Boga, który niszczy wszystko swoim wierzchołkiem.

Kolejny ekran ukazał posleeniskiemu dowódcy żarzący się skrawek terenu, już nie tak górzysty. Obszar ten po chwili zakryły tumany kurzu i popiołu; przez gniewną, ciemną chmurę przebijały płomienie ze zniszczonej powierzchni.

Athenalras uniósł triumfalnie grzebień, wywijając krokodyle wargi w złowieszczym grymasie.

– Sprzeciwcie mi się teraz, małe *abat*.

– Nadlatuje ogień, mój panie – oznajmił Ro' moloristen jakby na rozkaz. – Ciężki ostrzał.

Rozwścieczone utratą baterii w Pirenejach, pięć zamaskowanych dotąd ludzkich Baz Obrony Planetarnej – w Wogezach, Apeninach, niemieckich i szwajcarskich Alpach oraz górach Atlas – otworzyło ogień. Kolejne okręty Athenalrasa zniknęły w puchnących szybko chmurach cząstek.

Wszechwładca jeszcze raz przeklął podłe thresh tego świata. Wysłał dalsze rozkazy swoim okrętom. Z nieba runął jeszcze straszliwszy ostrzał. W Wogezach, Apeninach, Alpach i Atlasie śnieg wyparował, góry zadrżały, a ludzie w jednej chwili zmienili się w popiół.

Straty obu stron były ciężkie. Posleeni jednak mogli sobie na nie pozwolić.

Widząc, że opór na ziemi zelżał – przynajmniej na tyle, że można było lądować – Athenalras uznał, że nadeszła odpowiednia chwila. Poza tym kto mógł wiedzieć, czy ci przekłeci ludzie nie mają więcej ukrytych baterii. Na ziemi byłoby bezpieczniej.

– Wystrzelić desant – rozkazał.

Kessentaowie z jego świty wznieśli radosny okrzyk zwycięstwa.

Opadali falami fal, dziesiątkami tysięcy posleńskich lądowców. Daleko w kosmosie podzielili się na trzy duże floty; jedną kierującą się na Europę i Północną Afrykę i po jednej mniejszej na Indie i Amerykę Południową – obszary w dużej mierze zajęte już przez Posleenów, którzy przybyli tam wcześniej. Latynosi i Hindusi nie mieli właściwie żadnych możliwości obrony.

Najeźdźca wylądował najpierw na wybrzeżu Afryki Północnej. Nad Nilem i jego deltą Egipcjanie – tak samo muzułmanie, jak i chrześcijanie – modlili się o wybawienie. Ale wybawienia nie było.

Jedynie wszędobylscy Beduini ocalili w większej liczbie na zachód od Egiptu, wzdłuż żyznego północnoafrykańskiego wybrzeża. Mieszkańcy miast i osad zniknęli zaś w pełnych ostrych kłów paszczach najeźdźców.

Trzy kule z siedemdziesięciu trzech kul tej fali – i pięćdziesięciu ośmiu skierowanych nad Europę i Afrykę Północną – wystarczyły, by w kilka dni zawładnąć krainą jednej z najstarszych cywilizacji Ziemi, wraz z dużą częścią obszarów stanowiących jeden z jej najdawniejszych mateczników barbarzyństwa.

Trzy następne wypędziły nielicznych ocalałych Włochów w Apeniny i dalej na północ, w głąb Alp. Na starożytnym bruku ulic rzymskiego Forum rozbrzmiewał stukot pazurów obcych.

W ruinach Madrytu niedobitki Legionu Hiszpańskiego walczyły do ostatka wśród potrzaskanych kamieni El Prado. Wszędzie na Półwyspie Iberyjskim hiszpańscy i portugalscy żołnierze ginęli na swoich posterunkach, żeby zyskać kilka dni, kilka godzin, by cywile zdążyli schronić się w Pirenejach i czekających tam na nich podziemnych miastach. W niektórych przypadkach to wystarczyło.

Cztery kule wylądowały w słonecznej niegdyś Iberii.

Tyle samo dotknęło angielskiej ziemi. Anglikom jednak udało się wystawić armię adekwatną do sytuacji. Lądujący Posleeni napotkali zimny opór, kamienne mury i zaporowy ogień artylerii. Ostatecznie Zjednoczone Królestwo zachowało swoje terytorium i ludność od linii biegnącej nieco na południe od Wału Hadriana. Było to duże osiągnięcie.

Pojedyncza kula skierowana na Szwajcarów i Austriaków popełniła błąd, lądując w umocnionej szwajcarskiej dolinie. Wokół miejsca lądowania pojawiły się nagle ukryte działa. Piechota, którą można było zaliczyć do najlepszych strzelców świata, wyskoczyła jakby znikąd. Posleńskie siły zniknęły ze szczętem; nikt nie ocalał.

Kule, które wylądowały w Belgii i Holandii, pozostawiły przy życiu tylko tyłu ludzi, ilu udało się uciec do Niemiec. Francja i Polska, które najbardziej odczuły ciężar ataku, zostały zmiażdżone. Paryż trzymał się przez jakiś czas, tak samo Warszawa. Kilka innych miast, przygotowanych z góry do obrony, również nie padło od razu. Ale ani Francuzi, ani Polacy nie byli w pełni przygotowani na rozmiar i zaciekłość ataku. Francuzów zwiodło myślenie życzeniowe, Polacy zaś, liczni jak nigdy dotąd, wciąż zmagali się z dziedzictwem czterdziestu pięciu lat rządów komunistów oraz wynikłej z nich niegospodarności i korupcji.

Można było jednak powiedzieć o jednych i drugich, że walczyli zaciekle, zginęli honorowo i nie przynieśli wstydu swoim przodkom.

Siedem kul wylądowało w Niemczech, desantując blisko trzydzieści milionów Posleenów. Kulami tymi dowodził kessentai, za którym Athenalras nie przepadał i o którym nie miał zbyt wysokiego mniemania. Na ich spotkanie wyszło trzynaście dużych *Korps* pancernych – trzydzieści dziewięć dywizji pancernych i dwadzieścia sześć panzergrenadier oraz o wiele liczniejsza piechota.

Stosunek sił w Niemczech był dla Posleenów gorszy, niż kiedykolwiek w ich dziejach. Pięć z czekających na nich ciężkich dywizji nazywało się: *Wikinga Hohenstaufen*, *Fruntsberg*, *Jugend* i *Götz von Berlichingen*. Jeden batalion zaś nosił nazwę 501. *Schwere Panzer* (Michael Wittman).

Paryż, Francja, 27 marca 2007

Na dworze padał śnieg, kiedy zadzwonił telefon. Jej mąż miał czas na jedną rozmowę, i to krótką.

– Kocham cię, Isabelle. Zawsze o tym pamiętaj. Okazuje się, że zagrożenie, w które nie wierzyłaś, jednak istnieje. I wygląda na to, że koncentruje się na nas i na Polakach. Mój oddział niedługo ruszy do akcji. Ty za to musisz przygotować siebie i chłopców do uciezki. Nie umiem wam powiedzieć, dokąd iść ani jak się tam dostać. Ale uważnie oglądaj wiadomości. Nie ufaj wszystkiemu, co mówi władza. A kiedy przyjdzie pora uciekać, musisz uciekać... i to szybko.

Tak jakby jej odpowiedź, że rozumie, była jakimś sygnałem, mąż powtórzył:

– Pamiętaj, że cię kocham.

A potem w słuchawce zapadła głucha cisza.

Następne godziny wypełniło gorączkowe pakowanie od dawna nieużywanego sprzętu biwakowego, jedzenia i minimum koniecznych zimowych ubrań. Dlaczego nie spakowała się wcześniej? Isabelle przeklinała samą siebie. Z każdą serią nadlatujących z kosmosu błysków śmierci podobnych do meteorów rosło w niej przekonanie, że straszliwie się myliła.

Nie mogła jednak przestać winić Amerykanów za to, że niepotrzebnie ściągnęli na wszystkich tę wojnę.

Pakowała torbę za torbą, a jej starszy syn Thomas znosił je do samochodu i starannie upychał w bagażniku.

Kiedy samochód został załadowany, Isabelle przypięła fotelik dla niemowlęcia. Potem razem z Thomasem odgarnęli śnieg z szyb.

Wäller Kaserne, Westerburg, Niemcy, 27 marca 2007

Na zewnątrz kwatery głównej padał śnieg, unoszony wiatrem i układający się w chaotyczne zaspę. W środku szalała podobna śnieżycą papierów i słów. Ale tutaj wola jednego człowieka zapanowała nad chaosem przerażających wieści.

– Główne lądowania nastąpiły w Ingolstadt, Aschaffenburgu, Meissen, Schwerin, Nienburgu i Guemmersbach, *Herr Generalleutnant* – oznajmił adiutant Rolf, dźgając palcem zaznaczone na leżącej na stole mapie kolejne miejsca skażone obecnością Posleenów. – Mniejsze w całym kraju.

Zadzwonił telefon. Ani posleńska inwazja, ani cztery lata ciągłych bombardowań przez aliantów podczas drugiej wojny światowej nie zdołały zniszczyć Bundespost, niemieckiego systemu telefonii.

– *Generalleutnant*, kanclerz do pana.

Mühlenkampf wziął słuchawkę i przedstawił się.

Przez kilka minut słuchał.

– Tak, *Herr Kanzler* – odpowiedział w końcu. – Rozumiem. Może pan liczyć na 47. *Panzer Korps*.

Generał odłożył słuchawkę na widełki i głośno odetchnął.

– Piechota prawie wszędzie łamie się i ucieka – oznajmił swojemu sztabowi. – Niektóre miejscowości jednak się trzymają. Aschaffenburg padł, ale Würzburg i Schweinfurt wciąż walczą; Ruszemy na południe, odciążymy te miasta i całkowicie zniszczymy najeźdźców.

Adiutant czekał na następne słowa. Słowa te pozostały jednak niewypowiedziane.

– Co z naszymi flankami, *Herr Generali* – zapytał w końcu.

Mühlenkampff pokreślił głową.

– Pozostałych dwanaście ciężkich *Korps* jest już zajętych walką. Jedyne piechota w okolicy, która mogłaby coś zdziałać, jest już rozbita... Została rozbita w kilka godzin. Jesteśmy sami.

* * *

Autobahn zamienił się w płynącą powoli rzekę pojazdów, zwykłych i opancerzonych. Cywile przemieszczający się na północ dwoma strumieniami mieli umęczone, ściągnięte przerażeniem twarze.

Między nimi szli tysiącami żołnierze, w większości bez broni. To byli złamani ludzie z rozbitych formacji. Pozbawieni przywództwa, byli też pozbawieni woli walki, zniechęceni i zaniedbani.

Brasche stał w oddali na wieży *Anny* i patrzył na mijający go tłum. Oczy uciekinierów wypełniały się nadzieją na widok rozmiarów Tygrysa i jego niewiarygodnie groźnie wyglądającego działa. Potem jednak wszyscy oglądali się za siebie, przypominali sobie, co widzieli, Posleenów ogarniętych szałem pożerania, i ponuro szli dalej.

Hans to rozumiał. Już to kiedyś widział. Już brał w czymś takim udział.

Było ciepłe wiosenne popołudnie. Zima odeszła już na dobre. Była długa... i gorzka.

Tak samo gorzki był marsz uciekających przed sowiecką niewolą i niemal pewną śmiercią. Brasche pamiętał z niego aż za dużo szczegółów: palenie sztandarów, kapitulację innych żołnierzy, masakrę jeńców, której był świadkiem. Potem nadeszły zimne, mokre noce w Austrii, podczas ucieczki przed niepowstrzymaną nawałą czerwonych.

Pośród szczątków wojny i klęski Brasche szukał munduru, który by na niego pasował; w końcu znalazł go na ciele zabitego sierżanta Wehrmachtu. Chociaż mógł spalić swój mundur SS, nie mógł tak łatwo pozbyć się tatuażu na lewym boku, piętnującego go jako członka tej formacji.

Dlatego szedł na zachód, wciąż na zachód, w stronę zachodzącego słońca. Jego celem była Francja, tak samo jak dla wielu tych, którzy przeżyli groźbę kapitulacji dywizji Wiking. Legia miała się stać ich domem, ich schronieniem. Legia nie zadawała pytań ludziom, którzy w trosce o swoje życie nie chcieli na żadne odpowiadać.

Brasche natknął się na grupę niemieckich żołnierzy siedzących w milczeniu na otwartym polu przy drodze. To było niedaleko Stuttgartu. Wśród nich stał podoficer w zabawnej, wyglądającej jak puszka z daszkiem czapce i nonszalancko wpisywał nazwiska do księgi werbunkowej.

Hans rozpoznał tę czapkę, zrozumiał też spokój i zadowolenie niemieckich żołnierzy. Pośród klęski i zniszczenia Hans Brasche znalazł Legię Cudzoziemską.

Hammelburg, Niemcy, 27 marca 2007

Pobocze drogi było usiane wszystkim, począwszy od porzuconych dziecięcych wózków, poprzez materace, po samochody bez paliwa, zepchnięte na bok, by dać przejazd nadciągającemu *Korps*. Sypiący śnieg zaczynał już przykrywać śmieci. Przykrywał też ciała tych, którzy mieli zbyt słabe serca albo zbyt małą wolę przeżycia.

To jest właśnie klęska, przypomniał Hansowi stary głos w jego głowie. Unikaj jej.

Gdzieś z tyłu dobiegał odgłos strzelania baterii artylerii. Przelatujące pociski wypełniały powietrze jazgotem stu pociągów towarowych. Potem radio Braschego zatrzeszczało meldunkami od oddziałów rozpoznania *Korps*, *Panzeraufklärungsbrigade* Florian Geyer. Wróg był w zasięgu ręki.

Tuż za mostem nad rzeką, na południe od miasta, prowadząca dywizja pancerna *Hohenstaufen* zaczynała działać o wiele aktywniej. Czołgi i pojazdy piechoty zjeżdżały z drogi i ustawiały się w coś przypominającego szyk. Spanikowani cywile robili co mogli, by uciec przed żelazną falą, ale to

nie zawsze wystarczyło. Kierowcy *Hohenstaufen* robili co mogli, by nie zabić nikogo ze swoich. To też nie zawsze wystarczyło.

Kiedy tylko czołgi i transportery piechoty zjechały z *autobahnu*, spomiędzy uciekinierów, popędziły naprzód, by zająć pozycje za niskim wzgórzem. Piechota przysunęła się bliżej, przypadając do ziemi w martwej strefie pod grzbietem taktycznym; czołgi stanęły nieco dalej, by mieć pole ostrzału na obszar pomiędzy nim a szczytem wzniesienia.

Chociaż były wystarczająco opancerzone, by wytrzymać posleeński ostrzał, przynajmniej bezpośrednio z przodu, czołg *Brasche* *Anna* i jej siostrzane *Tygrysy* III nie zajęły pozycji na przodzie. Zamiast tego, rozstawione w blisko dwukilometrowych odstępach, stanęły najdalej od grzbietu wzgórza. Kiedy tylko czołgi się zatrzymały, automatycznie przeanalizowały swoje sektory ostrzału. W kilku przypadkach dokonano niewielkich korekt ustawienia. Następnie każdy *Tygrys* zaczął wydzielać szybkoschnącą piankę kamuflującą stworzoną na amerykańskiej licencji. *Brasche* stał na wieży, podczas gdy wokół *Anny* rosła i twardniała mała góra piany; główne działo maksymalnie opuszczono, by pianka mogła je oblepić. Chociaż substancja kamuflująca mogła być barwiona, w tym wypadku pozostawiono ją w naturalnym białym kolorze, by upodabniała się do padającego śniegu.

Brasche rozejrzał się, stwierdzając z zadowoleniem szybkie postępy w zakresie kamuflażu. Potem wydał rozkaz i *Anna* opuściła go do swego bezpiecznego łona.

– Dowódca na pokładzie! – zawołał *Dieter*, nie wstając z fotela strzelca, ale sztywniejac w zmodyfikowanej postawie „na baczność”. Reszta załogi, nie licząc *Kruegera*, który udawał, że nic nie zauważył, zrobiła to samo.

Hans zajął fotel dowódcy, który zwolnił jego zastępcę, i; skupił uwagę na mapie sytuacyjnej wyświetlanej na głównym monitorze. Była aktualizowana na bieżąco na podstawie meldunków brygady *Florian Geyer* oraz pozostałych jednostek wysuniętych przed *Tygrysy* i właśnie nawiązujących kontakt z wrogiem, raportów z oblężonych miast, a nawet informacji z jednej z samobójczych wycieczek *Luftwaffe*, której udało się je przesłać, zanim została zdmuchnięta z nieba.

– Meldować – rozkazał *Brasche*.

– Stanowisko kierowania gotowe, *Herr Oberst* – odparł *Krueger* z miejsca na przodzie, z którego mógł widzieć tablicę sytuacyjną, kiedy wyświetlano na niej widok z przednich kamer.

Jak w zegarku zgłosili się strzelcy uzbrojenia drugorzędnego. Byli już dobrze wyszkoleni; sami nie odrywali ani na chwilę wzroku od swoich wyświetlaczy.

Oficer wykonawczy czołgu i batalionu, *Schmidt*, zameldował status logistyczny. Magazyny amunicji były pełne, poziom paliwa wynosił tylko siedemdziesiąt pięć procent, ale cysterny czekały w bliskiej odległości. *Brasche* uciszył go, unosząc dłoń, kiedy oficer zaczął zagłębiać się w rzeczy tak przyziemne jak jedzenie i woda.

Mechanicy zameldowali, że czołg jest w pełni gotowy do ruchu, chociaż należało z tym poczekać, dopóki piana maskująca całkowicie nie zaschnie.

Wreszcie *Dieter Schultz* oznajmił, że główne działo jest gotowe, ale niezaladowane.

Hans znów spojrzął na monitor. Według wskaźników, do pospiesznie ustawionej linii obrony miała dotrzeć jako pierwsza posleeńska piechota. *Brasche* włączył mikrofon.

– *Tygrysy* z numerami nieparzystymi, ładuj przeciwpiechotnymi. Numery parzyste, ładuj przeciwokrętowymi. Druga salwa – rażenia powierzchniowego. Trzecia salwa – przeciwokrętowe.

Rozległ się cichy szum maszynierii, kiedy ładowniczy *Dietera* wybrał trzy trzydziestopięciocentymetrowe pociski z pięćdziesięciu ułożonych na podajniku głęboko pod wieżą. Automatyczna winda wywiozła je na górę. Metalowa komora nad centrum dowodzenia otworzyła się

z wyraźnie słyszalnym nawet przez pancierz czołgu szczękiem. Znów coś zawyło, gdy z magazynu za wieżą posypał się do otwartej komory ładunek miotający. Potem, przy wtórze ostatniego metalicznego odgłosu, komora zatrzasnęła się i ustawiła w pozycji.

– Armata gotowa – oznajmił Schultz, kiedy tylko na konsolocie strzelca zaświeciło zielone światełko. W słuchawce Braschego wszystkie trzy kompanie – po cztery Tygrysy każda – zameldowały gotowość bojową.

Jako dobry żołnierz, Dieter Schultz bez przerwy wypatrywał na ekranie celów. Robił to na szkoleniu tyle razy, że teraz potrzebował tylko niewielkiego skupienia. I bardzo dobrze, bo resztę jego uwagi zaprzętały myśli o Gudrun.

Giessen, Niemcy, 27 marca 2007

Pierwszy list niełatwo było napisać. Gudrun nienawidziła siebie za to, że musiała zranić chłopaka, który robił co mógł, by była z nim szczęśliwa. Musiała jednak to zrobić i wiedziała o tym. Była z Pieterem blisko, bardzo blisko. Ale jedno spojrzenie na Dietera wystarczyło, by zrozumiała, że to właśnie on, ten jedyny.

Musiała być uczciwa, choćby wobec siebie samej. Dlatego napisała list, w którym wyraziła nadzieję, że chłopak przebywający gdzieś na północy jakoś może ją zrozumie i wybaczy jej, że znalazła innego. Potem zakleiła kopertę i uroniła łzę nad cierpieniem, którego miała przysporzyć komuś, kto zawsze życzył jej jak najlepiej.

Drugi list był łatwiejszy, nawet radosny. Chociaż miała adres e-mailowy Dietera, a czołg, w którym walczył, posiadał stałe łącze z Internetem, nie mogła w ten sposób przesłać mu małego podarunku: kosmyka złotych włosów – świeżo obciętego i związanego wstążką. Przetrasnęła swoje biurko i znalazła kolorową fotografię w odpowiednim formacie, jeszcze z liceum. Ją też włożyła do koperty.

Kiedy Gudrun skończyła pisać, poszła na pobliską pocztę, kupiła i nakleiła znaczki, a potem wrzuciła kopertę do skrzynki. Później wróciła do domu swoich rodziców.

Tam włączyła telewizor. Wiadomości – a wszystkie stacje nadawały tylko wiadomości – były pełne relacji z walk toczących się w całej Europie i Niemczech. Bardzo nieliczne z tych relacji były optymistyczne. Zwłaszcza na północy sprawy przybierały niepokojący obrót.

Marburg an der Lahn, Niemcy, 27 marca 2007

Fulungsteeriot nie należał do najbystrzejszych z posleeńskich kessentaiów. Podejrzewał, na swój nieco tępy sposób, że właśnie przez to jego oolt'pos został przydzielony do środkowego sektora fali natarcia.

Chociaż tutejsi thresh czasem uciekali, nadstawiając plecy pod posleeńskie karabiny i miecze borna, często stawiali silny opór. Dotyczyło to zwłaszcza ludzi, którzy jeździli i walczyli naziemnymi tenarami. Na szczęście w swoim sektorze oolt Fulungsteeriota napotkali niewiele wrednych, zniechęconych, tchórzliwych maszyn threshkreen. Ale tych kilka, zazwyczaj zajmujących pozycje w martwej strefie i koszących Lud, kiedy pokonywał grzbiety lub omijał budynki czy wzniesienia, zebrało straszliwe żniwo.

Jedynie poprowadzenie hordy naziemnych normalsów tenarem Wszechwładcy albo ładownikami pozwoliłoby pozbyć się tych obrzydliwie tchórzliwych maszyn w rozsądnym czasie. To zaś wiązało się z dodatkowym ryzykiem, ponieważ wróg nie chciał stawiać czoła na otwartym terenie, jak na prawdziwego wojownika przystało. Poza tym jego broni ręcznej, choć ogólnie prymitywnej i gorszej od tej, którą dysponował Lud, nie można było lekceważyć, a nieprzyjaciel wyszukiwał kierujących tenarami Wszechwładców z zastrasżającą zaciekłością.

Co więcej, pojawiły się doniesienia, dość niepokojące, o działaniach olbrzymich machin

wojennych thresh, które wyrastały wprost z ziemi i niszczyły maszyny Ludu brutalnym, śmiertelnie celnym ogniem. Fulungsteeriot był bardzo zadowolony, że jego grupa nie napotkała jeszcze żadnych „Tygrysów” thresh, jak je nazywano.

Był też bardzo szczęśliwy, że miał zapewnioną pomoc lądowników do kruszenia oporu na drodze jego hordy.

Hammelburg, Niemcy, 28 marca 2007

Choć stały na tyłach linii obronnych, ukształtowanie terenu zdecydowało, że to właśnie Tygrysy pierwsze zobaczyły pokonującą grzbiet wzgórz falę Posleenów.

Schultz wytrzeszczył oczy, kiedy pierwsza horda latających maszyn ukazała się nad wzniesieniem, a za nią runęła lita ściana ciał.

– *Liebe Gott im Himmel!*

Hans spokojnie wydał rozkaz batalionowi.

– Numery nieparzyste, przygotować się do zrzucenia kamuflażu i otworzenia ognia na mój rozkaz.

Schultz ścisnął mocniej manipulatory, którymi kierował działem.

– Powiększenie x24 – szepnął. Sztuczna inteligencja czołgu natychmiast włączyła żądane przybliżenie.

– *Liebe Gott* – powtórzył Schultz, kiedy masa obcych nagle wypełniła cały ekran. Zacisnął dłonie na drążkach.

– Nie strzelać bez rozkazu – przypomniał Brasche.

Na zewnątrz śnieg zaczął padać ze zdwojoną siłą, zakłócając obraz ze zdalnie sterowanych zewnętrznych kamer.

– *Sygnalem do otwarcia ognia będzie seria z karabinu maszynowego – szepnął sous-officier Brasche z Legii Cudzoziemskiej do drużyny zebranej wokół niego w wilgotnej i zatęchłej indochińskiej dżungli. – Jakież pytania?*

Widząc, że żadnych nie będzie, Hans wskazał na północ, w stronę skrzyżowania dwóch szlaków używanych przez Viet

Minh. Zwiadowca ze szpicy, weteran Litewskiej Dywizji SS – teraz weteran Legion Etranger – poszedł przodem i zniknął w zielonym labiryncie. Brasche ruszył za nim, prowadząc sekcję karabinu maszynowego. Reszta drużyny poszła gęsiego za nimi.

Berlin, Niemcy, 28 marca 2007

Przekaznik Tira wyświetlił w powietrzu nad jego biurkiem hologram ukazujący mapę Europy i Północnej Afryki, a wyśrodkowany na Niemczech.

– Głupie centaury – mruknął głośno Tir. – Większość swoich sił posadziły gdzie indziej i zostawiły Niemców prawie samych. Nie rozumieją, że zwłoka może ich zgubić, że tych ludzi nie wolno niedoceniać?

Na oczach Tira czerwień posleńskie inwazji objęła większość oglądanej przez niego mapy, potem zaczęła zmieniać kształt, a miejscami cofać się. Wiedział, że jego przełożeni będą zadowoleni z tego pierwszego faktu, drugi jednak mógł wymagać wyjaśnień, i to takich, których ani trochę nie miał ochoty udzielać.

– Głupie gady. Rzucają się na łatwe mięso i lekceważą nadciągające zagrożenie:

Dziwnie ukształtowana ludzka służąca o obrzydliwym kolorze włosów zapukała cicho do drzwi gabinetu.

– *Herr Stössel* do pana, *Herr Tir*.

Nareszcie, pomyślał Darhel.

Günter wszedł i nie siadając, położył ostrożnie na biurku Tira teczkę.

– Oto plany, których pan żądał, lordzie Tir – powiedział. Tir kiwnął głową.

– Będą pożyteczne z punktu widzenia naszych interesów. Są kompletne? – spytał.

– Niestety nie, *mein Herr*. Owszem, zdobyliśmy większość. Ale jedna z grup nie chce nawet rozmawiać o swoich rozkazach i zamiarach z nikim innym niż z kanclerzem. A kanclerz w ogóle nie chce o nich rozmawiać.

– To ci wojownicy z przeszłości? Ci, których nazywacie „SS”?

Twarz Guntera wykrzywiła się w grymasie.

– Tak, to oni – odparł. – Są poza wszelką kontrolą.

Grymas natychmiast zniknął, kiedy Günter zaczął się nad tym zastanawiać. Był pewny, głęboko przekonany, że wojskowa umysłowość jest pozbawiona wszelkich form nieposłuszeństwa. W końcu czy Bundeswehra nie dostosowała się do restrykcji, które miały być i były nie do zniesienia dla zwykłego człowieka? Cóż, może rzeczywiście nie są takimi samymi żołnierzami jak inni, jak sami twierdzą. To na pewno szaleńcy, za jakich zawsze ich uważał. Wściekle psy, które trzeba uśpić.

– Są też poza... nadzorem – zauważył Tir. – W przypadku każdej innej formacji waszych sił nie było problemów z podsłuchem. Ale SS nie dopuszcza do siebie ani jednego z naszych przekazników.

Günter przytaknął.

– Są zapóźnieni technologicznie, tak samo jak społecznie. Nawet ich koledzy z regularnej Bundeswehry się dziwią. Ci starcy myślą do tego stopnia po staremu, że prawie nie korzystają nawet z radia.

– A ja nie mam pojęcia, co robią.

I Tir zaklął.

INTERLUDIUM

Athenalras klął. Przeklinał ludzi i ich tchórzliwe metody walki. Przeklinał cuchnącą trawę i odrażające drzewa tego świata.

– Co za obrzydliwy kolor ten zielony. Czerwony, brązowy, niebieski – to rozumiem. Ale zielony?

Przede wszystkim jednak przeklinał bawiących się w bogów Aldenat', których intrygi wysyłały Lud na kolejne odrażające światy.

– Bezmyślni, arogancy, zadufani – mruzczał. – Głupi, próżni i lekkomyślni...

Athenalras usłyszał ciche chrząknięcie, chociaż żaden człowiek nie skojarzyłby tego dźwięku z chrząkaniem. W posleenkim wydaniu przypominało raczej charczenie ptaka wypluwającego kamienie trawienne.

– Panie? – zagadnął Ro'moloristen.

– O co chodzi, pisklaku? – warknął starszy Posleen, wyciągając palec i naciskając przycisk. Na jego ekranie wysoka czteronożna metalowa wieża o trudnym do odgadnięcia przeznaczeniu zaczęła się chwiać i topić. Athenalras chrząknął z zadowoleniem; kolejny przykład przyprawiającej o mdłości estetyki tubylców odszedł w nicość.

– Meldunki z ludzkiej prowincji Francji są jak najbardziej pomyślne. Nasze tyły w Hiszpanii są już prawie całkowicie zabezpieczone. Z drugiej strony Polska stawia zaciekle opór, ale nie ma wątpliwości, że padnie, i to niedługo.

– Doskonale – zasyczał wódz. – A jak idzie nasz program kontrolowanego rozrodu w centrum?

– Niejednoznacznie – odparł Ro'moloristen. Prawdę mówiąc, nie wiedział na pewno, czy Athenalrasowi chodzi o postępy w podboju, czy w eliminowaniu głupich podwładnych. Młodszy Wszechwładca pomyślał, iż całkiem możliwe, że wódz ma na myśli i jedno, i drugie.

Jak dotąd linie obronne trzymały się, i to niezłe. Chociaż spojrzenie na poplamioną czerwienią mapę w kwaterze głównej Mühlenkampfa mogło kazać niewtajemniczonemu obserwatorowi przypuszczać, że Niemcy właśnie są zajmowane, ale taka ocena byłaby błędna. Atak na Ingolstadt powstrzymano. Bawarski *Panzer Korps*, z pomocą dwóch korpusów stosunkowo niezłej piechoty górskiej, niszczył desant na Tybingę.

W przypadku Meissen, Schwerin, Nienburgu i Guemmersbach kwestia pozostawała otwarta do czasu, aż dwa korpusy pancerne z Ingolstadt i jeden z Tybingi wykończą resztki Posleenów, przegrupują się i ruszą wesprzeć pozostałych. Miasta te wciąż jednak się trzymały.

Złe wieści dochodziły jedynie z północnobawarskiego miasta Aschaffenburg, którego wszyscy mieszkańcy zginęli wraz z większą częścią korpusu piechoty. Jedyne, co stało na drodze posleenkich zwycięzców i sprawców tej rzezi, były znieawidzone przez wszystkich relikty na wpół zapomnianej wojny – oraz młodzi ludzie, których pozwolono im skazać dawno nieaktualnym spojrzeniem na świat...

Hammelburg, Niemcy, 29 marca 2007

– Sześćdziesiąt siedem ładowników tuż nad horyzontem, lecą w tę stronę – oznajmił 1c, czyli oficer wywiadu Braschego, ze swojego stanowiska, na którym pełnił dodatkowo obowiązki strzelca obrony bliskiego zasięgu.

– Jakiego rodzaju? – spytał Brasche.

– Różne, *mein Herr*. Brygada Florian Geyer jest w stanie rozpoznać w tym śniegu tylko zarysy kształtów. Nawet termowizja ma problemy. To, co widzieliśmy, wskazuje na tyle samo C-Deków, co Minogów.

– Zobaczą nas tu, pod pianką maskującą?

– Florian Geyer jeszcze żyje i nadaje – odparł 1c, mimo że pytanie było retoryczne. – Może wróg wcale nie radzi sobie z tym białym gównem lepiej niż my.

– Może nie – powiedział Brasche i włączył kanał ogólny. – Wszystkie jednostki, wstrzymać ogień i czekać na mój rozkaz. Chłopcy, zrobimy małą sztuczkę...

Marburg an der Lahn, Niemcy, 29 marca 2007

Co za paskudny, wredny numer, pomyślał Pieter Friedenhof, mnąc w dłoni list od Gudrun, który dostał przy śniadaniu.

– Pieprzona dziwka – powiedział na głos. – Zimna, nieczuła pizda. Jak ona śmiała mnie rzucić w takiej chwili? Dla jakiegoś tępego nazisty?

Załamał się i rozplakał, przeklinając imię „walczącej”. Z każdym przekleństwem i każdym szlochom czuł, jak wszystkie powody, dla których chciał walczyć i zginąć, gdyby trzeba było – jego dom, jego rodzina, jego dziewczyna – znikają.

Prognoza pogody przepowiadała nadciągające z południa śnieżyce, ale Pieter czuł się tak, jakby jego serce i duszę już spowiła śnieżyca.

Hammelburg, Niemcy, 29 marca 2007

Słuchawka radia zatrzeszczała w uchu Braschego.

– Batalion Michael Wittman? Tu Mühlenkampf.

– Tu 501. *Schwere Panzer, Herr General*.

– Brasche? *Gut*. Bardzo dobrze. Posłuchaj, Hansi, mamy problem. Zatrzymaliśmy wroga na tej linii, odpieramy go już od dwóch dni, ale wygląda na to, że odpuścili sobie frontalne natarcia bez wsparcia. Byłbym zadowolony z chwili oddechu, ale te pieprzone ładowniki zrobią z naszych

wysuniętych sił mielonkę. Macie...

– Panie generale, mam pomysł – przerwał mu Hans. Przez chwilę w radiu panowała cisza; Mühlenkampff myślał o Krzyżu Rycerskim Żelaznego Krzyża, który, jak wiedział, wisi na szyi Braschego.

– Co to za pomysł, Hansi?

– Niech wszyscy z pierwszej linii, oprócz piechoty, zupełnie się wyłączą. Niech artyleria trzyma linię; czy dobrze stoimy z amunicją?

– Mamy dosyć – przytaknął Mühlenkampff. – Ale meldunki są jasne, Brasche: nawet przez najcięższą ścianę ognia zawsze coś się przemknie.

– Nie w takiej ilości, żeby strzelcy i karabiny maszynowe nie dały sobie z tym rady, przynajmniej przez jakiś czas, *Herr General*. A jeśli będzie pan dalej używał czołgów, te C-Deki i Minogi zjedzą je na przystawkę.

– Zajęcie się nimi to twoje zadanie, Hans – upierał się Mühlenkampff.

Brasche wytarł z czoła kilka kropli potu, potu zdenerwowania.

– Tak, *Herr General*. Ale przy stosunku sił pięć do jednego niewiele zdołam wskórać... jeśli nie ucieknę się do sprytu.

– Czekaj, bez odbioru – rozkazał Mühlenkampff, próbując zmusić niewyspany mózg do logicznego myślenia.

– Jest mało czasu na decyzję – upierał się Brasche. – Moim sposobem mielibyśmy szansę.

– Co to za sposób, Hansi?

Brasche zaczął wyjaśniać. Jego własna załoga zrobiła wielkie oczy i zadrżała. Czy ich dowódca ze szczętem oszalał?

Marburg an der Lahn, Niemcy, 29 marca 2007

To szaleństwo – mruknął wystraszony Frieden Hof, ukryty na stosunkowo bezpiecznym zboczu. – Szaleństwo.

W uszach chłopaka coraz głośniejsz rozbrzmiewały odgłosy zbliżania się wroga, złowroga kakofonia, tak wyraźnie odcinająca się od łoskotu artylerii, jak w dawnych czasach tętent kopyt odcinał się od wbijania pik i wyciągania mieczy. Im głośniejsze było crescendo pazurzastych stóp drących ziemię, wyciąganych mieczy borna, syków, parskań i niezrozumiałych chrząknięć, tym głośniejsz każdy piechur 165. Dywizji Piechoty słyszał własne serce, tłukące się coraz gwałtowniej w jego piersi.

Nagle, jak tuman mgły unoszący się nad rzeką, pojawił się wróg. Najpierw ujrano rój latających spodków, ten arów Wszechwładców. Te wzięli pod ostrzał snajperzy batalionu *Jaeger*. Tenarów było jednak więcej niż snajperów, były trudne do trafienia i bardzo dobrze uzbrojone. Choć sporo z nich zniknęło w aktywnych wybuchach, snajperzy ginęli, rozdierani na strzępy i paleni na węgiel po każdym drobnym zwycięstwie nad najeźdźcą.

Kilka minut po pojawieniu się Wszechwładców na tenarach nadciągnęła reszta hordy. Obcy szli zwartą masą, falangą gadzich ciał najeżonych kłapiącymi paszczami i błyskającymi ostrzami zębów. Artyleria zaczęła ryc w tej ścianie ogromne bruzdy. Żółte ciało i krew, żółte kości i ścięgna szybko zasłały cały teren.

Nie zważając na straty, horda runęła w dół, w stronę taktycznego grzbietu, wzdłuż którego obrońcy wzniesli swoje umocnienia.

Nagle na rozkaz Niemcy zaczęli się ostrzeliwać. MG-3, bezpośredni potomkowie „Pił Hitlera” z drugiej wojny światowej, wypełniły powietrze dźwiękiem darcia nieskończonej ilości płacht płótna w dłoniach nieskończenie wielkiej liczby olbrzymów. Odrzut karabinów maszynowych odpychał

leżących strzelców w tył. Dookoła rozszedł się smród kordytu i oliwy, gotującej się w nagrzanym mechanizmach podajników amunicji. Posleeni wrzeszczeli, stawali dęba, padali, wili się i ginęli nędzną śmiercią od ołowiu.

Wreszcie, przedzierając się przez piekło kul i ognia, którymi zasypywali ich obrońcy, obcy natknęli się na wąski pas min nazywanych „Skaczącymi Barbie”. Urządzenia te – przypadkowe efekty uboczne nieudanego eksperymentu w dalekim Fort Bragg w Kalifornii wiele lat wcześniej – czekały cierpliwie, aż wróg znajdzie się wystarczająco blisko i w wystarczająco dużej liczbie.

Grupa dwudziestu Posleenów, pragnąca być może w równym stopniu zbliżyć się do ludzi, jak i uniknąć najgorszego ostrzału artylerii i karabinów maszynowych, aktywowała Barbie. Mina wykorzystująca wbudowane w nie małe urządzenie anty grawitacyjne uniosła się na metr w górę. Potem rozwinęła liniowe pole siłowe o promieniu sześciu metrów. Jedenastu Posleenów upadło natychmiast. Byli żywi, ale stracili nogi; machali bezradnie kikutami, wrzeszcząc i bryzgając wszędzie wokół żółtym ichorem.

Wykonawszy swoje zadanie, pole siłowe wyłączyło się, by oszczędzać energię, a anty grawitacyjny napęd miny odrzucił ją w bok, gdzie objęła swoim zasięgiem następny obszar. Jej żółta plastikowa obudowa szybko przestała być widoczna w bryzgach żółtej krwi.

Jedynie dzięki udzielonej w ostatniej chwili pomocy Amerykanów Niemcy w ogóle mieli Barbie. Ich własna lewica, a przynajmniej ta jej część, którą udało się Darhelom zdominować, nie dopuściła do powstania tak odrażających urządzeń jak miny. Tak samo jak nie dopuściła do wyprodukowania niewielkiej ilości czystej broni jądrowej... i trucizn... i wszystkiego tego, co trąciło militarystycznym. „Żadne zagrożenie nie może usprawiedliwiać produkcji tak straszliwej broni!”, wołano. „Żadne zagrożenie nie może usprawiedliwiać...”.

Dlatego właśnie, mimo otrzymanych w ostatniej chwili dostaw, niemiecka armia posiadała niewiele Barbie oraz jeszcze mniej broni jądrowej i wykorzystującej antymaterię.

Hammelburg, Niemcy, 29 marca 2007

– Wszystkie czołgi, ładuj przeciwokrętowymi. Przygotować się na ciągły ostrzał zubożonym uranem. Wprowadzić poprawkę na cel. I morda w kubek.

Połowa batalionu miała już załadowane pociski zaprojektowane do radzenia sobie z posleńskimi lądownikami. Druga połowa zaczęła procedurę otwierania komór, usuwania z nich materiału miotającego i pocisków i zamieniania ich na penetratory z rdzeniem ze zubożonego uranu.

Ładowanie przebiegło szybko i sprawnie. Chociaż zaprzędana lewica próbowała, nie dała jednak rady zapobiec produkcji niemieckich precyzyjnych maszyn. Nawet komunistyczny kiedyś wschód przewyciężył w dużej mierze inspirowaną przez czerwonych tendencję do produkowania gówna, żeby tylko zmieścić się w planach i normach.

Co do samych penetratorów, lewacy wrzeszczeliby pod rytualnie negowane niebiosy, gdyby dowiedzieli się, w jaki sposób proste skądinąd pociski zostały zmodyfikowane... i dlaczego. Wykorzystanie zubożonego uranu przeszło w Bundestagu, niemieckim parlamencie, bardzo niewielką większością głosów. „Ekologicznie nierozsądne. Groźne dla środowiska. Zanieczyszczające. Brudne. Nieestetyczne. Błuzniercze. Odbierają mi apetyt, kiedy jem swoje wegetariańskie śniadanie. Zmuszają mnie do brania pod uwagę tego, czego istnienie należy negować...”.

Lewica nie dowiedziała się jednak – ukryto przed nią tę informację – że każdy penetrator z rdzeniem ze zubożonego uranu został częściowo wydrążony, by zrobić miejsce dla niewielkiej ilości antymaterii w polu zabezpieczającym. Amerykańska firma współpracująca potajemnie z BND opracowała i udostępniła tę broń znów niemal w ostatniej chwili. Krzyżowanie penetratorów i skrupulatnie zabezpieczanej antymaterii przeprowadzono w największej tajemnicy.

Urządzenie z antymaterią było wyjątkowe. Chodziło o posiadanie broni zmiennego pola rażenia – czegoś w rodzaju niepoprawnej politycznie taktycznej broni jądrowej, jaką mieli niegdyś Amerykanie i Rosjanie. Jeśli jednak sam zubożony uran spowodował taką burzę, o ile gorszy byłby jazgot, gdyby Niemcy miały wyprodukować broń jądrową? Antymateria nie wywoływała tak histerycznych reakcji, chociaż w zasadzie była mniej elastyczna niż broń jądrowa.

Problem zmiennego pola rażenia rozwiązano w ten sposób, że stworzono podwójne pole zabezpieczające. Pierwsze pole, normalnie utrzymujące całą antymaterię, było bardzo silne, wystarczająco silne, by wytrzymać wybuch części zawartej w pocisku antymaterii. Drugie było słabsze i stosunkowo niestabilne.

Rozwiązanie to umożliwiało przekierowanie określonej ilości – do około trzydziestu procent – antymaterii zawartej w pierwszym polu do drugiego. Większa ilość zniszczyłaby pierwsze pole i wywołała bardzo silną eksplozję. Przy mniejszej ilości pole utrzymałoby się nawet w chwili, gdy pocisk, znacznie przyspieszony przez mniejszy wybuch, przebijałby się przez burtę wrogiego lądowika. Zapalnik czasowy detonował pozostałą antymaterię, kiedy znajdowała się wystarczająco wysoko, by nie uszkodzić zbyt znacząco powierzchni ziemi.

Istniała oczywiście możliwość odpalenia całej antymaterii i spowodowania kosmicznej katastrofy, ale mogłoby to mieć poważny wpływ na Ziemię i stale zmniejszającą się liczbę jej mieszkańców.

Pocisk można było również ustawić na wybuch bez udziału antymaterii. W takim wypadku antymateria pozostawała w całości wewnątrz pierwszego pola i nie wybuchła do chwili, aż znalazła się daleko w kosmosie.

W ten oto sposób trzynaście czołgów *Panzerkampfwagen VIII A*, znanych powszechnie jako Tygrys III, miało w komorach dość antymaterii, by zrównać z ziemią małe, nawet kamienne, niemieckie miasto.

Marburg an der Lahn, Niemcy, 29 marca 2007

Stary kamienny zamek, milczący i spokojny, górował nad miastem w dole. Miasto i zamek kusił Pietera Friedenhofa, siedzącego w pospiesznie wygrzebanym okopie, obietnicą bezpieczeństwa.

– To szaleństwo, powtarzam! – krzyknął Pieter do dowódcy, małego i zaciętego *Hauptgefreitera* obsługującego MG-3. – To szaleństwo tu zostawać.

– Zamknij się, Friedenhof, ty cipo, i...

Następne słowa strzelca pozostały w domyśle, bo trzymilimetrowy pocisk z posleeńskiego karabinu elektromagnetycznego sprawił, że jego głowa eksplodowała w chmurze czerwonej mgły i odłamków kości. Oszalały z przerażenia Pieter odwrócił się od zabitego towarzysza, porzucił swój karabin i swój obowiązek.

I zaczął uciekać. Na ten widok inni również opuścili swoje posterunki. Panika rozprzestrzeniła się jak epidemia, szybko i bez wiedzy jej nosicieli. Cały odcinek frontu doznał nagłego załamania.

Hammelburg, Niemcy, 29 marca 2007

Nawet część żołnierzy szkolonego przez SS 47. *Panzer Korps* nie wytrzymała. Pod ciągłym ostrzałem sześćdziesięciu siedmiu posleeńskich okrętów nieliczni tu i ówdzie zaczęli uciekać. Brasche zobaczył na swoim ekranie, jak pluton Leopardów porzuca osłonę i ucieka przed czymś, co mogło być jedynie posleeńskim rozpoznaniem ogniem. W pędzie do bezpiecznej kryjówki czołgi przejechały zaledwie kilka metrów, zanim kula plazmy trafiła najpierw jeden, potem drugi i trzeci. Czwarty Leopard – według numeru na wieży był to czołg dowódcy plutonu – wyhamował nietknięty i ze środka zaczęła wysypywać się w panice załoga.

Promień plazmy dotknął czołgu, w jednej chwili go podpalając. Złapani w falę ciepłą żołnierze

zostali w jednej chwili usmażeni. Ich poskręcane, dymiące ciała padły na świeży śnieg, roztopiając go swoim gorącem.

– Chryste – szepnął Brasche; słowo to samo przyszło mu na usta, chociaż minęły lata, a nawet dziesięciolecia, odkąd przestał wierzyć.

Posleńskie lądowiki jakby znudziły się grą w kotka i myszkę z obrońcami. Pół godziny po zniszczeniu plutonu Leopardów – co było marną nagrodą za ich wyteżony wysiłek – wstrzymały ogień i statecznie ruszyły na północ.

– Spokojnie, chłopcy... Czekaście na rozkaz...

Brasche nie klepnął operatora karabinu maszynowego, by dać mu znak do rozpoczęcia ataku z zasadzki. Żniwo minęło ich niezebrane i pewne siebie.

– *Niepełny pluton Viet Minhu – upierał się wywiad. – Nie więcej niż dwudziestu małych żółtych komuszków. Pana drużyna powinna z łatwością sobie z nimi poradzić.*

Hans przeklął cholernego żabojada z wywiadu, chociaż bliskość prawie pięćdziesięciu żołnierzy wroga sprawiła, że zrobił to bezgłośnie. Zastanawiał się, czy warto tak się pilnować; Wietnamczycy na pewno słyszą walenie jego serca.

Jak te larwy z wywiadu mogły aż tak się pomylić?, zastanawiał się. Znaki są wszędzie, jeśli tylko umie sieje dostrzec. Wróg z dnia na dzień jest silniejszy, podczas gdy my słabniemy. Po co negować rzeczywistość, której stawiamy czoła dzień za dniem? Tę wojnę też przegrywamy.

Ale nie przegramy jej przez brak starania z mojej strony, pomyślał Hans, czując wzbierającą w sercu determinację. W milczeniu poklepał strzelca – NIE RUSZAJ SIĘ. Kiedy ostatni Wietnamczyk minął jego pozycję, Hans wstał, cicho i ostrożnie. Wyciągnął nóż, odwrócił się w kierunku, w którym zniknęli komuniści, i bezgłośnie ruszył za nimi.

Wrogie lądowiki przelatywały bezgłośnie, szybując na swoich potężnych napędach antygravitacyjnych. Chociaż anty grawitacja nie wydawała dźwięku, powodowała u przebywających na dole uczucie mdłości połączone z wrażeniem obłężenia przez miliony mrówek. Jeden z okrętów przelatywał właśnie nad *Anną*.

Złapany w takie pole Brasche pohamował rozpaczliwą chęć podrapania się. Przyjaciel Dietera Schultza, Harz, nie zdołał powstrzymać nudności. Wkrótce, mimo wysiłków filtrów powietrza

Tygrysa, cały przedział załogowy wypełnił obrzydliwy smród rzygowin, który wywołał reakcję łańcuchową. Brasche popatrzył na grupę klnących, czochrających się i rzygających żołnierzy.

Wszyscy oni wyglądali na krańcowo nieszczęśliwych.

Hans powstrzymywał podchodzącą mu do gardła żołąć. Skupiał uwagę na wyświetlaczu taktycznym ukazującym wszystkie jego Tygrysy, sześćdziesiąt siedem lądowików wroga i zarys pozycji 47. *Panzer Korps*. W końcu zobaczył, że wszystkie okręty wroga go minęły.

– *Achtung! Panzer!* Chłopcy, gaz do dechy i zawracać o sto osiemdziesiąt stopni. Pojedziemy za tymi draniami, całą drogę strzelając im w dupę. Zdejmujcie ich od ostatniego. Strzelać bez rozkazu.

Krueger na stanowisku kierowcy zaśmiał się złowrogo. To samo zrobiła reszta załogi. Tyko Schultz, z twarzą przyklejoną do celownika, milczał.

W czołgu rozległo się buczenie, kiedy naturalny gaz z dwóch głównych cylindrów paliwa zaczął zasilać olbrzymi generator elektryczny Siemens, który napędzał silniki. Kadłub Tygrysa przeszyły wibracje, gdy Krueger zwiększył moc i przekręcił kolumnę kierowniczą. Z zewnątrz wyglądało to jak trzynaście małych lawin; przysypana śniegiem piana pękała, darła się i rozsypywała. Dobrze wyszkolony Schultz przekręcał już manipulator strzelca, obracając wielosetonową wieżę i

wymierzając olbrzymią armatę kalibru trzydzieści pięć centymetrów w stronę najbliższego okrętu wroga.

- Strzelec! – rozkazał Brasche. – Podkalibrowym! ZU-PP... przecinek jeden kilotony. C-Dek!
- Cel! – odparł Schultz, ustawiając jednym palcem moc pe-netratora na jedną dziesiątą całkowitej mocy.
- *Feuer!*

Ostatni Wietnamczyk w wijącej się kolumnie nie wiedział, co go zabiło. Stopy Braschego, stąpające po miękkim poszyciu dżungli, nie wydały żadnego dźwięku. Gęste korony drzew nie pozwoliły, by światło księżyca zalśniło ostrzegawczo na ostrzu noża. Mały komunista poczuł tylko, że czyjaś ręka zaciska mu się na ustach, a zimna drzazga wbija w nerki.

Przeszyty najgorszym bólem, jakiego może doświadczyć człowiek, bólem przebitej nerki, Wietnamczyk nie wydał żadnego odgłosu. Czasami cierpienie jest tak wielkie, że nie pozwala nawet krzyknąć. Dla umierającego żołnierza to była ulga, kiedy Brasche położył go na wilgotnej ściółce i przeciągnął ostrym jak brzytwa nożem po jego szyi.

Wciąż z nożem w ręku, Hans Brasche ruszył za kolumną, szukając następnej ofiary, następnego żołnierza Viet Minhu zbyt zajętego czającymi się z przodu niebezpieczeństwami i trudnościami, a za mało skradającą się za plecami śmiercią.

Dieter nigdy nie zapomniał widoku pierwszego ginącego C-Deka. Oczywiście każda najdrobniejsza chwila wyryła się w jego pamięci. Już zawsze miał czuć pstryknięcie przycisku strzału pod kciukiem. Nigdy nie miał zapomnieć ogłuszającego ryku, który wstrząsnął nawet trzewiami wążącego tysiąc siedemset ton czołgu. Szarpnięcie odrzutu również miało mu już zawsze towarzyszyć; potężne cylindry ścisnęły się do oporu, mimo inwertorów inercji testowanych kiedyś przez Schlüssela i Breitenbacha. Miał pamiętać, jak tylne zawieszenie czołgu przyjęło na siebie resztę, a potem nastąpił nagły, ostry skok z powrotem do pozycji gotowości... i uderzenie w głowę, którego nie wytłumił nawet obłożony pianką wizjer celownika.

Ale najlepiej miał zawsze pamiętać śmierć wroga.

Zaczął się od słabego błysku na burcie C-Deka. Tak słabego i szybkiego, że ledwie dostrzegalnego. Po najkrótszej z możliwych chwil pojawił się drugi rozbłysk, kiedy antymateria, rozmyślnie ustawiona na najmniejszą moc, weszła w kontakt z prawdziwą materią.

Tego Dieter oczywiście nie mógł widzieć. Tak samo jak pozostałej antymaterii, tej, której nie uwolniło pierwsze, silniejsze pole. To, co mógł zobaczyć i zobaczył, to światłość strzelającą nagle ze wszystkich złączy dwunastu boków okrętu wroga. Dla nieuzbrojonego oka byłaby oślepiająca. Nawet termowizor Dietera na chwilę się przeładował.

W tej krótkiej chwili posleński okręt się rozpadł. Kiedy wizja wróciła, Dieter zobaczył dwanaście oddzielnych części lecących w dwunastu kierunkach.

– Święty Jezu – mruknął.

– Jezus, święty czy nie, nie ma z rym nic wspólnego, chłopcze – powiedział Brasche. – Strzelec! – rozkazał. – Podkalibrowym! ZU, bez ładunku. Minóg!

Pozostałe czołgi po prawej i lewej stronie *Anny* plunęły zniszczeniem, a tymczasem Schultz już szukał w celowniku następnej ofiary.

Siedem ciał w mundurach koloru khaki leżało na szlaku. Siedem razy błyskał nóż Hansa i tryskała czerwona krew. A młody Brasche wciąż parł naprzód. Przed nim była ósma ofiara, a mogłaby być nawet dziewięćdziesiąta, gdyby tylko starczyło mu siły w rękach.

– Nie rozumiem – powiedział Harz. – Wyrzynamy ich od tyłu jak jelenie. Musieli nas zauważyć. Dlaczego nie zareagowali?

– Widzą nas. Oczywiście, że widzą – odparł Brasche. – Sensory ich statków są do tego jak najbardziej zdolne.

– W takim razie o co chodzi, *Herr Oberst*?

– *Unteroffizier*, oni koncentrują się na innych zagrożeniach. Konkretnie tych przed nimi. A nawet jeśli któryś nas zauważył, nie komunikują się ze sobą za dobrze ani nie koordynują działań.

Na ekranie Hansa zaczął się materializować następny niewyraźny kształt; był pewien, że to C-Dek.

– Strzelec! Podkalibrowym! ZU-PP... przecinek jeden kilotony. C-Dek!

– Cel!

–*Feuer!*

Marburg an der Lahn, Niemcy, 29 marca 2007

Friedenhof biegł. Zimne powietrze paliło go w płucach. Wszędzie wirował śnieg, zasłaniając wszystko. Nieważne; wzrok młodego Pietera był skierowany na ledwie widoczny, zasypany śniegiem grunt. Tupot jego własnych stóp i łomot krwi w uszach zagłuszały dobiegające z tyłu odgłosy masakry. Zagłuszyły też cichy tupot pazurów na śniegu. Friedenhof nie usłyszał syku wyciąganego miecza borna. Nie miał pojęcia, że ostrze opada.

Nawet odgłos upadku jego rozczłonkowanego ciała został stłumiony przez świeży śnieg. Pieter nic nie usłyszał.

* * *

W niewygodnym zamknięciu swojego okrętu dowodzenia Fulungsteeriot głośno się radował; wokół ryczeli jego podwładni. To na cześć Athenalrasa i jego samobójczej misji, której celem był środek tego kontynentu. Thresh, budzący grozę thresh w szarości, byli w panice, uciekali we wszystkie strony. Fulungsteeriot poczuł ukłucie żalu; im więcej ich uciekło, tym mniej żywności mogli zapewnić jego hordzie.

Ale – mniejsza z tym! Przed nimi leżało pełne thresh miasto Giessen. Miasto, tego kessentai był pewien, w którym roiło się od młodego i jędrnego mięsa. Horda naje się do syta tego dnia... i przez wiele następnych dni.

INTERLUDIUM

Ro'moloristen patrzył na scenę z piekła rodem, chociaż dla niego nie była bardziej przerażająca, niż widok rzeźni dla człowieka. W pobliże okrętu dowodzenia Athenalrasa spędzono ze wszystkich stron ludzi, którzy mieli służyć jako zapasy żywności. Tak samo jak w rzeźni, ludzi tych sprawnie i bezwzględnie przerabiano najedzenie.

Kessentai patrzył, jak z ramion człowieka – samicy, sądząc po dziwnych wypustkach na piersi – wydarto pisklę. Człowiek wydał niezrozumiałą, zawodzący wrzask, kiedy pisklę najpierw pozbawiono głowy, a potem porąbano na sześć kawałków.

To niepojęte, pomyślał Wszechwładca. Przecież to tylko pisklę.

Lepiej pojmował, dlaczego człowiek próbował uniknąć własnego końca, wijąc się i szarpiąc. W końcu posłeski normals zmęczył się i zirytował zabawą. Złapał człowieka za grzywę na czubku głowy i odrąbał mu nogi. Wrzaski przez chwilę były głośniejsze, a potem nagle ucichły, kiedy normals odciął głowę.

Reszta ludzi stała się po tym jakby bardziej skłonna do współpracy, klękając i pochylając głowy na wydany gestem rozkaz.

Ro'moloristen zauważył, że wielu z nich wciąż mamrocze te same słowa: „To niemożliwe... To się nie może dziać naprawdę”. Uznał, że to bardzo ciekawe, że jakakolwiek myśląca istota zaprzecza czemuś, co nie tylko jest możliwe, ale właśnie ma miejsce.

– Interesujący gatunek – mruknął, odwrócił się od rzezi i wrócił na swoje stanowisko na pokładzie okrętu.

Hammelburg, Niemcy, 29 marca 2007

Brasche nerwowo bębnił palcami o poręcz fotela dowódcy. Minęło już trochę czasu od ostatniego doniesienia o zestrzeleniu wroga czy nawiązaniu z nim walki.

– Ciekaw jestem, le, ilu zaliczyliśmy?

Oficer wywiadu odwrócił się na swoim fotelu.

– *Herr Oberst*, do tej pory batalion zaliczył czterdzieści dziewięć zestrzeleń. Ale wszystkie czołgi meldują to samo: przed nami nie ma więcej jednostek wroga.

– Myśli pan, że się na nas zaczaili, *Herr Oberst*? – spytał Schultz.

– Nie wiem, Dieter. Ale myślę, że można by na to postawić. Brasche zastanawiał się przez chwilę, a potem dotknął przycisku łączności na poręczy fotela.

– Wszystkie Tygrysy – rozkazał. – Wszystkie Tygrysy, zatrzymać się i utworzyć koło w obecnym punkcie. Kompania pierwsza, macie sektor od godziny szóstej do dziesiątej. Druga – od dziesiątej do drugiej. Trzecia – od drugiej do szóstej. Dwa tysiące metrów między czołgami.

Wszyscy trzej dowódcy kompanii jednocześnie potwierdzili otrzymanie rozkazu. Brasche z zadowoleniem patrzył, jak kompanie szybko zaczynają przemieszczać się na jego wyświetlaczu taktycznym. I wtedy...

Napięcie w głosie dowódcy kompanii było wyczuwalne nawet przez radio.

– Batalion, tu kompania jeden. Jedyńka do batalionu. Wróg jest... Za dużo... *Scheisse, Scheisse, Scheisse!*... Obróć ten cholerny czołg, ty...

Brasche natychmiast zareagował.

– Wszystkie jednostki, zwrot w lewo. Ruszać się, chłopcy, jedynka ma kłopoty.

Nie czekając na rozkaz, Krueger z przekleństwem na ustach przekręcił kolumnę sterową najmocniej jak się dało. Przy obu gaśnicach obracających się w przeciwnych kierunkach z niemal maksymalną prędkością zwrot Tygrysa był prawie natychmiastowy. Nawet w głębi centrum dowodzenia żołnierze usłyszeli wizg udręczonych gaśnic. „Boże, nie pozwól, żeby któraś pękła”, mruknęło kilku.

Nagły zwrot wyrzucił Harza z fotela na metalową podłogę i czołgista potoczył się po pokładzie. Aż sapnął z bólu, kiedy wyrznął w przeciwległą ścianę przedziału. Udało mu się podnieść na kolana, ale wtedy Krueger wykonał następny manewr – niespodziewanie pchnął czołg w nowym kierunku. Tym razem Harz potoczył się do tyłu.

Brasche spojrzał w dół, gdzie oszołomiony żołnierz zatrzymał się na podwyższeniu fotela dowódcy.

– Z powrotem na stanowisko, Harz.

Potrząsając głową, by dojść do siebie, Harz – wciąż na czworakach – ruszył do swojego fotela. Kiedy tam dotarł, radio znów zatrzeszczało.

Głos w słuchawkach był nienaturalnie spokojny.

– Batalion, tu *Leutnant* Schiffer. Tygrys 104 oraz prawdopodobnie *Hauptmann* Wohl i jego załoga nie żyją. Przejąłem dowodzenie.

– Co się stało z Wohlem, Schiffer? – spytał Brasche. – Nieważne, opowiedzcie mi później – rozmyślił się. – Jak wasze położenie?

– Mam sześć sprawnych Tygrysów i dwanaście do osiemnastu okrętów wroga, które próbują nas załatwić. Widoczność jest gówniana, nawet przy termowizji. Każdy Tygrys dostał przynajmniej raz. Przedni pancerz trzyma się nieźle. Czołg dowódcy dostał z tyłu jakąś bronią kinetyczną. To go

unieruchomiło i wróg mógł się zebrać i przerobić go na złom.

Wyobraźnia podsunęła Braschemu obraz jednego z jego Tygrysów, bezradnego, podczas gdy łądowniki obcych niespiesznie rozwalają go na kawałki.

– Gdyby nie zatrzymali się, żeby dokończyć 104-kę – ciągnął Schiffer – mogliby załatwić nas wszystkich.

Hans pokiwał głową. Widywał już takie rzeczy.

– Ustawiłem kompanię frontem do wroga i jadę tyłem do was, *Herr Oberst*, ale przeciwnik jest cholernie trudny do namierzenia w tej pogodzie, kiedy wie, że tu jesteśmy. Są w stanie wykryć nas z większej odległości niż my ich. Gdyby nie przedni pancierz, już wszyscy bylibyśmy martwi.

– Dobra robota, Schiffer – odparł Brasche. – Jedziemy do was, synu.

– Tak jest. Dziękuję. Ale... lepiej się pospieszcie.

Giessen, Niemcy, 29 marca 2007

– Naprzód, moi wojownicy – radował się Fulungsteeriot. – Szybko, moje dzieci, bo thresh nam umkną.

Niczym żółta fala, szeroka i głęboka, horda Posleenów rozdzieliła się, omijając skałę Giessen. Co jakiś czas normals, albo nawet Wszechwładca, upadał – thresh robili co mogli, by zatrzymać natarcie. Ale fala nie zwalniała. Niedługo miała okrążyć Giessen... a potem wlać się do środka... i thresh mieli w niej utonąć.

Fulungsreeriot obserwował obojętnie drogę na południu zapchaną uciekającymi thresh i panikę, która wybuchła, kiedy jego pierwsi wojownicy dorwali stado wlokące się w dziwnych i prymitywnych pojazdach kołowych. Wkrótce zaczęła się kośba.

Nie było czasu na rozbieranie mięsa jak należy; normalsi zarzynali thresh, kiedy tylko mogli ich dosięgnąć. Otwierali mieczami borna prymitywne pojazdy, dobierając się do tłustych ciał w środku. Przy wtórce wrzasków i błagań thresh byli wywlekani na zewnątrz, czasem w kawałkach. Krzyki tych, których wyciągano całych, kończył prosty cios miecza. Póki co wystarczyło ich zabić; inni mieli później zająć się szczegółami.

Oczywiście niektórzy thresh uciekali. Wykorzystując czas, który darowali im ich pobratymcy, padając pod posleńskimi ostrzami, uciekali gnani przerażeniem przez zaśnieżone pola na wschód.

* * *

Gudrun zobaczyła, jak ostrze przecina dach samochodu, którym ona i jej rodzina próbowali uciec przed grożącą miastu zagładą. Miecz przeszedł przez jej wrzeszczącą i wytrzeszczającą oczy matkę od głowy aż po biodra, zanim go wyciągnięto. Chociaż krzyki matki nagle ucichły, widok jej ciała rozpadającego się na dwie równe połowy w fontannie czerwieni sprawił, że Gudrun wydała z siebie zwierzęcy wrzask. Potem, kiedy żelazisty zapach krwi matki wypełnił jej nozdrza, instynkt wziął górę. Nie umiała mu się sprzeciwić; musiała uciekać.

Ojciec Gudrun kazał jej biec, a sam wyciągnął wielkokalibrowy pistolet i przeklinając, oddał dwa strzały nad trupem jej matki w masę Posleenów. Dziewczyna nie widziała, czy w coś trafił.

Szarpała się z klamką drzwi. Ojciec strzelił jeszcze kilka razy do najbliższych obcych; huk wystrzałów ranił jej uszy i popędzał. Wreszcie drzwi się otworzyły; Gudrun wyskoczyła z siedzenia za ojcem i pobiegła, zostawiając płaszcz w samochodzie. Bezpieczeństwo kryło się – jeśli w ogóle gdzieś było – za pokrytym śniegiem polem. Wrzaski za jej plecami wzrosły do rozzierającego serce crescendo, a potem nagle zrobiły się cichsze i rzadsze. Nie słyszała więcej strzałów. Jej migające stopy zaczęły jeszcze szybciej biec.

Na wschód od Paryża, 29 marca 2007

Isabelle uciekała, prowadząc rodzinny samochód jakby w półśnie. A raczej jechała przez

koszmar i śniła o chwili, kiedy on się skończy.

Czekała jeszcze dzień, a może trochę dłużej, ze wzrokiem utkwionym w telewizorze, mając nadzieję, że w wiadomościach podadzą jakąś bezpieczną trasę ucieczki dla niej i dla chłopców. W tym czasie dwie rzeczy stały się jasne. Po pierwsze, stara linia umocnień na wschodzie, skierowanych przeciw Niemcom i mylnie nazywanych Linią Maginota, tym razem trzymała się dzielnie, dokonując rzezi najeźdźców. Po drugie, francuska armia utrzymywała – choć z trudem – otwartą drogę ucieczki z Paryża na wschód.

W gęstej śnieżycy dźwięk słabo się rozchodził. Światło było rozproszone. Mimo to walki toczące się kilkanaście kilometrów, od drogi, po obu jej stronach, były tak intensywne, że jedno i drugie docierało do Isabelle.

Docierało nawet do jej mózgu, działającego z prerażenia na autopilocie. Trzymała stopę na gazie i jechała tak szybko, jak pozwalał śnieg i ruch na drodze.

Hammelburg, Niemcy, 29 marca 2007

– W nogi, synu, w nogi – szepnął Brasche do niesłyszającego go Schiffera.

Następny Tygrys, z numerem 102, został zniszczony; najpierw unieruchomiony przez nieszczęśliwe trafienie, a potem rozdarty na strzępy zmasowanym ostrzałem dziewięciu C-Deków. Schiffer stał w miejscu z dwoma pozostałymi czołgami i ostrzeliwał słabo namierzanego wroga, podczas gdy inny Tygrys cofał się w stronę posiłków i stosunkowo bezpiecznego miejsca, aby potem się z nimi zamienić.

– Między nami a kompanią jeden jest grzbiet, *Herr Oberst* – zauważył ją, oficer operacyjny Braschego. – Pomyślałem, że...

Hans zastanowił się nad jego propozycją, patrząc na wyświetlacz taktyczny i obliczając w głowie odległości i czasy.

– Tak. Tak, majorze... To daje pewne możliwości.

Trzynastka okazała się dla Braschego nieszczęśliwą liczbą. Jego ręce się zmęczyły; nie trafił w nerkę. Wietnamczykowi udało się zawołać swoich towarzyszy, zanim czerwona rzeka hryznęła na ziemię. Już po chwili Hans uciekał przed kanonadą kiepsko mierzonych strzałów.

Ich liczba sugerowała, że jego prześladowców jest co najwyżej dwudziestu, czyli tylu, ilu jego drużyna legionistów miała wciągnąć w zasadzkę. W jego głowie zaczął się rodzić pewien pomysł.

– Schiffer, jak idzie?

– Kiepsko, *Herr Oberst*. Wróg nas naciska... ale nie straciłem więcej czołgów.

– Bardzo dobrze, *Leutnant*. Widzi pan grzbiet jakieś trzy kilometry za wami?

– Tak, *Herr Oberst*. Miałem nadzieję, że uda nam się za nim na chwilę schować.

W sposób niewidoczny dla Schiffera Brasche pokręcił głową.

– Macie go minąć i jechać dalej, aż was wezwę. Zrozumiano?

– Nie – odparł Schiffer przez radio.

Brasche głośno westchnął.

– Problem w tym, *Leutnant*, że sensory wroga mają w śniegu lepszy zasięg niż nasze. Ale jeśli uda się panu zmusić ich, żeby polecili za panem na tę stronę grzbietu, reszta batalionu może tu czekać, w zasięgu naszych sensorów i kamer. Wątpię, żeby mogli nas zlokalizować tak samo dobrze przez litą skałę, jak przez rozproszoną zamarzniętą wodę. Dziewięć Tygrysów III, wykorzystując element zaskoczenia, da sobie radę z tak licznym wrogiem.

– Teraz rozumiem, *Herr Oberst*. Ile czasu pan potrzebuje na ustawienie się po waszej stronie grzbietu?

- Pięć minut, *Herr Oberst*, nie więcej – odpowiedział na głos 1a.
- Słyszałem, *Herr Oberst* – oznajmił Schiffer. – Zyskam dla pana tyle czasu.
- Wykonać – rozkazał Hans, widząc, że 1a zrozumiał. – Dobry z pana chłopak – powiedział do Schiffera przez radio. – Pięć minut.

Biegając pod ostrzałem, Brasche prowadził monolog, i to dość głośny, w praktycznym języku Legii tamtych czasów – niemieckim. Zbyt wielu Wietnamczyków rozumiało po francusku.

Sap, sap...

- *Nie odpowiadać... – Sap, sap... – Biegną za mną. – Sap, sap... – Około dwudziestu... – Sap... – Przygotować się... – Sap. – Przepuście mnie, a potem walcie w nich, kiedy wejdą w strefę ostrzału. – Jęk... – Już prawie jestem... Nicht schiessen.*

Z sercem walącym tak samo ze strachu, jak i z wyczerpania, Hans przeskoczył pierwszego wietnamskiego trupa i przebiegł przez strefę ostrzału. Za sobą słyszał kolejne strzały i jazgot rozwścieczonych żołnierzy Viet Minhu. Przyszło mu do głowy, żeby skoczyć w bok i dołączyć do swoich ludzi, ale odrzucił ten pomysł. Wietnamczycy musieli mieć powód, żeby go ścigać, a jedynie uciekający człowiek, który zostawił za sobą w mroku dżungli szlak trupów z poderżniętymi gardłami, był wystarczającym powodem.

Nagle Hans poczuł uderzenie w plecy. Nie usłyszał wystrzału, który go trafił. Padł na ziemię. Samo trafienie było bolesne, po chwili jednak odezwało się palące, ogniste cierpienie wzdłuż całej drogi pocisku.

- *Cholera, znowu – jęknął Hans i zacisnął z bólu oczy.*

Kiedy je otworzył, Wietnamczycy już przy nim byli. Zapominając o ostrożności, małe ludziki zebrały się dookoła. Każdy z nich chciał zatopić bagniet w potworze, który polował na ich towarzyszy i zarzynał ich jak świnie.

Tracąc przytomność, Hans zobaczył, jak dwóch Wietnamczyków unosi wysoko karabiny z bagnietami. Przygotował się na cios zimnej stali.

Giessen, Niemcy, 29 marca 2007

Śnieg był zimny, tak bardzo zimny pod jej wyczerpanym ciałem. Serce Gudrun waliło w piersi jak u schwytanego w sidła królika na dźwięk kroków trapera. Jej wyścig się skończył... i przegrała. Teraz czekał ją garnek.

*Była w pułapce, wiedziała o tym. Chociaż straszliwi obcy za nią ścigali uciekinierów od niechcenia, drugie ramię zaciskającego się posleeńskiego *impi* było przed nią, ciągnąc się jak okiem sięgnąć we wciąż padającym śniegu. Chociaż biały puch tłumiał dźwięki, Gudrun słyszała, że następni zbliżają się poza jej polem widzenia.*

Bezradna i samotna, śmiertelnie przerażona, dziewczyna zaczęła cicho łkać. Szlochły zwabiły posleeńskiego normalsa.

- *Nie... Proszę, nie – błagała Gudrun. – Proszę. Mam tyle powodów, żeby żyć. Nie rób mi krzywdy. Nie zjadaj mnie. Proszę.*

Normals był nieporuszony. Nic ludzkiego nie mogło go poruszyć. Potrzeby miał proste: jeść, pracować w ramach swojego ograniczonego zestawu możliwości, służyć swojemu Bogu. W tej chwili najpilniejszą potrzebą było jedzenie. Stojąc nad Gudrun, wyciągnął i uniósł w górę miecz borna.

Dziewczyna – niewinna, bystra, „walcząca”, która nie skrzywdziłaby nawet muchy – wydała z siebie ostatni krzyk.

- *Dieeeteer!*

Hammelburg, Niemcy, 29 marca 2007

– Spokojnie, Schultz. Spokojnie – mówił Brasche. – Wyczekaj .

Dieter ledwie kiwnął głową, tak mocno wpatrywał się w celownik.

– Schiffer do batalionu – odezwało się radio.

Hans poświęcił sekundę na rzut okiem na wyświetlacz. – Tu Brasche.

– Za chwilę mijamy grzbiet.

– Widzę, Schiffer. Czekamy w lesie po drugiej stronie, jakieś cztery kilometry dalej. Mińcie nas i zatrzymajcie się jakieś dwa kilometry za nami.

– Według rozkazu, *Herr Oberst*. Ale nie będzie łatwo.

– Rozumiem, synu – odparł Brasche i odwrócił się do swojego la. – Proszę przejąć na chwilę dowodzenie czołgiem, majorze. Wychodzę na górę. Krueger, pilnuj silników, żadnego przyspieszenia.

Nie czekając na potwierdzenie majora ani Kruegera, Hans wszedł na platformę windy prowadzącej do wjazdu dowódcy na szczycie wieży. Winda bezgłośnie wyniosła go do góry, otwierając automatycznie klapę, a la przejął fotel dowódcy na dole.

Kiedy Hans znalazł się na swojej platformie nad kadłubem Tygrysa, odetchnął. Owszem, powietrze na dole, w przedziale załogi, było czyste. Ale dowódca czołgu musi przede wszystkim widzieć.

– Widzieć i słyszeć – poprawił sam siebie na głos – a nie wierzyć na słowo jakimś telewizorowi.

I usłyszał. Zza grzbietu dobiegły go odgłosy nierównej walki Schiffera z lądownikami, huk przekraczającej bariery dźwięku posleńskiej broni kinetycznej, trzask potężnych dwunastocalówek Tygrysów, słaby grzechot gąsienic i wizg napędów antygravitacyjnych okrętów obcych.

Potem Brasche zobaczył zarys wieży jednego z dwóch pozostałych czołgów kompanii jeden, wyłaniający się nad szczytem wzniesienia. Tygrys zatrzymał się tuż po drugiej stronie. Wystrzelił, a Brasche odczuł szok wystrzału jak podwójne uderzenie w twarz.

Zobaczył, że wieża obraca się i znów strzela. Z braku jakichkolwiek wybuchów Hans wywnioskował, że oba strzały chybiły.

Nagle zajazgotała broń Posleenów. Po drugiej stronie wzniesienia z ziemi wzbiła się chmura kurzu, szeroka na kilometr. Osłonięty szczytem Tygrys wystrzelił; w oddali coś błysnęło i rozległ się huk eksplozji. Zestrzelili C-Deka.

Znów zamigotały ładunki energii kinetycznej. Coś błysnęło i potężnie huknęło. Braschemu wydało się, że poprzez śnieg widzi niewyraźnie unoszącą się do góry potworną bryłę wieży Tygrysa.

Przepełniony grozą, dotknął przycisku na słuchawkach.

– Schiffer, fu Brasche.

– To był *Leutnant* Schiffer, *Herr Oberst*. Mówi *Felfwebel* Weinig, dowódca trzeciego plutonu... Poprawka, dowódca pierwszej kompanii.

Brasche zamknął oczy, czując ból po stracie tak zdolnego młodego oficera, i westchnął z żalem.

– Uciekajcie, Weinig. Uciekajcie natychmiast.

– Nie będziemy się sprzeczać, *Herr Oberst*. Tygrys 103 ucieka ile sił w nogach.

* * *

Trzy Tygrysy, sześćdziesięciu dziewięciu moich ludzi straconych bezpowrotnie, wściekał się Brasche, czując wzbierającą w sercu nową nienawiść do wroga. Rozpoznał ją, przypomniał sobie, że to samo czuł już wcześniej – do Rosjan, Wietnamczyków i innych. Wiedział też, że nienawiść ta jest stałą, której potrzebuje jego dusza, by dokonać tego, w czym wszystkie łagodniejsze uczucia mogłyby tylko przeszkadzać.

Zimna stul. lśniąca blado w półmroku dżungli, nie opadła. Po jednej stronie leśnej ścieżki, którą uciekał przed ścigającymi go komunistami, Hans zobaczył – ale, co ciekawe, nie usłyszał, do takiego stanu doprowadziła go rana – żółte kwiaty ognia karabinów i karabinu maszynowego. Dwaj komuniści, którzy zamierzali właśnie zakończyć jego życie, padli pierwsi; ich ciała skręcały się i tańczyły pod ciosami kul, a ich taniec śmierci odbywał się w upiornej poświacie błysków wystrzałów.

Ogień trwał, zdawało się, bardzo długo, i Hans zaczął się zastanawiać, czy zabłąkana kula przyjaciela i towarzysza nie zdoła go jeszcze odnaleźć. Mimo cierpienia przyjął tę myśl z rozbawieniem. Nie usłyszał gwizdka swojego zastępcy, rozkazującego przerwać ogień i wysyłającego grupę zabójców, by przeszukali strefę ostrzału... i upewnili się, że leżące tam zwłoki są rzeczywiście zwłokami. To bagnety legionistów, a nie komunistów, skąpały się tej nocy w czerwieni.

Niewidoczny Tygrys, Tygrys Schiffera, płonął pod szczytem wzgórza. Blask ognia pożerającego paliwo, amunicję i ludzi, i sprawiającego, że pancerz lśnił wiśniową czerwienią rozświetlał opadające płatki śniegu.

Trzy rozbłyski, jeden po drugim, z jednego miejsca gdzieś poza polem widzenia rozświetliły krawędź grzbietu niczym stroboskop.

– Czekał – ostrzegł Brasche, widząc, że Schultz nagle sztywnieje.

– Właśnie, Dieter – wtrącił Harz drwiącym tonem. – Tak samo jak twoja mała blondynka, nie chcemy, żebyś wystrzelił za wcześnie.

Myśl o Gudrun, czekającej na niego bezpiecznie w Giessen, sprawiła, że Dieter uśmiechnął się przelotnie i poczuł ukłucie tęsknoty. Drwiny Harza sprawiły, że ochota, która – tego Schultz był pewien – przebijała z jego twarzy, szybko zamieniła się w rumieniec wstydu.

– Pieprzę cię, Harz – szepnął cicho, ale nie dość cicho.

– No, mnie na pewno nie, Dieter. Twoja Gudrun tak cię zawiodła, że już myślisz o przrzuceniu się na chłopców?

– Dość tego – rozkazał Brasche tonem, który uciał wszelką wesołość. – Jeśli ktoś tu zostanie wydymany, to te jaszczurki, które za chwilę pojawią się nad horyzontem.

Giessen, Niemcy, 29 marca 2007

Gudrun patrzyła niewierzącym wzrokiem na horyzont. Obok leżało ludzkie ciało porąbane na łatwe w transporcie żeberka, rąbankę i steki. Chociaż Posleen nie chciał marnować pożywienia, musiał poczekać, aż cała krew wyleje się na śnieg. Instynktownie czuł, że nawet to nie pójdzie zupełnie na marne: krew sprawi, że na żyznej ziemi wyrosną obfitsze plony.

Ale głowa pełna miękkiego mózgu? To nie może się zmarnować. Pracujący przy rozbiorze ciał Posleen przerwał pracę. Potem podniósł bladą, bezkrwistą głowę Gudrun za jasne włosy. Nie zauważył – a nawet gdyby zauważył, nie przejąłby się tym – że brakuje jednego kosmyka. Rozłupana na pół, odcięta od ciała głowa pozwalała dobrze się pożywić.

Hammelburg, Niemcy, 29 marca 2007

Czoło powietrznej falangi Posleenów sunęło ostrożnie nad horyzontem. Najwyraźniej wyczuło uciekającego Tygrysa 103, bo nagle przyspieszyło, by doścignąć ofiarę. Reszta, czy może raczej resztki, pierwotnych sił powietrznych Posleenów, jakieś siedemnaście C-Deków i Minogów, również ruszyła do ataku. Skupiając uwagę na szybko jadącym, łatwym do wykrycia Tygrysie, obcy nie zauważyli nieruchomych, czających się na jałowym biegu pozostałych dziewięciu czołgów.

* * *

– *Feuer!* – krzyknął Brasche na kanale ogólnym, kiedy tylko upewnił się, że wszyscy Posleeni wpadli w jego pułapkę. Dziewięć trzydziestopięciocentymetrowych armat zagrzmiało jak jedna, trafiając i rozsadzając w oślepiających błyskach antimaterii siedem okrętów.

– Strzelać bez rozkazu.

Pozostało jedenaście. Wszystkie zaczęły się ostrzeliwać ładunkami energii kinetycznej, promieniami plazmy i hiperszybkimi raketami. Ale przewaga była po stronie ludzi. Przelatując nad grzbietem wzgórza, Posleeni przynajmniej chwilowo znaleźli się w zasięgu ich sensorów i celowników.

A ciężkie pancerze Tygrysów mogły wytrzymać wszystkie trafienia, oprócz wyjątkowo pechowych. Posleńskie okręty nie mogły zaś wytrzymać żadnego trafienia z ich armat.

Zagrzmiała druga salwa, niemal tak samo jednocześnie jak pierwsza – ostatecznie masowo produkowane wytwory mechaniki precyzyjnej pozostawały niemiecką specjalnością. Mimo ostrzeliwania się i uników kolejnych pięć okrętów zostało zdmuchniętych z nieba. Pozostało jeszcze sześć.

Dla obcych, przywykłych do tego, że mają przewagę – liczebną technologiczną i w sferze morale – tego było już za wiele. Spróbowali ucieczki.

Na widok uciekającego wroga – a był to widok bardzo miły sercu – Hans Brasche mógł wydać tylko jeden rozkaz.

– Rozpocząć pościg.

INTERLUDIUM

– Ci threshkreen ścigają nasze okręty, jakby same były thresh – mruknął Athenalras. – To... to... nieprzyzwoite!

Ro'moloristen stłumił posleeńskie parsknięcie śmiechem; nie było sensu irytować swego dowódcy i pana. Młody kessentai na pewno był inny niż jego przełożony. Sam siebie uważał za mniej bezwzględneho. Odważniejszego? Tego nie wiedział.

Poczuł się jednak odważny, kiedy odpowiadał.

– Robią dla swojego ludu to samo, co my dla naszego. Tak, mają wiele obrzydliwych zwyczajów. Tak, ich architektura jest absurdalna, ich przemysł i nauka prymitywne. Tak, nie walczą tak jak my, na otwartym polu, żeby wszyscy towarzysze ich widzieli, a Pamiętający mogli opiewać. Ale, mój panie, walczą zaciekle i dobrze. I jest coś wzruszającego w tym, jak ich starsi poświęcają życie dla młodszych, ich samce dla samic.

Athenalras spojrział na Ro'moloristena tak, jakby młody Wszechwładca zupełnie oszalał; oddanie życia przez ludzkiego samca za samicę było tym samym, co oddanie życia przez Wszechwładcę za normalisa. Dla szanującego się Wszechwładcy była to największa możliwa nieprzyzwoitość.

Ro'moloristen szybko się wycofał.

– Nie powiedziałem, że to pochwalam, mój panie. Po prostu taka odwaga jest wzruszająca. Jakby te pomniejsze istoty, samice i pisklaki, ucieleśniały jakąś nieskończoną wartość, której nie możemy się nawet domyślać.

Giessen, Niemcy, 22 kwietnia 2007

Dieter Schultz nie porzuczał nadziei, nawet kiedy doszły go wieści o upadku Giessen i masakrze mieszkańców. Ale w miarę jak mijały kolejne dni bez wiadomości od jego ukochanej Gudrun, zaczął wierzyć, że była to płonna nadzieja.

Każdy dzień przynosił *Korps* i 501. *Schwere Panzer Batalion* (Michael Wittman) nowe starcie. Każdy dzień przynosił też nowe straty. Batalion stopniał do ośmiu Tygrysów, potem siedmiu. Wraz z każdą straconą maszyną dwudziestu trzech dzielnych ludzi gasło jak świece na wietrze.

Strzelec Dieter miał przywilej malowania na lufie armaty *Anny* oznaczeń zestrzeleń – osiemdziesięciu ośmiu zestrzeleń – ośmiu szerokich i ośmiu wąskich pasków. Ponieważ jednak nie miał wieści od Gudrun, malowanie było dla niego niewdzięcznym, a nawet przykrym zadaniem.

Potem przysłała chwila wytchnienia, kiedy w szeregach batalionu wstąpiły jeden nowy i dwa odzyskane Tygrysy. Później jednak znów zaczęły się straty, nigdy nie uzupełniane w całości. Brasche dowodził zaledwie pięcioma czołgami, kiedy ze środkowych Niemiec usuwano ostatnie ognisko posleńskiej zarazy, dowodzone przez starszego Wszechwładcę. Fulungsteeriota i tkwiące wokół rozwłóczonych ruin miasta Giessen.

Dieter Schultz przeżył chwilę radości, kiedy do przemieszczającego się batalionu Tygrysów dotarła wreszcie poczta. Koperta zawierała coś wspaniałego: małe zdjęcie Gudrun, która wyglądała na nim tak samo jak tamtego wieczora, kiedy się spotkali, krótki, delikatnie perfumowany list i mały kosmyk złotych, jedwabistych włosów. Dieter z całego serca pragnął, by nie była to wiadomość z grobu.

Ouvrage du Hackenberg, Thierville, Francja, 23 kwietnia 2007

To było jak zejście do grobu. Ze świata na powierzchni, ożywającego wraz z nadejściem wiosny, ze świeżego powietrza pachnącego kwiatami Isabelle i jej synowie zeszli przez łukowate betonowe przejście do słabo oświetlonego, wilgotnego i cuchnącego kanału, pełnego po brzegi ludzkich odpadów.

Z każdym krokiem w głąb fortecy Isabelle coraz mocniej podupadała na duchu. Z obu stron, ze stłoczonych łóżek polowych upchniętych pod zawilgłymi ścianami, patrzyły na nowo przybyłych puste, beznamiętne twarze pozbawionych nadziei ludzi. Isabelle czuła na plecach zimny dreszcz, nie mający nic wspólnego z chłodem podziemi.

A chłód podziemi przypominał jej inne, gorsze zimno.

Samochód dawno już wyzionął ducha z braku paliwa. Wojsko miało oczywiście benzynę, ale twardo odmawiało choćby litra błagającym uciekinierom, którzy musieli iść dalej pieszo. Isabelle przeszło przez myśl, żeby sprzedać się za trochę benzyny i uratować chłopców. Ale zaraz potem, uświadamiając sobie, że młodsze kobiety i dziewczyny mogły zaoferować więcej niż ona, odrzuciła ten pomysł. Zamiast tego cała rodzina porzuciła samochód przy drodze i zabierając ze sobą zupełne minimum zaopatrzenia, ostatnich kilkaset kilometrów przeszła na piechotę.

Zimno było z początku straszne. Były chwile, kiedy na widok dygoczących chłopców Isabelle myślała, by skrócić ich cierpienia. Przecież wśród minimum zaopatrzenia był pistolet. Choć jako liberał gorliwie popierała kontrolę posiadania broni, a jej mąż jako lekarz miał głęboko zakorzeniony wstręt do wszystkiego, co służyło krzywdzeniu ludzi – zatrzymali pistolet jej dziadka z pierwszej wojny światowej, ignorując wszystkie wezwania do jego zwrotu.

W końcu jednak matczyne imperatywy okazał się silniejszy niż zwykłe poczucie nieszczęścia. Jej chłopcy muszą przeżyć. Żeby tak się stało, ona też musi przeżyć. Nie użyła pistoletu.

Co ciekawe, nie przyszło jej do głowy – kiedy jeszcze mogło coś z tego być – że za pistolet, prędzej niż za swoje ciało, mogłaby zdobyć trochę paliwa. Nie raz brnąć przez mróz i śnieg, przeklinała samą siebie, że o tym nie pomyślała.

Berlin, Niemcy, 24 kwietnia 2007

Ściskając w rękę świeże upomnienie, Tir przeklinał Niemców tak mocno, jak tylko pozwalał mu na to lęk przed *lintatai*.

Czy Ghin nie widzi, że to nie jest zwykły przeciwnik? Zasepił się. Cóż, została mi jeszcze jedna rzecz, którą mogę wykorzystać.

Jak dotąd Tir był bardzo oszczędny, jeśli chodzi, o wybór informacji uzyskanych od Guntera i wpuszczanych do Sieci – innymi słowy, udostępnianych Posleenom. W jakiś sposób – Tir sam nie rozumiał szczegółów tego mechanizmu – był odcięty od kontroli. Dlatego w głębi serca obawia! się, że wypuszczenie wszystkich informacji za jednym zamachem skłoni Niemców – zawsze dość podejrzliwych – do szukania przecieków tam, gdzie dotąd się ich nie spodziewali. Ale okoliczności były dramatyczne. Ghin groził obcięciem premii, wycofaniem obiecanych opcji zakupu, zmniejszeniem pensji... zdegradowaniem z rangi Tira do de'Tira.

Tir zadrzał, przejęty groźbą hańby i utraty dochodów.

Mógłby udostępnić resztę informacji. Oczywiście kosztowałoby go to utratę Guntera. Ale z drugiej strony jego przydatność i tak prawdopodobnie już się kończyła.

Nawet wśród Darhelów łamanie umów było uważane za praktykę w złym guście. Jednak jedyną obietnicą, jaką złożono Gunterowi, było ewakuowanie jego rodziny poza planetę. Nigdy nie było mowy – on też o to nie prosił – o zapewnieniu bezpieczeństwa jemu samemu. Rodzina dawno już przebywała na innej planecie, z dala od groźby najazdu.

Niech więc tak będzie, postanowił Tir. Posleeni dostaną wszystkie informacje, które posiadam. Mam tylko nadzieję, że ci durnie będą potrafili je wykorzystać.

Giessen, Niemcy, 27 kwietnia 2007

Przebywający w zbudowanym przez thresh, przypominającym grobowiec, schronie Fulungsteeriot zaklął. Upaść tak nisko, kiedy się było tak wysoko, to istna tragedia.

Ale nic nie można na to poradzić; wróg opasał szczelnym pierścieniem tę małą enklawę posleenstwa. Ściągnięte z Sieci informacje opisywały ścianę ognia i stali, nawet w tej chwili zaciskającą się na gardle Ludu. Zrujnowane obrzeża miasta były w większej części z powrotem w rękach tubylców. A tubylcy sprawiali wrażenie wyjątkowo sprawnych i chętnych do wykurzenia Posleenów co do ostatniego. Zupełnie jakby podchodzili do tej całej sprawy osobiście!

Trzy razy Fulungsteeriot wysyłał swój Lud przeciwko więzzącemu ich pierścieniowi stali. Żadna z prób wyrwania się z matni nie powiodła się, a ostatnie natarcie nie dotarło nawet do linii znienawidzonych thresh, kiedy zostało rozbite przez ich artylerię.

Wszechwładca pomyślał, że może powinien był oszczędzić niektórych thresh, których tu pojmał. Być może udałoby się oddać ich w zamian za bezpieczne przejście, tresh bowiem w zupełnie niepojęty sposób troszczyli się oswoję pisklaki i samice.

Ale przyszło mu to do głowy o wiele za późno. Który Wszechwładca w pierwszym porywie zwycięstwa myślałby o ewentualnej klęsce albo odmawiał swojemu ludowi owoców wiktarii? Fulungsteeriot na pewno taki nie był. Thresh z miasta zostali zjedzeni co do ostatniego cuchnącego pisklaka.

Ani jednemu – Wszechwładca był o tym przekonany – nie pozwolono uciec.

Teraz zaś nie było ucieczki w kosmos, nawet dla starszego Wszechwładcy, jakim był Fulungsteeriot. W swoim gniewie i nienawiści odziani na szaro thresh nie tylko okrążyli całe miasto,

ale sprowadzili wystarczająco dużo machin wojennych zwanych przez nich „Tygrysami”, by uniemożliwić Posleenom wszelkie ruchy w pionie. W okolicy leżało co najmniej siedem radioaktywnych wraków okrętów, ofiar ludzkich czołgów. Ucieczka do góry była niemożliwa.

Będąc do końca realistą, Fulungsteeriot nie próbował tworzyć iluzji nadziei, chociaż zaplanował jeszcze jedną próbę wyrwania się z mami, wykorzystując wszystkich pozostałych mu wojowników. Wiedział jednak, że przy zmasowanym ostrzale artylerii, roznoszącym jego Lud na strzępy mięsa i skóry, może oczekiwać jedynie końca.

Do Wszechwładcy podszedł ostrożnie kenstain; kiedy walczyli o życie, wszyscy Posleeni byli niebezpieczni, nawet normalst Zatrzymując się w wyrażającej szacunek odległości, kenstain wydał z siebie posleński odpowiednik kaszlnięcia, coś w rodzaju zduszonego charczenia.

– Panie? Jest coś, co musisz zobaczyć, coś, co właśnie zauważyłem, unoszące się w eterze.

– Tak? Co to takiego? – spytał z irytacją Wszechwładca. – Panie, spośród otaczających nas threshkreen jedna grupa to niedobitki tych, których nasz Lud wyrzwał w pobliżu miejsca zwanego przez ludzi „Marburgiem”.

* * *

Dieter rozpaczliwie chwycił się resztek złudzeń. Jednak widok przepatrywanego przez celownik – w każdym możliwym spektrum – pozostawionego przez Posleenów pustkowiec niweczył ostatki jego nadziei.

Brasche pogładził schowane w kieszeni na piersi zdjęcie. Współczuł chłopakowi tak samo jak prawie cała załoga.

– Dlaczego? – spytał Dieter. – Dlaczego?

– Bo jakaś cipa w mundurze uciekła, chłopcze – odparł ostro z miejsca kierowcy Krueger, który nie czuł żadnego współczucia. – Poczytaj meldunki z akcji, są w Sieci. Jakiś gnojek dał nogę zamiast stawić czoła niebezpieczeństwu i dlatego twoja dziewczyna nie żyje. Nie wiemy, kto to był. Nie wiemy, gdzie dokładnie to się zaczęło. Ale ktoś uciekł i wywołał panikę. To było zresztą do przewidzenia po tym, jak zasrani politycy związali ręce wszystkim oprócz nas.

Schultz spojrział na dowódcę. Chociaż Brasche nie znosił swojego kierowcy, musiał przyznać mu rację.

– Tak, Dieter.

– Ale co można na to poradzić? – spytał Schultz żałośnie.

– Zabijać tych, którzy uciekają, chłopcze – odparł Krueger. – Nie dać im innego wyjścia niż zostać i walczyć. Wieszać tchórzy i patrzeć, jak wierzgają i tańczą, jeśli ma się trochę czasu. Jeśli nie, po prostu zastrzelić.

Krueger poczuł lekki dreszczyk rozkoszy na wspomnienie wierzgających stóp szesnastoletniego tchórza z *Volksgrenadierów*, okrutnie powieszzonego trzydziści centymetrów nad ziemią, z pętlą zadzierzgniętą na karku, żeby widział, jak jest blisko ocalenia. Zaśmiał się tak samo jak wtedy, z radością niezatartą przez czas.

Brasche pokiwał głową, niechętnie zgadzając się z Kruegerem, ale wiedział, że Schultz musi się tego dowiedzieć.

– To prawda, Dieter. Zgnilizna musi zostać wycięta, kiedy tylko się wda. Czasami jeśli są dobrze wyszkoleni, nie pojawia się bardzo długo, może nawet przez całą wojnę. Ale kiedy ma się do czynienia z taką hałastrą w mundurach, jaką wystawiły dzisiaj Niemcy, nie można postąpić inaczej, niż użyć ostrych środków zapobiegawczych.

Dieter zrozumiał.

– Bo jeśli nie – powiedział – giną niewinne i piękne dziewczyny.

Giessen, Niemcy, 28 kwietnia 2007

Pod kanonadą straszliwej artylerii thresh Fulungsteeriot i podlegli mu Wszzechwładcy nie zdołali ustawić swoich zdziesiątkowanych oolt'pos w cokolwiek przypominającego szyk do natarcia. Co gorsza, straty w tym, co thresh nazwaliby „łańcuchem dowodzenia”, nie ułatwiały stworzenia skutecznego planu. Fulungsteeriot i jego podwładni musieli posyłać swoich oolt'os w tryby maszynki do mielenia mięsa, dając im jedynie ogólne wytyczne.

Jednak na wojnie dużą rolę odgrywa przypadek. To właśnie on zdecydował, że w pobliżu znajdowały się niedobitki 33. *Korps*, to on spowodował, że podwładny Fulungsteeriota znalazł tę informację w Sieci. Chociaż trzy czwarte pierścienia oblężenia obsadzały dobre oddziały 47. *Panzer* i 2. *Korps* Górskiego, rejon wybrany na cel natarcia utrzymywali zniechęceni i pozbawieni woli walki żołnierze 33. *Korps* Piechoty.

Po prostu byli w okolicy i nie mieli nic innego do roboty...

* * *

– Brasche? Tu Mühlenkampf.

Brasche potrząsnął głową w daremnej próbie zebrania myśli.

– *Hier, Herr General.*

– Hans, 33. *Korps*, pieprzona Cipwehra!... znów pryska. Ty i twoje... niech spojrzę... pięć Tygrysów...

Mühlenkampf czekał.

– Tak, *Herr General* – odparł w końcu zmęczony Brasche, włączając mikrofon krtaniowy. – Zostało mi pięć Tygrysów.

– Jedźcie do sektora Walkiria Trzy. Dywizja *Jugend* pojedzie za wami. Ale, Brasche, wy tam będziecie pierwsi. Musicie utrzymać grzbiet do przybycia *Jugend*.

– Już jedziemy... *Herr General*, co tam się, kurwa, dzieje? Co mam z tym zrobić?

Mühlenkampf zawahał się, w końcu odpowiedział głosem zabarwionym smutną determinacją.

– Wykonać swój obowiązek, *Herr Oberst*.

* * *

Niedobitki 33. *Korps* nie czekały nawet, aż Posleeni znajdą się w zasięgu skutecznego strzału. Na sam widok – czy raczej odgłos – zbliżającej się masy obcych cały *Korps* dał nogę.

I nic dziwnego. To były szybko nogi resztki, ci, co nie czekają z decyzją, najmniej odważni ze wszystkich. A dobrzy żołnierze, dobrzy dowódcy? Ci w większości zwlekali o kilka sekund za długo w poprzedniej bitwie, podczas ucieczki spod Marburga. Krótko mówiąc, już dawno przeszli poćwiartowani przez trzewia obcych i zostali wydaleny w cuchnących przyzmach na ziemię, którą w ten sposób użyźnili.

Dobrzy żołnierze 33. *Korps* zamienili się w gówno, a gówno zamieniło się w coś w rodzaju ludzkiej biegunki. I poleciało.

* * *

Anna przejechała z głośnym chrzęstem przez długi szereg cywilnych pojazdów, które wyglądały tak, jakby napotkały na swojej drodze największą na świecie maszynkę do mielenia. Minawszy rafę posiekanego złomu, Krueger szybkim ruchem kolumny kierowniczej ustawił *Annę* na grzbiecie taktycznym wzniesienia, na drodze ucieczki resztek 33. *Korps*. Jak tryby jednego mechanizmu pozostałe cztery Tygrysy zajęły swoje pozycje, po dwa po obu stronach *Anny*, wzdłuż tego samego grzbietu. Pięć czołgów utworzyło linię długości około ośmiu kilometrów.

Krueger, bardziej niż którykolwiek inny członek załogi, musiał – ze względu na swoje

obowiązki – uważnie przyglądać się okolicy. Tuż za linią złomu rozpościerał się otwarty teren. Kierowca widział, że leżały tam rozrzucone stosy kości, dokładnie odartych z mięsa. Jego wzrok przesunął się po czaszce, której wierzchołek usunięto tak równo, jak równo ścina kokosa doświadczony zbieracz – Kruegera ten widok nie poruszył.

Przed nimi widać było oznaki paniki.

Krueger i Brasche, starzy weterani, widzieli już taką panikę. Krueger zaklął.

– Co za pieprzone gówno!

– 501. *Schwere Panzer*? – powiedział cicho Brasche. – *Stabsunteroffizier* Schultz...

Dieter wyrzwał ze swojego stanowiska strzelca przez celownik głównej armaty. W oddali widział masę Posleenów wylewających się z niemal doszczętnie zburzonego miasta. Bliżej, pojedynczo i małymi grupami, bez żadnego porządku ani dyscypliny, uciekały resztki rozbitego *Korps*. Lewa ręka chłopaka sięgnęła bezwiednie do koperty w prawej kieszeni bluzy. Wyjął ją, zręcznie otworzył i sięgnął do środka, by dotknąć schowanego tam złotego kosmyka. W jego sercu zapłonęła iskra czystej nienawiści.

– ...ognia przed tę tłuszczę. Użyj współosiowych mauserów. Daj im do zrozumienia, że dalej już nie uciekną. Nakreśl linię na ziemi – dokończył Brasche.

– A jeśli się nie zatrzymają *Herr Oberst*? Jeśli przekroczą tę linię?

– Zgnilizna nie może się rozprzestrzenić. Wtedy ich zabijesz. Zamigotał płomień, mniejszy niż błysk ognia przy wystrzale z armaty Tygrysa. Jakieś dwa i pół kilometra dalej, tuż przed pierwszymi pierzchającymi grenadierami, pojawiła się na ziemi linia małych, ciemnych, gniewnych chmur kurzu.

* * *

Dla umykającej gromady żołnierzy z 33. *Korps* pojawienie się wyraźnie widocznych Tygrysów przypominało rozwarcie bram niebios. Instynktownie skręcili w stronę szeroko rozciągniętej linii czołgów 501 – go, jak chłopiec uciekający przed chuliganami, żeby schować się za spódnicą mamy.

Każdy w tym motłochu – bo tym właśnie się stali, motłochem – miał w głowie tylko jedną myśl: „bezpieczeństwo”, kiedy ujrzał niewzruszoną potęgę Tygrysów. I każdemu z nich odebrało mowę, kiedy te wrota do bezpieczeństwa, pełna mleka pierś matki, zaczęły pluć ogniem w pierwsze szeregi uciekających.

Część uciekinierów uważała – musiała tak uważać, gdyż wychowano ich w niewinności, a na szkoleniu obchodzono się z nimi w białych rękawiczkach – że ogień lekkich działek mausera, koszący uciekających najbliżej Tygrysów, musiał być jakąś pomyłką. A to była ich pomyłką... Ostatnia, jaką wielu z nich popełniło.

Inni, nie tak rozpieszczeni przez mamy i lekki trening wojskowy, doznali wstrząsu i stanęli jak wryci. A potem usłyszeli głos. Głos Braschego...

* * *

– *Anno*, daj zewnętrzne głośniki – rozkazał Brasche integralnemu systemowi rozpoznawania głosu.

– Tak jest, *Herr Oberst* – odparła SI czołgu.

– Niech inne czołgi też mnie nagłaśniają.

Natychmiast w pancerzach, wszystkich pięciu Tygrysów Braschego otworzyły się małe klapy i z każdej z nich wysunęły się po trzy spore głośniki. Głos Hansa niósł się wyraźnie na piętnaście kilometrów.

– *Halt*, wy tchórzliwe skurwysyny, albo rozwalimy was na miejscu.

Powtórzył to dwa razy.

– Jesteśmy 47. *Panzer Korps* – ciągnął. – *Zgadza się, gnojki, SS. Uwierzcie w to... całym sercem. Rozwalimy was bez skrępowań, tak jak rozwała się psa. Waszą jedyną szansą przeżycia jest walczyć tym, co macie w rękach, i zatrzymać wroga. A my wam w tym pomożemy. Nas nie możecie nawet zadrapać, a my wyrzniemy was, jeśli tylko spróbujecie. Albo jeśli będziecie uciekać.*

* * *

W odpowiedzi na słowa Braschego niektórzy w masie uciekinierów podrzucili karabiny do ramion i zaczęli się ostrzeliwać. Inni – jakaś połowa, może trochę więcej – zamarła w panice. Część jednak, dochodząc do wniosku, że pięć szeroko rozstawionych Tygrysów nie może pokryć ogniem całego terenu martwej strefy, postanowiła spróbować wydostać się, korzystając z naturalnych osłon terenu, albo przynajmniej znaleźć sobie kryjówkę, w której byliby bezpieczni przed Posleenami – dzięki ostrzałowi Tygrysów – oraz przed samymi Tygrysami i szaleńcami, którzy w nich siedzieli. Najwięcej spośród uciekinierów, którzy podjęli taką decyzję, było tych, którzy porzucili broń i nie widzieli żadnego sensu w dalszej walce, bo nie mieli czym walczyć.

Kilku tysiãcom z nich powiodło się... na chwilę.

* * *

– Strzelec, godzina jedenasta, szrapnelem z zapalnikiem czasowym w Posleenów! – rozkazał Brasche.

Ładowniczy posłusznie wprowadził do komory pocisk przeciwpiechotny.

Ktoś mógłby uznać, że jako amunicja przeciwpiechotna do głównej armaty Tygrysa bardziej nadawałyby się pociski flesztkowe. Faktycznie, niewiele brakowało, a tak by się stało. O wyborze zdecydowała teutońska dokładność. Oba rodzaje amunicji tak samo skutecznie zabijały Posleenów. Zapakowane w trzydziestopięciocentymetrowy pocisk, oba były w stanie pokryć kilometr kwadratowy terenu zabójczym gradem stali.

Szrapnel wygrał z flesztkami, bo czterocentymetrowej średnicy żelazna kula – przemieszczająca się z umiarkowaną prędkością – zabijała pewniej i skuteczniej niż kilka trafień lżejszymi, szybszymi, węższymi flesztkami. Uznano, że jeśli Tygrys będzie zmuszony użyć głównej armaty jako broni przeciwpiechotnej, jego załodze będzie zależało, żeby będący celem Posleeni byli „*maus-todt*” – martwi natychmiast.

* * *

Po raz pierwszy, odkąd zostali okrążeni, Fulungsteeriot zaczął dostrzegać jakąś nadzieję, że za chwilę jego ciało nie zostanie rozczłonkowane. Thresh uciekali przed nimi. Tego nie widział już od wielu cykli.

Chociaż jego podwładni nigdy nie byli w stanie stworzyć, a co dopiero wprowadzić w życie, jakiegoś planu, szarża na łeb, na szyję odniosła lepszy skutek niż logiczna, sprawnie przeprowadzona operacja. Zabójcza artyleria threshkreen na pewno miała więcej trudności z kierowaniem ognia na ukazujące się i znikające losowo cele. Nieporządek i brak logiki tego przedsięwzięcia wydawał się działać na korzyść Ludu. Była jakaś nadzieja.

Nadzieja ta okazała się jednak płonna. Z jakiegoś niewyjaśnionego powodu uciekający thresh, a przynajmniej większość z nich, zatrzymali się i odwrócili. Ku zaskoczeniu Wszechwładcy wielu z nich zaczęło walczyć zamiast dalej uciekać.

A potem Fulungsteeriot ujrzał najstraszliwszy widok w swoim przepełnionym strasznymi widokami życiu.

* * *

– Cel! – odparł Schultz.

– Ognia! – rozkazał Brasche.

* * *

O tak, Fulungsteeriot widział, jak nawet sto tysięcy Ludu ustawionego w gęstym szyku ginie w jednej chwili. Ten rzadki widok można było ujrzeć, kiedy używano broni masowego rażenia w czasie Orna'adar, często powtarzanego posleenńskiego Ragnarok. Wtedy nie było jednak dużo krwi – sam żar wypalał niemal wszystkie ślady. Oczywiście było to marnotrawstwo jedzenia, myślał często Fulungsteeriot. Ale wszystko wyglądało czysto i schludnie.

Nie tak, jak po wystrzale nowej broni tych ohydnych threshkreen.

* * *

W przypadku szrapneli używano słabszego materiału miotającego. Choć waga samego pocisku była trochę) większa niż w przypadku penetratorów ze zubożonym uranem; nawet zbliżona prędkość nie była potrzebna. Załoga *Anny* ledwie zauważyła odrzut.

Po przebyciu 4793 metrów, czyli dystansu, który komputer balistyczny *Anny* uznał za idealny, mały ładunek rozrzucający eksplodował. Gdyby pocisk zawierał „ulepszoną amunicję konwencjonalną”, taka metoda rozrzutu nie mogłaby zostać zastosowana: sam ładunek rozrzucający zniszczyłby ową drogocenną śmiercionośną zawartość. Szrapnel jednak był żelazem – niskiej jakości, tanim i prostym w produkcji. Detonacja nieco ponad kilograma TNT ledwie poruszyła metalowe kule, chociaż przy udziale dziewięciu pasków ładunku kierunkowego, rozmieszczonych wewnątrz pocisku, rozszczepiła go i otworzyła wzdłuż.

Gęsto upakowana masa czterech tysięcy sporych żelaznych kul zaczęła się rozprzestrzeniać. Te, które w chwili wybuchu były najbliżej ziemi, naturalnie uderzyły pierwsze. Gdyby były o wiele mniejsze albo poruszały się o wiele szybciej, najpewniej zakopałyby się w piachu. Fleszetki na pewno by tak zrobiły.

Ale kule przy swojej masie i prędkości zachowały się zupełnie inaczej – odbiły się. Niczym puszczone po wodzie „kaczka”, skakały, pokonując coraz mniejsze odległości. Bardzo niewiele z nich się zmarnowało. Większości udało się przebić jednego, dwóch, a nawet tuzin czy więcej Posleenów, zanim się zatrzymały. A siła ich uderzenia była taka, że niektóre części posleenських ciał padały na ziemię wraz z fragmentami ich pobratymców – kośćmi i zębami – wbitymi w miękkie narządy.

A to było tylko czterysta czy pięćset kul z masy czterech tysięcy!

Pozostałe opadły na ziemię w różnym czasie i z różną prędkością. Wszystkie jednak były tak samo groźne; skakały i pędziły przez szeregi Posleenów jak rozradowane dzieci boga wojny. Rozwalały gadzie czaszki, rozdzierały korpusy, urywały ręce i nogi. Wielu obcych wchodziło w posiadanie dużej żelaznej kuli wewnątrz zmasakrowanego torsu.

Ostatecznie cztery tysiące kul, rykoszetując i skacząc do ostatka, zostawiło za sobą ponad dwa przecinek cztery miliony metrów bieżących śmierci i zniszczenia na obszarze zaledwie jednego kilometra kwadratowego. Krwawiąca i rozszarpywana horda Posleenów wrzasnęła jednym głosem z bólu i rozpacz.

* * *

Siedzący na swoim nieruchomym tenarze Fulungsteeriot skrzywił się, słysząc unoszący się nad masą Posleenów krzyk cierpienia, zwielokrotniony prawie do nieskończoności. Wszechwładca omiół scenę rzezi przerażonym spojrzeniem.

– Czym zgrzeszył Lud, że zasłużyliśmy na coś takiego? – spytał, choć nie było nikogo, kto mógłby na to odpowiedzieć.

Z blisko stu tysięcy wojowników, którymi dowodził, pozostały jedynie strzepy. Fulungsteeriot zobaczył jednego z oolt, jak z oderwanymi obiema przednimi nogami siania się chwiejnie na tylnych nogach. Inni, bardzo, nieliczni, kuśtykali na trzech nogach. Czasami oderwana kończyna wciąż wisiała na pasku skóry, płacząc się między pozostałymi i sprawiając, że ofiary zataczały się żałośnie. Wielu próbowało wepchnąć swoje wnętrzości z powrotem do porozdzieranych brzuchów. Oślepieni błakali się z wyciągniętymi ramionami.

Najgorsze chyba jednak były te trzy czy cztery tysiące nietkniętych Posleenów. Przedtem dumnie szarżujący, niesieni przez tłum pobratymców, teraz stali nieruchomo, dygocząc jak konie, które zaprowadzone do rzeźni, widzą swoje stado znikające we krwi i grozie.

Słumione chóralne okrzyki agonii powiedziały Fulungsteeriotowi, że jego atak zakończył się całkowitą klęską. Prychnął, obnażył kły, nastroszył grzebień. Może nie był najbystrzejszym z kessentaiów, ale na pewno nie brakowało mu odwagi. Ruszył swoim tenarem wprost na najbliższą maszynę wroga, chcąc zgiąć jak prawdziwy wojownik.

Giessen, Niemcy, 1 maja 2007

–*Tot durch dem sträng*. Śmierć przez powieszenie.

Tak brzmiał wyrok sądu polowego dla dwustu trzydziestu siedmiu z dwóch tysięcy trzystu pięćdziesięciu dziewięciu tchórzy, którzy szukali kryjówki pod osłoną ognia Tygrysów, nie biorąc udziału w walce.

Dywizja *Jugend* znalazła ich, otoczyła i przekazała następnym oddziałom, które ich aresztowały. Potem przez kilka dni pewne osoby z rządu domagały się zwolnienia więźniów. Mühlenkampf odmówił. Ku jego zaskoczeniu przeważająca część Bundeswehry zgodziła się z nim, posuwając się nawet do odmowy wykonywania rozkazów biura kanclerza, które mogłyby doprowadzić do uwolnienia pojmanyh.

Z ponad dwóch tysięcy wybrano dziesięć procent tych, którzy mieli odpokutować za grzechy pozostałych.

– Moglibyśmy powiesić was wszystkich – oznajmił sąd – bo na to zasłużyliście. Uznaliśmy jednak, że nasza ojczyzna skorzysta, jeśli wasza śmierć będzie bardziej rozłożona w czasie. Dziesięć procent wystarczy, by reszta z was pamiętała o swoich obowiązkach na przyszłość.

Eskortowana przez przedstawicieli 47. *Korps* i innych korpusów Bundeswehry, które dobrze się spisały w tej okolicy, procesja śmierci podzieliła się na trzy grupy.

Najbliżej zburzonego miasta i największych skupisk ogryzionych kości cywilów maszerowali skazani. Brasche wybrał na przedstawiciela 501-go Dietera Schultza. Krueger domagał się, by on też wziął udział w wieszaniu, i mimo niechęci do starego esesmana Brasche wysłał go w uznaniu jego zasług.

Kilkaset metrów dalej od miasta, równolegle do tych, którzy mieli zgiąć powolną śmiercią, maszerowali równie pilnie strzeżeni pozostali osądzeni. Ich wyroki śmierci były chwilowo zawieszane, w nadziei, że uda się dla nich znaleźć bardziej pożyteczny sposób zejścia z tego świata.

Najdalej, jako ostatni, szli widzowie. Ludzie, którzy chcieli obejrzeć, jak giną inni ludzie – ci, których nienawidzili.

* * *

– Proszę, nie – błagał dwudziestoczteroletni *Unteroffizier*, kiedy Krueger zakładał mu na szyję, pętlę z cienkiego sznura. – Proszę – powtórzył. – Mam żonę i małe dziecko. Proszę.

– Trzeba było myśleć nie tylko o nich, ale i o innych, których opuściłeś, zanim uciekłeś, ty wrzodzie na obrzezanym fiucie – odparł Krueger bez złości, w ogóle bez żadnych zauważalnych emocji. Kazał gestem naciągnąć linę przerzuconą przez latarnię, zmuszając skazańca do wejścia na

pusztą dwustulitrową beczkę.

– Przywiązać linę – rozkazał, kiedy szlochający już otwarcie *Unteroffizier* stanął na beczce. Czterej żołnierze natychmiast posłuchali. Wolny koniec sznura przymocowano do hydrantu, którzy Posleeni postanowili zostawić na miejscu do chwili, aż uda im się go lepiej zrozumieć. – Nie zostawcie tej świni żadnego luzu, wy gnoje. Schultz? Baczość!

Rozdarty uczuciami, które ledwie rozumiał, Dieter wykonał rozkaz. Obaj zignorowali rżenie *Unteroffiziera*, gdy lina zacisnęła się na jego gardle.

– Ja mam rodzinę!

Krueger objął bratersko ramieniem – przynajmniej raz – młodego Schultza i zaczął mówić spokojnym, rozsądnym tonem.

– Widzisz tego małego chlipiącego drania na beczce, *Stabsunteroffizier* Schultz?

Pytanie było czysto retoryczne i Krueger nie czekał na odpowiedź.

– Martwi się o siebie, o swoją rodzinę i krąg najbliższych. Nie pomyślał ani przez chwilę o nikim spoza tego kręgu. Wiesz, że tak było, Schultz, prawda? Że ten gnój nie ma pojęcia o obowiązku, o braterstwie?

To również było pytanie retoryczne. Krueger mówił dalej; każde jego słowo było jak manifest.

– Nie myślał o *niej*... O milionach innych, takich jak ona. Troszczył się tylko o siebie i o to, co jego. Nie przejmował się ani nie wyobrażał sobie, jak twój mały skarb dygotał z przerażenia, zanim obcy zarżnęli ją i zżarli. – Krueger zaśmiał się złowieszczo. – Ty nigdy nie byłeś z nią blisko, co, chłopcze? A to wszystko wina tego tchórzliwie dygoczącego drania i innych, jemu podobnych.

Sam Dieter również dygotał. Czy to z obrzydzenia wywołanego niemiłym mu dotykiem Kruegera, czy z nienawiści do stojącego na beczce ludzkiego śmiecia, czy świadomości tego, co utracił – nie wiedział. Ale kiedy Krueger zabrał rękę i powiedział: „Kopnij beczkę, Schultz”, wcale się nie wahał.

Skazaniec wydał krótki i szybko stłumiony jęk, kiedy Dieter uniósł nogę i oparł stopę na krawędzi beczki. Wystarczyło lekkie pchnięcie i beczka sama zaczęła się przewracać. Wieszany rozpaczliwie, lecz bezskutecznie próbował ją przytrzymać. Ale przewróciła się i odtoczyła, a stopy mężczyzny zatańczyły w powietrzu.

Dieter oglądał jego śmierć od początku do końca. Najpierw, kiedy sznur zaczął się zaciskać, słychać było ciężkie, chrapliwe dyszenie, przerywane błaganiami o litość. Stopy bez przerwy wierzgały; umierający odruchowo szukał ratunku. Dieter zauważył, że każde wierzgnięcie, każdy skręt ciała zaciskają pętlę jeszcze bardziej. Wkrótce wiszącego zaczął potwornie boleć kark. Przez chwilę wierzgał jeszcze mocniej.

A potem pętla częściowo odcięła mu dopływ powietrza. Jakiś fizjologiczny szczegół albo ułożenie liny pozwalały, żeby krew – przynajmniej jakaś jej ilość – dalej dopływała do mózgu. Dieter widział w ohydnie wytrzeszczonych oczach mężczyzny, że ten jest przytomny do ostatka, świadomy agonii ciała i umysłu. Jego język napuchł, poczerwieniał i wysunął się z ust. Twarz zrobiła się sina... a potem czarna.

W końcu wierzganie osłabło... i zupełnie ustało. Trup kołysał się w lekkiej wiosennej bryzie, ze spojrzeniem utkwionym w nieskończoność. Dieter patrzył i czekał, aż zgaśnie ostatnia iskierka życia. Czuł... Nie umiał tak naprawdę powiedzieć, co czuje. Ale nie mógł też zaprzeczyć, że nie czuje żalu ani litości dla wiszącego przed nim martwego ciała.

Odwrócił się do Kruegera.

– Dokończmy dzieła, sierżancie majorze.

I tak oto narodził się esesman, pomyślał Krueger.

Niedaleko, na szczycie wieży *Anny*, Hans Brasche patrzył z pewną obojętnością na wieszanie tchórzy. Widział to wszystko już nie raz... Wiele razy widział cały sad powieszonych mężczyzn, ale i kobiet: Rosjan, Niemców, Czechów, Bałtów... Wietnamczyków. Był już uodporniony.

A gdyby Legia mnie złapała, pomyślał, też by mnie powiesili.

Jak to często bywa w dżungli, rany Hansa nie chciały się goić. Przez wiele tygodni po ewakuacji lekarze we francuskim szpitalu wojskowym w Haiphong nie dawali mu większych szans przeżycia.

Ale był twardy, młody i zdrowy przed zranieniem, i miał wielką wolę przetrwania. Stopniowo jego ciało, wspomagane przez cudowny wynalazek – penicylinę, zaczęło przewyżczać rojące się w nim obce organizmy. Wkrótce był już prawie całkiem zdrow.

„Pracnie całkiem zdrow” to jednak nie to samo, co „gotowy do powrotu do cuchnącej dżungli”. Lekarze nalegali na dłuższą rekonwalescencję, niż była gotowa zaakceptować francuska armia, a co dopiero Legion Etranger.

Hans nie miał jednak nic przeciwko temu. Udało mu się urządzać niezły rajd po najlepszych barach i burdelach Haiphong i Hanoi. Zabawa zaczynała go już nawet nudzić, kiedy pewnego dnia w nędznej kawiarence niedaleko portu Haiphong wpadła mu w ręce francuskojęzyczna gazeta. Wyglądało na to, że Izrael, państwo Żydów, został niedawno powołany do istnienia i właśnie o to istnienie walczy.

Ciekaw jestem, pomyślał dawny oficer SS, czy znajdę tam odkupienie.

Zapłacił za kawę, zostawił mały napiwek, złożył gazetę i poszedł do portu dowiedzieć się o odplywające statki.

Oczywiście były też inne bitwy. Ale wróg był wyraźnie w defensywie na obszarze od dawnej Linii Maginota (gdzie niedobitki francuskiej armii zatrzymały wroga na pospiesznie odnowionych fortyfikacjach, jednocześnie ratując kilka milionów francuskich cywilów, którzy schronili się wewnątrz) po rzekę Wisłę (gdzie Niemiec i Polak walczyli jak bracia, tak jak powinni byli walczyć blisko siedemdziesiąt lat wcześniej przeciwko nawale ze wschodu).

A potem pewnego dnia nadszedł koniec – dzień wytchnienia i dziękczynienia, ogłoszony przez samego *Bundeskanzlern*. Niemcy były na drodze do ocalenia, jak głosił, wraz z dużymi obszarami Francji, Polski i Kraju Sudeckiego. Taki stan rzeczy, powiedział kanclerz, zawdzięczamy pracowitości niemieckich robotników, inteligencji niemieckich naukowców... oraz – przede wszystkim – odwadze niemieckich żołnierzy.

Z tych ostatnich *Kanzler* wyróżnił dwie grupy. Pierwszą był zespół badawczo-wdrożeniowy pracujący obecnie nad projektem Tygrys III, *Ausführung B*. Drugą była grupa, która walczyła na wszystkich frontach. To ona była opoką, o którą rozbił się posleński najazd. To ona okazywała męstwo mimo klęsk, odwagę mimo strat, wolę walki mimo przewagi wroga.

Grupą tą był 47. *Panzer Korps*. I jemu właśnie *Kanzler* dał i obiecał różne honory.

Miał też do powiedzenia parę interesujących słów na temat zdrady.

Berlin, Niemcy, 7 maja 2007

Tak chyba będzie najlepiej, pomyślał Tir. I tak nigdy nie lubiłem tego zimnego, szarego, brzydkiego miasta. A jeszcze ten ich paskudny język – pretekst, by napluć komuś w twarz pod pozorem uprzejmej konwersacji.

Ale, westchnął w myślach, tak bardzo liczyłem na zyski z tego zadania.

Wiadomość przybyła specjalnym kurierem, prosto od China. Operację Berlin należało

zakończyć, a cały darhelski personel wycofać, zanim ludzie wyciągną logiczne wnioski i zgłoszą się z narzędziami do zadawania bólu.

Tir miał tydzień, zaledwie siedem obrotów planety wokół własnej osi, żeby zamknąć wszystkie swoje operacje. Jako dobry biznesmen w darhelskim rozumieniu – czyli uczciwy w tym, co widać, nieuczciwy w całej reszcie – Tir musiał ewakuować swoich podwładnych oraz pewną liczbę tych, którzy byli dla nich ważni. Samo to, nie mniej niż cała reszta, oznaczało klęskę jego planów wobec tej nieszczęsnej krainy, tego „Deutschlandu”.

Był pewien, że wpuszczenie ludzkich planów i zamierzeń do Sieci odwróci bieg wydarzeń, sprawi, że ludzie zostaną pokonani i... no cóż... pożarci. Ale wszystko poszło na marne. Plany zmieniały się zbyt szybko; kiedy ściągał informacje, były już bezużyteczne. Niech będą przeklęte te szybko myślące, wszystkożerne istoty. Niech będą przeklęci zwłaszcza ci z SS, których nawet własna zwierzchność nie mogła kontrolować ani przewidzieć ich poczynań.

Dlaczego, DLACZEGO, DLACZEGO ci przeklęci Niemcy nie byli tacy jak Francuzi? Tamci byli logiczni. A ich politycy próżni i łatwi do manipulowania za pomocą pochlebstw i podsycania ich paranoi. Niechby wszystkich Niemców pochłonęło piekło z tych ich zabobonów.

Degradacja, hańba, zmniejszenie pensji, strata premii... Tir łkałby jak człowiek, gdyby tylko potrafił. Będzie miał szczęście, jeśli nie zostanie cofnięty do poziomu wejściowego.

Z roztargnieniem, pogrążony w niebezpiecznie nienawistnych rozmyślaniach, Tir rozrywał swoimi zupełnie nieodpowiednimi do tego zębami kawałki roślin leżące przed nim na tacy. Tak naprawdę nigdy się nie najadał, ale Darhelom nie wolno było jeść zwierzęcych białek, których tak bardzo łaknęli. Jedzenie zakazanych potraw kończyło się *lintatai*.

A jedzenie rzeczy dozwolonych kończyło się nudą i obrzydzeniem.

INTERLUDIUM

To była pora na ucztę, na uczczenie poległych i świętowanie odniesionych zwycięstw. Jako istoty o dość prymitywnych instynktach, posleenscy Wszechwładcy zgromadzili się pośród olbrzymich ryczących ognisk rozpalonych na wyspie pośrodku rzeki. Rzeka przepływała przez ruiny, będące kiedyś stolicą tej krainy. Ognie rzucały niesamowity ruchomy poblask na kessentaiów i wodę.

Wokół świętujących, tam, gdzie kiedyś wznosiło się wielkie miasto, rozciągała się pustynia, która wyglądała tak, jakby jakiś olbrzym, niewyobrażalnie wielki, rozorał pazurami ziemię aż do kości. Architektura thresh nie miała zasadniczo żadnej wartości, chyba że jako źródło surowca. Wszystkie budynki trzeba było zniszczyć, żeby zrobić miejsce posleeniskim osadnikom, posleeniskiej cywilizacji.

Od tej zasady był tylko jeden wyjątek. Na wszystkich podbitych terenach pozostawiono nietknięte elementy sieci transportowej thresh. Ostatecznie droga to droga.

Uwagę Posleenów zwracała zwłaszcza pieczołowitość, z jaką obcy dbali o mosty. Ogólnie rzecz biorąc, oni sami nie radzili sobie dobrze z wodą i cieszyli się, że mogą z nich korzystać.

Na bruku jednego z mostów zazgrzytały pazury Athenalrasa i tych z jego świty, których chciał osobiście uhonorować, między nimi Ro'moloristena. Płonące po obu stronach pochodnie rzucały blask na Posleenów... i stado thresh mających posłużyć za wieczorny posiłek.

Na taką okazję nadawało się tylko to, co najlepsze: młode i jędrne thresh. Replikatory na pokładach okrętów Ludu wydzielały łagodne środki odurzające, które wdychali jedynie Wszechwładcy, a i to w niewielkich ilościach.

Pot strachu lśnił w świetle pochodni na twarzach młodych thresh, szlochających i łkających nad swoim losem. Migoczący blask ognia odbijał się we łzach grozy.

* CZEŚĆ III *

Berlin, Niemcy, 6 czerwca 2007

– *Herr Bundeskanzler*. – Mühlenkampff skłonił lekko głową, strzelając obcasami. – Chciał mnie pan widzieć?

– Mam dla pana kolejne zadanie, *Herr General*.

– Jak to możliwe? – zakpił Mühlenkampff. – Coś jeszcze, oprócz przygotowania mojego *Korps* do następnego szturmu?

Generał był pewien, że wie, jakie zadanie przywódca Niemiec ma na myśli.

Kanzler nie przepadał za gierkami. Zwłaszcza teraz, kiedy przyszłość jego narodu wisiała na włosku. I powiedział to głośno.

– Niemcy mają wrogów – dodał – których wychowały na własnej piersi. Nie można pozwolić, by dalej sabotowali nasze wysiłki. Nie można, niech ich diabli! – zaperzył się. – I nie będą, kiedy pięć procent z nich zostanie usuniętych z urzędu!

– Cóż, *Herr Kanzler*, pana drogocenna demokratyczna konstytucja na pewno przewiduje jakieś środki zaradcze...

– Nie w tym wypadku, generale.

– Och, rozumiem. Chce pan, żeby mój *Korps* złamał prawo, tak?

Kanclerz popatrzył na niego spode łba.

– Rozpaczliwe czasy, generale...

Mühlenkampff uśmiechnął się szeroko i radośnie.

– To będzie kosztowało, *Herr Kanzler*.

Kanclerz był na to przygotowany. Otworzył szufladę, sprawiając, że generał na chwilę zeszywniał, i wyjął z niej mały kwadrat czarnego materiału haftowanego srebrną nicią.

– Mam takich dwa tysiące. Skarb państwa zapłaci za tyle, ile będzie pan potrzebował. Czy to uczciwa cena?

Uśmiech Mühlenkampffa na chwilę zniknął, a jego twarz przybrała wyraz poważny jak śniegi Rosji, jak pociski z dział pancerników spadające na brzegi Normandii.

– Oddanie moim ludziom ich dumy i godności, *Herr Kanzler*! Pozwolenie, by publicznie byli dumni z tego, kim kiedyś byli: żołnierzami, i to jednymi z najlepszych? Tak. To uczciwa cena.

Berlin, Niemcy, 12 lipca 2007

W świetle pochodni innych niż te, przy których Posleeni kosztowali francuskiej kuchni, w blasku ruchomej rzeki ognia lśniły oczy, bystre i jasne. Nowe mundury, czarne i groźne, tu i ówdzie przyozdobione srebrem, maszerowały szeregami. Nigdzie nie widać było swastyk. Ale innych symboli, kiedyś zakazanych, było mnóstwo.

Szkoda, że nie byłem dość przewidujący, by odmłodzić Leni Riefenstahl, zanim zmarła w 2003. Jaki piękny film propagandowy by z tego zrobiła.

W blasku pochodni oczy *Kanzlern* nie umiały rozróżnić czarnych mundurów. Nieważne, wiedział, że tam byli. Sam ich tam ustawił.

Wiedziałem... już wtedy, kiedy ujrzałem ruiny tego amerykańskiego miasta, że ten dzień musi nadejść. To było tak oczywiste... Rozpaczliwe czasy wymagają rozpaczliwych posunięć, a bardziej rozpaczliwych czasów niż nasze nikt jeszcze nie widział.

Teraz mam swój corps d'elite. Są mi wdzięczni, zwłaszcza ich dowódcy, za zwrot ich małych symboli. A ja muszę z nimi zrobić to, czego robić nie chcę... ale muszę.

– Rozpaczliwe czasy...

Günter był wściekły, po prostu wściekły. Ci dranie z SS muszą zapłacić, muszą odpokutować! Pochwalenie ich, oddanie im ich symboli było po prostu przestępstwem. Powiedział to głośno i wyraźnie *Bundeskanzlerowi*.

– Dobrze – odparł spokojnie *Kanzler* zza swojego biurka i niecierpliwie zabębnił palcami. – Idź ich aresztować. Zerwij im własną ręką *Sigrunen* z kołnierzy.

Günter zapienił się z wściekłości.

– Nie próbuj ze mną takich sztuczek, starcze. Zieloni, którzy wybrali mnie na twojego stróża, wynieśli cię na to stanowisko i mogą cię z niego strącić.

Günter nigdy nie wspominał oczywiście o swoich bliskich powiązaniach z Darhelami – to była tajemnica.

– Nie – odparł *Kanzler*. – Nie. Kiedyś to była prawda, ale teraz już nie. Kiedyś potrzebowałem twojego zielonego *Korps*. Ale teraz? Teraz mam czarny *Korps*, mój zielonkawy przyjacielu.

Kanzler dotknął przycisku na biurku. Drzwi natychmiast się otworzyły i do środka weszło dwóch mężczyzn w mundurach oraz jeden w zwyczajowym prochowcu BND. Szeroko otwartymi z przerażenia oczami Günter zobaczył, że mundury były czarne jak noc... i przyozdobione srebrnymi,, od dawna zakazanymi insygniami.

– *Herr Greiber* – powiedział *Kanzler* do mężczyzny w płaszczu – czy ma pan przygotowany raport na temat mojego dotychczasowego asystenta?

Agent BND strzelił po prusku obcasami.

– Mam, *Herr Bundeskanzler*. W rzeczy samej, mam. Zdrada w najpodlejszym wydaniu.

Na gest *Kanzlera* agent wyliczył liczne zbrodnie Guntera, w tym jego współpracę z Darhelami, która prowadzona była ze szkodą dla Niemiec. Sprawa była jasna, a dowody przytłaczające.

– Günter – spytał kanclerz, kiedy agent skończył – masz coś do powiedzenia na swoją obronę?

Wciąż nie wierząc w ten nieszczęśliwy zwrot sytuacji, dawny asystent kanclerza pokręcił głową.

– Pan to zaplanował – powiedział oskarżycielskim tonem. – Od samego początku pan to planował. Chciał pan wskrzesić SS, cały nazistowski aparat! Niech pan przyzna!

– „Cały nazistowski aparat”? Nie. Przyznam tylko, że chciałem ocalić nasz naród... i że nie godziłem się na żadne ograniczenia, by ten cel osiągnąć.

– Ale czy pan nie widzi? Czy pan nie rozumie? – upierał się Günter; w jego oczach lśniła gorliwość kogoś, kto wierzy we własne słowa. – Nas jest zbyt wielu... i jesteśmy zbyt chciwi. Mamy szansę, kiedy Posleeni skończą nas pożerać i zaczną walczyć między sobą, zbudować idealne Niemcy. Pod kierownictwem tych, którzy to rozumieją, moglibyśmy uratować naszą planetę. Gdyby ludzi było mniej, gdyby byli mniej chciwi i rozrzutni, nasza święta matka Ziemia mogłaby pozostać nieskażona na zawsze.

Kanzler podchwycił kilka kluczowych koncepcji przemowy Guntera.

– A ty, mój przyjacielu? Ty byłbyś jednym z tych wszytkowiedzących przewodników, prawdą? Jak chciałeś przeżyć, kiedy nasz naród służy za bydło rzeźne? Wycieczka poza planetę? Razem z żoną i dziećmi? Tak, jestem pewien, że twoja uświęcona wizja obejmowała i to, prawda? Bo ty byłeś wyjątkowy, a reszta Volk nie?

Günter zaczął się bronić, protestować. Potem jednak zdał sobie sprawę, że kanclerz po części ma rację. Rzeczywiście, zażądał, by jego rodzinę wywieziono w bezpieczne miejsce. Pomyślał, że może, może w głębi serca oczekiwał, że do niej dołączy.

Przed tym zarzutem nie mógł się wybronić. Zaatakował więc z innej strony.

– Oddał pan Niemcy z powrotem w ręce nazistów!

Kanclerz nie odpowiedział wprost. Zamiast tego zwrócił się do jednego z żołnierzy.

– Jak się nazywasz, synu?

– Schüler, *Herr Kanzler* – odparł natychmiast młodzieniec, stając jeszcze bardziej na baczność.

– Schüler, jesteś nazistą?

– Nie, *mein Herr*. Jestem tylko żołnierzem, jak inni żołnierze.

– Znasz jakichś nazistów w 47. *Korps*?

– Jednego, *mein Herr*. To zły człowiek i wszyscy go nienawidzimy. Ale jest bardzo dobrym kierowcą czołgu, więc tolerujemy go dla dobra ojczyzny

Kanzler odwrócił się z powrotem do Guntera i prychnął z pogardą.

– Nieważne. To nie ma znaczenia. I tak będziesz wierzył w to, w co zechcesz wierzyć.

Spojrzał na drugiego żołnierza w czarnym mundurze.

– Czy generał Mühlenkampf zameldował o postępach?

Na pytanie odpowiedział niższy, starszy stopniem żołnierz.

– Generał melduje, że najbardziej podejrzani członkowie Federalnej Legislatury są aresztowani, wraz z szeregiem podejrzanych członków sztabu Bundeswehry. Poza tym zamknęliśmy przywódców najbardziej radykalnych antyludzkich partii politycznych. Niektórzy zostali już rozstrzelani... eee... zastrzeleni podczas próby ucieczki. Kilkudziesięciu zniknęło z Niemiec wraz z rodzinami. Darhelów również nie możemy znaleźć. Jednak izolowanie wszystkich obcych, którzy mogli pozostać, szybko postępuje.

– Dobrze, bardzo dobrze – odparł *Kanzler*, chociaż w głębi serca czuł się powalany. Jego stara siwa głowa wskazała Guntera. – Dorzućcie do saka jeszcze jego.

Ouvrage du Hackenberg, Thierville, Francja, 14 lipca 2007

W ten oto sposób w końcu zrozumiałam, co to znaczy gnić w więzieniu, pomyślała.

We Francji – czy raczej w małej części Francji, która wciąż pozostawała w ludzkich rękach

– był Dzień Bastylli. Dla Isabelle to zawsze było duże święto, choć raczej przez jego postępowy,

rewolucyjny charakter niż patriotyczne znaczenie. W ten Dzień Bastylli jednak nie miała ochoty

świętować, mimo wydanych przez dowódcę twierdzy podwójnych porcji francuskiego eliksiru życia

– wina. Wino było kwaśną i słabą współczesną wersją Vinogelu, koncentratu winnego, który Francja

w przeszłości wydawała swoim żołnierzom. Pomieszany z wodą Vinogel mógł się poszczycić

jedynie słabym posmakiem czegoś, co kiedyś miało coś wspólnego z winogronami... oraz otępiającą

umysł i zmysły zawartością alkoholu. A Isabelle chciała przytępić swoje zmysły, rozpaczliwie

pragnęła uciec od tej zgrozy, którą kpiąco nazywano tu „życiem”.

Słyszała, że pod ziemią powstają miasta, bezpieczne i ciepłe, gdzie można mieć nadzieję na coś

w rodzaju prawdziwego życia. Hackenberg, mimo pory roku, był zimny jak lód. Mury tego

podziemnego więzienia wydzielały jednostajnie zimną wilgoć, wysysającą całe ciepło, jakie mogło

wyprodukować ludzkie ciało. Nawet pięćdziesiąt tysięcy ludzi upchniętych tu jak sardynki wraz z

Isabelle i jej synami nie mogło podnieść temperatury choćby o pół stopnia.

A chociaż była to dosłownie forteca, Isabelle wiedziała, że nie są tu wcale bezpieczniejsi.

Wręcz przeciwnie, forteca, a także ona i jej chłopcy, byli zarazem celem ataku wroga.

Ojciec chłopców również został celem; musiała tak zakładać, nie miała bowiem od niego

żadnych wiadomości od chwili tamtej krótkiej rozmowy telefonicznej zwiastującej inwazję,

zniszczenie kraju i rzeź urządzoną jej narodowi.

Świadomość, że jej ukochany mąż niemal na pewno padł ofiarą najeźdźców, była jak nóż wbity i przekręcany we wnętrznościach. I to właśnie ten ból sprawiał, że Isabelle wlewała w siebie raczej niż piła nędzne, rozcieńczane wino.

* * *

Tak jak dysydenci i zdrajcy napływali do cel, tak informacje, żywotne informacje, napływały do wszystkich szczelin złożonego mechanizmu niemieckiej maszyny wojennej.

Pojawiła się też rzeka uchodźców i niedobitków sił zbrojnych Niemiec. Większość tych sił wchłonęła Bundeswehra. Jednak Mühlenkampff i jego ludzie spisali się dobrze i zasłużyli na nagrodę. *Kanzler* zadekretował wobec tego rozszerzenie 47. *Panzer Korps* w coś, co nazwał „Rezerwą Grupy Armii”. Oprócz objęcia komendą ko lejnych dwóch korpusów pancernych i czterech piechoty zmechanizowanej, nie licząc dywizji karnej składającej się z niedobitków zdziesiątkowanego 33. *Korps*, Mühlenkampff sprawował również kontrolę nad dużą liczbą nowo utworzonych formacji cudzoziemskich. Dywizja *Charlemagne* znów maszerowała ramię w ramię z dywizjami i brygadami Litwinów, Estończyków, Polaków, Hiszpanów i innych.

Dywizja *Charlemagne* była jedyną formacją frankofońską pod dowództwem Niemców. W przeciwieństwie do innych zajętych państw Europy, Francja twardo odmawiała podporządkowania swoich interesów czyimkolwiek rozkazom. Francuska armia strzegła odwróconej Linii Maginota, a cztery czy pięć milionów ocalałych Francuzów, mężczyzn, kobiet i dzieci, kuliło się w obozach między Linia a Renem albo dygotało z zimna w zawilgłych trzewiach samego pasma umocnień.

(Francuzi wielkodusznie zgodzili się zintegrować działanie swoich sił, pod warunkiem jednak, że przydzielony im zostanie francuski dowódca, a pewne francuskie kluczowe interesy dostaną priorytet. Z jakichś niewytłumaczalnych przyczyn Niemcy nie dostrzegli korzyści płynących z takiego rozwiązania).

Charlemagne odtworzono dopiero wtedy, kiedy dowódca francuskiej dywizji pancerniej zbuntował się przeciwko temu, co nazywał „zinstytucjonalizowaną głupotą” francuskiego Sztabu Generalnego, a potem zebrał swoich żołnierzy wraz z rodzinami i stanął na niemieckiej granicy, szukając zatrudnienia. Wsparta licznymi ochotnikami – część z nich stanowili weterani pierwotnej dywizji, teraz przyjeżdżający zaciągnąć się na nowo – *Charlemagne* była dużą dywizją, nawet jak na standardy wojny z Posleenami.

Straty były oczywiście straszliwe. W chwili, kiedy Niemcy zostały oczyszczone z obecności obcych, wiele dywizji, które przedtem szczyciły się liczebnością nawet dwudziestu czterech tysięcy, teraz liczyło zaledwie połowę tego. Pojawiła się wtedy nowa filozofia nieprzejmowania się prawami jednostek, lecz walki o przetrwanie *Volk* – narodu.

Protesty studentów? Skończyły się. Służba zastępcza? Zniknęła. Odmowa służby? Powoływanie się na klauzulę sumienia? Formacja karna znana niegdyś jako 33. *Korps* osiągnęła swoją poprzednią liczebność, a potem nawet ją przekroczyła. A kaci często mieli pełne ręce roboty.

Przyjemne, bezpieczne i wygodne kwatery na tyłach?

– Nic z tego, synu. Idziesz na front. Kobiety bardzo dobrze poradzą sobie z twoją pracą.

Tylko ludzie niezbędni dla funkcjonowania maszyny wojennej uniknęli poboru. Wielu z nich było rolnikami. Inni pracowali w fabrykach, a jeszcze inni w nauce.

Zakłady Kraus-Maffei-Wegmann, Monachium, Niemcy,

15 lipca 2007

– Właściwie nawet żałuję, że nasza amunicja przeciwładownikowa nie jest odrobinę słabsza – westchnął Mueller.

Karl Prael uniósł pytająco brew.

– To proste – odparł Mueller. – Gdybyśmy nie rozwalili wszystkich posleńskich C – i B-Deków na kawałki, zostałyby nam ich przeciwokrętowe działa elektromagnetyczne i moglibyśmy wyposażyć w nie wszystkie posiadane Tygrysy i te, które w niedalekiej przyszłości wyjadą z fabryki, a ponadto stworzyć mniej lub bardziej stacjonarne baterie obronne. A tak mamy tylko kilka tuzinów zdatnych do użytku dział. Sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt, podczas gdy moglibyśmy mieć sześćset czy siedemset... a może nawet kilka tysięcy.

– Zanizasz liczby – zauważył Prael. – Odzyskaliśmy jak dotąd sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt, ale ledwie zaczęliśmy złomować walające się po całym kraju wraki obcych. Na pewno znajdziemy dość dział, żeby wyposażyć całą partię Tygrysów IN, *Ausführung B*. Pesymista – zakończył z uśmiechem.

– Może – zgodził się Mueller. – Może... jeśli uda nam się zezłomować wraki, nie uszkadzając ich jeszcze bardziej. I jeśli zmodyfikujemy działa tak, żeby pasowały do obecnych podwozi... albo nasze podwozia, żeby pasowały do dział. No i jeżeli uda nam się tu w ogóle ściągnąć na czas modyfikacji i instalacji.

– I jeśli starczy nam czasu – mruknął Prael, zwieszając głowę. – Kiedy, według ciebie, ale tak szczerze, będziemy mieli w rękę model B?

Mueller przygryzł wargę i pokręcił głową.

– Prototypu nie będzie jeszcze przez jakieś cztery do pięciu miesięcy. Myślę, że byliśmy zbyt ambitni.

Prael nawet się z tym zgadzał. Model B Tygrysa znacznie wyprzedzał oryginał; był wyposażony nie tylko w działo elektromagnetyczne zdolne razić wroga nawet W kosmosie, ale także w napęd jądrowy, miał o wiele grubszy i wytrzymalszy pancerz oraz nowy układ SI. A to były tylko główne różnice, nie licząc drobniejszych.

– Już czas – oznajmił, zerkając na zegarek. Mueller skinął głową i obaj poszli do sali, w której zebrała się reszta zespołu projektantów.

To miało być pożegnalne przyjęcie. Ale bywały już radośniejsze okazje. Większość pogrzebów była przynajmniej tak samo wesoła.

Na pewno Schlüssel był smutny. Tak samo Henschel, brodaty Nielsen i zazwyczaj tryskający entuzjazmem Breitenbach.

– Musisz jechać, Dawid? Naprawdę? Musisz? – dopytywał się Breitenbach.

Benjamin w milczeniu pokiwał głową. Był taki – skwaszony i milczący – odkąd zeszłego grudnia przyszły wieści o upadku Jerozolimy i o tym, że jego żona nie żyje, rodzina nie żyje, przyjaciele nie żyją. Kilkaset tysięcy Żydów ewakuowano, większość z nich przyjęły Niemcy i Zjednoczone Królestwo. Silna i głośna antysemitka mniejszość islamska we Francji głośno protestowała przeciwko udzieleniu schronienia jej religijnym i kulturowym wrogom.

Ale Niemcy, winne od lat – i wciąż szukające przebaczenia – otworzyły swoje podwoje. Silna flota handlowa wraz z Kriegsmarine i Royal Navy stawiły czoła nawale ognia Posleenów (w dużej części kiepsko celowanego, gdyż Posleeni nie bardzo rozumieli zasady działania jednostek nawodnych), by uratować Żydów.

Uratowali dwieście tysięcy, głównie bardzo młodych. Było wśród nich wystarczająco wielu mężczyzn i kobiet, sześć czy siedem tysięcy, by walczyć. A walczyć z całą pewnością chcieli. Ale jak? Z kim? W niemieckim wojsku była tylko jedna formacja przyzwyczajona do asymilowania cudzoziemców... ale żeby w tej formacji?

Mühlenkampff obiecał im więc własną jednostkę. Pokornie poprosił o szansę zadośćuczynienia, choćby w małej części, za ponurą... nie, straszną przeszłość. Wysłał nawet Hansa Braschego, którego

przeszłość znał, by porozmawiał z uchodźcami i Beniaminem.

– Tak, muszę jechać – odparł Izraelczyk. – Moja praca tutaj dobiegła końca. Ale mogę zrobić coś więcej.

Rozumiejąc go w głębi serca, Breitenbach cofnął się i zmierzył Żyda wzrokiem od stóp do głów. Mała srebrna gwiazda Dawida zdobiła prawy wyłóg jego kołnierza, cztery gwiazdki majora lewy. Srebrne guziki spinały bluzę. Srebrna opaska otaczała lewy rękaw nad mankietem.

Na opasce wypisane było srebrnymi literami, hebrajskimi i łacińskimi, jedno nad drugim: *Juda Machabeusz*.

Mundur był czarny jak noc.

Dowództwo Rezerwy Grupy Armii, Zamek Kapellendorf, Turynia,

25 lipca 2007

Kwatera główna zajęła na swoją siedzibę średniowieczny zamek. Nie była to dobra wróżba; w tym zamku miał swoją kwaterę główną sztab pruskiej armii przed jej katastrofalną klęską w podwójnej bitwie z wojskiem Napoleona pod Jeną-Auerstadt w 1806 roku. Budowla była zimna i wilgotna, co potęgowała jeszcze otaczająca ją fosa. Było tam niewygodnie, a do toalety trzeba było wychodzić na dwór. Ale to dom, pomyślał Mühlenkampf. I jest centralnie położony.

– Czas, panowie. On jest najważniejszy. To, czy Niemcy przetrwają, zależy w głównej mierze od czasu. A my jesteśmy zdania, że mamy mniej niż sześć miesięcy, zanim spadnie nam na głowy następna fala najeźdźców.

– Panie generale? – zapytał Brasche. – Czy mamy powody wierzyć, że wylądują wprost na nas, tak jak ostatnio?

Mühlenkampf omiółł salę wzrokiem. Nie było tu nikogo w stopniu poniżej generała porucznika... z wyjątkiem Hansa, niedawno awansowanego na pełnego pułkownika. A jednak to właśnie Hans, a nie tamci, zadawał właściwe pytania.

– Normalnie, Hansi, powiedziałbym, że są zbyt głupi, by próbować tej samej sztuczki po raz drugi. Tym razem jednak spodziewam się, że mogą być dość sprytni, żeby to zrobić.

– Dlaczego, *Herr Generali*

– Bo jest mało prawdopodobne, byśmy byli w stanie sobie z nimi poradzić. Przez sześć miesięcy liczebność wroga na wschód i zachód od nas mogła wzrosnąć do miliarda z każdej strony, Tak, oni tak szybko dojrzewają! To odpowiednik jakichś STU CZTERDZIESTU PIĘCIU TYSIĘCY dywizji piechoty na każdym froncie! No i oczywiście są w stanie przemieszczać się szybciej i z mniejszym taborem niż jakakolwiek znana nam dywizja piechoty. Istnieje jednak szansa – ciągnął – że uda nam się odeprzeć ich ofensywę. Mając cudzoziemskie formacje i zdobyte ostatnio tereny, Niemcy mogą wystawić jakieś trzysta dywizji wzdłuż Renu, mniej więcej tyle samo nad Wisłą i podobną liczbę rozrzuconą w głębi kraju. Okopujemy się, lejemy beton jak wściekli. Przy tym wszystkim cały czas pozostawiamy w centrum znaczące rezerwy, głównie nas samych. Północ i południe są oczywiście bezpieczne przed atakiem lądowym. A nasze Tygrysy – powiedział, skinąwszy z zadowoleniem głową Braschemu – wydają się zdolne stawić czoła wielokrotnie liczniejszemu wrogowi.

– Możemy to zrobić, jeśli dostaniemy ich wystarczająco dużo – odparł zgodnie z prawdą Brasche. – Mój oddział nie wrócił jeszcze do pierwotnej liczebności. Nie mam większych nadziei, że dobiję do planowanej liczby czterdziestu jeden Tygrysów.

Przerwał na chwilę.

– Szkolę nowych rekrutów na siedmiu Tygrysach, które w tym momencie sana chodzie. A nowe i przebudowane czołgi przyjeżdżają w tempie jednego na mniej więcej sześć dni...

* * *

Mogąc samodzielnie prowadzić nabór, 47. *Korps* przystąpił do tego zadania z zapałem. Plakaty, radio, telewizja i Internet nadawały komunikaty odzianych już na czarno, noszących *Sigrunen* „asfaltowych żołnierzy”. Nawet szeregi Bundeswehry były w tym pomocne. Wielu jej żołnierzy poprosiło o przeniesienie. Inni zaś opowiadali młodszym braciom – albo nawet synom – że 47. *Korps*, teraz nazywany już otwarcie Korpusem SS, jest formacją godną szacunku i dzielnie broniącą ojczyzny.

To, że dziewczyny zwracały większą uwagę na bardziej eleganckich i pewnych siebie żołnierzy *Schwarze Korps*, też w niczym nie zawadzało.

Rekrutów, dobrej jakości rekrutów, nie brakowało. Szeregi rosły i rosły. Pięćset pierwszy, który niedawno przechrzczono na 501. *Schwere Panzer Brigade* (Michael Wittman), przyjął ich dość, by rozwinąć swoje trzy szkieletowe kompanie liniowe w pełne bataliony, a kompanię dowodzenia i kompanię wsparcia w trzy kolejne plus batalion dowodzenia brygady i wsparcia ogólnego. Całości dopełniał dołączony duży pułk artylerii – siedemdziesiąt dwie armaty i dwadzieścia cztery wyrzutnie raket, półbatalion saperów, półbatalion obrony przeciwlotniczej i bataliony grenadierów pancernych i zwiadu.

Ogółem Hans miał dowodzić blisko czterema tysiącami sześciuset żołnierzy.

Kadrę oficerską dla tych ludzi i formacji, które tworzyli, pozyskano z różnych źródeł. Przede wszystkim byli to weterani oryginalnego 501-go. Ich wartość bojową zwiększały intensywne szkolenia dla najlepszych. Poza tym Bad Tölz przez cały czas wyszukiwało potencjalnych młodszych oficerów i podoficerów. Ci, którzy ukończyli kurs dowodzenia, uzupełniali szeregi 501-go i 47. *Korps*. Część kadry przejęto też z regularnej Bundeswehry, rekrutując ją spośród tych, którzy chcieli uciec od pozostałości zdychającej już politycznej poprawności, która skaziła tę formację, wysyłając wielu młodych żołnierzy na przedwczesną śmierć i skazując wiele miast, takich jak Giessen, na rzeź.

* * *

Jak owce na rzeź, pomyślał Krueger, jak owce na rzeź.

Tak jak Dieter Schultz i jego koledzy stali kiedyś, dygocząc ze strachu przed budzącym grozę Kruegerem, tak teraz trzęśli się nowi. Dieter drżał wtedy podwójnie, także z powodu zimna bawarskich Alp. Teraz, podczas łagodnego turyńskiego lata, wystarczał jedynie czarny mundur Kruegera ze srebrnymi insygniami; mundur i lodowate spojrzenie błękitnych oczu.

Esesman zatrzymał się, by uderzyć otwartą dłonią w twarz rekruta, który okazywał trochę za dużo strachu. Cios powalił chłopaka na ziemię; tam czekał go kopniak wysokiego wypastowanego buta.

– Esesman natychmiast podnosi się po ciosie – oznajmił Krueger, podkreślając to jeszcze jednym niezbyt mocnym kopnięciem. – Wstawaj, chłopcze!

Podniósł głos.

– Wszyscy nauczycie się, jak być twardszymi i bardziej odpornymi niż stal Kruppa! Będziecie jeszcze bardziej odporni – dodał ze słyszalną w głosie pogardą – niż Żydzi, a przy nich produkty Kruppa mogą się schować.

Zadrżał na myśl o nowej formacji, brygadzie *Juda Machabeusz*. Pieprzeni podludzie. To hańba, ot co.

* * *

Idący – nie, kroczący – wzdłuż szeregów rekrutów Krueger kojarzył się Braschemu nieodparcie z kogutem, dumnym i agresywnym. Nienawidzę sukinsyna, pomyślał, nienawidzę z tyłu różnych

powodów. Nazistowski bydlak!

Stał za daleko, żeby słyszeć, co Krueger mówił nowym. Ale umiał to sobie wyobrazić; już to wszystko widział i słyszał, i to w różnych dziwnych miejscach.

Izraelczycy z początku nie chcieli go przyjąć; wyrazili to boleśnie jasno. Uwierzyli mu, kiedy powiedział, że nigdy nie brał udziału w żadnych zbrodniach przeciw Żydom. Uwierzyli, kiedy powiedział, że chce odpokutować. Wiedzieli, że posiada umiejętności, których rozpaczliwie potrzebowali i których sami zupełnie nie mieli. Ale były esesman?

Hans miał na to jeden argument nie do odrzucenia.

– *Chcecie mojej śmierci, prawie wszyscy. Nie mogę mieć do was o to pretensji. Poślijcie mnie więc tam, gdzie mogę umrzeć.*

Izraelczycy nie byli tak łaskawi i Hans nie dowodził – bardzo wyraźnie zapowiedzieli, że nigdy nie będzie dowodził Żydami w bitwie – lecz szkolił bardzo różnych i bardzo nieszczęśliwych ludzi, którzy przechodzili przez jego mały obóz i po krótkim szkoleniu byli wysyłani na rzeź gdzieś na granicy.

Sam też się uczył – wolno i mozolnie uczył się hebrajskiego, jadł koszerne jedzenie, do którego mdłego smaku nie potrafił przywyknąć. Nigdy w życiu nie czuł się bardziej samotny. Do tego było mu niewygodnie, bo podczas gdy pozostali mogli rozebrać się do pasa w bliskowschodnim upale, on nie mógł zdjąć koszulki skrywającej tatuaż zdradzający jego przeszłość. Nawet pod prysznicem musiał czekać, aż wszyscy inni skończą, albo wstawać o nieludzkich porach.

Były też jasne punkty. Jednym z nich był Sol, były obozowy kapo, jeden z żydowskich więźniów, którzy byli zmuszani do wykonywania brudnej roboty w obozach koncentracyjnych. Sol, Bawarczyk z Monachium, mówił oczywiście po niemiecku, chociaż z nieprzyjemnym południowym akcentem. Co więcej, miał pod dostatkiem własnych grzechów i nikogo nie osądzał. Czasami rozmawiali, szli na piwo, wspominali lepsze czasy... albo dzielili się nadzieją, że takowe jeszcze nadejdą. Nigdy nie mówili o wojnie ani obozach; obaj wyczuwali w sobie nawzajem grozę, której nie można było wymazać.

Innym jasnym punktem była Anna, ciemnowłosa dziewczyną z Berlina, która mówiła trochę lepszą wersją dialektu Hansa. Hans nie znał jej historii, wiedział tylko, że w czasie wojny była w obozie.

Wiedział o niej niewiele i nie chciał wiedzieć więcej. Była piękna – naprawdę, jej mała rzeźbiona twarz i figura oraz bystre, patrzące z sympatią, lśniące zielone oczy zapierały dech w piersiach. Biła z niej siła, której nie mogły złamać nawet obozy. Chociaż większość izraelskich kobiet gardziła makijażem, Hans zauważył, że Anna wręcz go nienawidzi. Nie miało to znaczenia; była bardziej niż piękna nawet bez sztucznych dodatków.

Wiedział też, że nie jest jej wart... i dlatego za każdym razem, kiedy Anna się zbliżała, on się wycofywał. Wycofywał? Raczej uciekał w ledwie skrywanym przerażeniu, jeśli tylko zbliżyła się do niego w sprawie innej niż służbowa. Hans nie mógł się zmusić, żeby spojrzeć w jej zielone oczy. Unikał północnej, kobiecej części obozu jak zarazy.

– *Głupi jesteś, Hans – powiedział któregoś dnia Sol, kiedy siedzieli na schodach koszar z wieczornym piwem w ręku.*

Hans spojrzał na niego pytająco, a Izraelczyk się zaśmiał.

– *Ta dziewczyna chodzi za tobą jak szczeniak. Dlaczego zawsze przed nią uciekasz?*

Jedyną odpowiedzią Hansa było ciężkie westchnienie.

– *Nie kłam, stary draniu – powiedział Sol, pociągając szybki łyk ciepłego i lurowatego piwa*

– *nawet unikaniem odpowiedzi. Widzę, jaką masz minę, kiedy na nią patrzysz. Prawie słyszę, jak ci wali serce, kiedy podchodzi do ciebie.*

– *Wiem – szepnął Hans. – Ale po prostu nie mogę. – Na litość boską, dlaczego nie?*

– *Bo nie jestem godzien.*

– *Wydaje się wam, gnojki, że jesteście godni wstąpić do SS? – spytał Krueger, wciąż krocząc.*

– *Ruchałem małe żydowskie kurewki z Ravensbrück, które były tego bardziej godne niż wy, śmiecie. One przynajmniej miały wolę przetrwania. Czy wy ją macie, gnidy, to się jeszcze okaże. W prawo zwrot! – rozkazał, bardzo zadowolony z siebie. – Naprzód... marsz! Biegiem, marsz!*

INTERLUDIUM

Ro'moloristen zawahał się, nie wiedząc, czy powinien krytykować swojego pana za jego niezdecydowanie. Czując na sobie spojrzenia wszystkich i odczuwając swoją słabą pozycję każdym nerwem ciała, zebrał się na odwagę.

– Panie, możemy przegrać ten wyścig.

– Wyścig? Jaki wyścig, pisklaku? – spytał Athenalras, strosząc grzebień.

– Wyścig, by dokończyć podbój tego półwyspu, tej Europy.

– Jak to? Zajęliśmy wszystko, co może nam się przydać, z wyjątkiem centralnych terenów – to się nazywa „Deutschland”, prawda? – i gór na południu. Niedługo padną... może bez tych gór.

– Ja myślę o Orna'adar, panie, i pozycji naszego klanu, kiedy ten świat w końcu się do niego stoczy. Im dłużej tu jesteśmy, tym gorsza będzie później nasza pozycja. Poza tym...

Młody Wszechwładca zawahał się.

– Poza tym co?

– Mój panie, szarzy thresh przygotowują na nasze przyjęcie wszystko, co posiadają. Do tej pory mieliśmy przewagę, ale ona szybko znika. Udostępnianie nam przez Sieć informacji, niejednorodność i zamieszanie wśród rządzących szarymi thresh, niemożność zmobilizowania sił, brak umocnień – to wszystko się skończyło i nie działa już na naszą korzyść. Ich siły szybko się rozrastają. Powstają nowe umocnienia, stare są odnawiane. Każdy nerw ich społeczeństwa jest wprzęgany w służbę obronności. Najgorsze w tym wszystkim, mój panie, jest być może to, że z tysięcy lądowików wypruli pokładowe uzbrojenie. Mój panie... Nie jest już bezpiecznie latać nad tymi „Niemcami”, chyba że po orbicie, tak wysoko, że nie ma z tego żadnego pożytku.

Athenalras pozwolił, by jego grzebień opadł. Zastanowił się.

– Uważasz, że należy porzucić pierwotny plan, że siły naszego klanu w następnej fali nie mogą lądować na centralnych obszarach, że powinniśmy zaatakować lądem?

Ro'moloristen potrząsnął przecząco głową.

– Nie, panie, musimy postępować dalej według planu... ale na myśl o cenie całej drzę.

Dowództwo Rezerwy Grupy Armii, zamek Kapellendorf, Turynia,
17 grudnia 2007

Hans zadrzał z zimna. Chociaż wszędzie dookoła leżał śnieg, skrywając zamek, ziemię i lód na fosie, niebo przynajmniej raz było czyste. Kolędy śpiewane przez grupę miejscowych dzieci dla personelu sztabu niosły się daleko w rześkim, mroźnym powietrzu, odbijając się od kamiennych murów i bezlistnych drzew.

Stojąc na łukowatym kamiennym moście nad fosą i opierając się o balustradę, Hans spojrzał w niebo pełne mrugających gwiazd. Wysiłkiem woli zmusił się, by o niczym nie myśleć, szukając wytchnienia w chwilowym zapomnieniu.

Udało mu się to do tego stopnia, że nie usłyszał tupotu butów na kamieniach mostu.

Z odrętwienia wyrwała go dopiero dłoń Mühlenskampa na ramieniu.

– Następna fala już tu jest – oznajmił generał.

– Tak szybko? Miałem nadzieję, że będziemy mieli więcej czasu. Może nawet zdążymy wymienić połowę Tygrysów na nowe. A przynajmniej dostaniemy ich kilka.

– Dopiero co skończyli testować prototyp, Hans. Zobaczymy je w działaniu, jeśli wytrwamy co najmniej rok.

Hans pokiwał głową i spojrzał w górę.

– Ale póki co wszystko w rękach marynarki – powiedział. Na niebie zaczęły właśnie rozbłyskiwać i gasnąć nowe gwiazdy. Dwie floty spotkały się w tańcu zniszczenia.

Krażownik Lütjens, odsłoneczna strona orbity Plutona,

17 grudnia 2007

Dowódca okrętu, kapitan Mölders, nie mógł pohamować wesołości wywołanej pozycją wyznaczoną jego jednostce. Przynależność do Floty Specjalnej 7.1 sama w sobie nie była niczym szczególnym. Ale to, że wraz z innym krążownikiem, *Almirante Guillermo Brownem*, i pół tuzinem fregat – przerobionych ad hoc galaktycznych okrętów kurierskich – stanowił eskortę supermonitora *Moskwa*, z całą pewnością zasługiwało na uśmiech. Co powiedzieliby na to Lindemann albo Lütjens?, zastanawiał się, myśląc o tych dwóch dzielnych niemieckich marynarzach, którzy poszli na dno z pierwszym *Bismarckiem* na początku drugiej wojny światowej. Mölders zaśmiałyby się w głos, gdyby nie to, że on sam, *Moskwa*, te pół tuzina fregat i jeszcze dwie inne floty specjalne pędziły na złamanie karku na spotkanie absolutnie pewnej śmierci.

Nie mieli żadnej szansy na zwycięstwo, co najwyżej na to, że zabiorą ze sobą kilku tamtych. Fala Posleenów, sześćdziesiąt pięć kul, każda składająca się z setek mniejszych okrętów połączonych na czas podróży międzygwiazdnej, była po prostu za wielka – niewyobrażalnie wielka. A flota broniąca Ziemi była za mała.

Zwycięstwo, gdyby udało się odnieść, zależało od sił naziemnych. Zwycięstwem floty byłoby jedynie danie siłom naziemnym największej możliwej szansy. Ostateczne zwycięstwo było czymś, czego żaden mężczyzna ani żadna kobieta na pokładach okrętów nie mieli nadziei ujrzeć. Tak samo nie miał jej Mölders.

Zobaczył na ekranie monitora rozkwitające na długą chwilę nowe jaskrawe słońce. Słuchawka w uchu przekazała wiadomość z *Moskwy*. Mölders otworzył szeroko oczy, a potem nagle odwrócił się w lewo.

– Panowie – oznajmił załodze mostka łamiącym się głosem – to słońce to był japoński krążownik *Genjiro Shirakami*.

Staranował kulę wroga i zdetonował się. Supermonitor *Honsiu* uważa, że kula została całkowicie zniszczona.

– A więc zostało nam tylko sześćdziesiąt cztery, tak? – szepnął oficer wykonawczy Möldersa.

Dowództwo Rezerwy Grupy Armii, zamek Kapellendorf, Turynia,

17 grudnia 2007

Na niebie strzelały błyskawice i rozbłyskiwały nowo narodzone słońca. Hans rozmyślał o szczegółach, ale w głębi serca wiedział, że nie mogły one mieć znaczenia. Widział szacunkowe dane; Mühlenkampf pokazał je swoim starszym oficerom. Ludzka flota była skazana na zagładę, nie mogąc zbyt wiele zdziałać. Mimo to jednak coś było lepsze niż nic, a rozkwitające słońca zniszczonych okrętów i srebrzyste smugi hiperszybkich rakiet przeciwookrętowych były niezłym widowiskiem.

Ale Hans widywał już takie widowiska, które jeszcze gwałtowniej przykuwały jego uwagę...

Atak przypuszczono, zdawałoby się, znikąd i zewsząd zarazem. W jednej chwili Hans spał mocno w koszarach. W drugiej coś zagrzmiało niczym grom i zeskakiwał już z pryczy, w pełni rozbudzony, tak jak potrafi tylko doświadczony weteran. Instynktownie złapał schmeissera, którego zdobył na własną rękę, oraz uprzęż bojową, na której wisiało pół tuzina dodatkowych magazynków do pistoletu maszynowego. Ściskając jedno i drugie w rękach i wykrzykując w łamanym hebrajskim do pozostałego tuzina mężczyzn dzielących z nim mały barak, by zajęli pozycje na skraju obozu, Hans rzucił się do drzwi. Przeladowując schmeissera, wypadł na zewnątrz; za sobą słyszał krzyki komenderującego pozostałymi Sola.

Wszędzie panował chaos. Pociski z moździerzy rozświetlały okolicę nagłymi rozbłyskami i wypełniały gromowym hukiem. Pociski smugowe gwizdały po całym obozie, pozornie ze wszystkich stron. Choć to był pierwszy atak, nie po raz pierwszy Hans przeklął niezdatność amatorskiej, pospiesznie zorganizowanej, źle wyszkolonej izraelskiej armii. Nic dziwnego, że Arabowie przedostali się przez linię nieodległego frontu i przyszli tu po łatwy łup.

Zaciekle okrzyki „Allah akbar!” rozbrzmiały z płytkiego koryta rzeki na północy, wzmógł się też ostrzał z tamtej strony. Nie wiedząc dlaczego, Hans właśnie tam ruszył. Mijały go uciekające na wpół ubrane – czy może raczej na wpół nagie – wrzeszczące kobiety.

– Anna?! – wołał raz za razem. – Anna?!

– Anna została, żeby walczyć i nas osłaniać! – krzyknęła do niego jedna z izraelskich dziewczyn.

Hans pobiegł samotnie w noc.

Znalazł ją plującą i przeklinającą trzech Arabów, którzy przyciskali ją rozciągniętą na ziemi, podczas gdy czwarty, przykucnięty między jej nogami, szarpał się z tym, co zakrywało dolną połowę jego ciała. Doświadczony palec Hansa musnął spust cztery razy, a potem jeszcze dla pewności piąty raz.

Pochylił się i złapał dziewczynę za koszulę. Spostrzegł, że nie miała spodni, a jej karabin z otwartą komorą miał pusty magazynek. Hans wyprostował się i zaczął biec z powrotem, ciągnąc dziewczynę za sobą i ostrzeliwując się, by zniechęcić ewentualny pościg.

Ostrzał moździerzy wciąż trwał, sprawiając, że przebywanie na powierzchni było ryzykowne. Gdy dobiegli do wąskiego okopu, Hans zeskoczył w dół i pociągnął Annę za sobą, popychając ją łagodnie na pyliste dno.

– Tu będziesz bezpieczna, Anno. Nie pozwolę, żeby coś ci się stało.

Dopiero wtedy zaczęła płakać; najpierw były to tłumione, ciche pochlipywania, potem gwałtowny szloch. Hans starał się ją pocieszyć delikatnym poklepywaniem, jednocześnie wyglądał z okopu i wypatrywał niebezpieczeństw. Atak wydawał się kończyć, ogień Arabów tracił na sile.

Obóz był już lepiej oświetlony; płonęło pół tuzina budynków. Może to właśnie odpędziło napastników. Urodzeni rozbójnicy i beznadziejni żołnierze rzadko kontynuowali atak bez wszelkich możliwych rodzajów przewagi. W końcu dzięki łagodnej opiece Hansa szloch Anny ustał.

– Chcieli mnie zgwałcić – oznajmiła niepotrzebnie. – Nie powinieneś być się narażać. To by mnie nie zabiło.

Hans wzruszył ramionami.

– Może i nie. dziewczyno. Ale mogliby to zrobić, kiedy już by się zabawili.

Anna powtórzyła jego gest wzruszenia ramionami.

– Mam imię, wiesz? – powiedziała, nie wiadomo czemu ze złością. – Zresztą mogli to zrobić, co za różnica.

– Nie mów tak! – krzyknął z niezwykłą zaciętością; potem zniżył głos prawie do szeptu. – Wiem, że masz imię, Anno.

– Dlaczego? – spytała. – Nigdy nie okazałeś, że cię to obchodzi. Przynajmniej aż do dzisiaj.

– Obchodzi mnie, Anno. Zawsze obchodziło.

– Nigdy nic nie dałeś po sobie poznać.

– Nie mogłem.

– Dlaczego? Bo byłam obozową kurwą? Bo mam tatuaż?

Hans poczuł falę nudności.

– Wiedziałem o tatuażu. Nie wiedziałem... o tym drugim.

– Ale byłam nią, przez kilka lat. Dla strażników w Ravensbrück.

Hans przypomniał sobie obrzydliwe słowa innego esesmana podczas jego bardzo krótkiego pobytu w Birkenau. Zemdlilo go jeszcze bardziej, tak bardzo, że stało się to widoczne.

Źle go rozumiejąc, Anna odwróciła się, by ukryć łzy.

– To nie było z mojej woli, nigdy z mojej woli. Ale rozumiem, dlaczego nie chcesz mieć ze mną nic do czynienia...

– Przestań – rozkazał. – To nie przez twój tatuaż ani twoją przeszłość, której nie wybierałaś. To... Ja też mam tatuaż.

– Nie, nie masz – odparła z uporem. – Widziałam twoje ręce.

– Mój – westchnął Hans – nie jest na ręku.

– Ale... – Anna zakryła usta i otworzyła szeroko oczy, aż za dobrze rozumiejąc jego słowa.

Potem odwróciła się, wybiegła z okopu i uciekła w rozmigotaną płomieniami ciemność.

W kosmosie nie widać już było smugowców, nowe słońca przestały rozbłyskiwać i znikać w nicości. Tam bitwa była już skończona i Hans nie miał żadnych złudzeń co do tego, kto wygrał – ani, co ważniejsze, kto przegrał. Niebo nad Ziemią, raz na krótko odzyskane, znów znalazło się w posiadaniu najeźdźcy.

Mühlenkampff odchrząknął.

– Siadą nam na karku jutro, panowie, o ile nie wcześniej. Lepiej wracajcie do swoich jednostek.

W milczeniu, ponuro, może z odrobiną strachu, mężczyźni zaczęli się rozchodzić, każdy do swojej dywizji, brygady czy pułku.

Zakłady Kraus-Maffei-Wegmann, Monachium, Niemcy, północ,

18 grudnia 2007

Lśniący behemot wprost emanował złowrogim blaskiem. O ile Anna i jej siostry olśniewały, o tyle nowy model oszałamiał. Od czubka działa elektromagnetycznego aż do tylnej ściany wieży, od

szczytu owej wąskiej, rekiniej wieży aż do gąsienic spoczywających na betonowej podłodze, od bliźniaczych wyrzuteń skrywających uzbrojenie obronne bliskiego zasięgu na przodzie aż do pochyłego tyłu, Tygrys III *Ausführung* B był urzeczywistnieniem snów.

– Dla wroga to będzie koszmar – zauważył Mueller, w końcu zadowolony z uzbrojenia.

Indowy Rinteel, pozbawiony zajęcia od chwili ucieczki darhelskiego Tira, przyłączył się do zespołu projektantów, pomagając przy działach elektromagnetycznym. Nie posiadał żadnego uznawanego przez ludzi tytułu inżynierskiego, ale wielu Indowy, w tym

I on, miało niemal wrodzoną zdolność majsterkowania. Rinteel w całej rozciągłości zgadzał się co do tego „koszmaru”.

Prael prychnął z obrzydzeniem zza swojej brody.

– Może i będzie – powiedział. – Ale jest tylko jednym koszmarem, podczas kiedy my potrzebujemy prawdziwej plagi, niech to szlag. Stara śpiewka. Za mało, za późno.

– Za dużo chcieliśmy naraz – podsumował Mueller. – Powinniśmy byli wykorzystać zdobyte działka elektromagnetyczne do unowocześnienia istniejących Tygrysów.

– Może tak, może nie – odparował Nielsen. – Wciąż mogą wiele zdziałać, wspierając Baterie Obrony Planetarnej.

– Ona też by mogła – zauważył Breitenbach.

– Nie – sprostował Henschel – bo nie mamy załogi.

– Szkoda byłoby pozwolić, żeby została zdobyta albo zniszczona – powiedział Schlüssel. – I to nie do końca prawda, że nie mamy załogi. My sami znamy ją tak dobrze jak dowolna załoga, a jeśli jest nas za mało, żeby obsadzić całe wyposażenie... No cóż, jej SI potrafi o wiele więcej niż model A.

– Sugerujesz, żebyśmy ją ukradli? – spytał Prael. Mueller uśmiechnął się.

– Nie „ukradli”, Karl. Po prostu zabrali na testy bojowe, to . wszystko. Aj a byłem kiedyś bardzo dobrym kierowcą.

Rejon zgrupowania Wittmann, Tygrys Anna, Turynia, Niemcy, 18 grudnia 2007

Wieczne fajerwerki przyćmiły wczorajsze. Około dziesięciu tysięcy pojedynczych okrętów Posleenów, na które rozpadły się kule, i ogień kilkuset Baterii Obrony Planetarnej oraz naziemnych dział elektromagnetycznych wspólnymi siłami zamieniły nieboskłon w ciągły strumień pirotechnicznej rozrywki.

Jak to powiedział admirał Nelson?, pomyślał Hans. Ach, pamiętam: „Tylko głupiec atakuje fort okrętem”. Admirał oczywiście miał rację, tylko głupiec atakuje okrętem. Ale wystarczy wziąć odpowiednio dużo okrętów i wszystko jest już tylko kwestią czasu.

Ani okręty, ani baterie naziemne nie miały żadnych osłon. Obrońcy mieli jednak potrójną przewagę: mogli wybierać, kiedy zrzucić kamuflaż i zdradzić swoją pozycję otwarciem ognia, Posleeni w ogóle nie mieli żadnej osłony, a na dodatek nie najlepiej radzili sobie ze swoimi okrętami. W końcu byli dość głupią rasą. Ale tę przewagę ludzi równoważyła z nawiązką liczebność obcych.

Hans przypomniał sobie adekwatne do sytuacji przysłowie ludowe: „Ilość jest jakością samą w sobie” oraz słynne powiedzenie Stalina: „W pewnym momencie ilość przechodzi w jakość”.

Ten komunistyczny bydlak co do tego też miał rację, pomyślał Hans, przypominając sobie niewyraźne widok płonących Panter i Tygrysów, kilku rozbitych sowieckich maszyn i przejeżdżającej obok niekończącej się kolumny T-34.

Stosunkowo niedaleka Bateria Obrony Planetarnej odezwała się wściekłą nawałą ognia kinetycznego; ładunki energii cięży niebo smugami srebra, wypalającymi powidoki na siatkówce. W

górze rozbłysło krótko kilka nowych gwiazd. Potem na baterię spadł zmasowany ostrzał setek posleńskich okrętów, rozwalając ją w strzępy i wzbijając chmurę w kształcie grzyba; Hans stojący we władze *Anny* poczuł drżenie ziemi.

Dajemy im się we znaki, może nawet dotkliwie. Ale to nie wystarczy.

Jakby na potwierdzenie, gdzieś daleko na zachodzie spadła z nieba istna ulewa posleńskiego ognia. *To chyba dla Francuzów.*

Ouvrage du Hackenberg (twierdza Hackenberg), Thierville, Linia Maginota, Francja, 18 grudnia 2007

Nie po raz pierwszy generał major Henri Merle przeklął swój rząd i jego upartą odmowę współpracy z kimkolwiek. Na ekranie telewizora przyozdabiającego jedną ze ścian jego posterunku dowodzenia widział koszmar, którego miał nadzieję już nigdy nie oglądać – morze centaurów przedzierających się przez zasieki, miny, ogień karabinów maszynowych i artylerii, by dopaść obrońców. Aktywny blask posleńskich działek elektromagnetycznych przeplatał się z czerwonymi smugowcami ostatnich obrońców Francji.

Bunkier trząsł się lekko od równomiernych wibracji trzech automatycznych dział, które strzelały z wysuwanych wież. Na ekranie ostrzał armat krótkiego zasięgu – krótkiego, bo wieże były za małe, by pozwolić na większy odrzut – rysował w hordzie obcych grzybowate czarne chmury, zostawiając po sobie tysiące poszarpanych posleńskich trupów. Każde działo było zdolne wystrzelić kilkadziesiąt stutrzydziestopięciomilimetrowych pocisków na minutę dzięki specjalnemu łańcuchowemu systemowi podajników amunicji. Wszystko to odbywało się automatycznie, poza ładowaniem naboju na taśmociąg wynoszący je na górę. Tym zajmowały się dziesiątki spoconych mężczyzn, uwijających się w komorach amunicyjnych pod ziemią.

Zbudowaliśmy to, żeby zniechęcić Niemców do przypuszczenia ataku wprost na nasze przemysłowe serce, pomyślał Merle z wilczym uśmiechem. Nawet nam się udało. Poszli przez Belgię. Potem utrzymywaliśmy fortyfikacje w doskonałym stanie przez dwadzieścia lat, na wypadek, gdyby Rosjanom zebrało się na igraszki. Może rzeczywiście ich też to zniechęciło, kto wie? Teraz, po gorączkowym wyścigu z czasem i odbudowach, wreszcie ich używamy i trzymamy się ostatniego zakątka *la belle patrie*.

– I działają – powiedział na głos. – Wyrzynają tych obcych drani setkami. A przekłeci politycy musieli to zaprzepaścić, odmawiając współpracy z Niemcami.

– Panie generale? – spytał adiutant Merlego.

– Mogliśmy mieć tu ze sobą parę korpusów pancernych *Boche* – wyjaśnił Merle. – Mogliśmy mieć kilkanaście dywizji piechoty, żeby pomogły nam utrzymać tę linię. Ale nie. To niemożliwe. Zgodzimy się, żeby nam pomogli, tylko pod warunkiem, że to my będziemy dyktować warunki. Powiedz mi, Francois, gdybyś był Niemcami, gdybyś był kimkolwiek, pozwoliłbyś, żeby rząd Francji, jakakolwiek francuska władza dyktowała ci warunki?

– *Certainement pas* – odparł kapitan z krzywym, bardzo cynicznym i typowo francuskim uśmiechem. – Kto byłby tak głupi?

– Nikt, a ja tym bardziej. Dlatego też chociaż mordujemy tych obcych dupków tysiącami, i tak się przedrą. Zdobędą te fortyfikacje, obiorą nas ze skorupy jak jajko na twardo i wyżrą zawartość. A potem przejdą dalej...

Bunkier zatrząsł się nagle mocniej niż w wyniku ognia automatycznych dział. Merle spadł z fotela.

– *Merde*, co to było? – spytał, wstając.

– Nie wiem, *mon colonel*.

Zadzwoił telefon. Po tylu dziesiątkach lat system telefoniczny wciąż działał. Adiutant Francois odebrał. Merle zobaczył, że jego twarz robi się biała.

Francois odwiesił zabytkową słuchawkę na haczyk.

– Bateria B... zniszczona. Obcy w jakiś sposób przebili się do magazynów amunicji. Prawie nikt nie uszedł z życiem. Rejon odcięto, żeby zapobiec rozprzestrzenianiu się ognia.

Teraz to Merle zbladł.

– Mój Boże, pod magazynami tej baterii jest dwadzieścia tysięcy cywilów.

– Zginęli, panie generale.

– Mamy jeszcze łączność z Niemcami? – spytał Merle.

– Tak sądzę, panie generale. Dlaczego?

– Połącz mnie z *Generalleutnantem* Von der Heydte. Oddam tę fortecę pod jego dowództwo i poproszę o wszelką pomoc, jakiej może udzielić, żeby uratować naszych cywilów. Podczas kiedy ja będę to robił, ty masz dzwonić do innych dowódców sektorów i przekazać im moją sugestię, żeby zrobili to samo. Pieprzyć rząd. I tak nie mieliśmy porządnej władzy od czasów Napoleona Pierwszego.

Saarlouis, Niemcy, 18 grudnia 2007

Von der Heydte był oszołomiony.

– O co nas proszą te cholerne żabojady?

– Chcą, żebyśmy przejęli dowodzenie, panie generale. A przynajmniej chce tego generał Merle i kilku innych. Z tego, co zrozumiałem, dostajemy wezwania na całej długości frontu. Nie są w stanie się utrzymać. Przynajmniej ich wojsko o tym wie. I postanowiło zignorować polecenia władz.

– W porządku. To rozumiem. Przydaliby się nam, gdyby tylko z nami współpracowali.

– Generał Merle wydawał się chętny, panie generale. Jego słowa brzmiały dokładnie: „Proszę powiedzieć generałowi Von der Heydte, że oddaję siebie i całą moją komendę pod j ego rozkazy”. Ale jest pewien haczyk.

– Aha! Wiedziałem. Jaki?

– Panie generale, proszą, żebyśmy otworzyli nasze linie i pozwolili na ewakuację kilku milionów ich cywilów. Kilkuset tysięcy z samego sektora generała Merlego.

– Możemy to zrobić?

– To ryzykowne, panie generale. Moglibyśmy prawdopodobnie otworzyć jedno przejście czy dwa. Ale byłyby to wąskie przejścia. Wątpię, czy udałoby nam się wszystkich przepuścić. Poza tym, panie generale...

– Tak?

– Panie generale, to bardzo dumni ludzie. Wie pan, że Merle i reszta żabojadów nie prosiliby o pomoc, gdyby mieli choć cień nadziei na utrzymanie się o własnych siłach.

– Rozumiem. – Von der Heydte naprawdę rozumiał. – Będziemy musieli wysłać część własnych ludzi i narazić ich na niebezpieczeństwo, żeby osłonili ewakuację.

Generał myślał jeszcze przez chwilę, a potem podszedł do mapy sytuacyjnej. Zwrócił uwagę zwłaszcza na położenie jednej dywizji i pogrzebał w pamięci w poszukiwaniu rozwiązania.

Znalazł je.

– Dzwońcie do Mühlenkampfa. Tak, Mühlenkampfa z SS. Spytajcie, czy mogę, pożyczyć jego dywizją *Charlemagne*. Powiedzcie mu, że czeka go bunt, jeśli mi jej nie da, bo jestem gotów zniżyć się do zwrócenia się do nich bezpośrednio. I powiedzcie mu, że raczej nie dostanie ich wielu z powrotem.

Twierdza Hackenberg, Thierville, Linia Maginota, Francja,

19 grudnia 2007

Mężczyźni w zawilgłych i cuchnących trzewiach fortecy wciąż zwracali na nią uwagę, nawet w słabym migoczącym świetle. Chociaż rozkwit młodości już dawno miała za sobą i mimo niedostatków i grozy ostatnich dziewięciu miesięcy, Isabelle de Gaullejac wciąż była atrakcyjną kobietą, nawet z brudną twarzą. Gdyby była czysta – a mając możliwość umycia się, Isabelle była bardzo dokładna – mężczyźni ci nazwaliby ją ładną, jeśli nie piękną.

Na dodatek Isabelle nosiła się z godnością i wprost królewską dumą. Jeśli czegoś brakowało klasycznym rysom jej twarzy, nadrabiała to z nawiązką dziewczęcą figurą.

Być może jej królewska duma wynikała z genów, bo Isabelle pochodziła z rodu uszlachconego ponad pięćset lat temu.

Wychowywała się w prawdziwym zamku, a nie w jednym z tych pałacyków, które nazywano zamkami. Jej rodzinnym domem był zamek łowiecki używany w średniowieczu przez króla Henryka, Henryka Ptasznika. Dlatego zimne, wilgotne, brudne i pozbawione wszelkich wygod piekło, jakim były trzewia fortecy Hackenberg, nie było dla niej wielkim wstrząsem. Jako dziewczynka nienawidziła zamku króla Henryka. Jako dorosła kobieta nienawidziła Hackenbergu. Ale potrafiła znieść jedno, tak jak znosiła drugie, dzięki woli wytrwania.

Mimo to wieści o ewakuacji fortecy przyjęła z ulgą. Ubrała obu synów, jednego nastoletniego, drugiego zupełnie małego, tak ciepło, jak pozwalały skromne zapasy odzieży, które pozwolono im zabrać. Spodziewając się długiego marszu do bezpiecznego miejsca, spakowała do torby najpotrzebniejsze rzeczy. W tym jedzenie, lekarstwa dla młodszego chłopca, który nabawił się w fortecy kaszlu, zmianę ubrania dla wszystkich i butelkę pierwszej klasy armagnaca. Do torby zostały też upchnięte dwa wytarte wojskowe koce, które wydano rodzinie. Isabelle nie była drobną ani słabą kobietą i dlatego, chociaż torba była ciężka, uznała, że da radę ją nieść, o ile starszy syn Thomas trochę jej pomoże.

Jako pojedyncza cząsteczka w cuchnącym ludzkim morzu, stanęła u tylnego wyjścia – kiedy Niemcy były zagrożeniem, wrota te służyły do wypuszczania wycieczek – trzymając obu chłopców blisko przy sobie i czekając na sygnał wymarszu.

Garnęli się do niej inni, wielu innych. Władczość, autorytet, którymi emanowała, przyciągały zagubionych, dezorientowanych, bezradnych i pozbawionych nadziei jak magnes. Przyjęła to, tak jak niemal wszystko, ze spokojem.

W duchu nie była jednak spokojna. Od dawna nie miała żadnych wiadomości od męża. Isabelle obawiała się najgorszego.

Za nią rozległ się chóralny pomruk. Odwróciła się i zobaczyła wysokiego mężczyznę – wysokiego zwłaszcza na francuskie standardy – przepychającego się przez zatłoczony korytarz. Kiedy ją mijał, dostrzegła mimo słabego światła, że jego mundur jest czarny jak noc. Mężczyzna miał na kołnierzu insygnia, na których widok Isabelle miała ochotę splunąć.

Żołnierz dotarł do grubych stalowych wrót na końcu tunelu i stanął na czymś – Isabelle sądziła, że na betonowym bloku, który podtrzymywał jedno ze skrzydeł.

– Jestem kapitan Jean Hennessey – oznajmił czystą francuszczyzną – z 37. Dywizji Grenadierów Pancernych SS *Charlemagne*. Jestem tu po to, by zaprowadzić was w bezpieczne miejsce. Ta forteca niedługo upadnie. W tej chwili reszta mojego batalionu zajmuje pozycje, z których będzie utrzymywać grzbiet i wewnątrz fortu najdłużej jak się da, by dać wam wszystkim, tylu ilu się da, szansę ucieczki. Do miejsca, w którym będziemy mogli przekroczyć niemieckie linie, mamy jakieś dwadzieścia kilometrów. Dla obcych jesteście pożywieniem, będą więc próbowali zabić jak najwięcej z was, kiedy tylko wydostaniemy się spod osłony fortecy. Mój batalion robi

wszystko, co będzie mógł, by do tego nie dopuścić. Kiedy wydostaniemy się z zasięgu wroga, batalion wycofa się, nie zrywając z nim kontaktu bojowego, by osłaniać waszą ucieczkę.

Chociaż Isabelle była potomkiem królewskiego rodu, jej poglądy polityczne zawsze sytuowały się daleko na lewo od centrum. Rozpaczliwie pragnęła zakrzywić Hennesseya, przekląć jego i znieawidzone insygnia, które nosił. Ale pociągnięcie za ramię przez jednego z chłopców sprawiło, że się rozmyśliła. Nie mogła ryzykować rozwścieczenia człowieka, który mógł być ich jedyną szansą ocalenia.

INTERLUDIUM

Nawet Athenalras, któremu nieobce były rzezie, wyraźnie przycichł, kiedy usłyszał doniesienia o masakrze jego ludu, próbującego napierać na całej długości linii frontu. Zawsze wierzył, że przewaga liczebna – oraz odwaga – decydują na Ścieżce Furii bardziej niż cokolwiek innego, że samą masą powali i zmiażdży przeciwnika.

Ale jedyną powalającą rzeczą była liczba Ludu, który tracił. Trupy wisiały niczym ozdoby na zasiekach i zaścielały ziemię na całej długości frontu. Jako wyraz psychicznego cierpienia – bo posleński wódz troszczył się o swój Lud jako całość, nawet jeśli obojętne mu były jednostki – grzebień Athenalrasa obwisł. Wszechwładcy na tenarach ucierpieli nie mniej niż masy atakujące pieszo. Strata tak wielu synów była jak lodowate ostrze wbite głęboko w trzewia.

– Nie ma dość łez, by opłakać zabitych! – zawołał. – Chcę odwołać ten atak.

– To te ich przeklęte umocnienia – powiedział Ro'moloristen, czując gorzką, bezradną wściekłość kotłującą się w sercu. – W żalosenj dziurze zwanej Liege, w innym miejscu nazywanym przez nich Eben i tutaj, gdzie stoimy naprzeciw ich Linii Maginota, próbujemy przewyciężyć ich broń masą ciał.

– A czy możemy się przedrzeć? Czy możemy w końcu się przedostać? – spytał Athenalras.

Młody Wszechwładca wyprostował grzebień.

– Możemy, mój panie. Musimy! Bo jedna rzecz staje się coraz jaśniejsza. Jeśli nie eksterminujemy tego gatunku, on eksterminuje nas! Są zbyt dobrzy, zbyt odważni i przede wszystkim zbyt sprytni. Mając mniej walczących i gorsze uzbrojenie, infiltrowani i zdradzeni przez swoich politycznych przywódców, zaatakowani z niszczącą siłą z kosmosu, wciąż walczą z nami niemal jak równi. Współczuję tym thresh, tak, a nawet ich podziwiam. Ale dajmy im choć dziesięć lat pokoju, a ich istnienie doprowadzi do zagłady naszego Ludu.

Dowództwo Rezerwy Grupy Armii, zamek Kapellendorf, Turynia,
20 grudnia 2007

Obawiając się powiedzieć to choćby szeptem, Mühlenkampff nie potrafi! jednak powstrzymać samej myśli. Jesteśmy zgubieni.

W końcu, chociaż mocno dały się posleńskiej flocie we znaki, Baterie Obrony Planetarnej padły, mimo iż zostały wzmocnione zdobytymi działami elektromagnetycznymi. Mühlenkampff wiedział, że tak będzie. Ich spodziewana klęska była przecież jednym z głównych powodów utworzenia Rezerwy Grupy Armii. Rozpoczęły się lądowania. Meldowano o co najmniej piętnastu większych desantach na terenie Niemiec i Polski oraz setkach mniejszych. Całkowita liczebność wroga na ziemi była powalająca. Oficer wywiadu Mühlenkampffa oceniał ją na dziesiątki milionów. Niemcom i temu, co pozostało z Polski, groziło dosłownie zdeptanie przez falę obcych.

W niektórych miejscach falę tę kontrolowano. Pewną rolę odegrały w tym nowe rodzaje uzbrojenia, a wśród nich przede wszystkim bomby neutronowe, na które skrajna lewica nigdy by się nie zgodziła, gdyby miała na to jakiś wpływ. A chociaż nie było jej wystarczająco dużo – nie starczyło czasu, by ją zbudować – i nie zawsze znajdowała się we właściwym miejscu, broń wzmoczonego promieniowania sprawiała, że całe zagony obcych rzygały i zdychały w miejscach lądowań.

Bomby wzmoczonego promieniowania – neutronowe, jak je często nazywano – były w rzeczywistości krokiem wstecz w rozwoju uzbrojenia. Różniły się od bardziej konwencjonalnej broni jądrowej tym, że nie posiadały grubej uranowej osłony wokół rdzenia, sprawiającej, że atomówki były o wiele potężniejsze od swoich poprzedników. Uranowa osłona wzmagała siłę wybuchu, ograniczając emisję neutronów samego rdzenia.

Ale niekontrolowane neutrony były zabójcze same w sobie. Uwalniane przez stosunkowo niewielką eksplozję, zachowywały się jak maleńkie odłamki, przechodząc przez ciała i zabijając komórki. Odpowiednia ich liczba potrafiła w ciągu kilku minut zabić dorosłego człowieka. Co więcej, taka śmierć była wyjątkowo wstrząsająca dla wszystkich, którzy to widzieli, a sami przeżyli. Nawet z dużej odległości neutrony zabijały w kilka godzin czy dni, i to w jeszcze paskudniejszy sposób.

Co najważniejsze, mniejsza eksplozja oznaczała mniejsze zniszczenia i stosunkowo niewielkie skażenie promieniotwórcze. Jedynie w kontakcie ze stalą albo stopem stali neutrony stwarzały ryzyko długotrwałej radioaktywności, sprawiając, że sam metal zaczynał emitować promieniowanie gamma.

Jedna bomba – pojedynczy pocisk kaliber sto pięćdziesiąt pięć milimetrów – wykorzystana w odpowiedniej chwili zabiła podobno nawet sto tysięcy Posleenów w ciągu dwudziestu minut od detonacji. W miejscu jej wybuchu znaleziono dziesiątki nietkniętych, choć wysoce radioaktywnych okrętów. Co więcej, straty w pobliskich miejscowościach były znikome, tak samo jak skażenie środowiska. W niektórych przypadkach bomby neutronowe nie były konieczne. Na przykład jedno z lądowań Posleenów miało nieszczęście odbyć się między Erfurtern a Weimarem, w samym środku Rezerwy Grupy Armii. Opór obcych był krótki i daremny.

Mimo tych niewielkich sukcesów Mühlenkampff wciąż myślał: „Jesteśmy zgubieni”.

– Cóż, po kolei – oznajmił swojemu sztabowi. – Pierwszą rzeczą jest przebić się do Berlina, żeby odciążyć jego obrońców i mieszkańców. Po drodze chcę wyeliminować desant między Magdeburgiem, Dessau i Halle. Potem się rozciągniemy, żeby oczyścić rejon za linią Wisły. Między Berlinem a Szlezwikiem-Holsztynem prawie nic nie ma, więc Berlińczycy powinni sami dać sobie

radę, gdyby później musieli się wycofać.

Linia Zygfyda, Niemcy, 21 grudnia 2007

Dla Isabelle, jej dwóch synów i tysięcy innych uchodźców ucieczka przed posleeńską nawałą była koszmarem. Wychodząc po raz pierwszy od wielu tygodni z okrażonego i padającego fortu Hackenberg, natychmiast wpadli w namiastkę piekła. Wszędzie dookoła, pozornie na chybił trafił, z nieba spadały przerażające błyskawice. Ich huk mieszał się z jazgotem niemieckich i francuskich salw artyleryjskich, które z wyciem przelatywały nad ich głowami. Dobiegający z tyłu i stłumiony przez wzniesienia grzechot ludzkiej artylerii, ostrzeliwującej się z fortecy i innych miejsc, przypominał odległą szalejącą burzę. Przed nimi ziemia była zryta i spękana niczym powierzchnia księżyca. Również z tyłu co jakiś czas błyskały pociski posleeńskich działek elektromagnetycznych, trafiające w uciekinierów.

Każdy trafiony był porzucany; wroga broń uszkadzała ciało, nie dając nadziei na zagojenie ran. Raz po raz słyhać było trzask wystrzału z pistoletu, oznajmiający, że jakiemuś maruderowi czy rannemu uciekinierowi wyświadczono ostatni akt łaski.

Kapitan Hennessey szedł przodem, jeden z jego sierżantów zamykał kolumnę. Długie kroki Isabelle, ciągnącej za sobą dwóch synów, pozwoliłyby jej zrównać się z kapitanem, gdyby tylko chciała. Ale nawet pragnienie schronienia się przed przypadkowym choćby ostrzałem wroga nie było dość mocne, by zechciała splamić się bliskością francuskiego esesmana. Odkryła jednak, że idzie dość blisko, by słyszeć, co od czasu do czasu mówi do radia i jakie odbiera meldunki. Wiadomości z radia były przerażające: meldunki o śmierci, zniszczeniu i klęsce, kiedy osłaniający batalion dywizji *Charlemagne* był dziesiątkowany i raz za razem spychany przez olbrzymie natarcie wroga. Isabelle widziała, jak na niektóre wieści Hennessey sztywniał z bólu. Po innych jego pierś pęczniała z dumy i prostował się, przyjmując dorównującą jej własnej królewską postawę. Raz wydało jej się, że uniósł rękę i otarł oczy.

Odgłosy walki, odległe, ale coraz bliższe, przydały chyżości stopom uchodźców. Wycie kanonady artyleryjskiej przybierało na sile, w miarę jak żołnierze *Charlemagne*, coraz mniej liczni, byli zmuszeni wzywać wsparcie i z każdym straconym człowiekiem i pojazdem coraz bardziej na nim polegać.

W końcu Isabelle zobaczyła, że Hennessey się rozluźnia. Niemiecka granica była w zasięgu wzroku. Kapitanowi wyszedł na spotkanie inny żołnierz w szarym połowym mundurze bardziej tradycyjnej niemieckiej armii, Bundeswehry. Isabelle przeszło przez myśl, że nastąpi między nimi jakaś scena wrogości, skoro pochodzą z innych formacji i narodów. Ale nie, obaj potraktowali siebie jak odnalezieni bracia; położyli sobie ręce na ramionach i mocno uściśnęli dłonie, rozświetlając ponurą atmosferę promiennymi uśmiechami.

Jakaś starsza kobieta, nieśmiało uśmiechnięta, podeszła do Isabelle; najwyraźniej przyciągnęła ją emanująca z niej wewnętrzna siła.

– Madame? – zagała. – Co z nami będzie? Gdzie pójdziemy, co zrobimy?

– To bardzo dobre pytanie, madame – odparła Isabelle. – Pójdę się dowiedzieć.

Dławiąc w sobie obrzydzenie – prawda mówiąc, było to łatwiejsze, niż mogła się spodziewać – i ciągnąc za sobą obu synów, podeszła do Hennesseya i Niemca, po czym zadała im te same pytania.

Odpowiedział Niemiec, dość elegancką francuszczyzną.

– Zostaniecie państwo tymczasowo zakwaterowani w publicznych budynkach Saarlouis. Organizujemy jedzenie i miejsca do spania, a także opieką medyczną, ale to trochę potrwa i być może spędzicie noc głodni i zmarznięci. Pani rozumie, nie spodziewaliśmy się tego.

– Rozumiem – odparła Isabelle i zamilkła, żeby się zastanowić. Za nią długa, kręta kolumna

uchodźców przesuwała się powoli stosunkowo wąskim oznaczonym szlakiem. Przez głośnik powtarzano ohydny francuski, że uciekinierzy muszą trzymać się wyznaczonej trasy, ponieważ grunt po obu jej stronach jest gęsto zaminowany. Potem zaczęto przekazywać to samo, co Niemiec powiedział Isabelle, przestała więc myśleć o starej kobiecie.

Z powodów, których sama nie umiała określić, Isabelle nie dołączyła do strumienia uciekinierów i stała obok francuskiego i niemieckiego oficera, patrząc na mijającą ich rzekę ludzi.

– Naprawdę powinna pani iść, madame – powiedział w końcu Hennessey. – Proszę. Niech pani zabierze dzieci w bezpieczne miejsce.

Odwrócił się do Niemca.

– Karl, masz tu wszystko pod kontrolą. Ja mam swoją robotę. Isabelle kiwnęła głową, a potem odwróciła się i pełna lęku zaczęła wraz z chłopcami maszerować wąskim przejściem w szerokim pasie śmierci. Nie widziała pożegnalnego spojrzenia, które Niemiec rzucił Francuzowi. Gdyby je zobaczyła, pewnie by nie zrozumiała.

Z początku obawiała się, czy Niemcy rzeczywiście usunęli z przejścia wszystkie miny. Myśl o nadeptaniu na jakąś czy – co gorsza – o nadeptaniu przez jedno z jej dzieci przyprawiała ją o drżenie. Potem pocieszyła się świadomością, że Niemcy – to trzeba im przyznać – byli bardzo dokładnymi ludźmi, a poza tym zatrzymanie się oznaczało pożarcie przez obcych.

Lubiła francuską kuchnię, ale nie miała zamiaru stać się jej elementem.

Minąwszy pola minowe, Isabelle rozejrzała się na boki. Zaczynała dostrzegać szczegóły – tu solidną bryłę betonu, tam złowrogo wyglądające zasieki. Trzy razy mijała wściekle strzelające baterie artylerii. Nigdy w życiu nie wyobrażała sobie tak bolesnej ściany dźwięku.

Zakłady Kraus-Maffei-Wegmann, Monachium, Niemcy,

21 grudnia 2007

– Boże, to najpiękniej brzmiąca maszyna pod słońcem – szepnął Mueller przez internom ze swojego stanowiska kierowcy.

– O co ci chodzi? – spytał Schlüssel. – Ta urocza suka w ogóle nie wydaje żadnego dźwięku, nie licząc gąsienic.

Mueller zaśmiał się.

– Wiem, przyjacielu. Ale gdybyś spędził chociaż trochę czasu w czołgach, wiedziałbyś, jak słodko potrafi brzmieć cisza.

Stanowiska, które sobie wybrali, były na pozór sprzeczne z logiką. Chociaż Mueller i Schlüssel pracowali w zespołach projektujących działo i napęd, doświadczenie wojskowe Muellera jako kierowcy i marynarskie Schlüssel a jako strzelca sprawiło, że objęli te właśnie funkcje. Breitenbach nie miał w ogóle żadnego doświadczenia wojskowego, ale pracował nad opancerzeniem i bronią bliskiego zasięgu, dlatego objął dowodzenie właśnie tym oraz sześcioma robotnikami z fabryki, którzy na ochotnika zgłosili się do obsługi tego sprzętu. Henschel był stary, i chociaż nie sposób było wyobrazić go sobie jako ładowniczego w konwencjonalnym czołgu, doskonale się nadawał do kierowania automatycznymi podajnikami Tygrysa. Specjalista od energii jądrowej, Seidl, jeden z tych, którzy instalowali granulkowe reaktory, odpowiadał za zasilanie. Jedną z pracownic zakładowego bufetu zgłosiła się do obsługi kuchni i na zastępcę strzelca. Prael zaś, ponieważ doskonale znał pakiet SI, a Tygrys HIB w dużej mierze opierał się na działaniu właśnie SI, został przez aklamację wybrany na dowódcę czołgu.

* * *

Indowy Rinteel, który nie należał do załogi, czuł dziwny smutek i... miał wrażenie, że czegoś w nim brakowało już od urodzenia. Ludzie byli tacy dziwni. Od początku traktowali go uprzejmie. Nie,

„uprzejmie” nie oddawało całego sensu. Byli taktowni, do tego stopnia, że czasami czuł się wśród nich prawie komfortowo, mimo ich rozmiarów i błyskających kłów.

Byli uprzejmi i taktowni, łagodni prawie tak jak sami Indowy. A mimo to najwyraźniej z radością szykowali się do zabijania i prawdopodobnie własnej śmierci. Rinteel rozumiał gotowość oddania życia za swój lud. Sam przybył na Ziemię, wiedząc, że jeśli spróbuje sabotować plany Darhelów, może zostać schwytany i zabity.

Ale nie rozumiał ich skłonności do zabijania. Wśród znanych mu mieszkańców galaktyki mieli ją jedynie ludzie i Posleeni. Czy nie dostrzegali, jak to bardzo niszczy ich dusze jako jednostek?

A może ludzie to rozumieli? Może rozumieli i uznali, że niektóre rzeczy warte sanie tylko potępienia, ale i śmierci? Trzeba się nad tym zastanowić.

Zasobniki amunicyjne były pełne. Podczas gdy Tygrysy takie jak *Anna* i jej siostry woziły zaledwie po pięćdziesiąt naboju, stosunkowo niewielka masa pocisków do działa elektromagnetycznego pozwalała zabrać ich ni mniej, ni więcej, tylko 442 sztuki. Zasięg działa pozwalał zestrzeliwać posleńskie okręty nawet z wysokiej orbity.

Paliwo nie było żadnym problemem.

– Wiecie co, panowie – zauważył Prael – ten czołg musi mieć imię.

– *Pamela*? – zaproponował Mueller, myśląc o swojej żonie.

– *Deutschland*? – podpowiedział Schlüssel, myśląc o statku.

– *Bayern* – powiedział Breitenbach – od miejsca zbudowania?

Prael zaśmiał się.

– Prostaki. Nigdy nie byliście w operze? Chamy! Pomyślcie tylko. Czym ona jest, jeśli nie Walkirią wybierającą poległych? Czym są te wystające z przodu mauserwerke, jeśli nie cyckami Walkirii? A kim jesteśmy my, jeśli nie mężczyznami jadącymi na śmierć? Nie, nie. Ten czołg musi nosić imię *Brunhilda*!

* * *

Rinteel nie zrozumiał dowcipu. Rzadko rozumiał ludzkie poczucie humoru, a tego, co sprawiło, że ludzie na dwóch stanowiskach uzbrojenia z przodu czołgu zaczęli przerażająco szczerzyć zęby, zupełnie nie pojmował.

Bez trudu jednak rozpoznał, że była to wesołość. Wyobrażenie Indowy o „wesołości” było zupełnie inne niż ludzkie, ale to, że ludzie mieli poczucie humoru, nie podlegało dyskusji.

Mają umrzeć, a się śmieją. Mają zabijać, a się śmieją. Naprawdę, to bardzo ciekawy przedmiot badań.

Nagle Rinteel podjął decyzję. Podeszedł ze spuszczoną głową do Praela, niepewnie szurając stopami, tak jak to robią Indowy.

– Przyjacielu-człowieku Karl?

– Tak, przyjacielu Rinteelu?

– Tak sobie myślałem... Znalazłoby się u was miejsce dla jeszcze jednego?

Prael jakby się zastanawiał. Potem w jego oczach zamigotały wesołe iskierki.

– Jedziemy Walkirią do Walhalli. Drogi Rinteelu, byłoby po prostu nie w porządku, gdybyśmy nie zabrali ze sobą Nibelunga.

Rinteel nie rozumiał przyczyny nowego wybuchu śmiechu, pojął jednak, że został przyjęty do załogi.

W pobliżu Celu Alfa, między Dessau i Halle, Niemcy,

21 grudnia 2007

Hans nie miał pojęcia, co Posleeni myślą o „Jeździe Walkirii” odtwarzanej z głośnością miliona

decybeli, kiedy 47. *Panzer Korps* wbił się w ich szeregi. Uznał jednak, że to na pewno nie zaszkodzi.

Korps nacierał jak zwykle z *Panzeraufklarungsbrigade* (Pancerną Brygadą Rozpoznania) Florian Geyer na szpicy. Płacąc wysoką cenę krwi i stali, jednostka ta zlokalizowała siły wroga, objeżdżając je dookoła i ustalając, że nie jest to w żadnym razie pojedyncze lądowanie, lecz – wszystko na to wskazywało – desant złożony z trzech różnych, pozornie niewspółpracujących ze sobą grup. W każdym razie podczas zwiadu dzielni żołnierze brygady uchodzili cało, robiąc rzeczy, które nigdy by im się nie udały, gdyby Posleeni ze sobą współdziałali.

Hans był przekonany, że Rezerwa Grupy Armii może po prostu przetoczyć się po wrogu. Ale dostrzegał spryt Mühlenkampfa. Jeśli Posleeni nie współpracowali ze sobą, jak to z nimi często – zazwyczaj – bywało, można było ich eliminować po jednym, zamiast wszystkich naraz. Kosztowałyby to nieco więcej czasu, ale najprawdopodobniej pozwoliłoby oszczędzić drogocenną krew i stal. A Hans był gorącym zwolennikiem oszczędzania jednego i drugiego.

Nie żeby uważał, że to może mieć jakikolwiek wpływ na ostateczny wynik wojny.

Ze swoimi czołgami rozproszonymi na odcinku trzydziestu kilometrów, za linią osłanianych przez nie dywizji *Hohenstauffen* i *Fruntsberg*, Hans czekał, aż posleeńskie okręty wylecą na spotkanie pancernej szpicy, która przebijie ich skórę w poszukiwaniu żywotnych organów.

Ale ani jeden posleeński okręt nie wzbił się nad horde, by stawić ludziom czoła. Pchnięcie było tak szybkie, tak niespodziewane, że wróg został zmiażdżony z budzącym przestрах pośpiechem. Mając chwilę czasu dla siebie, Hans pogładził lewą kieszeń na piersi.

Hans był zaskoczony zawziętością, z jaką Sol potraktował mężczyzn dzielących z nimi barak. Z całą pewnością magiel, jaki im zgotował, miał związek z ich niezdarnością i ospałością podczas nocnego ataku sprzed kilku dni. Ale Hansowi wydał się zbyt surowy. Tak czy inaczej, nie mógł mieć pretensji do Sola, że kazał załodze spędzić całą noc na karnej musztrze. Może następnym razem wyjdzie im to na dobre.

Zastanawiał się jednak, czemu Sol tak długo z tym czekał.

Z całych sił próbował wyrzucić z głowy obraz Anny i wyraz zgrozy na jej twarzy. Jak dotąd bezskutecznie. Zastanawiał się też, czy dziewczyna rozpowie wszystkim o jego przeszłości. Wiedział, że wtedy jego życie w tym miejscu stałoby się niemożliwe. Może jednak wyszłoby mu to na dobre. Gdyby jego przeszłość stała się powszechnie znana, musiałby zostać przeniesiony. Być może w jakimś innym obozie – Izraelczycy mieli ich więcej – miałby szansę kontynuować swoją pracę, naprawiać w miarę swoich niewielkich możliwości dawne krzywdy, nie cierpiąc dzień w dzień przez obecność kobiety, którą kochał, a której nie mógł mieć.

Próbował zapomnieć o Annie i popełnionych na niej grzechach, ale bezskutecznie. Wypełniała jego umysł, serce i pragnienia bardziej niż jakakolwiek inna kobieta, jaką sobie wyobrażał. Wracając z poligonu do małego baraku, był ogarnięty uczuciami, w których istnienie nigdy przedtem nie wierzył.

W stanie takiego właśnie nieszczęśliwego roztargnienia wszedł do ciemnej chaty.

– Jest coś, co muszę wiedzieć – usłyszał.

– Co? – zapytał cieni. – Co powiedziałaś? Anna?

– Służyłaś w obozach? Muszę to wiedzieć.

Po głosie poznał, że to ona.

– Nie tak, jak masz na myśli – odparł.

– To proste pytanie – nie ustępowała Anna. – Byłeś tam albo nie.

– Byłem raz w Birkenau, przez jakieś trzy dni. Ale nie zostałem tam, nie mogłem.

– Dlaczego?

– Bo się brzydziłem.

I Hans opowiedział jej o swoim bardzo krótkim pobycie w miejscu sprawnie zorganizowanego mordowania bezbronnych.

– Zabijałeś Żydów? – spytała, ciągnąc przesłuchanie.

– Jeśli tak, a to bardzo możliwe – przyznał – to nie dlatego, że byli Żydami, tylko dlatego, że byli uzbrojonymi partyzantami próbującymi mnie zabić. Albo sowieckimi żołnierzami.

Dziewczyna przez długą chwilę trawiła w milczeniu te informacje.

– W porządku – oznajmiła w końcu.

Chatę znów na dłuższy czas wypełniła pustka. Kiedy jego oczy przyzwyczyły się do półmroku, Hans zobaczył, że Anna kładzie na zbitej z desek szafce pistolet.

– Po co to? – spytał.

– Żeby cię zabić, gdybyś był jednym z nich. A potem zrobić to samo ze sobą, żeby nie musiała żyć bez ciebie.

Hans ruszył w jej stronę

– Anno, ja...

– Zaczekaj! – rozkazała, unosząc otwartą dłoń. – Zanim podejdziesz bliżej, musisz się czegoś dowiedzieć. Czegoś wstrętnego. Proszę, usiądź.

Hans usłuchał, przysuwając rozklekotane krzesło Soła do swojej pryczy i siadając na nim twarzą do dziewczyny.

– Pochodzę z Berlina, jestem berlińską Żydówką – zaczęła. – Mój ojciec był profesorem, matka gospodynią domową. Ojciec był kiedyś obiecującym skrzypkiem, ale był też porucznikiem rezerwy i kiedy zaczęła się Wielka Wojna, razem ze swoim pułkiem ruszył walczyć. Walczył przez blisko cztery lata, aż stracił rękę i dostał drugi Żelazny Krzyż, Żelazny Krzyż Pierwszej Klasy za odwagę. Oczywiście nie mógł już grać na skrzypcach, ale wciąż miał talent. Mógł uczyć i to robił. I pamiętam, że był bardzo dumny ze swoich medali.

Głos Anny był niesamowicie spokojny.

– Patrząc na mnie, widzisz jego kobiecą wersję. Mniej więcej tak samo jak ja, niezbyt wyglądał na Żyda. Nawet kiedy naziści doszli do władzy, oboje ucierpieliśmy mniej niż większość Żydów. Poza tym chronił go Żelazny Krzyż, bo sam Hitler ustanowił, że prawa przeciw Żydom nie dotyczyły odznaczonych weteranów. Moja matka i ja nie miałyśmy takiej ochrony. A jeśli miałyśmy, pomniejsi naziści i tak postanowili to zlekceważyć. Zabrano nas, a on, człowiek, który przelewał krew i dał się okaleczyć, który poświęcił marzenie swojego życia dla Niemiec, pojechał za nami dobrowolnie do obozu, tego w Ravensbrück. Chociaż normalnie był to obóz dla kobiet, dla ojca z jakiegoś powodu zrobiono wyjątek. Miałam wtedy trzynaście lat.

Anna zadrżała, najwyraźniej na wspomnienie tego, o czym zamierzała opowiedzieć.

– Z tłoku, braku jedzenia i lekarstw oraz zimna moja matka szybko zachorowała i zmarła. Tracąc ją, ojciec stracił też wolę życia. Poszedł za nią do grobu dwa miesiące później. Zostałam sama, zupełnie sama, Hans. Wyobrażasz to sobie? Pewnie też bym umarła, nie mając nikogo dorosłego, kto opiekowałby się mną i czasem ukradł coś do jedzenia. Ale potem, jak to bywa, zmieniłam się z dziewczynki w kobietę. I strażnicy zaczęli to zauważać.

Teraz to Hans zadrżał; wiedział, co usłyszy. – Anno, nie musisz...

– Tak, muszę! – wrzasnęła z obłędem w oczach. Potem, po chwili wewnętrznej walki uspokoiła się trochę. – Muszę. Musisz wiedzieć, masz prawo wiedzieć. Pierwszy nie był najgorszy. Oczywiście pobił mnie, nie próbował nawet powiedzieć mi, co mam robić. Pobił mnie, a potem podarł na mnie ubranie i przerzucił mnie przez twardą drewnianą pryczę, jakie tam mieliśmy.

Hans nie przypominał sobie, żeby słyszał kiedyś więcej nienawiści w czyimś głosie.

– Och, jak krzyczałam, płakałam i błagałam. A on tylko mocniej mnie bił. Bicie trwało dłużej niż pieprzenie. Może dlatego właśnie to robił, bo ta brudna świnia nie umiała wytrzymać dłużej niż trzydzieści sekund. Kiedy skończył, odwrócił mnie i uderzył w twarz jeszcze trzy czy cztery razy. Odwracając się do wyjścia, rzucił na podłogę pół spleśniałej kielbasy. Powiedział: „Żryj, żydowska suko. Kiedy wrócę, włożę ci do pyska inną kielbasę”.

– I pewnie tak zrobił – powiedział Hans z goryczą.

Anna zaczęła się kołysać w przód i w tył.

– O tak – odparła nieobecny głosem, jakby była gdzieś daleko. – On i inni strażnicy. Czasami dziesięciu albo dwunastu jednej nocy. Czasami wszyscy naraz. Czasami urządzali sobie ze mną „przyjęcie”.

Zakołysała się mocniej.

– Hans – ciągnęła, walcząc z łamiącym się głosem – nie ma niczego, absolutnie niczego, co mógłbyś sobie wyobrazić, a czego by mi nie kazali robić. Wywozili mnie nawet czasem z obozu i sprzedawali przejeżdżającym żołnierzom. Za moją mękę dawali mi jedzenie, szczotkę i trochę proszku do zębów, czasami używane ubrania, nawet jakiś kiepski makijaż na „specjalne okazje”.

– Znowu zadygotała. – To dlatego tak nienawidzę makijażu, wiesz? Kazali mi się malować jak prostytutce z Reeperbahn, a potem sztychli ze mnie, że jestem tylko żydowską kurwą. Ale najgorsze było to, że żaden z nich, ani razu przez te wszystkie lata, nie zwrócił się do mnie po imieniu. Pamiętasz, jak się zezłościłam, kiedy powiedziałeś do mnie „dziewczyno”? Ci łagodniejsi mówili czasami: „Pochyl się, dziewczyno” albo „Na kolana, dziewczyno”. Ale najczęściej słyszałam „żydowska suko, żydowska kurwo, żydowska szmato”. Tego typu rzeczy. Nie byłam nawet człowiekiem, tylko maszyną do ruchania i obciągania.

Na wspomnienie tego ostatniego, krańcowego upokorzenia, odarcia nawet z pozorów człowieczeństwa, Anna zupełnie straciła panowanie nad sobą; wybuchła szarpającym szlochem i zalała się łzami. Hans, sam z wilgotnymi oczami, w jednej chwili zerwał się z krzesła, objął ją i zaczął tulić, głaskać po włosach i szeptać, jak bardzo mu przykro i jak bardzo ją kocha.

W końcu dziewczyna uspokoiła się, objęła go ramionami i mocno przytuliła.

– Nie przepraszaj – szepnęła. – To już się skończyło. I nie ty to robiłeś. Ale czy potrafisz mnie kochać teraz, kiedy o tym wiesz?

– Teraz, kiedy wiem o czym? – odparł Hans stłumionym głosem, też na skraju łez. – Że byłaś gwałcona? Że przeżyłaś? Dzięki Bogu, że przeżyłaś, kochanie. Nie zrobiłaś nic złego, a ja nie mógłbym cię kochać mocniej, gdybyś cieleśnie była taką samą dziewczyną, za jaką uważam cię duchowo.

Czując niewyobrażalną ulgę, Anna wtopiła się w jego objęcia. Ale niemal natychmiast znowu zeszywniała.

– Jeszcze jedno. Jeszcze jedno musisz wiedzieć. Byłam w ciąży, nie raz. Za pierwszym razem nie miałam jeszcze piętnastu lat. Za ostatnim miałam trochę ponad siedemnaście. Byłam dla nich niewygodna, musieli prowadzić mnie do doktora i przekupywać go, żeby usuwał ciążę i nic nikomu nie mówił. Dlatego wreszcie namówili go, żeby mnie... „naprawił”. Ja mówię „naprawił”. Oni mówili „wykastrował”. Hans, ja nie mogę mieć dzieci.

Hans poczuł coś więcej niż winę, więcej nawet niż litość – nieopisane wrażenie opuszczenia.

– To nieważne, Anno – powiedział mimo to. – Proszę... uwierz mi,, to nie ma dla mnie znaczenia.

Pociągnąwszy po raz ostatni nosem, po długiej chwili milczenia Anna podjęła nagłą, ale od

dawna rozważaną decyzję. Wstała, pociągając za sobą Hansa. Zmusiła się do uśmiechu i zajrzała mu głęboko w oczy.

– Poprosiłam Soła, by dopilnował, żeby nikt nam nie przeszkadzał przez całą noc. Mam dwadzieścia trzy lata. – Poprowadziła go do jego łóżka, po raz pierwszy tej nocy uśmiechając się. – Za dużo, żeby być jakąkolwiek dziewicą, nie sądzisz

Chociaż nocne niebo rozświetlała szalejąca w oddali bitwa, Hans Brasche zignorował ją; gładził kieszeń zawierającą wszystko, co pozostało z jego miłości, i zanurzał się we wspomnieniu tej pierwszej cudownej nocy z tysięcy, które miały jeszcze nastąpić.

* * *

Pierwszy z trzech rejonów lądowania Posleenów został oczyszczony przed południem dwudziestego drugiego. Drugi, gdzie było więcej czasu na przygotowania, wytrzymał dłużej. Nie dość tego – tym razem Posleenom udało się podnieść w górę część okrętów. Wtedy do akcji wkroczyła brygada Hansa i jego czterdzieści Tygrysów rzuciło się na obcych. Najeźdźcy zginęli, ale drogo sprzedali skórę, zabierając ze sobą do piekła siedem drogocennych maszyn. Straty reszty *Korps* byty równie znaczące.

Trzecie lądowanie na południe od Berlina było gotowe, kiedy 47. *Panzer Korps* wyjechał mu na spotkanie w Boże Narodzenie.

INTERLUDIUM

– Thresh tego świata mają coś, co nazywają „religią”, mój panie – powiedział Ro’ moloristen.

– Religia? Co to jest ta „religia”?

– To coś w rodzaju uczuć, jakie nasi normalni żywią wobec nas, jakie my żywiliśmy kiedyś wobec Aldenat’, coś na kształt Ścieżki Pamiętających – odparł młodszy kessentai. – Przyznaję, to bardzo niejasna koncepcja. Wspomniałem o tym, panie, ponieważ jutro przypada jedno z najważniejszych świąt dominującej religijnej grupy tej planety. Nazywają to „Bożym Narodzeniem”, inaczej „uroczystą celebracją urodzin namaszczonego”. Obdarowują się nawzajem prezentami, śpiewają pieśni pochwalne i dziękczynne dla swojego bóstwa, zbierają się na obchody i przyozdabiają swoje domostwa i miejsca pracy.

Athenalras wzruszył ramionami.

– Co to oznacza dla nas?

– Och, być może nic, panie. Po prostu uznałem to za interesujące.

– Być może – powiedział obojętnie Athenalras. – Jakie wieści z frontu?

– Niedobre, mój panie – przyznał Ro’ moloristen. – Na północy i południu brak postępów. Lud napotkał wielką rzekę, którą thresh nazywają „Renem”, i nie znalazł żadnego mostu. Chwieje się pod nawałą artyleryjską z drugiego brzegu. W centrum wieści są trochę lepsze. Tylko kilka fortów pasa umocnień, który nazywają Linią Maginota, wciąż się trzyma. W niektórych miejscach, tam, gdzie jest kilka takich fortów blisko siebie, Lud ponosi straszliwe straty od ognia pobliskich fortec. Ale tak jest tylko w kilku miejscach. Pozostałe forty już zostały wyeliminowane.

– To świetnie – chrząknął starszy Wszechwładca.

– Cóż, i tak, i nie, panie. Większość thresh uciekła za drugą linię umocnień w środkowym rejonie. Zostało nam niewiele thresh oprócz własnych zabitych, by nakarmić horde, chociaż tych jest dość, by żywić ją przez jakiś czas. A Lud atakujący te drugie umocnienia, zwane Linią Zygfyda, zbiera potężne ciężki. Tak samo jest na wschodzie. Rzeki i fortyfikacje sprawiają, że płacimy straszliwą cenę, a zyskujemy niewiele.

– Co z ostrzałem z orbity?

– Jest mniej skuteczny przeciw Linii Zygfyda niż Maginota, panie. Ta druga linia jest inaczej skonstruowana: to mniejsze umocnienia, bliżej powierzchni ziemi. Marnotrawstwem byłoby ryzykować zejście niżej, by ostrzelać pojedyncze małe bunkry. Jest tam też... coś, co zestrzeliwuje okręty Ludu z niższej orbity, zmieniając po każdym strzale pozycję. Sygnatura ognia tego czegoś odpowiada naszej okrętowej broni kinetycznej.

Athenalras sposepniał.

– Ile jest tego „czegoś”?

– Nie ma sposobu, by to stwierdzić, panie. Może ich być wiele. Może być tylko jedno.

– Ciekaw jestem, jakie nowe „prezenty” threshkreen będą dla nas mieli jutro, w swoje „Boże Narodzenie”.

Tygrys Anna, na południe od Magdeburga, Niemcy,
25 grudnia 2007

Bezsłoneczne niebo przedświtów za plecami Hansa zamigotało jak podświetlone tysiącem stroboskopów; to cała artyleria – ponad trzy tysiące armat – Rezerwy Grupy Armii słała swoje prezenty Posleenom okopanym na południe od miasta.

Samo miasto wciąż się broniło, najprawdopodobniej dlatego, że połowa Posleenów, którzy mogli je atakować, zwrócona była na południe, frontem do zagrożenia ze strony Rezerwy Grupy Armii. Mimo to jednak nacisk obcych był bardzo mocny i miasto rozpaczliwie błagało Mühlenkampfa o pomoc. „Prezenty” dla Posleenów były także prezentami dla obrońców Magdeburga, wysyłanymi od serca wraz z obietnicą wielu dalszych.

Schultz, chwilowo niepotrzebny na stanowisku strzelca, pomógł roznieść poranny posiłek: po dwa jajka na twardo, trochę mleka o przedłużonej świeżości – „atomowego mleka”, jak nazywali je żołnierze – bułkę i jakieś bliżej nieokreślone mięso: szarawy, tłusty, gruby na centymetr zmumifikowany plaster.

Brasche, skupiając się na nadchodzących przez radio aktualizacjach danych wywiadu, z roztargnieniem wziął jajka, bułkę i mięso, ale stanowczo odmówił mleka. Schultz nie mógł mieć do niego pretensji: ceną za przedłużoną świeżość był smak starych skarpetek. Może i było pożywne, ale dobre na pewno nie.

– *Gut* – mruknął Hans. Wróg najwyraźniej nie podnosił okrętów, żeby uciszyć baterie, a przynajmniej jeszcze tego nie zrobił.

Artyleria w dużej mierze była zmuszona strzelać w wywiadowczą pustkę. Cokolwiek pilotowanego przez człowieka bądź zdalnie sterowanego nie było w stanie przetrwać dłużej niż chwilę, której Posleeni potrzebowali, by zniszczyć wszystko, co przelatywało w ich pobliżu czy nawet nad nimi. Ani jeden satelita ludzkiej konstrukcji nie przetrwał w kosmosie, by móc teraz z góry spojrzeć na Posleenów. Żaden pilotowany przez ludzi statek nie mógł mieć nadziei na zbliżenie się do Ziemi, kiedy flota była w większości zniszczona, a nieliczne niedobitki lizały swoje rany gdzieś w okolicach Proxima Centauri. Himmicki statek mógłby sobie poradzić, gdyby był dostępny, ale niestety żadnego nie było.

To, co można było zrobić, zrobiono. Florian Geyer udało się przedostać przez perymetr Posleenów – ale zapłaciła olbrzymią cenę i nie ustaliła nic ponad to, że określiła jego przebieg. Kilka miejscowości w rejonie lądowania wciąż się broniło; to one dostarczały nieco informacji, meldując, gdzie wróg jest, a gdzie go nie ma, co artylerzyści mogli wykorzystywać do celowania. Mapy również się przydawały, chociaż biorąc pod uwagę zupełnie różną od ludzkiej militarną filozofię przeciwnika, Hans sceptycznie podchodził do ich wartości. Posleeni po prostu nie myśleli tak jak ludzie.

Najbardziej wartościowym środkiem rozpoznania w rękach Niemców były wystrzeliwane przez artylerię kamery telewizyjne, montowane w pociskach z zapalnikiem czasowym i dające od kilku do piętnastu minut obrazu, zanim spadły na tyle nisko, że nie było już z nich pożytku. Był to jednak rzadki sprzęt. Tak jak w przypadku cennych bomb neutronowych, nie starczyło czasu, by wyprodukować ich wiele. Wykorzystywano je także, ogólnie rzecz biorąc, w połączeniu z wystrzeliwanymi przez artylerię bombami – kamery wyszukiwały użyteczne cele, a następnie broń atomowa je „obsługiwała”.

Problem polegał jednak na tym – Hans o tym wiedział – że wróg miał możliwość rozproszenia

się i okopania. Kamery wypatrzyły zaledwie kilka jego skupisk, które usprawiedliwiałyby wykorzystanie zabójczych pakietów wzmożonego promieniowania. Co więcej, jedną z naprawdę skutecznych zapór przeciw krótkim wiązkom neutronów, które bomby emitowały po detonacji, była zwykła ziemia, a Posleeni okopali się głęboko przez tych kilka dni, które mieli do wykorzystania.

Tymczasem Magdeburg – a za nim Berlin – rozpaczliwie i nieustannie wzywały pomocy.

Kancelaria Federalna, Berlin, Niemcy, 25 grudnia 2007

Kanclerz spojrział na mapę sytuacyjną wyświetlaną na jednym z trzech ekranów, które zasłaniały całą ścianę jego podziemnego gabinetu. Zaznaczono na niej pozycje sił obrońców – na niebiesko – i obcych – na czerwono – którzy wylądowali w Niemczech i naciskali na ich granice. W ciągu ostatnich dwóch dni kanclerz z zadowoleniem obserwował, jak dwie duże czerwone plamy znikają, kiedy Rezerwa Grupy Armii pod komendą Mühlenkampfa eliminowała wszystkie – oprócz jednego – lądowania na południe i południowy wschód od Magdeburga. Inne, miejscowe rezerwy zajęły się kilkoma innymi.

Te dobre wiadomości równoważył jednak natłok złych. Linia Zygfrida na zachodzie, broniąca Renu i Nadrenii, trzymała się, to prawda. Ale straty były straszliwe, w umocnieniach poczyniono wyłomy, a stan zaopatrzenia, zważywszy na to, przez ile obszarów zajętych przez Posleeniów przechodziły szlaki zaopatrzeniowe, był groźny.

Na wschodzie sprawy miały się gorzej, dużo gorzej. Linia Wisły po prostu się sypała, a najgorszym koszmarem było to, że wrogowi udało się zdobyć przynajmniej jeden most w Warszawie.

Jak do tego doszło, nie było do końca jasne. Z tego, co dało się ustalić, kiedy Posleeni się pojawili, most był pełen uciekinierów. Nie chcąc, a może nie mogąc popełnić masowego morderstwa przez wysadzenie go w powietrze, obrońcy zwlekali odrobinę za długo. Wrogie okręty przypuściły zmasowany atak i zniszczyły umocnienia saperów, zanim ci zdążyli zniszczyć most.

Zorganizowany pospiesznie kontratak przy użyciu wszystkiego, co było pod ręką, nie powiódł się; obcy zaczęli przelewać się na drugi brzeg z prędkością kilkuset tysięcy na godzinę, a niemieckie i polskie wojsko rozciągnięte wzdłuż rzeki zostało zmuszone do wycofania się na linię Odry-Nysy.

A linia Odry-Nysy to iluzja, pomyślał kanclerz. Jest tam niewiele ciężkich umocnień. Te, które istnieją, są bardzo stare i słabe – znajdowały się bardzo nisko na liście priorytetów odbudowy. Sama rzeka miejscami ma metr głębokości. A nawet tam, gdzie jest wystarczająco głęboka, żeby dranie się potopili, pozamarzała na kość.

Oderwawszy załzawione oczy od niepokojącego obrazu, kanclerz odwrócił się do jednego ze swoich dowódców, feldmarszałka von Seydlitza.

– Kurt? – spytał. – Czy mamy szansę utrzymać rzekę? Odbić most?

– Żadnych, proszę pana – odparł ze znużeniem Seydlitz. Nie spał prawie od tygodnia. – Zastanawiałem się, czy nie użyć broni neutronowej. Ale moi doradcy od broni jądrowej wskazali dwa niepokojące fakty. Po pierwsze, mamy zaledwie pół tuzina głowic w zasięgu strzału do mostu. Po drugie, bomby działają najlepiej na duże skupiska wroga. Posleeni koncentrują się przed przekroczeniem rzeki, to prawda. Ale kiedy tylko docierają na nasz brzeg, bardzo szybko się rozpraszają. Co więcej, ci na samym moście stanowią bardzo niewdzięczny liniowy cel ataku. Jedną bombą możemy zabić jakieś dwadzieścia tysięcy tych, którzy już przeszli, plus jakieś pięć czy sześć tysięcy tych na moście. Uderzając w drugi brzeg wszystkimi sześcioma głowicami, możemy wyeliminować do miliona z nich.

Seydlitz westchnął.

– Sztab generalny oblicza, że spowolniąoby ich to o jakąś godzinę. *Herr Kanzler*, godzina oszczędzona teraz nie jest tak ważna, jak utrzymanie później linii Odry-Nysy. Ta broń będzie nam

wtedy potrzebna.

– Linii Odry-Nysy? – spytał kanclerz.

– To niewiele, ale nic więcej nie mamy.

– Niech pan wyda rozkazy. Wycofać się. Osłonić ewakuację tyłu polskich cywilów, ilu się da. Seydlitz skinął głową.

– Stracimy wielu żołnierzy – podjął – i kiedy dotrzemy do Odry, przez jakiś czas mogą być tylko zdemoralizowaną hałastrą... ale zgadzam się, że powinniśmy uciekać, póki możemy. *Herr Kanzler*, mamy jeszcze inny problem, który stanie się nie do przezwyciężenia, jeśli Linia Zygfrida padnie.

– Mosty na Renie?

– Tak, proszę pana. Na razie wróg, który zajął obie strony mostów z powietrza, nie rusza się. Ale zajął obszar o średnicy ponad dwudziestu pięciu kilometrów i gorączkowo się okopuje, poważnie utrudniając zaopatrzenie sił na Linii Zygfrida, które osłaniają Nadrenię.

– Jakież sugestie?

– Zatrzymajmy w miejscu Rezerwę Grupy Armii. Niech się przegrupuje, a potem zawróci. A później rzućmy ich na to lądowanie.

Kanclerz zamyślił się. Chociaż za młodu służył w wojsku, nie był żołnierzem i wiedział o tym. Był za to bardzo dobrym i – w razie potrzeby – bardzo bezwzględny politykiem, czego dowodziło wskrzeszenie przez niego SS.

– Nie – odparł. – Jeśli Berlin upadnie tak szybko, nasi rodacy stracą serce do walki. Niech lokalne siły zajmą się lądowaniem nad Renem. Kiedy Rezerwa Grupy Armii oczyści Saksonię-Anhalt. Pomorze i Meklemburgię, zawrócimy ją. Ale teraz? Nie.

Na południe od Magdeburga, Niemcy, 25 grudnia 2007

Nawała ognia artyleryjskiego nie słabła. Przerażeni Posleeni, normalisi i Wszechwładcy, kulili się i dygotali pod gradem pocisków. Nigdy, w całych dotychczasowych dziejach, Lud nie był tak całkowicie bezradny, jak przeciw „artylerii” threshkreen.

Najgorsze było to, że nikt nie był nigdzie bezpieczny. Oolt’ondai Chaleeniskeeren, tak samo jak najpodlejsi z jego oolt’os, drżał i dygotał w bunkrze po każdym bliskim trafieniu. Nie mógł nawet przełknąć thresh’c’olt, posleńskich żelaznych racji przyniesionych mu przez cosslaini. Wszechwładca na przemian przeklinał tchórzliwych thresh, którzy zasiedlali ten świat, i los, który przywiódł tu jego i jego podopiecznych.

Posleen wiedział, że mógłby wylecieć swoim tenarem ponad nawale, ognia. Problem polegał jednak na tym, że pewna ilość wrogich pocisków posiadała elektroniczne zapalniki, które mogły zostać odpalone przez samą bliskość tenara. Meldunki posleńskich uciekinierów z południa opisywały to aż nadto jasno: niebo nie było bezpiecznym miejscem, kiedy threshkreen rozpętywali swoją piekielną burzę.

Dlatego też tenary Wszechwładców, tak samo jak sami Wszechwładcy, leżały bezbronnie w pospiesznie wykopanej w ziemi jamie. Maszyna Chaleeniskeerena, czy raczej to, co z niej zostało, spoczywała zniszczona w dziurze kilka kroków od niego. Posleen zastanawiał się, ile tenarów zostanie po kanonadzie bez jeźdźców i ile środków transportu utracili inni Wszechwładcy. Bez latających maszyn horda straciłaby wiele ze swej mocy.

Okręty były bezpieczne przed większością artyleryjskiego ostrzału. Zbudowane z grubych i wytrzymałych materiałów, odbijały niemal wszystkie pociski threshkreen. Nie mogły jednak odbić broni emitującej promieniowanie. Ta broń powodowała, że sam metal okrętów stawał się radioaktywny i koniec statków oraz ukrytych w nich obcych był tylko kwestią czasu. Koniec i sranie,

rzyganie, skręcanie się wagonu. Na szczęście thresh mieli tej broni niewiele.

Ostrzał dookoła Chaleeniskeerena zelżał i przeniósł się na inny obszar. Tak już było pół tuzina razy. Za pierwszym czy drugim razem Posleeni rzucali się do strzelnic i tenarów. Wtedy ogień wracał i wyrzynał ich jak abat. Teraz chwila spokoju przynosiła jedynie ciche westchnienie krótkiej ulgi, a nie wystawienie się na strzały.

Chaleeniskeeren nie potrafił pozbyć się dręczącego wrażenia, że threshkreen tresują go, żeby siedział w miejscu, kiedy ostrzał słabnie.

Ponieważ był na wpół ogłuchły od kanonady, poczuł raczej niż usłyszał dziwne dudnienie. Ostrzał czy nie, tresura czy nie, odgłos ten był zbyt dziwny, zbyt obcy, by go nie zbadać.

Opuszczając głowę, by zmieścić się w niskim wejściu bunkra, Wszechwładca wyszedł do okopu i zaryzykował spojrzenie na pole bitwy.

Nic, tylko kratery i dym.

A potem zobaczył – niski, drapieżny kształt, jadący ostrożnie na gąsienicach, z kanciastym wybrzuszeniem na szczycie, które obracało główną broń na prawo i lewo w poszukiwaniu ofiary. Po chwili do pierwszego dołączył drugi, potem trzeci i czwarty. Wszechwładca patrzył szeroko otwartymi oczami na pieszych thresh, rozproszonych między dużymi pojazdami. Był wstrząśnięty, ale tylko przez krótką chwilę.

– Do broni! Do broni! – krzyknął. – Threshkreen nadchodzą!

Tygrys Anna, Saksonia-Anhalt, Niemcy, 25 grudnia 2007

Boże, to gorsze niż Kursk, pomyślał Hans, obserwując na głównym ekranie, jak piechota i czołgi, zwarte w śmiertelnym starciu z wrogiem, poszerzają jedenaście wąskich wyrw, które artyleria wyrąbała w posleńskich liniach. Lżejsze czołgi, *Panzer II A7*, rozwalają bunkry, ostrzeliwały się z karabinów maszynowych i rozjeżdżały obcych, wyciskając z nich życie jak sok z przejrzałych winogron. Tuż za nimi, nie zważając na straty, niemiecka piechota wyrąbywała, wycinała, wystrzeliwała i wypalała sobie drogę przez okopy. Artyleria tymczasem koncentrowała się na odcinaniu rejonów penetracji i przerabianiu na mielonkę wszystkich większych grup, które próbowały zbierać się do kontrataku.

Ale trudno tu było mówić o masakrze. Chociaż oszołomieni, zdemoralizowani i osłabieni, Posleeni wciąż odgryzali się z większą zaciekłością niż jakikolwiek ludzki przeciwnik, nawet bezmyślnie odważni Rosjanie.

Częściowo wynikało to, jak podejrzewał Hans, z przekonania, że większa ich liczba będzie w stanie przewyciężyć groźbę bombardowania. Posleńskie okopy zapełniały się trupami obcych, ale też i wielu niemieckich żołnierzy użyźniało glebę.

Hans ujrzał na głównym ekranie *Anny*, jak Leopard zostaje trafiony posleńską hiperszybką rakieta. Czołg rzygnął ogniem, a wieża, wyrzucona przez własne zapasy amunicji i paliwa, wystrzeliła na blisko sto metrów w górę. To, że posleński ostrzał niemal natychmiast ucichł pod nawałą ognia, nie było żadnym pocieszeniem dla duchów zdeintegrowanej załogi Leoparda.

1c Braschego, inaczej oficer wywiadu, zameldował:

– Panie pułkowniku, odbieramy emanacje odpowiadające przemieszczającym się dwunastu do dwudziestu wrogim lądownikom. C-Dekom, B-Dekom i Minogom.

– Do wszystkich Tygrysów – rozkazał Hans przez radio. – Cele pojawią się za kilka sekund. Jeśli włączą się do bitwy, zabić ich. Jeśli zaczną uciekać, zabić ich. Jeśli dotrzą do nich na ziemi, zabić ich.

Na południe od Magdeburga, Niemcy, 25 grudnia 2007

Chaleeniskeeren i jego oolt'os bronili się tak długo, jak to było możliwe, zadając nawet

wrogowi pewne straty. To jednak szybko się skończyło. Teraz, wycofując się w kontakcie z wrogiem i patrząc na swoje dzieci wyrzynane bezlitośnie ze wszystkich stron, Wszechwładca po raz kolejny przeklął złych, okrutnych threshkreen wraz z całą planetą i wszystkim, co na niej żyło.

Wyglądał właśnie ponad krawędzią głębokiego krateru, w którym się krył, kiedy został poderwany w górę i ciśnięty o ziemię przez eksplozję o sile, której nie wyobrażał sobie poza starciami w kosmosie. Nocne niebo – bo bitwa trwała cały dzień i przeciągnęła się w noc – rozświetliło na chwilę potworne, niesamowite coś. Daleko po lewej ziemią wstrząsnęła druga straszliwa eksplozja, a w jej krótkim rozbłysku Chaleeniskeeren dostrzegł potwora.

– Gówno demonów – szepnął, otwierając szeroko oczy.

Tygrys Anna, Saksonia-Anhalt, Niemcy, 25 grudnia 2007

– Wyraźne emanacje, C-Dek, godzina jedenasta, sześć tysięcy pięćset metrów – zameldował lc.

– Widzę – odparł Brasche. – Strzelec! – rozkazał. – Podkalibrowym! ZU-PP ładuj... przecinek jeden kilotony. C-Dek!

– Cel – odparł jak robot Schultz, obracając *wieżę*, *Anny* w lewo i podnosząc lufę, aż sygnał dźwiękowy poinformował go, że zalokował się na celu.

– Ognia!

Jak zwykle czołg szarpnął do tyłu, dygocząc od odrzutu armaty. W dali pojawiła się z grubsza sferyczna kula światła, kiedy pocisk z rdzeniem ze zubożonego uranu najpierw przebił pancierz posleńskiego okrętu, a potem uwolnił dziesięć procent swojej antymaterii, która weszła w reakcję z uranem, rozsadzając statek wzdłuż spojeń.

Po lewej i prawej inne Tygrysy rozświetliły noc błyskami wystrzałów i – często – trafieniami w wybrane cele. Posleńskie okręty nie odpowiedziały ogniem, co kazało Hansowi podejrzewać, że są bardziej zainteresowane ucieczką niż walką.

– Ale to nie będzie trwało wiecznie – mruknął.

– Panie pułkowniku? – nie dosłyszał lc.

– Próbują uciekać – powiedział Brasche – I bardzo dobrze, byłoby mi na rękę, gdyby uciekli. Problem w tym, że jeśli nie znajdą drogi ucieczki, zwrócą się przeciwko nam.

– Tak jest – odparł lc. – Ale współdziałanie kiepsko im wychodzi. Mamy sporą szansę stawić im czoła, nawet wszystkim naraz, jeśli nas zaatakują.

– Zgadzam się. Rozkazy pozostają niezmiennione. Zabić ich wszystkich.

Wysunięta kwatera główna Rezerwy Grupy Armii, Halle, Niemcy, 26 grudnia 2007

To była długa noc, a wstające słońce zwiastowało kolejny długi dzień. Mühlenkampff jednym uchem słuchał meldunków o udanym przebiciu linii Posleenów, o stratach i zdobytych celach.

Najgorsza, pomyślał, wyglądając przez pozbawione szyb okno na ulicę biegnącą pod budynkiem, który zajął na swój sztab, najgorsza jest pustka tego miasta i wszędzie sterty kości. Smutno pokręcił głową. Przed wojną mieszkało tu ćwierć miliona ludzi, potem nawet blisko trzysta tysięcy. Część uciekła na południe, zanim do miasta weszli obcy. Ale większość została, a mimo to my nie zastaliśmy tu żywego ducha. Niech Bóg skaże tych obcych na najgłębsze otchłanie piekła! Niech Bóg przeklnie tego czy to, co sprawiło, że tu przylecieli.

Miasto wciąż stało; Posleeni nie mieli czasu rozpocząć wyburzania, zanim pierwszy kontratak wyparł ich stąd dwudziestego drugiego. Ale łatwiej było zabić i zjeść ludzi niż zburzyć budynki.

Pod oknem Mühlenkampffa przejechała kolumna piechoty na ciężarówkach. Uważnie przyglądał się twarzom, szukając oznak paniki albo upadającego morale. Nie zobaczył niczego takiego. Ujrzał za to zwykłą nienawiść – wyludnienie Halle zapadało nawet w najtwardsze czaszki.

– Dobrze – szepnął. – Odrobina nienawiści da im siłę, by wytrwać trochę dłużej.

Jego rozmyślania przerwał adiutant.

– *Herr General*, 501. melduje, że dotarli do głównego skupiska wrogich łądowników.

Pułkownik Brasche i jego Tygrysy niemal bez przeszkód niszczą wiele z nich na ziemi.

Tygrys Anna, Saksonia-Anhalt, Niemcy, 26 grudnia 2007

Dzisiaj to była masakra. Nie mogąc bezpiecznie umknąć swoimi okrętami, Posleeni uciekali na północ tenarami lub po prostu pieszo. Czterdziesty siódmy *Panzer Korps* ścigał ich z taką samą szybkością i zaciętością, jak dawne SS ścigało uciekających Rosjan. W tym czasie reszta Rezerwy Grupy Armii nacierała na północny wschód i północny zachód, idąc na ratunek wciąż walczącym Magdeburgowi i Berlinowi.

Szlak mieszanej brygady Braschego usłany był zrujnowanymi nadziejami Posleenów. Zaścielały go także szczątki setek okrętów, małych i dużych.

Jednak coraz więcej obcych zawracało, by zginąć w walce, zamiast dać się wyrznąć od tyłu. Ponieważ w każdym wypadku była to decyzja pojedynczych jednostek lub ich małych grup, Tygrysy Braschego miały przewagę liczebną, a okręty – które musiały wylecieć wysoko w górę, by móc w ogóle się przemieszczać – były łatwe do wypatrzenia i zestrzelenia.

Nie oznaczało to, że masakra była całkowicie jednostronna. Pięć Tygrysów, w tym trzy jako martwe, dymiące i żarzące się na wiśniowo kadłuby, również zostało na szlaku brygady. Hans miał nadzieję, że pozostałe dwa da się odzyskać i obsadzić nowymi załogami.

– Emanacje. C-Dek. Godzina pierwsza. Osiem tysięcy metrów – oznajmił Ic.

– Brygada stać – rozkazał Brasche. – Atakować, kiedy się pokaże.

Na wschód od Magdeburga, Niemcy, 26 grudnia 2007

Chaleeniskeeren wiedział, że to koniec, taki sam, jaki spotkał wszystkich jego podwładnych. Wiedział, że nie może dalej uciekać, nie w tak osłabionym stanie.

Wszechwładca opierał się o metalową burtę C-Deka, posleńskiego Dodekaedru dowodzenia. C-Dek nie miał załogi i Chaleeniskeeren miał mocne podejrzenia, że wie dlaczego. Fale ciężkiego promieniowania gamma, przecinające jego ciało jak noże, powiedziały mu, że okręt padł ofiarą radioaktywnej broni threshkreen.

– Nieważne – prychnął. – I tak jestem już martwy.

Podniósł się i niepewnie podszedł do głównego włazu.

– Stój i przedstaw się – rozkazał okręt. Wszechwładca znał zasady. Wszyscy posleeńscy kessentaiowie wiedzieli, jak przejmować porzuconą własność, nie zaciągając *edas*, długu przytłaczającego swoim brzemieniem szczególnie tych, którzy nie należeli do najstarszych i najzamożniejszych z Ludu.

– Jestem oolt'ondai Chaleeniskeeren, syn Ni'imiturny, z rodu Faltrinskera, z klanu Turnisteran. Czy ktoś jest na pokładzie?

– Moje wewnętrzne czujniki wskazują, że na pokładzie tego statku nie ma żywych istot, Chaleeniskeerenie z Turnisteran. Nazywam się Wydający Ucztę.

– Jaki masz poziom radiacji, Wydający Ucztę? – spytał Posleen.

– Poziom pewnej śmierci w niecałą jedną dwudziestą piątą obrotu tej planety wokół swojej osi – odparł okręt.

– Zajmuję ten okręt dla siebie i mojego klanu, w imieniu Sieci i Wiedzących, w imieniu Ludu i przetrwania.

– Taka jest droga Ścieżki – odparł okręt i opuścił rampę.

Narządy węchowe Chaleeniskeerena natychmiast zaatakował smród odchodów i wymiocin.

Najwyraźniej Lud, który zginął w środku, był liczny, skoro spowodował taki odór. Biorąc się w garść, kessentai wszedł na pokład.

Przy rampie, tuż za włazem, leżeli Posleeni w różnych pozach upokarzającej śmierci. Tu cosslaini rozerwał własny tors, żeby dotrzeć do źródła bólu. Tam inny leżał w kałuży odchodów i wymiocin. Niektórzy najwyraźniej się wściekli, atakując się nawzajem w agonii.

Przestępując nad trupami, Chaleeniskeeren z trudem dotarł do komnaty kontrolnej. Tam znalazł martwych Wszechwładców o pyskach wykrzywionych grozą własnego odejścia. Jako jedyna żywa istota na pokładzie, Chaleeniskeeren dotarł do panelu sterowania. Musiał oderwać od niego Wszechwładcę, który ścisnął go w dłoniach, zeszywniały w rigor mortis.

Kessentai stanął w pozycji dowodzenia.

– Oolt’ondaiu Chaleeniskeerene – zaintonował okręt – synu Ni’imiturny, z rodu Faltrinskera, z klanu Turnisteran, uznajecie w myśl Praw Sieci, Dróg Ścieżki i Wiedzących jako prawowitego władcę tego statku. Co rozkażesz?

– Startuj – odparł niepewnie nowy dowódca. Zaczynało mu już ciemnieć przed oczami. – Startuj i kieruj się w stronę sił ludzi. Przejmuję sterowanie.

Tygrys Anna, Saksonia-Anhalt, Niemcy, 26 grudnia 2007

– Nie mogę go namierzyć, panie pułkowniku! – krzyknął rozgorączkowany Dieter Schultz. – Ten okręt zachowuje się zupełnie inaczej niż wszystkie, które dotąd widziałem!

Hans widział, że to prawda. Zakręcający, podskakujący, czasem nawet prześlizgujący się po ziemi okręt był niemożliwym do trafienia celem. Kilka pocisków z innych Tygrysów brygady przeleciało obok niego, chybiając. Nagle statek wystrzelił prosto w górę, szybciej niż mógł go śledzić mechanizm podnoszenia lufy *Anny*, i uciekł poza zasięg czołgu.

– Ten okręt aż wyje od promieniowania gamma – oznajmił Ic.

– Uciekł! – zawołał sfrustrowany Schultz.

Hans pokręcił głową krótkimi, gwałtownymi ruchami.

– Nie. Posleeni nigdy tak się nie zachowują. Ten okręt ma zdychającego obcego u steru. *Anno*, prześlij wiadomość do całej brygady. Przygotować się na zderzenie i dużą eksplozję antimaterii.

Na pokładzie Wydającego Ucztę, trzydzieści kilometrów nad Saksonia-Anhalt, Niemcy, 26 grudnia 2007

– Przejmij sterowanie... Przejmij stery, Wydający Ucztę, bo nie mogę ich dłużej utrzymać.

– Twoje rozkazy, oolt’ondai? Mam się kierować w stronę jakiejś bezpiecznej planety?

– Nie, okręcie. Na dłuższą metę nie ma żadnej bezpiecznej planety. Jesteś w stanie zidentyfikować wielkie maszyny wojenne threshkreen w dole?

– Jest ich ponad dwadzieścia, oolt’ondai.

– Wybierz jedną, okręcie, taką, która jest blisko innych.

– Tak uczyniłem.

– To dobrze – powiedział Chaleeniskeeren, opuszczając grzebień i zwieszając głowę ze wstydu i bólu. – Rozbij nas na niej.

Tygrys Anna, Saksonia-Anhalt, Niemcy, 26 grudnia 2007

Hans wspominał szczęśliwsze czasy... Ślub był skromny, jak można było się spodziewać w prymitywnym izraelskim obozie. Dziewczyny załatwiły sukienkę i welon oraz jakieś pantofle na obcasie. Jedyńm budynkiem nadającym się na ceremonię była stołówka. Nie było tam oczywiście organów, które mogłyby odegrać marsz weselny, ale młody izraelski żołnierz poradził sobie całkiem nieźle na skrzypcach.

Oglądając się przez ramię na swoją narzeczoną, Hans zauważył, że Anna mimo wszystko nie

umalowała się. Cóż, nie potrzebowała tego.

Po tej pierwszej nocy nie było następnych. Poprosił ją o rękę, kiedy następnego ranka wstało słońce i wpadło przez szpary w deskach do chaty. Leżała obok niego, promienie słońca oświetlały jej włosy rozrzucone na cienkiej poduszce, a jemu aż zaparło dech w piersiach.

Widok zdenerwowanej Anny stojącej w drzwiach stołówki wywołał takie samo wrażenie.

Ceremonię przeprowadzono w jidysz. Jeśli żył jeszcze jakiś rabin, który mówił czystym niemieckim, to musiał być bardzo daleko. Co ciekawe, chociaż rabin z trudem przebrnął przez ceremonię, Hans zrozumiał go lepiej niż Anna. To pewnie dzięki rosyjskiemu, którego poduczył się na wschodnim froncie.

Jakaś kobieta, wdowa – Hans rozpaczliwie nie chciał poznać przyczyny jej wdowieństwa – podarowała im prostą złotą obrączkę. Na polecenie rabina Hans założył ją na palec Anny. a potem pocałował dziewczynę.

Podczas wesela, delirycznie szczęśliwy, znalazł jednak chwilę czasu, by porozmawiać z rabinem na osobności...

Z całej załogi Anny Harz pierwszy odzyskał przytomność. Ucieszył się, wyczuwając, że czołg wciąż stoi prosto.

Po kolei, pomyślał przytomnie. Podpełzł na czworakach do Schultza, obejrzał go, szukając zranień, i stwierdził, że strzelec żyje i – o ile pozwalało na to jedynie pobieżne badanie – nie jest połamany.

Kilka uderzeń w twarz przywołało Dietera do przytomności.

– Wracaj na stanowisko, draniu, a ja sprawdzę, co z dowódcą.

Zapędziwszy oszołomionego Schultza na fotel strzelca i uruchomiwszy w ten sposób – taką miał nadzieję – główną armatę, Harz zajął się drugą co do ważności sprawą – dowódcą.

Kiedy do niego doppełzł, Brasche dochodził już do siebie, oparty o gródź wewnętrznego przedziału bojowego. Harz zobaczył, że jedna ręka dowódcy zwisa pod dziwnym kątem, coś czerwonego przesiąka przez jego mundur, a czerwony strumień z głowy zalewa twarz i skapuje na pokład.

– Straty? – wycharczał Hans.

– Nie wiem, panie pułkowniku – odparł Harz. – Nie ma meldunków.

1b brygady, inaczej oficer logistyczny, zebrał się z podłogi i o własnych siłach siadł z powrotem na fotel drugiego strzelca. Wystarczyło mu jedno spojrzenie na ekran.

– Ciężkie, panie pułkowniku – powiedział. – Bardzo ciężkie, zwłaszcza wśród Tygrysów. Widzę, że pięć błyska na moim ekranie, ale nie potrafię powiedzieć, czy są już martwe, czy dopiero konają. Podejrzewam, że nasi pancerni grenadierzy będą w jeszcze gorszym stanie. Ale artyleria wyszła z tego całkiem nieźle.

– Cholera – zaklął oszołomiony Brasche słabym głosem.

INTERLUDIUM

– Mam dość! – zawołał Athenalras. – Odwołać ten przeklęty po wielokroć, demony go nadały, atak!

– Mój panie, nie! – krzyknął Ro'moloristen, chociaż rzeź na całej linii frontu przyprawiała go o takie same mdłości jak jego zwierzchnika. – Nie możemy teraz się wycofać! Pomyśl, mój panie. Thresh na wschodzie się chwieją. Już prawie nic nie stoi na przeszkodzie, by nasi bracia ruszyli aż do serca samego „Deutschlandu”!

Ro'moloristen opuścił głowę i potrząsnął grzebieniem.

– Linia Zygfyda jest krucha, panie, bardzo krucha. Chociaż teraz Lud ginie w stosunku dwudziestu do jednego, pięćdziesięciu do jednego, a nawet stu do jednego, jak to się dzieje w niektórych miejscach, to nie ma znaczenia. Bo wciąż mamy na tym froncie przewagę liczebną trzystu do jednego. Poza tym, panie, ten most, który zdobyła horda Arlingasa niedaleko miasta szarych thresh. Mannheim... To poważnie ogranicza ich możliwości zaopatrywania tej przeklętej artylerii. Już podczas kilku ostatnich obrotów tej planety nasze straty wzdłuż tego odcinka frontu drastycznie spadły. Przewidujemy, że jeśli będziemy dalej naciskać, threshkreen muszą się załamać.

Starszy Posleen położył smutnym gestem dłoń na ramieniu o wiele młodszego obcego.

– Niech to wszystko będzie prawda, młodzieńcze. Ja i tak mam dość tej rzezi. I chciałbym, żeby się skończyła.

– Nie może być żadnego końca, o wielki. Żadnego, dopóki ten gatunek nie zostanie całkowicie wyniszczony. Chodź, zobacz.

Młodszy kessentai łagodnie poprowadził swojego pana do ekranu danych.

– Spójrz na przewidywania, panie.

Monitor pokazał dokładnie wyliczone szacunki takich rzeczy, jak rozrost populacji, postęp technologiczny, urbanizacja, rozwój sztuki wojennej, nawet profile psychiatryczne ludzi działających w stresie.

– Sam widzisz, panie, że mamy pyski przyczepione do pała rozrodczego.

– Tak czy inaczej, mamy dokładnie przejebane, młodzieńcze – odparł powoli i z przekonaniem Athenalras. – Wytraciliśmy kwiat Ludu w daremnych szurmach na Linię Zygfyda i nic nie zyskaliśmy, oprócz zmniejszenia naszej liczebności o sto milionów tylko na tym jednym froncie.

– Wiem, panie – powiedział Ro'moloristen. – Wiem. Ale myślałem...

– To niebezpieczne zajęcie.

– Tak, panie, to też wiem. Mimo to myślałem, że my... Lud jako całość... toczymy wojny tak jak polujemy. Ci threshkreen nie robią tego tak jak my. Mają coś, co nazywają „zasadami wojny”. Lista owych zasad bywa u nich różna, ale odkryłem dwanaście, które obejmują całość tematu.

– Dwanaście?

– Tak, panie. To skupienie, cel, zabezpieczenie, zaskoczenie, manewr, ofensywa, jedność dowodzenia, prostota, ekonomia sił, okrucieństwo, unicestwienie i kształt. Wykorzystując te zasady, stworzyłem plan, który może nam zapewnić zwycięstwo. Zamiast atakować na całym froncie, skoncentrujemy nasze wysiłki na sektorze najbliższym mostu utrzymywanego przez hordę Arlingasa. Nie mamy pojęcia, jak używać artylerii, którą zdobyliśmy, nie mówiąc już o produkcji własnej. Ale mamy okręty. Rozbijemy z kosmosu...

– Wytrzebią nasze okręty w kosmosie!

Ro'moloristen wydał posleński odpowiednik westchnienia.

– Tak, panie, z pewnością tak będzie przez jakiś czas. Ale zanim nasze okręty zostaną

zniszczone, same będą zabijać. Ubiją nam prostą, wąską ścieżkę do Linii Zygryda. Panie, jeśli tego nie zrobimy, nasz lud wyginie!

Podejmując nagle decyzję, Athenalras uniósł lekko grzebień.

– Pokaż mi prognozy strat – zażądał.

Przejrzał wyliczenia Ro'moloristena. Przerazające, przerażające. A mimo to ten pisklak ma rację. Co innego możemy zrobić, jeśli Lud ma przetrwać?

– Przygotowania zajmą nam kilka obrotów tej planety wokół osi. Zajmij się nimi. Przygotuj też specjalną grupę okrętów, które zapolują na ten rzekomy supertenaral. Zmniejsz natężenie prowadzonej ofensywy zaledwie do takiego poziomu, żeby thresh mieli się czym zająć...

* CZEŚĆ IV *

Tygrys Brunhilda, Hanau, Niemcy, 1 stycznia 2008

– O Boże, już nigdy nie będą pił sznapsa – jęknął Mueller z przekrwionymi oczami.

– Przestań, do cholery, tak jazgotać, Johann – powiedział Prael. – Wszyscy jesteśmy tak samo skacowani jak ty.

– Franz i ja nie – oznajmił Schlüssel. – Ani *Herr* Henschel. Z wiekiem człowiek zyskuje mimo wszystko pewną mądrość i powściągliwość.

– Dupa tam – odparł ponuro Breitenbach. – Wszyscy trzej dawaliście tak samo jak my. Jesteście starsi, to mieliście więcej czasu na trening’, to wszystko.

W przedziale bojowym zapadła cisza, głównie z litości nad „umierającymi”.

Przez dziesięć dni Prael ćwiczył załogę w kolejnych zadaniach i symulowanych starciach. Czasami, kiedy okoliczności sprzyjały, strzelali do przelatującego w górze nieostrożnego posleńskiego okrętu. Schlüssel namalował już na dolnej części szyny działa elektromagnetycznego sześć oznaczeń zestrzeleń – było to nieme, lecz wymowne świadectwo skuteczności tej broni, nawet przeciwko posleńskim okrętom na orbicie.

Dziesięć dni i sześć zestrzeleń. Tak krótkie szkolenie byłoby całkowicie daremne, gdyby nie dwa czynniki. Pierwszym była SI czołgu, sprawiająca, że szkolenie w ogóle było w dużej mierze niepotrzebne. Drugi czynnik dotyczył subtelniejszej części szkolenia: budowania koleżeństwa. A lata wspólnej pracy, projektowania i budowania dwóch wersji Tygrysa już dawno stworzyły zgrany zespół z mężczyzn i kobiety, którzy stanowili załogę *Brunhildy*. Znali się nawzajem, razem jedli i pili. Zнали swoje rodziny, nadzieje i marzenia. Troszczyli się o siebie.

Chociaż akurat o marzeniach rozmawiali raczej rzadko.

* * *

Choć lubił tych ludzi, zwłaszcza tego ze śmiesznymi wybrzuszeniami, tak bardzo podobnymi do pancernego przodu *Brunhildy*, który zazwyczaj przygotowywał wszystkim jedzenie, Rinteel nie czuł się członkiem zespołu, nawet jako Nibelung, kimkolwiek Nibelung był.

Nie w tym rzecz, że był nieprzydatny, co to to nie. W przeciwieństwie do maszyn Indowy, ta miała olbrzymią ilość wad; olbrzymią przynajmniej dla kogoś należącego do cywilizacji, w której perfekcja była standardem minimum dla narzędzi i maszyn. Mały stwór o twarzy nietoperza przez wiele pracowitych dni pomagał naprawiać jedną awarię po drugiej. Miał do tego autentyczną smykałkę – mimo że pracował przy obcej mu maszynierii.

Ale mimo że był przydatny, dobrze traktowany i szanowany, nie podzielał po prostu uczucia „*Kameradeschaft*”, które ludzie żywili do siebie nawzajem. Być może wynikało to z faktu, że nie mógł spożywać tego, co Niemcy nazywali „*Schnapps*” albo „*Bier*”. *Kameradeschaft* wyraźnie wzrastało, kiedy ludzie wypili ich po kilka.

Dużą rolę odgrywały też śpiewy.

A Rinteel miał beznadziejny głos, jeśli chodzi o ludzkie pieśni. Zaczął się więc zastanawiać, gdzie na pokładzie *Brunhildy* mógłby zbudować syntezator, w którym stworzyłby jedyny środek odurzający Indowy, *med*.

47. Szpital Polowy, Poczdam, Niemcy, 2 stycznia 2008

Uśpiony lekami, leżąc w polowym szpitalu *Korps*, ciemnym i cichym – nie licząc nieprzytomnego, żałostnego zawodzenia jakiegoś samotnego rannego żołnierza – Hans śnił.

Anna nigdy nie utyla, za to posiwiata, a jej skóra pod ostrym słońcem Izraela zbrązowiała i pokryła się zmarszczkami.

Mimo to po ponad czterdziestu latach Hans wciąż uważał ją za niezrównanie piękną. Jedyne obrzydliwość rosnąca w jej ciele, przysparzająca jej cierpień, których nie potrafiły złagodzić żadne leki, odbijała się na jej urodzie, umyśle i duszy; to – ohyda raka – i straszne mechaniczne odgłosy urządzeń utrzymujących ją przy życiu.

Hans siedział u jej wezgłowia tak jak zawsze, kiedy tylko było mu wolno. Często po jego twarzy sływały łzy. W takich chwilach Anna odwracała głowę. Nie takiego chciała go zapamiętać w zaświatach.

Koniec był blisko i oboje o tym wiedzieli. Ona była spokojna i pogodzona z losem. On czuł się samotny. Hansa pocieszała jedynie myśl, że nie minie wiele czasu i znów się spotkają.

– Mieliliśmy dobre życie, Hansi, prawda? – spytała Anna.

– Tam, gdzie byłeś ty, Anno, był mój raj – odparł, ocierając oczy. – Tam, gdzie cię nie było, było piekło... Nawet zanim cię poznałem.

Uśmiechnęła się do niego lekko.

– Ze mną było tak samo, Hansi – powiedziała cicho. – Ale, Hansi, co ty teraz zrobisz?

– Nie wiem, Anno. Nie zostanie mi już nic, kiedy...

I od nowa zalał się łzami.

– Cicho już, cicho – powiedziała, wyciągając chudą dłoń, by poklepać go po ramieniu. – To będzie tylko chwila... Tylko chwila. Co będziesz robił? – powtórzyła.

Hans siłą woli powstrzymał łzy, zmusił się do uspokojenia głosu.

– Może wrócę do Berlina, Nie mam tu już przyjaciół, odkąd zmarł Sol, krewnych też nie. Tam jeszcze jacyś są, chociaż ich nie znam.

Przez chwilę trawiła tę myśl; potem przyszło jej do głowy coś innego.

– Hansi, nigdy cię o to nie pytałam... Żadne z nas o tym nie mówiło. Ale ja zawsze wiedziałam. Dlaczego nigdy sobie nie wybaczyłeś? Ja wybaczyłam ci dawno temu, tamtej pierwszej nocy w twoim baraku. Ale ty nigdy. Dlaczego?

To nie było coś, o czym Hans chciałby rozmawiać... ale... ale przyszła już pora.

– W tamtych dniach były trzy rodzaje Niemców, Anno – odparł wolno i namyślnie. – Byli tacy, którzy nie wiedzieli... co się dzieje z Żydami i innymi w obozach. Moim zdaniem tych była większość, chociaż wielu mogło coś podejrzewać. Niczym nie zgrzeszyli, może tylko przeoczeniem. Potem byli tacy, którzy wiedzieli, rozkoszowali się tą wiedzą i uważali, że to słuszne i właściwe. Ci odpowiedzą przed Bogiem albo diabłem, chociaż ja mam mocne podejrzenia, z kim odbędą tę ostatnią rozmowę, ze spokojną twarzą i jasnym okiem... przynajmniej dopóki nie dosięgnie ich ogień.

Prychnął z pogardą.

Ostatnia część przyszła mu najtrudniej; często najciężej jest spojrzeć w lustro.

Hans był jednak odważnym człowiekiem, stawiał czoła wrogowi częściej niż chciałby pamiętać. Mógł to zrobić jeszcze raz, dla swojej żony

– Ostatnia grupa była najgorsza, i ja do niej należałem. My wiedzieliśmy, że to złe, że tak nie wolno, a mimo to odwracaliśmy się od tego, zamiast z tym walczyć; odwracaliśmy się i uciekaliśmy. Tacy Niemcy, tacy jak ja, też staną przed Bogiem albo diabłem. Co będziemy mogli powiedzieć na swoją obronę, zanim dosięgnie nas ogień?

Anna pokiwała głową ze zrozumieniem, chociaż nawet tak niewielki wysiłek przyszedł jej z trudem. Z każdą chwilą była coraz słabsza.

– Rozumiem, mój Hansi – powiedziała bez tchu. – Boisz się, że już się nie spotkamy. Zapewniam cię jako Żydówka Niemca... że jesteś dobrym człowiekiem, Hansi. Nie zrobiłeś nic

złego... i zawsze starałeś się jak mogłeś. – Wyciągnęła rękę i pogładziła go po policzku, tak samo starym jak jej i jeszcze bardziej spalonym przez słońce, wysmaganym przez wiatr. – Bóg nie oczekuje doskonałości od swoich dzieci, a my znów się spotkamy, obiecuję ci...

Samotny w swoim łóżku, śpiący starzec w ciele dwudziestolatka zapłakał nad staruszką, którą pamiętał jako młodą dziewczynę. W jego sercu i umyśle wciąż była piękna... i tak samo wyraźna jak ostatnia wiosna. Chociaż szpitalna piżama nie miała kieszeni na piersi, jego dłoń wciąż przez sen szukała małej paczuszki, którą zwykle tam nosił.

47. Szpital Polowy, Poczdam, Niemcy, 2 stycznia 2008

Ulicą pod szpitalem maszerowali na front szwabscy piechurzy, w szarych mundurach i z zaciętymi twarzami. Ich buty łomotały o bruk, a oni śpiewali:

Mein eigen soll sie sein,

Kein'm andern mehr als mein.

So leben wir in Freud und Leid,

Bis der Gott in Zeit uns ausandernscheid'.

Leb' wohl, leb' wohl, leb wohl mein Schatz, leb' wohl.

Mühlenkampff wyciągnął rękę i potrząsnął Hansa Brasche, nie zważając na jego ramię w łubkach i grubo obandażowaną głowę.

– Wstawaj, Hansi, jesteś mi potrzebny.

Hans przebudził się wolno i niechętnie. A potem od razu sięgnął po stojące obok łóżka wiadro. Mühlenkampff odwrócił się.

– Nie przejmuj się – powiedział. – Obaj mieliśmy już wstrząs mózgu. Rzyganie to normalna rzecz.

Hans zignorował dowódcę, dokończył, co miał do zrobienia, i dopiero na niego spojrział.

– W czym mogę pomóc, *Herr Generali* – spytał z uprzejmym brakiem zainteresowania.

– Możesz z powrotem stanąć na nogi! Możesz z powrotem objąć dowodzenie tą pieprzoną rozłazącą się zgrają, którą nazywamy 501. *Schwere Panzer*, Możesz wrócić na pieprzoną wojnę.

Trochę się opanował.

– Przepraszam, Hansi, naprawdę. Wschodni front się załamał. To jeden burdel. Rzucam 47. *Korps*, w tym 501., i dwa korpusy piechoty, żeby utrzymały go przez chwilę, zanim nie zreorganizujemy ocalałych. Poza tym, Hansi, nie mogę cię nawet umieścić w „zbiorniku”, żeby cię połatać po galaksjańsku. Jedyne, jaki był w pobliżu, został zniszczony przez obcych ładunkiem kinetycznym z kosmosu.

– Dokąd jedzie reszta Rezerwy Grupy Armii? – spytał Brasche.

– Mamy problemy na zachodzie. Umocnienia wciąż się trzymają, ale wróg zachowuje się... dziwnie. Prawie sprytnie. Sprytni obcy mnie martwią, Hans.

Hans pokiwał poważnie głową, a potem od razu znów sięgnął po wiadro. Nawet tak drobny ruch był... trudny.

– Hans, nie prosiłbym, gdybym cię nie potrzebował.

– Rozumiem – powiedział Brasche i niepewnie wstał. – Wyruszę dziś wieczorem.

– Oto mój Hansi – ucieszył się Mühlenkampff. – Kiedy ustabilizujemy sytuację na wschodzie i odbijemy pewien most na zachodzie, zgrupujemy się, najprawdopodobniej wokół Hanau. Póki co, ruszam na zachód.

Mainz, Niemcy, 4 stycznia 2008

W zabytkowym mieście na zachód od Renu Isabelle i jej dwóch synów w końcu znaleźli jakieś

pozory normalności.

Oczywiście brakowało domów, więc francuscy cywile, którzy uciekli do Niemiec, byli zmuszeni zamieszkać – tak jak w przypadku Isabelle – w dużej sali gimnastycznej. Ale pod ścianami rozwieszono koce, wydzielając w ten sposób fragmenty przestrzeni i zapewniając minimum prywatności.

Isabelle nigdy nie przepadała za niemiecką kuchnią. Teraz jednak żałowała, że nie może dostawać dwa razy więcej jedzenia, zwłaszcza dla swoich chłopców. Ale żywności brakowało tak samo jak schronienia.

Ze stołówki, centralnego miejsca sali gimnastycznej, dobiegł jakiś gwar. Był coraz głośniejszy, aż w końcu zainteresował Isabelle. Zostawiła więc chłopców i ruszyła w tamtym kierunku między wiszącymi kocami i długimi ławkami, na których siedzieli francuscy uchodźcy, grzebiąc w skromnych porcjach mdłego jedzenia.

Na jednej z ławek stał mężczyzna w szarym mundurze i przemawiał do ludzi. Isabelle musiała dobrze mu się przyjrzeć, by rozpoznać w nim kapitana Hennesseya, tego samego, który wcześniej przeprowadził ją i jej chłopców do bezpiecznego schronienia. Musiała dobrze się przyjrzeć, bo wysoki i energiczny mężczyzna przeobraził się w uosobienie wyczerpania; był przygarbiony, miał głębokie, pełne kurzu zmarszczki na twarzy i zapadnięte oczy.

Z tej odległości nie słyszała, co Hennessey mówił. Podeszła bliżej, wykorzystując swój wzrost i siłę, by precyzyjnie się przez tłum.

Wkrótce znalazła się już wystarczająco blisko, by zrozumieć słowa kapitana.

– Potrzeba nam więcej ludzi – mówił głośno. – Kiedy dywizja *Charlemagne* zaczęła walkę, liczyła ponad dwadzieścia osiem tysięcy ludzi. Gdy osłanialiśmy waszą ucieczkę, do bezpiecznego schronienia dotarł jeden żołnierz na dwudziestu. Jesteśmy ostatnią francuską formacją na tej wojnie i jeśli mamy mieć jakąkolwiek kartę przetargową z *Boche*, znów musimy urosnąć w siłę.

Potem kapitan powiedział coś zbyt cicho, by go usłyszeć, ale Isabelle wydawało się, że odczytała to z ruchu jego warg.

– Musimy znów urosnąć w siłę, jeśli nasz naród ma przetrwać.

Isabelle wzdrygnęła się, kiedy za nią odezwał się chłopięcy głos.

– Ile trzeba mieć lat, żeby zgłosić się na ochotnika? – spytał wyraźnym, dźwięcznym głosem jej syn Thomas.

– Piętnaście – odparł Hennessey, chyba już mniej znużonym tonem niż przed chwilą.

– Mam piętnaście lat, zgłaszam się.

NIE!, chciała wrzasnąć Isabelle. Nie moje dziecko! Ma tylko czternaście lat, chciała skłamać. Spojrzała błagalnie na syna. Och, proszę, nie rób tego, dziecko. Zginiesz, i co wtedy zrobi twoja biedna matka?

Mamo, jestem dość duży, żeby mnie pożreć. Jestem dość duży, żeby walczyć. I jestem też Francuzem, odparł bezgłośnie chłopiec.

Isabelle zwiesiła głowę, tak by włosy skryły jej łzy, i z drzeniem skinęła głową. A więc idź, niech cię szlag, i zabierz ze sobą serce swojej matki.

Za Hennesseym zaczęła się zbierać gromadka ludzi, i to nie tylko samych mężczyzn.

Tygrys Anna, rzeka Nysa, na południe od Frankfurtu nad Odrą, Niemcy, 8 stycznia 2008

Na wschodnim brzegu rzeki, teraz zajęty przez wroga, od rana zbierała się coraz liczniejsza horda Posleenów. Na drugim brzegu Hans ustawił swoją brygadę czołgów.

Mimo jego ran był to radosny powrót. Załoga jego własnego Tygrysa zebrała się wokół, uradowana, że znów widzi swojego dowódcę. Obawiali się już najgorszego.

Cieszyli się wszyscy, naturalnie oprócz Kruegera, nieprzejednanego nazisty. Pokazał się uprzejmie, ale natychmiast wrócił na stanowisko kierowcy, cały czas pogrążony w mrocznych rozmyślaniach o pseudonazistach i miłośnikach Żydów.

Hans ustawił lżejsze czołgi i pancernych grenadierów plus trzy inne Tygrysy i *Annę* w linii, wykorzystawszy je uprzednio jako polową żandarmerię, dla zebrania maruderów. Dwadzieścia pięć pozostałych Tygrysów – tak, jednego odzyskano – rozciągnął wzdłuż rzeki, by wspierały ogniem obrońców i chroniły ich przed okrętami obcych, które mogłyby próbować włączyć się do walki.

Zima była dotąd stosunkowo łagodna, dlatego wróg nie napotkał łatwego do przejścia lodu, lecz wyraźnie nieprzebytą wodę. Posleeni w ogóle nie potrafili pływać i od razu szli na dno, a mimo że byli odporni na wszystkie znane trucizny, to jednak potrzebowali do przeżycia tlenu.

Krótko mówiąc, łatwo się topili, a strach przed utonięciem zatrzymywał ich na drugim brzegu rzeki... póki co.

Hans nie wiedział, jak odkryli, że ten odcinek Nysy jest łatwy do przekroczenia. Może po prostu jakiś normals zabłądził tutaj, a potem wrócił do swoich i pokazał im drogę. Takie przypadki decydowały czasem o losach narodów i imperiów.

Nie ulegało jednak wątpliwości, że Posleeni wiedzieli o brodzie. Horda licząca dosłownie dziesiątki milionów żarłocznych sześcionóżnych obcych, zbierająca się na drugim brzegu, świadczyła, że byli świadomi, iż woda nie stanowi dla nich poważnej przeszkody.

Ale cenny czas zyskany dzięki ich ignorancji został przez ludzi dobrze wykorzystany. Woda nie była jedynym płynem mogącym wydusić tlen z płuc obcych.

Z drugiego brzegu rzeki dobiegł zbiorowy ryk. Przypominał Hansowi krzyk rosyjskiej piechoty idącej do natarcia na początku drugiej wojny światowej. Język nie był oczywiście podobny – tak naprawdę posleeńscy normalsi nie mówili żadnym językiem. Ale w czasie szarży artykułowane słowa i tak nie są potrzebne. Rosyjski, posleeński... nawet niemiecki przekaz zawsze był ten sam: „Jesteśmy tu i idziemy was pozabijać”.

- O nie, nie tym razem, bydlaki, nie tym razem – mruknął Hans pod nosem.
- Panie pułkowniku? – spytał Schultz.
- Nieważne, Dieter. Przygotuj się do użycia kasetonowych na wyznaczone cele. Zaczęło się.

* * *

Nie rzucili się jak jeden mąż, gdyż Lud tak nie działał; liczba normalsów wchodzących do lodowatej wody stopniowo rosła. Już wkrótce zbita masa żółtych ciał pełzła ku drugiemu brzegowi, by rozedrzeć na strzępy znieawidzonych threshkreen.

Oolt'ondai Borominskar poganiał swoich podwładnych, wychwalając dawne czasy i bohaterów przeszłości. Wszechwładca zastanawiał się jednocześnie, dlaczego wróg nie stawia oporu. Tu i ówdzie młodszy kessentaiowie, przeżywając opowieści o swoich przodkach, wylatywali tenarami przed horde, prowokując threshkreen. A threshkreen bardzo często chwyтали przynętę i zamieniali tenary w sfery aktywnego światła. Albo po prostu rozwalali Wszechwładcy pierś albo głowę.

Naprzód, naprzód, fala Ludu napierała na cuchnący nurt rzeki. Już wkrótce minęli połowę jej szerokości i wtedy rozspiewały się karabiny maszynowe threshkreen. Oolt'ondai przynajmniej myślał, że to karabiny maszynowe. Brak ognistych śladów tak zwanych „smugowców” nieco go zdezorientował.

Nieważne. Lud był w pełnym natarciu, parł przed siebie, nie zważając na straty. Ale niech przekłęci będą threshkreen za to, że kryją się za grubymi ziemnymi nasypami, na swój tchórzliwy sposób szukając schronienia przed elektromagnetycznymi karabinami Ludu.

* * *

Hans wyrzwał z wieży *Anny*, ponad nasypem wzniesionym pospiesznie dla ochrony przed hiperszybkimi raketami i działkami plazmowymi wroga. *Anna* mogła znieść kilka trafień, ale byłoby lepiej, gdyby mogła znieść ich kilkadziesiąt.

- Według wyliczeń już pora, panie pułkowniku – odezwał się Ic w słuchawce *Braschego*.
- Dobrze, wypuścić benzynę.

Kilka dni zwłoki zaiste bardzo dobrze wykorzystano. Pompy na zachodnim brzegu zaczęły we wściekłym tempie tłoczyć benzynę w fale rzeki.

* * *

Narządy węchowe *Borominskara* ledwie wyczuły nowy zapach w smrodzie zanieczyszczeń rzeki. Po kilku minutach jednak, kiedy jakaś nowa ciecz rozeszła się po falach nurtu, zapach stał się zbyt mocny, by go ignorować. Sztuczna inteligencja *tenara oolt'ondaia* zapiszczała raz, drugi, potem wygłosiła ostrzeżenie.

– To ciecz bardzo lotna i bardzo łatwopalna, *kessentaiu*. Moim zdaniem to jakaś sztuczka *threshkreen*.

Choć nie był geniuszem, *Borominskar* nie był też najgłupszy. Natychmiast zrozumiał, co jego SI miała na myśli, i oczyma wyobraźni ujrzał *Lud* płonący i duszący się, ginący straszliwą, haniebną śmiercią.

– Zawracać! Z powrotem! – zaczął krzyczeć. A zaraz potem zdał sobie sprawę, że nie ma odwrotu, że najkrótsza droga do bezpieczeństwa prowadzi naprzód. Zamiast więc zarządzić odwrót, nakazał przyspieszyć szarżę.

Niestety, za późno, pomyślał, kiedy dostrzegł na drugim brzegu rzeki pierwsze płomienie.

* * *

Odgłos, jaki wydali obcy, był przeciwieństwem oczekiwanego okrzyku zwycięstwa, masakry i uczt. Spanikowani *Posleeni* wrzasnęli z oczywistego bólu i jeszcze bardziej oczywistego strachu.

Gdzieś wśród waszych przodków byli tacy, którzy znali ogień i bali się go, co, chłopcy?, pomyślał Hans.

Ramiona obcych wymachiwały gorączkowo i rozpaczliwie w piekle płomieni. Rozległ się wrzask nieskończonej liczby palonych żywcem i duszonych kociąt. Hans zauważył z zainteresowaniem, że niewiele ramion obcych trzymało broń. *Tenary Wszechwładców* latały w górze, ale nie potrafiły pomóc ani skrócić cierpień własnych „zon” i dzieci w dole. Na zachodnim brzegu zaczęły rozbrzmiewać wystrzały, które strącały *Posleenów* z ich spodków. Po chwili strzały rozbrzmiały też nad rzeką – to *kessentaiowie* robili co mogli, by zakończyć mękę swoich pieczonych żywcem i duszących się *normalsów*.

A więc wy też jesteście zdolni do litości, tak? Jakie to interesujące. My też, ale nie w stosunku do was. Wspomnienie tego, co się tu dzieje, powstrzyma was przed przekroczeniem rzeki jeszcze przez kilka dni, jak sądzę.

* * *

Borominskar wycofał się na wschodni brzeg, wstrząśnięty do głębi tak niepotrzebnym, okrutnym i wściekłym zniszczeniem. W płonącej wciąż wodzie nie było już nikogo z *Ludu*. Wszyscy, którzy wpadli w pułapkę, zginęli, a uniknęło jej bardzo niewielu. Część z nich przedostała się na drugi brzeg, gdzie wycięli ich *threshkreen*. Innym udało się zawrócić i dotrzeć do suchego lądu, zanim objął ich ogień diabelskiej sztuczki ludzi.

Siadając swoim *tenarem* na ziemi, *Borominskar* zobaczył, że *Lud* – *normalsi* i *Wszechwładczy* pospołu – wycofał się jak najdalej od ściany płomieni. Zbici w kupę, wstrząśnięci i przerażeni,

stanowili wspaniały cel dla artylerii threshkreen i ich ciężkich machin bojowych.

Tenar oolt'ondaia znów zapiszczał.

– Emanacje czterech dużych maszyn wroga, panie. Nadlatuje salwa artylerii; nie jestem w stanie policzyć pocisków, ale jest ich co najmniej trzy tysiące.

INTERLUDIUM

– Wreszcie jesteśmy gotowi, panie – powiedział Ro'moloristen. – Zaciągnąłem *edas* nie do policzenia, żeby zapewnić nam współpracę, i myślę, że ją mamy. Jutro trzysta dwadzieścia dwa C- i B-Deki zaczną bombardować Linie Zygryda. W samej pierwszej fali ponad trzy tysiące kessentaiów na tenarach powiedzie do ataku ponad milion normalsów. Wszyscy będą mierzyć jak strzały w wąski odcinek linii prowadzący wprost do mostu. Wzdłuż całego frontu przeprowadzone zostaną pomocnicze ataki, ale niezbyt mocne. Panie... – Kessentai się zawahał. – Panie, *edas*, który musiałem obiecać Arlingasowi, żeby zgodził się wytrwać na moście, jest przerażający. Mówi, że jego horda jest na krawędzi całkowitego zniszczenia i chce się wydrzeć z okrążenia.

– Ale czy zdążymy do niego dotrzeć? Dotrzeć na czas. Ro'moloristen zatrzepotał grzebieniem z dumy z samego siebie i swojego planu.

– Tak sądzę, panie. Niech odpowiem głową, jeśli się mylę.

– Niech tak będzie, pisklaku – zgodził się Athenalras. – Ale obawiam się, że jeśli się mylisz, wszyscy odpowiemy głowami, jeśli nie narządami rozrodczymi. A horda na wschodzie?

– Ruszy, panie, ale dopiero wtedy, kiedy zobaczy, że nasz sukces na zachodzie odciąga wroga od ich frontu. – Ro'moloristen zadrżał na myśl o tym, jak zatrzymano ostatni atak na Nysie. *Co za obrzydliwość; spalić tyle dobrego thresh.*

Mainz, Niemcy, 10 stycznia 2008

Isabelle bolała głowa, a jej wnętrzności falowały od wstrząsów trafień broni kinetycznej obcych. Ładunki spadały na miasto i wokół niego, wzbijając w ponure niebo chmury kurzu i pyłu. Przerazający hałas powiększał jeszcze huk artylerii. Jednak na ogień najeźdźców odpowiadały z ziemi zaledwie nieliczne smugi srebra. Było jasne, że wróg mocno uszkodził Baterie Obrony Planetarnej.

Isabelle podejrzewała, że artyleria – i szczęście w unikaniu kinetycznych trafień – to wszystko, co może uratować jej synka Thomasa. Widziała się z nim raz, krótko, odkąd wstąpił do czegoś, co z uporem uważał za „wojsko”. Co do formacji, insygniów błyszczących na jego kołnierzu nie sposób było nie dostrzec. Isabelle, na ile tylko potrafiła, robiła dobrą minę do złej gry. Teraz Thomas był w niebezpieczeństwie. A ona wiedziała, że chłopiec nie jest przygotowany do wojny. Mogła tylko mieć nadzieję, że przeżyje, podczas kiedy ona sama, jej drugi syn i miliony innych ludzi, Niemców i Francuzów, szykowali się do długiego marszu w bezpieczne miejsce – o ile uda się takie znaleźć – gdzieś daleko na północy. Wszystkie meldunki z frontu były jednakowo złe. Linia Zygryda miała niedługo upaść. Jedynie ta świadomość nadawała tempa przygotowaniom do ucieczki tych, którzy już raz uciekali, i tych, którzy dopiero mieli zostać uchodźcami.

Isabelle zarzuciła na ramiona plecak, wzięła syna za rękę i obejrzała się w kierunku, gdzie miał być jej Thomas. Potem, znajdując w sobie nadludzkie zapasy siły, dołączyła do kolumny maszerującej na północ.

Unia Zygryda, na południowy zachód od Mainz,
11 stycznia 2008

Oficjalne szkolenie było bardzo krótkie. Przez tydzień, który Thomas spędził w *Charlemagne*, nauczył się tyle, ile trzeba, by strzelać z wojskowego karabinu z wnętrza betonowego bunkra; wydano mu też minimum munduru i sprzętu. Młody, szczupły chłopak musiał zadomowić się w lodowatym betonowym bunkrze. Thomas prawie bez przerwy się trząsał. Chociaż nie tylko z zimna.

Do tej pory oszczędzono mu widoku wroga, nie licząc tego, co pokazywała telewizja. Rzeczywistość okazała się nie do opisania przerażająca: bezmyślna horda rzucała się naprzód, nie zważając na straty, jeśli tylko mogła zabrać ze sobą choćby jednego człowieka.

Dowódca chłopca, sierżant Gribeauval, wziął sobie do serca kwestię jego przetrwania. A przynajmniej poświęcił sporo czasu na szkolenie go, kiedy tylko wróg nie naciskał zbyt mocno. Chwile te były jednak rzadkie; najczęściej pomoc sierżanta ograniczała się do wskazówek i podpowiedzi oraz okazjonalnego ojcowskiego poklepania po ramieniu. Być może wynikało to z tego, że Thomas był najmłodszym członkiem plutonu, młodszym od pozostałych co najmniej o rok.

Chłopiec stracił już rachubę szturmów, które *Charlemagne* dotąd odparła. Stos trupów przed jej liniami rósł i rósł. Nawet zasieki były już pod nimi schowane.

Thomas wiedział, że to bardzo zły znak, chociaż znajdujące się za zasiekami, pomiędzy nimi a obcymi, wąskie pole minowe zapewniało nieco dodatkowej ochrony. Któregoś dnia wraz z sierżantem Gribeauvałem i dwoma innymi żołnierzami pomagał je wzmocnić. Sierżant często mruczał pod nosem, narzekając na rzadkie rozmieszczenie min, a także mamrotał coś niezrozumiałego o „głupich królewskich angielskich cudzołożnicach”. Za chłopcem zaszeleściły suche liście; ktoś wszedł do bunkra.

– Młody De Gaullejac?

– *Oui, mon sergent* – odparł chłopiec. Jego oddech zamarzał na plastikowej kolbie karabinu,

do której przyciskał swoją pozbawioną zarostu brodę.

– Pakuj swoje rzeczy, synu, jednocześnie wyglądając do przodu. Dostaliśmy rozkaz wycofania się na następną pozycję. Nie jest taka dobra jak ta, ale wróg jeszcze do niej nie dotarł. Artyleria rozwali tu wszystko na miazgę, żeby osłonić nasz odwrót.

Dowództwo Rezerwy Grupy Armii, Wiesbaden, Niemcy,
13 stycznia 2008

Odwrót był jedynym rozwiązaniem, jakie Mühlenkampff widział. Linia Zygryda i Nadrenia były stracone, to było już jasne. Wróg w końcu się pozbierał i znalazł sposób na niezdobyte do tej pory umocnienia. Wyglądało na to, że Niemcom udało się dokonać tego, co robili już w przeszłości, nawet z Rosjanami: nauczyli wroga, jak walczyć połączonymi siłami.

– *Scheisse* – zaklął Mühlenkampff bez entuzjazmu. – *Scheisse*, żeby przechodzić to już trzeci raz.

Tyły były teatrem grozy i nieszczęścia. Masy ludzi ewakuowały się na północ i zachód, mając nadzieję, że część z nich dotrze do budowanych w Skandynawii podziemnych miast. Inni mogli szukać schronienia w Alpach – Szwajcarzy jasno to powiedzieli.

Teraz jednak musieli wycofać się do schronów za Renem. Była to ostatnia zdalna do obrony przeszkoda naturalna *Vaterlandu*, nie licząc łatwej do przekroczenia Elby. Mühlenkampff wiedział, że Elba będzie miejscem spotkania wrogich armii, a nie linią obrony.

Gdyby tylko były jakiegokolwiek szanse odbicia mostu... Ale nie, bez 47. *Panzer Korps* i 501. Brygady Braschego było to niemożliwe. Już próbował. Nie w tym rzecz, że Bundeswehra nie miała dobrych żołnierzy. Przez ostatnie dwie kampanie w obronie Niemiec poczynili wielkie postępy. Najgorsze świnie – tak samo poborowi, jak i oficerowie – trafili już do karnych batalionów. Stracenie bądź unieszkodliwienie tych cywilów, którzy przeszkadzali w szkoleniu wojska, również pomogło. Ale 47. *Korps* od początku miał liczniejszą kadrę i twardszych, bardziej zaciętych i doświadczonych żołnierzy. A to bardzo wiele znaczyło.

Mühlenkampff uznał, że ma minimalną szansę zatrzymania obcych na moście, gdyby tylko armie w Nadrenii zdołały wycofać się na bezpieczny wschodni brzeg Renu. Lękliwie, bez jakiegokolwiek pewności, że ma słuszność, wydał swojemu oficerowi operacyjnemu rozkazy.

– Odwołać atak na most. Zostawić piechotę i karne *Korps*, żeby zatrzymały wroga, razem z jedną dywizją czołgów i jedną grenadierów pancernych, odłączonymi od ciężkiego *Korps* armii. Zabrać resztę Grupy Armii... Grupy Armii? Została nam już zaledwie jedna armia! Zabrać resztę na północ, do innych mostów. Przejść je i pomóc żołnierzom w Nadrenii zerwać kontakt z wrogiem i wycofać się. I połączcie mnie z *Kanzlerem*. Muszę poprosić o zgodę na użycie kilku bomb neutronowych.

Tygrys Brunhilda, Grosslangheim, Frankonia, Niemcy,
13 stycznia 2008

Załoga czołgu, w tym także Prael, obficie się pocila, chociaż w przedziale bojowym był starannie kontrolowany klimat. To powtarzające się co chwila bliskie trafienia z pokładowej broni okrętów Posleenów sprawiały, że wszyscy mieli mokre ubrania.

Brunhilda miała większy kąt uniesienia armaty niż wcześniejsze modele Tygrysów. Tamtych używano w grupach, można więc było wierzyć, że martwą strefę nad wieżą pokryje inny czołg, stojący z tyłu. *Brunhilda* walczyła jednak w pojedynkę i musiała być zdolna sama pokryć swoją martwą strefę. Co więcej, podczas gdy mniej lub bardziej konwencjonalna, choć mocno podrasowana trzydziestocentymetrowa armata *Anny* miała potężny odrzut i nie można było umieścić jej wyżej, nie ograniczając użyteczności w bardziej pospolitych starciach, działało elektromagnetyczne

Brunhildy miało stosunkowo mały odrzut. Dlatego też można było je podnieść na osiemdziesiąt stopni powyżej horyzontu.

Każdy z tych osiemdziesięciu stopni teraz bardzo się przydawał.

– Johann, stój, obrót w lewo – rozkazał Prael.

Mueller szybko zatrzymał czołg, obracając go o dziewięćdziesiąt stopni.

Zanim jeszcze to zrobił, Prael już umieszczał swój celownik na posleeńskim okręcie, pięćdziesiąt kilometrów dalej. Kiedy mu się to udało, rozkazał czołgowi ząbkować się na celu. SI *Brunhildy* posłusznie wykonała polecenie, a potem o tym zameldowała.

Izrael zaczekał, aż działo elektromagnetyczne wyda trzy charakterystyczne parsknięcia, co jakies dwanaście sekund.

– Trafiony – oznajmił w końcu Schlüssel.

– Reinhard – rozkazał natychmiast Prael. – Cel: B-Dek, godzina dziewiąta, bardzo wysoko.

Schlüssel niczym automat wcisnął przycisk przełączający strzelca na wybrany przez dowódcę cel.

– Mam go – oznajmił, namierzając posleeński okręt.

Prael zaczął szukać w bazie danych następnego celu, ale natychmiast przestał, kiedy ujrzał nadlatujące coś, co poruszało się zbyt szybko i w złym kierunku, by mogło być celem.

– *Scheisse* – zaklął. – Uwaga! Johann, do tyłu... szybko! Słyszac desperację w głosie Praela, Mueller natychmiast wrzucił wsteczny. Chociaż niesamowite zawieszenie czołgu i jego niemal niewiarygodna masa nie pozwalały, by reszta załogi odczuwała jakies zniszczenia, wrażliwe i doświadczone dłonie Muellera na drążkach sterowniczych czuły każdy walący się budynek, a nawet rozjechany prosty i wzruszający pomnik, upamiętniający mieszkańców miasta poległych w pierwszej i drugiej wojnie światowej.

Z centrum maleńkiego, malowniczego miasteczka rolniczego Grosslangheim pozostało po przejeździe *Brunhildy* bardzo niewiele. Trafienie ładunku energii kinetycznej wstrząsnęło jego pozostałościami aż do fundamentów.

* * *

Rinteel również był wstrząśnięty i zlany potem. Okazjonalne strzały oddawane do tej pory przez *Brunhildę* jakoś mu nie przeszkadzały. Po prostu nie myślał – nie pozwalał sobie na to – o istotach rozumnych, do których strzelano. Działo *Brunhildy* wystrzeliwało pociski w niebo czy kosmos, i to było wszystko – na tyle pozwalał sobie umysł Indowy;

To, co wracało, było zupełnie inną sprawą. W *Brunhildzie* slychać było, choć znacznie wyciszony, grzmiący huk. Jej załoga odczuwała także wytłumione wstrząsy trafień pocisków kinetycznych. Czołg nie był w stanie nic poradzić na skoki i rzucanie po bardzo bliskich trafieniach; Indowy szarpało, a niedopasowane do jego figury pasy fotela ocierały go i siniaczyły.

* * *

– Mam przeciek hydrauliczny w prawej gąsienicy, sekcja trzy – oznajmił Mueller. – Niezbyt poważny, ale coraz większy. W środku.

– Rinteel, zajmij się tym. Schmidt, idź z nim i pomóż.

Prael nie zwracał już uwagi na dwuosobowy zespół – człowieka i Indowy – wypinający się z foteli i pełznący po podłodze do klapy wjazdu prowadzącego na dół.

– Reinhard, namierzyłeś już tego chuja? – spytał.

– Jeszcze chwila... Jeszcze... Prawie... AHA!

Brunhilda znów zadrzała, wystrzeliwując kolejny pocisk. Hydrauliczny podajnik natychmiast załadował następny do komory działła. Schlüssel zaczekał z drugim wystrzałem, aż zobaczył ogniasty

kwiat potwierdzający trafienie.

Prael przeszukiwał już niebo, wypatrując dla swojego strzelca następnego celu.

Bruk ulicy Grosslangheim pęka! i trzaskał pod ciężarem czołgu.

Mainz, Niemcy, 15 stycznia 2008

Po ulicach tego miasta chodzili kiedyś rzymscy legioniści i obywatele. Średniowieczni rycerze organizowali turnieje ku uciechu jego mieszkańców. Tutaj urodził się i wychował Gutenberg, wynalazca ruchomej czcionki. Zniszczone w czasie drugiej wojny światowej, Mainz podniosło się z ruin niczym feniks, wciąż zachowując wiele ze swojego średniowiecznego uroku.

Ale teraz Mainz już nigdy miało się nie podźwignąć. Burzone przez kosmiczną broń kinetyczną, broń ręczną i naziemną oraz ludzką artylerię, ostrzeliwującą je w ramach wsparcia jego niedawnych obrońców, miasto było jedną wielką ruiną. Już wkrótce Posleeni mieli nawet i to usunąć. Duch Gutenberga miał się błąkać na próżno, szukając znajomych miejsc. Rzymscy i średniowieczni rycerze, wieśniacy i mieszczenie, artyści i rzemieślnicy – nie miał po nich pozostać żaden ślad, wszystko miało zostać zapomniane.

Ulicami, omijając zwały gruzu, maszerowała niczym fala powodzi posleeńska horda. W górze unosiły się bezgłośnie tenary Wszechwładców, czujnie wypatrując ostatnich kryjówek threshkreen. Tych było niewiele – tkwili w nich ludzie, którzy rozmyślnie zostali z tyłu albo odłączyli się od swoich oddziałów i zabłądzili wśród ruin. I na każdy ich strzał odpowiadała nawała ognia: działek plazmowych, karabinów elektromagnetycznych, a nawet hiperszybkich rakiet.

Od czasu do czasu grad pocisków spadał na pozostałości jakiegoś większego skrzyżowania, rozbryzgując rzekę Posleenów jak kamień wodę. Ale tak samo jak woda, Posleeni za każdym razem zwierali szeregi i parli dalej naprzód. W końcu gdzieś tam mogło być jakieś thresh.

Mainz – zabytkowe Mainz, ludzkie Mainz – szybko zniknęło pod żółtym przypiływem.

Wiesbaden, Niemcy, 15 stycznia 2008

To, co dla doświadczonych i zorganizowanych piechurów – przy przejeździe drogach – mogło być łatwym, zajmującym pół dnia przemarszem z Mainz do Wiesbaden, okazało się dla maspanikowanych cywilów, głównie Niemców, przemierzanych z mniej licznymi Francuzami, blisko pięciodniowym koszmarem.

Co wieczór Isabelle i jej syn zapadali w sen – czujny, niespokojny sen – tam, gdzie akurat zaprowadził ich los. Tylko ciepło ich ciał i grube koce, które Isabelle zabrała, utrzymywały ich przy życiu. Jedzenia nie mieli w ogóle, odkąd zjedli ostatnie resztki zabrane przez Isabelle. Zamiast wody jedli brudny śnieg albo pili z błotnistych i cuchnących chemią kałuż i wyrw. Nawet Niemcy potrzebowali czasu, żeby zaplanować taki marsz, myślała Isabelle nie bez poczucia gorzkiej satysfakcji.

Ale satysfakcja ta nie mogła trwać długo, zwłaszcza w obliczu hojności wiesbadeńczyków, którzy otworzyli swoje serca, domy oraz – co najlepsze – spiżarnie dla przechodzących uciekinierów. Z pełnym brzuchem i młodszym dzieckiem w ramionach, w ciepłym łóżku w ogrzewanym domu, oddzielona od obcych Renem i całą armią, po raz pierwszy od opuszczenia Hackenbergu Isabelle poczuła się bezpieczna.

Jej sen zakłócały jedynie powracające koszmary o starszym synu.

* * *

Przebywający bliżej matki niż oboje mogliby uwierzyć, ochotnik De Gallejac, jego sierżant i przetrzebione resztki ich plutonu obserwowali z niskiego betonowego budynku most nad Renem. Młody Thomas nigdy nie wyobrażał sobie takiego morza ludzi.

Zadaniem plutonu było dopilnowanie, żeby most nie wpadł w ręce obcych. Nikt nie mówił tego

głośno, ale wszyscy wiedzieli, co to oznacza. Gdyby obcy się zjawili, nie miałyby znaczenia, kto jest na moście – Francuzi, Niemcy czy Gwardia Papieska – most musiałby zostać wysadzony.

Thomas nie był pewien, czy potrafiłby to zrobić. W końcu wśród ludzi brnących ku bezpieczeństwu mogła być jego matka i młodszy brat.

Nad wodą pojawiło się pół tuzina tenarów – latających machin obcych.

– Musieli się prześliznąć obok obrońców na drugim brzegu – mruknął Gribeauval.

Obcy zatrzymali się nad wodą, gdzie stanowili doskonały cel, widoczny dla wszystkich i w zasięgu strzału, i otworzyli ogień do tłoczących się na moście mas cywilów.

– Nie strzelać, chłopcy – rozkazał Gribeauval. – Niech inni się tym zajmą. Ci obcy próbują nas zmusić, żebyśmy się odsłoniли. Jeśli im się uda, załatwią nas i most nie zostanie wysadzony.

Zanim jeszcze sierżant skończył mówić, Thomas zobaczył, jak jeden z obcych wylatuje ze swoich latających sań i wymachując rękami i nogami, spada w zimny nurt w dole. Pozostali Posleeni dalej przeczesywali uciekinierów ogniem z karabinów elektromagnetycznych.

Nawet z tej odległości Thomas słyszał słabe wrzaski i krzyki grozy atakowanych cywilów. Zobaczył następne ciała spadające do wody, tym razem ludzkie. Niektórzy – tak można było sądzić po tym, jak wymachiwali rękami – skakali, wołając pewną śmierć, niż choćby minutę dłużej być wystawionymi bezradnie na posleeński ogień.

Chłopiec modlił się, żeby jego matka i młodszy brat byli już bezpieczni na drugim brzegu.

Tygrys Anna, linia Odry-Nysy, 16 stycznia 2008

Nieliczni uciekinierzy, mający dużo szczęścia, wciąż przekradali się przez posleeńskie linie i brnęli przez zalegające w wodach Nysy stosy zwęglonych ciał. Hans przez jakiś czas wysyłał na drugi brzeg patrole, które miały ich wyszukiwać i przeprowadzać na zachodnią stronę. Straty wśród patroli były jednak ogromne, dlatego po kilku dniach musiał zaprzestać tej praktyki. Nie mógł ryzykować życia żołnierzy w tak bezowocnym zadaniu.

W ostatniej grupie było siedmioro na wpół zagłodzonych i przerażonych Polaków. Na rozkaz Hansa nakarmiono ich z własnych zapasów czołgu. Obok maszyny rozpalono małe ognisko, zarówno dla podniesienia morale, jak i dla ogrzania się.. W ogniu było coś starożytnego i niewysłowionego. Hans kazał rozpalać ogniska zawsze, kiedy tylko pozwalała na to sytuacja taktyczna. Załoga zbierała się wtedy i grzała ręce w migoczącym ciepłe. Polacy też zbili się wokół ognia.

Tylko jeden z nich mówił po niemiecku, i to bardzo kiepsko. Rozgorączkowany, wymachiwał rękami i pokazywał jakieś nowe zagrożenie, prawdziwe bądź wyimaginowane, nadchodzące z drugiego brzegu.

Kiedy ich nakarmiono, Hans polecił Harzowi odprowadzić ich na tyły. Może mieli jakieś pożyteczne informacje, a może nie. Jeśli tak, tylko któryś z tłumaczy na tyłach mógł je z nich wydobyć.

Hans musiał jednak uznać, że Polak chciał mu przekazać coś ważnego. Natychmiast po powrocie do ciepłego wnętrza *Anny* postanowił zarządzić podwyższony poziom czujności.

* * *

Chociaż noc była zimna, Borominskar, stojący przy ogniu i okryty wzorzystym kocem ze starannie przeżutych i pozszywanych skór thresh, nie czuł chłodu. Jeden z cosslainów przywołał ze swojego wewnętrznego zbioru wiadomości umiejętności potrzebne do zrobienia koca. Chodząc od zagrody do zagrody, wybrał najlepsze thresh, te z najdłuższymi, najdelikatniejszymi, najjaśniejszymi włosami, by złożyć ofiarę swojemu Bogu. Po starannym przycięciu i oczyszczeniu świeżo zebranych skór cosslain przeżuwał je delikatnie przez wiele dni, by z łatwo psującego się ciała zmieniły się w miękkie, długowłose, ciepły zamsz.

Ogień przyjemnie grzał. Jego błyski, iskry i migoczące cienie, które tworzył, kojarzyły się Posleenowi ze spokojem, odprężeniem i ciszą. Równie miły był koc, jasny i puszysty, o odcieniu włókien, który thresh nazwałiby „blond”. Chronił Wszechwładcę przed mroźnym wiatrem nadlatującym z nad stepów na wschodzie.

Wszechwładca odkrył, że głaskanie długich, grubych włókien koca sprawia mu dziwną przyjemność, niemal taką samą, jak myśl o zemście na tchórzliwych, nigdy nie dość przeklętych thresh, którzy wyniszczyli połowę jego hordy.

A dzień tej zemsty był już bliski.

Borominskar miał straszliwe trudności z utrzymaniem dyscypliny wśród swoich kessentaiów i ich oolt'os. Lud był głodny, przerażony i rozwścieczony tchórzliwym wykorzystaniem płynnego ognia, którym thresh odparli ostami atak. Gdzieś w głębi ducha Posleeni bali się stawienia czoła tak straszliwej śmierci, jaka przypadła w udziale ich braciom.

Na wspomnienie wszystkich tych oolt'os palących się i duszących w płomieniach, ich żalosnych krzyków wzbijających się pod niebo, Borominskar wciąż dygotał i przechodziły go dreszcze.

Mimo to wystarczy jeszcze kilka dni i grupy zbieraczy, choć głodne, zbiorą dość żywych thresh, żeby plan Borominskara się powiódł. Thresh nie okazali żadnej litości dla jego ludu. Może jednak okażą ją swoim pobratymcom.

Tygrys Brunhilda, Kitzingen, Niemcy, 17 stycznia 2008

– Najsmutniejsze jest to – powiedział senny Mueller do wyczerpanego Schlüssela – że mając takie dwa, bylibyśmy trzy razy skuteczniejsi. Gdybyśmy mieli pół tuzina, polowalibyśmy na wroga jak stado wilków i niszczylibyśmy go, zanim mógłby zmasować skuteczny ogień. Pół tuzina takich „dziewczynek” jak nasza i Posleeni nie mieliby życia.

– Tak – zgodził się Schlüssel. – A wtedy nasze miasta nie byłyby niszczone z powietrza, nasze umocnienia wytrzymałyby dłużej, może w nieskończoność, a biedni dranie na ziemi mieliby większe szanse.

– Czy jest jakakolwiek szansa, że dostaniemy przynajmniej drugiego Tygrysa model B?

– Nie, Johann – odezwał się Prael. – Informacje można ściągnąć z Sieci: fabryka i większość materiałów są przenoszone do jednego z podmieść w Szwajcarii. Miną miesiące, zanim zostanie przygotowana do pracy. Nie wiadomo, kiedy ruszy produkcja.

– A Szwedzi? – spytał Mueller.

– Mają surowce – odparł Prael. – Mają nawet trochę dział elektromagnetycznych, które im wysłaliśmy, i wszystkie plany Tygrysów A i B. Ale tu znów trzeba przynajmniej kilku miesięcy, może nawet roku, zanim pierwszy czołg zjedzie z taśmy.

– Nie mamy roku – zauważył Henschel ze swojego kokonu z koców, w które zawinął się, by chwilę odpocząć.

* * *

Każdy dzień w Tygrysie był dla Rinteela jak rok normalnego czasu. Do ciągłej pracy, pracy, pracy, żeby utrzymać bestię na chodzie, pracy, która z powodu jego zręczności, umiejętności i instynktu coraz bardziej obciążała barki Indowy, dochodziło nieustanne poczucie zagrożenia i psychiczna męka za każdym razem, kiedy docierało do niego, że ten czołg, ta załoga z radością zabija istoty myślące.

Przynajmniej nie był głodny, tak jak przez tych kilka dni, kiedy skończyła, mu się żywność, którą zabrał ze sobą na pokład. Udało mu się sklecić syntezator pożywienia w niewykorzystanym kącie między przedziałem bojowym a zewnętrzną powłoką kadłuba. Stał obok tego, co ludzka załoga nazwała „destylarnią Nibelunga”.

Rinteel był coraz bardziej uzależniony od produktu tej destylarni. Przez długie dni i noce walki dawał mu odprężenie – nawet zapomnienie, jeśli przesadził z ilością – i pozwalał odpocząć od przeżywanej grozy.

Zauważył też, że niemiecka załoga nigdy nie przepuszczała okazji zabrania alkoholu, który znajdowali w opuszczonych miastach. Ponieważ Niemcy byli niemal tak samo porządni jak Indowy, wszędzie tam, gdzie *Brunhilda* znalazła choćby pół dnia, by zatrzymać się i odpocząć, ślad superczołgu znaczyły równo poukładane stosy bursztynowych i zielonych butelek.

Teraz czołg stał cichy i nieruchomy pod grubą warstwą pianki kamuflującej i śniegu. Potrzebował zaopatrzenia i napraw, i to już, w tej chwili.

Na szczęście ciężarówki z częściami zamiennymi, amunicją i żywnością już zaczęły ustawiać się w kolejce pod osłoną pobliskich ośnieżonych lasów. Pierwsza z ciężarówek amunicyjnych stała już obok potężnego kadłuba, a zewnętrzny dźwig Brunhildy podnosił z niej palety z amunicją i ładował je do magazynu.

Podczas kiedy trwało uzupełnianie zaopatrzenia, duża ekipa mechaników naprawiała potężne, złożone mechanizmy czołgu. Jeszcze inni mierzyli i poprawiali naciąg gąsienic, sprawdzali zawieszenie i wykonywali cały szereg innych wymaganych napraw pod pobieżnym nadzorem Rinteela.

Indowy nie miał nic do roboty przy zaopatrzeniu. Dlatego też na zmianę odpoczywał, jadł, pił, naprawiał czołg i czytał instrukcję obsługi. Spał, kiedy tylko mógł. Jadł pospiesznie i łapczywie. Pił tyle, żeby móc zasnąć. Naprawy nie miały końca.

A instrukcja... była prostacka.

Tygrys Anna, linia Odry-Nysy, 17 stycznia 2008

Płytką dolina Nysy zasnuta była gęstą mgłą. Czujniki termiczne *Anny* mogły ją oczywiście z łatwością przeniknąć, i to na sporą odległość. Hans przekazał dowodzenie swojemu oficerowi operacyjnemu, siedzącemu na fotelu dowódcy przed ekranem i przepatrującemu resztę okolicy przez hełm wirtualnej rzeczywistości.

Sam natomiast stanął we włązie na szczycie wieży, nasłuchując... sam nie wiedział czego. Nie było żadnych celów dla artylerii – mgła była za gęsta, aby marnować coraz trudniejsze do zdobycia pociski. Z bliższego brzegu rzeki nie dobiegały żadne wystrzały karabinowe, Posleeni nie strzelali ze swojej broni elektromagnetycznej. Jedynie okazjonalne dudnienie z tyłu lub przodu świadczyło, że artyleria kładzie sporadyczny ogień „nękająco-zaporowy”, inaczej N-Z.

Ostrzał N-Z miał służyć uprzykrzeniu przeciwnikowi życia... i dopilnowaniu, żeby nie nabral zbytniej śmiałości.

Hans wyłączył się z nasłuchiwanie nieregularnego huku dział. Teraz jego uszy, usprawnione przez te same procesy, które przywróciły mu młodość, próbowały wychwycić jakąś wskazówkę czy znak, co mogło tak przerazić tamtego Polaka.

Ale niczego nie słyszał. Hans przeklął mgłę, która nie pozwalała mu widzieć.

* * *

Borominskar przeklął pogodę tego świata. Jego plan wymagał, żeby ludzie widzieli!

Musieli widzieć bardzo dobrze... i to bardzo niedługo. Cały jego plan opierał się na tym, by threshkreen zobaczyli, co mają przed sobą. Tylko to – Wszechwładca był tego pewien – mogło zaprowadzić jego hordę na drugi brzeg rzeki i dalej.

Czy ta mgła nigdy się nie podniesie? Czy będzie zmuszony nakarmić hordę zebranymi thresh, zanim wykonają swoje zadanie? Ta myśl zupełnie go zniechęcała. Już teraz rozkazał zarżnąć wszystkich samców thresh, żeby nakarmić swoich oolt'os. Przyszło mu to bez trudu. Ale młode i

samice były mu potrzebne, żeby jego plan się powiódł. Jeśli mgła nie rozwieje się w ciągu kilku dni, Borominskar będzie musiał rozkazać je zarżnąć.

Wszechwładca spróbował się odprężyć. Bezwiednie pogładził grubą, miękką skórę ogrzewającą jego lędźwia.

* * *

Sfrustrowany i na wpół zamarznięty Hans opuścił właz dowódcy i zjechał *windą Anny* na grubo opancerzony i odpowiednio ogrzany pokład bojowy.

– Dowódca na pokładzie – oznajmił ją, szybko zwalniając jego fotel.

Hans bez słowa usiadł i założył na głowę hełm VR. Załoga, jej stanowiska, główny ekran, wszystko to w jednej chwili zniknęło.

Hełm przetwarzał dane uzyskiwane bezpośrednio od *Anny*. Kiedy warunki na to pozwalały, czołg wykorzystywał swoje zewnętrzne kamery i przekazywał wyraźny obraz. Tam, gdzie sięgała tylko termowizja, radar albo lidar, czołg transmitował coś, co można by nazwać przybliżonym zgadywaniem. W takich okolicznościach pokazywane obrazy były nieco uproszczone, symboliczne, a nawet rysunkowe.

– *Anno* – szepnął Hans.

– Tak, *Herr Oberst?* – odparł czołg w słuchawkach.

– Przepraszam, *Anno*. Mówiłem do kogoś innego.

– Tak jest, *Herr Oberst*.

Hans pogładził lewą kieszeń na piersi. *Anno*, mam bardzo złe przeczucia co do jutrzejszego dnia. Nie, nie boję się, że mnie tu pokonają. Tak czy inaczej, w końcu to zrobią. Ale jest coś jeszcze, coś innego... Coś, czemu moi ludzie nie stawiają czoła. Tak bym chciał, żebyś była tu ze mną. Zawsze uważałem cię *za* o wiele odważniejszą i mądrzejszą ode mnie, tak samo jak ładniejszą. A teraz jestem sam i się boję.

INTERLUDIUM

Lecąc swoimi tenarami nad księżycowym krajobrazem, Athenalras i jego adiutant Ro'moloristen obserwowali masy Ludu idącego zbudowanymi przez thresh drogami wprost w maszynkę do mielenia mięsa na froncie.

– Obawiam się, że byłeś w błędzie, pisklaku. Nie udało nam się wydrzeć z przyczółka utrzymanego przez Arlingasa i jego horde.

– Jeszcze nie, panie. Ale mimo to myślę, że zachowam głowę i narządy rozrodcze jeszcze przez jakiś czas.

Nie wiadomo czemu Ro'moloristen skrzywił się w posleeńskim odpowiedniku uśmiechu zadowolenia, co było zupełnie nie na miejscu u kogoś, kto był tak bliski spotkania z Demonami Nieba i Ognia.

– Wydajesz się bardzo zadowolony z siebie jak na kogoś, kto ma ruszyć w długą podróż z bardzo nieprzyjemnym początkiem – warknął Athenalras.

– Gdybym spodziewał się, że wyruszę w tę podróż, panie, bez wątpienia byłbym mniej wesoły.

– Wiesz coś, o czym mi nie powiedziałaś? – spytał oskarżycielko Athenalras.

– Tak, panie. – Młodszy Wszechwładca wyszczerzył się w uśmiechu. – Borominskar jest prawie gotów do ataku. A tym razem przedostanie się przez to, co stoi mu na drodze. Kiedy to zrobi, odciągnie threshkreen z tego frontu jak magnes odciąga opiłki żelaza. A wtedy, mój panie, wtedy przełamamy opór wroga.

– Horda Arlingasa została złuzowana – ciągnął Ro'moloristen. – Karmimy ich thresh z naszych zapasów. *Edas*, który naliczam Arlingasowi, znacząco redukuje nasz *edas* wobec niego. A bez nacierania na Arlingasa ze wszystkich stron threshkreen mają małe szanse odbicia drugiego brzegu rzeki.

– Może i tak, ale ludzie zawsze mają coś w rezerwie, jakąś nową, bezlitosną sztuczkę. Czy wysłedziliśmy i zniszczyliśmy tę ich nową maszynę, tę, która strąca nasze okręty nawet w kosmosie?

– Niestety nie, panie. Grupa wysłana jej tropem zniknęła bez śladu, a maszyna się wymknęła. Zacząłem montować drugą, większą i potężniejszą grupę. Co do tego, czy dadzą radę zamknąć wyłom, który Arlingas zrobił w ich umocnieniach... Zaczynam podejrzewać, że maszyna jest tylko jedna i niewiele zdziała na własną rękę. Nadrenia jest już prawie całkowicie oczyszczona z thresh – ciągnął Ro'moloristen. – Kilka milionów pojaliśmy na karmę dla hordy, chociaż złapani thresh są głównie starzy, twardzi i żyłaści. To nie wszystkie powody, dla których Borominskar postanowił atakować. Cóż, panie... Żywi wielką osobistą urazę do threshkreen, którzy stoją przed nim. I straszna będzie jego zemsta za to, jak nieczysto z nim walczyli. Panie... Przy odrobinie przygotowań sami możemy wykorzystać sztuczkę Borominskara, by zdobyć jeszcze jeden most.

Wiesbaden, Niemcy, 18 stycznia 2008

Przez długie dni i noce strumień ludzi uciekających przed posleeńskimi hordami nie wysychał, chociaż pogoda i ogień wroga sprawiały, że czasami malał. Thomas dziwił się, że aż tak wielu dotarło na zachód, do bezpiecznego schronienia.

Znał tylko jeden powód, dla którego tylu cywilów wciąż docierało tu cało. W kierunku przeciwnym do fali uchodźców jechała wąska, nieprzerwana kolumna ubranych na szaro mężczyzn i chłopców – ofiara wojskowej krwi, by ratować cywilną.

– To Niemcy, chłopcze – oznajmił Gribeauval. – Trzeba draniom przyznać, że kiedy naprawdę potrzeba, wiedzą, jak ginąć.

Thomas wiedział, że to prawda. Widział upiorne rozbłyski nad Mainz na południowym zachodzie i czerwone pociski smugowe, które leciały w górę, na spotkanie tych rozbłysków po zrykoszetowaniu od jakiejś twardej powierzchni. Niemieccy chłopcy – tacy sami jak on i jego koledzy – walczyli i umierali, by utrzymać teren wokół mostu i ocalić setki tysięcy cywilów, wciąż czekających na sygnał do wyruszenia na północ; dawali ponure świadectwo swojej odwagi i determinacji, by nie poddawać się aż do gorzkiego końca.

– Masz, przeczytaj – powiedział Gribeauval. – Właśnie przyszło... Komunikat radiowy od jakiegoś kaprała stamtąd.

Thomas przeczytał:

Zostało nas tu siedmiu. Czterech jest rannych, dwóch bardzo ciężko, ale mimo to wszyscy zajmują swoje stanowiska. Jesteśmy oblężeni od pięciu dni. Od pięciu dni nie mamy nic do jedzenia. Za dziesięć minut wróg zaatakuje, słyszymy, jak się zbiera. Został mi tylko jeden magazynek do karabinu. Zużyliśmy wszystkie miny. Karabin maszynowy jest kaput. Jesteśmy poza zasięgiem wsparcia moździerzy, a nie mogę wezwać artylerii. Założyliśmy martwy zapalnik na ostatnie ładunki wybuchowe, żeby wróg nie pożywił się naszymi trupami. Powiedzcie mojej rodzinie, że wykonałem swój obowiązek i że będę wiedział, jak zginąć. Niech naród niemiecki żyje wiecznie!

Thomas poczuł, że do oczu napływają mu niechciane łzy. Z trudem je powstrzymał. Tacy dzielni byli ci chłopcy, walczący tam i ginący w walce z przeważającymi siłami wroga, mając tak niewiele nadziei.

Gribeauval dostrzegł uczucia malujące się na twarzy chłopca.

– Tak, synu – powiedział. – Trzeba im to przyznać. To wspinały naród, wielki. A my mamy cholerne szczęście, że są teraz z nami.

Thomas się z tym zgadzał. Więcej nawet; pomyślał o sobie samym, samotnym, próbującym uratować matkę i młodszego brata przed obcą zarazą. Chciał być mężczyzną, wiedział, że się nim staje. Ale w pojedynkę w żaden sposób nie mógłby ocalić swojej rodziny. Do tego potrzebna była armia, armia odważnych mężczyzn i chłopców, gotowych oddać wszystko za swój naród.

Być może po raz pierwszy Thomas poczuł głęboką dumę, nie tyle z siebie, ile z ludzi, z którymi walczył, z armii, w której razem służyli, a nawet z wchodzących w jej skład żołnierzy odzianych w czerń i noszących podwójne błyskawice.

– Zachowaj ten komunikat, synu. Noś go w kieszeni. Może przyjdzie taki dzień, że będzie ci potrzebny dobry przykład.

Isabelle chciała dać dobry przykład. Chociaż nie miała żadnego przeszkolenia medycznego, była żoną jednego z najlepszych chirurgów Francji. Dużo wiedzy wchłonęła przez osmozę, przy kuchennym stole, na spotkaniach, podczas wizyt w gabinecie męża. Uznała, że jej pomoc może się przydać, choćby przy sprzątanu. Wiedziała też, jak zachować czystość przy otwartych ranach.

Uważała, że potrafi przynajmniej postępować zgodnie z pierwszą częścią przysięgi Hipokratesa, brzmiącą: „Po pierwsze, nie szkodzić”.

Upewniwszy się, że rodzina wiesbadeńczyków zaopiekuje się jej synem, i widząc, że chłopiec uczy się nowego języka i poznaje nową kulturę, wyruszyła na poszukiwanie jakiegoś szpitala.

Nie było łatwo. Niemcy, jeśli już uczyli się obcego języka, wybierali raczej angielski niż francuski – wynikało to z długiej tradycji przymilania się do nowych sojuszników i odsuwania od starożytnych wrogów. Z czasem toporny niemiecki Isabelle zaprowadził ją do francuskiego szpitala wojskowego. Z zaskoczeniem ujrzała *Sigrunen* obejmujące czerwony krzyż, ze zdziwieniem przeczytała nazwę szpitala wypisaną nie rzymskimi literami, lecz gotykiem: *Szpital Polowy, Dywizja SS Charlemagne*.

– Chce pani wstąpić do nas na ochotnika? – spytał jednoręki stary sierżant.

– *Oui*. Myślę, że mogłabym pomóc. Ale pomóc, *monsieur*, a nie wstąpić. Zabraliście już jednego z moich synów. Drugi mnie potrzebuje.

– Naprawdę? Zabraliśmy? Cóż, pomoc zawsze nam się przyda... Oprowadzę panią. Jak pani sama zobaczy, nic tu się nie dzieje przepisowo.

Tygrys Brunhilda, w pobliżu Kitzingen, Niemcy,

18 stycznia 2008

Wciąż czytając instrukcję obsługi, tę prymitywną, przekłętą, niemal niezrozumiałą instrukcję dla załogi, sfrustrowany Rinteel zaczął rozmawiać z samym czołgiem.

– *Brunhildo*, jestem zdezorientowany.

– Co jest powodem twojej dezorientacji, Indowy Rinteelu?

Rinteel napił się środka odurzającego z metalowego wojskowego kubka.

– Twoje oprogramowanie nie pozwala ci walczyć na własną rękę, zgadza się? – spytał, pokrzepiwszy się.

– Zgadza się, Indowy Rinteelu.

– Pozwala ci jednak na ucieczkę przy wykorzystaniu własnych możliwości, czyż nie?

– Tak, jeśli cała moja załoga jest martwa albo nieprzytomna, mam zawieźć ją i siebie samą w bezpieczne miejsce. Ale nie wolno mi używać głównej armaty bez rozkazu koloidalnej istoty myślącej. Mogę jednak wykorzystywać broń krótkiego zasięgu przeciwko celom w jej polu rażenia; to zawiera moje oprogramowanie obrony własnej. I nie wolno mi się cofać, dopóki mam co najmniej dwa pociski do głównej armaty.

– Czy możesz kierować główną armatą bez ludzkiego pośrednictwa?

– Mam taką techniczną możliwość, Indowy Rinteelu, ale wciąż nie mogę strzelać bez rozkazu koloidalnej istoty myślącej.

– To dziwne – stwierdził cicho Indowy.

– Nie zostałam zaprogramowana do komentowania poczynań moich twórców, Indowy Rinteelu.

– W takim razie co robisz, kiedy ucieczka jest niemożliwa?

– Posiadam matrycę decyzyjną samozniszczenia, która pozwala mi i wymaga ode mnie odpalenia całej posiadanej na pokładzie antymaterii, by nie dopuścić do pojmania przez wroga. Jak wiesz, moich reaktorów jądrowych praktycznie nie da się zmusić do detonacji.

Myśl o kilkuset dziesięciokilotonowych głowicach z antymaterią wybuchających naraz sprawiła, że Rinteel pociągnął długi łyk syntetycznego środka odurzającego.

* * *

Kilka metrów od Rinteela, oddzieleni wewnętrznym pancernym kokonem, Prael, Mueller i reszta opijali znalezionym piwem jutrzejszą przygodę, przedyskutowując plany i możliwości.

– Z tego, co widzę, największym zagrożeniem – stwierdził Schlüssel – jest most na Renie.
– Nie jestem pewien – powiedział Mueller. – Linia Odry-Nysy jest w rozsypce.
– Skoro o tym mowa – dodał Henschel – wciąż mamy wroga w samym sercu Niemiec. Och, te skupiska są w większości okrążone, ale gdyby udało nam się wyeliminować jedno, uwolnilibyśmy żołnierzy, którzy z kolei mogliby się zająć następnymi.

– Problem w tym – wtrącił Prael – że siły okrążające te skupiska nie mają żadnych jednostek pancernych, które mogłyby nas wesprzeć. Jeśli sami uwikłamy się w walkę... Cóż, *Brunhilda* ma skończoną ilość opancerzenia, i to niezbyt grubego, nie licząc jej wspaniałej, hojnie obdarowanej przez naturę piersi.

– Na linii Odry-Nysy są Tygrysy model A, które zapewniłyby nam wsparcie – zauważył Mueller.

Prael spojrział na mapę sytuacyjną przygotowaną przez SI *Brunhildy* i ściągniętą przez niego jako pomoc przy podejmowaniu decyzji.

– Tak, Johann, ale na razie jesteśmy w stanie stwierdzić, że nas tam nie potrzebują. Jest tam cała *Schwere Panzer Brigade* Michael Wittmann, bynajmniej nie sama. Ren to inna historia. Odwrót z Nadrenii był katastrofą. Stracono wiele Tygrysów. Moim zdaniem tam przydalibyśmy się najbardziej.

– A więc – powiedział Henschel, najstarszy z załogi – niech to będzie „Die Wacht am Rhein”.

* * *

Rinteel z niejakim zaskoczeniem usłyszał słabe śpiewy dochodzące z otwartego wjazdu przedziału bojowego. Nie żeby śpiewanie było czymś niezwykłym – kilka piw... trochę sznapsa... i załoga nieodmiennie popadała w łzawą, ckliwą *Gemütlichkeit*.

Zaskakujące były słowa i melodia. Rinteel nigdy przedtem nie słyszał tej pieśni, a postawiłby galaksjańskie kredyty, że odkąd dołączył do załogi czołgu, został potraktowany wszystkimi bez wyjątku niemieckimi piosenkami ludowymi i wojskowymi.

Słowa były jednak wyraźne, a melodia porywająca. Rinteel słuchał.

Rozbrzmiewa głos jak gromu dźwięk
Gdzie fale grzmią i stali szczęk.
O Renie, Renie, Renie nasz
Któż trzyma nad twym nurtem straż?
Bez trwogi śpij, Ojczyzna ma
Twych synów mur nad Renem trwa.
Wierna i silna warta twa Warta na Renie...
Wiesbaden, Niemcy, kwatera główna Mühlenkampfa,

18 stycznia 2008

Maszerujący w świetle ulicznych latarni batalion zmęczonych, lecz wyprostowanych *Landsers* śpiewał:

Tysiący stoi ich ze sto
I pomszczą rychło każde zło.

Synowska miłość piersi dmie
Obronią nas, nie ugną się.
Bez trwogi śpij, Ojczyzno ma...

Gdzie był ten duch?, pomyślał gorzko Mühlenkampff, patrząc przez okno w dół. Gdzie był, kiedy mógł jeszcze coś zmienić?

Nie bądź osłem, Mühlenkampff, skarcił siebie w myślach. Ten duch zawsze tu był, głęboko ukryty. To nie wina tych chłopców, że ich wodzowie nie dopuszczali, żeby się ujawnił.

Generał westchnął z żalem, zamyślił się nad katastrofalnymi skutkami gospodarczymi posleńskiego najazdu... a także nad coraz dotkliwymi brakami amunicji, paliwa i żywności. Teraz, westchnął, duch to jedyna rzecz, której mamy pod dostatkiem.

Odwrócił się od okna do wyświetlanej na przeciwległej ścianie mapy. Wolno, za wolno ściągał te swoje oddziały, które osłaniały odwrót z Nadrenii bardziej ku centrum. Straty? Kto mógłby je policzyć? Dywizje rzucające do bitwy w pełnej sile były teraz zaledwie szkieletami, z nędznymi strzępami ciała wiszącymi na kościach. System uzupełnień, pracujący pełną parą, mógł oblec je z powrotem w ciało... ale potrzebował czasu, dużo czasu. A ciało miało swoje ograniczenia, ilość mięsa, które można było puścić do zmielenia, też nie była nieskończona.

Część tego właśnie przeznaczonego do zmielenia mięsa, które maszerowało pod postacią dywizji piechoty na front, na rzeź, śpiewała pod oknem Mühlenkampffa.

Patrząc w zmęczone, ale pełne determinacji oczy chłopców, generał poczuł przypływ dumy, wybijającej się ponad smutek i rozpacz. *Może jesteście lemingami, jak was kiedyś osądziłem, moi chłopcy. Może nawet wilkami, kiedy jesteście w stadzie. Ale jeśli wilkami, to o wielkich sercach, i jestem dumny z każdego z was. Możecie już nie zobaczyć następnego poranka, i chociaż wszyscy o tym wiecie, maszerujecie do wtóru huku dział.*

Mühlenkampff patrzył na idącą w dole procesję, a tymczasem na wschodzie wyjrzało nad horyzont słońce, rzucając na żołnierzy swoje pierwsze, słabe światło.

Tygrys Anna, linia Odry-Nysy, Niemcy, 23 stycznia 2008

Wschodzące słońce rozświetliło mgłę, ale nie potrafiło jej wypalić. Drząc z zimna we władze dowódcy, Hans irytował się. *Coś tam jest nie tak, a ja zupełnie nie mam pojęcia, co to takiego.*

Cztery noce wcześniej Hans rozkazał znów wysłać nocne patrole. Nie miały one na celu, jak dotąd, pomagać Polakom uciekającym przed machiną śmierci obcych. Brasche ryzykował życie swoich ludzi dla jednej z niewielu rzeczy na wojnie cenniejszych niż krew: informacji.

Pieszono tam, gdzie woda była dość płytka, pontonami tam, gdzie się dało, osiem patroli wyszło w noc, po ośmiu do dziesięciu ludzi w każdym. Hans pożegnał kilka z nich osobiście, ściskając dłonie – prawdopodobnie po raz ostatni – każdego żołnierza wchodzącego do wody albo wsiadającego do małego pontonu.

Jeden po drugim patrole nie wracały o wyznaczonym czasie, a obawy i frustracja Hansa jeszcze się wzmaczały.

Inni dowódcy na tym froncie wpadli na podobny pomysł. Hans nie znał szczegółów, ale wiedział, że w sumie wyruszyło ponad sto patroli. Nie wiedział jednak, czy którykolwiek z nich wrócił. Jedynie krótkie wymiany ognia i eksplozje wzdłuż drugiego brzegu rzeki świadczyły o krwawej porażce.

* * *

Sukces jest słodki, pomyślał Borominskar, czytając napływające do niego meldunki o wyrzynanej jedna po drugiej grupie ludzi. Jak bezczelne są te istoty, żeby rzucać wyzwanie moim

poddanym na uczciwie przez nich zdobytej ziemi.

Z „uczciwie” żaden Polak by się nie zgodził. Ale to, że „zdobytej”, nie ulegało wątpliwości. Udowodniła to śmierć stu patroli, blisko tysiąca ludzi.

* * *

Dawid Benjamin nie uważał niczego za udowodnione, zwłaszcza poglądu, że wojna jest już przegrana albo że patrole są skazane na zagładę.

Jako doświadczony oficer dawnej, teraz zniszczonej izraelskiej armii, wziął sobie do serca starą prawdę mówiącą, że dowódcy dają przykład. W dość niejasny sposób zdawał sobie sprawę, że żołnierze nie nauczyli się tego od swoich teoretycznych brytyjskich mentorów, przedstawicieli *bahdzo, bahdzo* wysokich klas społecznych, ale od zupełnie normalnych przedstawicieli niemieckiej klasy średniej. Jeśli dodać do tego korpus oficerski i podoficerski, który miał więcej wspólnego z praktykami rosyjskimi niż zachodnimi – dużo oficerów, mało podoficerów mających rzeczywistą władzę – Dawid tak naprawdę mógł zrobić tylko jedno.

Patrol, który prowadził, podpełził w gęstej mgle nad brzeg Nysy. Tam napompowali ponton, a potem znieśli go w całkowitej ciszy na skraj wody. Żołnierze prowadzeni przez Benjaminą wahali się tylko krótką chwilę przed wejściem w lodowaty nurt. Wstrząs spowodowany wodą wlewającą się do butów, przesiąkającą nawet przez najgrubsze zimowe mundury i omywającą skórę odebrał wszystkim mowę. Czuli się tak, jakby lodowate noże cięły ich aż po samo serce.

Ale mogli tylko iść dalej. Kiedy ci na przodzie weszli do wody po uda, zarzucili nogi na gumową burtę pontonu, a tymczasem następni dalej go pchali. Potem do środka wsiadła druga para żołnierzy, trzecia, wreszcie ostatnia. Każda wsiadająca para łapała leżące w środku krótkie, grube wiosła.

W końcu, kiedy ponton dryfował już przed siebie siłą rozpędu, Benjamin wydał po hebrajsku rozkaz:

– Wszyscy razem.

Żołnierze ostrożnie zanurzyli wiosła w wodzie, szybko łapiąc rytm, który pchnął ponton do przodu.

Dawid i jego zastępca dowódcy patrolu, sierżant Rosenblum, używali swoich wiosł także do odpychania ostrych kawałków lodu, które mogłyby uszkodzić ponton. Raz, kiedy z mgły wychynął straszliwy, spalony i zamrożony trup Posleena, Dawid zepchnął go wiosłem w głąb ciemnej rzeki.

Kiedy dobiegli do drugiego brzegu, wyskoczył na ląd, z pistoletem maszynowym gotowym do strzału. Rosenblum tymczasem wbił cienki metalowy pręt w zamrożoną ziemię, przywiązał do niego linkę cumowniczą i pomógł pozostałym zejść na brzeg.

Ostatni dwaj zostali, aby pilnować pontonu, jedynej możliwości powrotu na swój brzeg.

Rosenblum i pozostali czterej zaczęli, aż Benjamin spojrzy na mapę i kompas – GPS od dawna nie działał – i wskaże kierunek, w którym Rosenblum ma mszyć jako szpica.

Patrol mijał wiele szkieletów Posleenów, ale zaledwie kilka całych trupów. Dawid i inni nie dopuszczali do siebie myśli o rodzinach straconych w Izraelu, zwłaszcza o tym, że mogły zostać, tak jak ci Posleeni, pożarte.

– Nawet hitlerowcy... – szepnął zdjęty grozą Rosenblum. Minąwszy szeroki pas usłanej trupami polskiej ziemi, patrol wyszedł na zamrożony step. Benjamin postanowił pod koniec dnia wrócić na skraj owego pasa.

Zwykły kamuflaż byłby przedsięwzięciem bez szans. Zamiast tego więc, zachowując ciszę, żołnierze zbudowali trzy małe kryjówki z trupów i szczątków Posleenów. Pod nimi sześciu mężczyzn na zmianę spało i obserwowało teren przez resztę krótkiego polskiego zimowego dnia.

Wiele razy tego pierwszego dnia patrol słyszał warkot i parskanie posleeńskich zbieraczy żywności. Dwa razy podeszli tak blisko, że we mgle było ich niewyraźnie widać. Wtedy śpiących budzono i wszyscy razem czuwali.

- Coś mnie martwi – szepnął Benjamin do Rosenbluma.
- Co takiego, panie majorze?

Benjamin zastanawiał się przez chwilę, co takiego wydało mu się podejrzane. Nagle zrozumiał.

- Szukają każdego najmniejszego strzępu mięsa, nawet gnijącego. Zupełnie jakby głodowali.
- Cóż – odparł sierżant po chwili namysłu – w końcu jest zima. Żniwa...
- Mogą jeść wszystko, w tym żniwa sprzed kilku miesięcy i zimowe zboże, które wciąż stoi. Mogą jeść trawę, drzewa i geranium z doniczki cioci Marii. Ale po co mieliby to robić, skoro złapali tylu Polaków? To jest nielogiczne.

* * *

Choć jasność świadczyła, że słońce pokonało już połowę drogi do zenitu, mgła wciąż spowijała cały front. Kilkudziesięciu na wpół zamrzniętych żołnierzy wróciło, chociaż za każdym razem nie było ich więcej niż jeden czy dwóch z patrolu. Opowiedzieli oficerowi wywiadu Hansa – kiedy już udało się ich zmusić do wykrztuszenia choć słowa z przemarzniętych ust i zmrożonych grozą umysłów – że zadanie było beznadziejne. Posleeni byli zbyt liczni na ziemi i zbyt czujni, by można było przedostać się na ich tyły i sprawdzić, co się tam dzieje.

Jak wiele razy do tej pory, Hans Brasche przeklął w myślach mgłę.

* * *

Dłoń Wszechwładcy głaskała ciepłe, lekkie okrycie. Nie przyszło mu do głowy, żeby wysłać kontrpatrole. Właściwie wszystkie te ludzkie próby zdobycia informacji wydawały mu się wynaturzeniem. Posleeni nie zwykli przekradać się w ciemności i mgle, aby uniknąć wykrycia. Lud lubował się w otwartej walce, w czynach dokonywanych na oczach całej hordy, tak by Pamiętający mogli zapisać je i opiewać następnym pokoleniom.

Szczęśliwym zrzędzeniem losu w tym wypadku stało się to, o czym Borominskar nie pomyślał. Szukając ochłapów żywności pośród zabitych w poprzedniej bitwie, jego podwładni nieumyślnie stworzyli gęstą zaporę dla tchórzliwych podchodów threshkreen. A głodni Posleeni mieli wszelkie powody koncentrować się na wędrujących po stepie luźnych grupach threshkreen. Tylko w ten sposób mogli zaspokoić głód, skoro z rozkazu Borominskara racje żywnościowe były drastycznie ograniczone.

Miło było widzieć, że wreszcie coś idzie tak jak trzeba. *Cóż, Ścieżka jest w końcu drogą przypadku i szczęścia...*

* * *

Fortuna sprzyja odważnym. Benjamin przypomniał sobie te słowa jako tytuł jakiegoś filmu, który widział kiedyś z żoną, w szczęśliwszych czasach. Wtedy była to prawda, teraz tym bardziej.

Z zapadnięciem zmroku oddział znów ruszył na wschód. Za pasem trupów pozostałych po ostatniej bitwie było mniej posleeńskich patroli. Bandy obcych łatwo można było wykryć z daleka po blasku ich ognisk. Benjamin i jego ludzie omijali je szerokim łukiem. Dawid zaznaczał je też na mapie.

Następny poranek zastał patrol dwadzieścia kilometrów w głąb opanowanego przez Posleenów terytorium, w opuszczonej małej polskiej wsi. Ludzie bynajmniej jej nie porzucili – ich gołe szkielety wały się na uliczkach i w domach. Ale żywi uciekli, jedzenie zniknęło. Rosenblum nie wyszperał niczego bardziej pożywnego niż kilka butelek taniej wódki.

Ludzie Benjamina przeżyli ten dzień na niemieckich racjach polowych, często więc zawierających pogardzaną wieprzowinę. Cóż, wielu Izraelczyków nie przejmowało się koszernością. A ci, dla których miało to znaczenie? Konieczność zmuszała ich do jedzenia tego, co było dostępne.

Być może rozpita wódka pomogła im przewyciężyć żywieniowe skrupuły.

* * *

Obowiązek nakarmienia dowódcy przypadł w losowaniu Harzowi. Napelniwszy przegródki tacki bawarskimi *Spätzle*, bułkami i masłem, jakąś nieokreśloną zieleniną i gotowaną wieprzowiną, i biorąc w drugą rękę duży kubek mocno posłodzonej i lekko zaprawionej alkoholem kawy *roggenmehl*, wszedł na jednoosobową windę wjazdu i rozkazał:

– *Anno*, w górę.

Wciąż nasłuchujący i spoglądający w ciemność Hans wydawał się nie zauważać Harza, który wyłonił się z automatycznie otwieranego wjazdu i postawił obok niego tackę. Żołnierz stał tak przez chwilę, pozostawiając Braschego sam na sam z jego myślami. W końcu odkaszlnął cicho, żeby zwrócić na siebie uwagę dowódcy.

– Słyszałem, jak wyjechałeś – rzekł Hans.

– Obiad, *Herr Oberst* – oznajmił Harz.

– Zostaw go tutaj, *Unteroffizier* Harz. Zjem, jak będę miał czas.

– Panie pułkowniku, muszę panu przypomnieć słowa mądrego *Feldfebla*: „Nie jedz...”.

Hans przerwał mu, kończąc cytat.

– „...kiedy jesteś głodny, jedz, kiedy możesz. Nie śpij, kiedy jesteś zmęczony, śpij, kiedy możesz. A kiepska podwózka jest lepsza niż dobry marsz”. Już to słyszałem, dziękuję bardzo, Harz.

– Tak jest, panie pułkowniku. Ale to i tak dobra rada.

– Bardzo dobrze, Harz. Zostaw to tutaj. Zjem za chwilę. Wracaj na stanowisko.

Rozkaz to rozkaz. Harz oczywiście nie strzelił obcasami. Tego zwyczaju nawet odrodzone SS nie kontynuowało. Ale stanął na baczność.

– *Anno*, w dół – rozkazał.

Wjazd zamknął się za nim bezgłośnie.

Znów sam, Hans podniósł tackę. *Spätzle*, warzywa, bułki i masło zjadł szybko. Potem postawił kołnierz swojego skórzanego płaszcza, ścisnął obiema dłońmi parujący kubek i znów zapatrzył się w mgłę.

W jego słuchawkach zatrzeszczał głos oficera wywiadu.

– Panie pułkowniku, jest pan potrzebny nad rzeką.

W wyciągniętej ku Borominskarowi ręce *cosslain* trzymał świeżą nogę, prosto z ubojni. Nie była duża, mierzyła co najwyżej pół metra według miar *threshkreen*. Ale Wszechwładca zakazał *cosslainom* i *normalsom* jeść mięsa, pozwalając na bardzo małe porcje tylko *kessentaio*m. Póki co *thresh* musieli być oszczędzani.

* * *

Zachodzące słońce świeciło jasno w oczy podróżującej grupy *Posleenów*. To mogła być jedyna rzecz, która ocaliła patrol przed wyczulonymi zmysłami obcych. Gdyby towarzyszący im *kessentai*, lecący pięć czy sześć metrów nad oddziałem, sprawdził swoje przyrządy, mogłyby mu zdradzić, że w okolicy są dzicy *thresh*.

Po co ich oszczędzają?, zastanawiał się Benjamin, patrząc na kolejną małą grupę ludzi, najwyraźniej zdrowych i dobrze odżywionych, prowadzonych na wschód przez *Posleenów*, na których wychudzonych torsach widać było żebra. Każda rozsądna... każda normalna grupa *Posleenów* już dawno zżarłaby tych więźniów i poszła szukać następnych.

Nawet na płaskich polskich równinach zdarzały się przeszkody terenowe: pofałdowania ziemi, drzewa, miasteczka. To właśnie z kolejnego bezludnego miasta na niskim, biegnącym z północy na południe, lekko zalesionym grzbiecie izraelski patrol obserwował wędrujących wolno Polaków i ich posleńskich strażników.

Ani jeden żołnierz z patrolu nie był polskiego pochodzenia. Niejeden, gdyby zgłębił polsko-żydowskie „stosunki” w ciągu ostatnich kilku wieków, czułby gorycz czy nawet nienawiść. A mimo to Benjamin mówił niemal za wszystkich, kiedy oznajmił:

- Uwolnimy tych ludzi dziś wieczorem.
- Jest ich dwudziestu czterech – ostrzegł Rosenblum – i Wszechwładca. Stosunek sił jest mocno niekorzystny, szefie. Poza tym jak mamy przeprowadzić setkę ludzi trzydzieści kilometrów z powrotem do rzeki, a potem przeprowadzić ich na drugą stronę tak, żeby nas nie złapali? Panie majorze, chciałbym im pomóc, ale...
- Żadnych ale. Zrobimy to. I wiem już nawet jak.

* * *

Tutaj, pięć czy więcej kilometrów od gęstej mgły wciąż spowijającej nocami dolinę Odry-Nysy, świeciły gwiazdy i pół księżyca.

Ludscy więźniowie kulili się w środku kręgu obcych. Krąg ten, dwa tuziny posleńskich normalsów, połowa zwrócona na zewnątrz, połowa do wewnątrz, wydawał się trochę sflaczały – głowy obcych opadały z grodu albo zmęczenia.

W górze bez końca krążył samotny tenar Wszechwładcy, lecąc na autopilocie między normalsami zwróconymi na zewnątrz a tymi do wewnątrz. Sam kessentai z oklapniętym grzebieniem zwieszał głowę we śnie.

Rosenblum niosący jedyny karabin snajperski oddziału – wyposażony w separator i zamek typu „pociągnij i puść” Blaser 93, z opracowanym przez Finów doskonałym pociskiem .338 lapua magnum w komorze – przyjrzał się temu wszystkiemu przez szerokokątną, wzmacniającą światło lunetę. Zadaniem sierżanta było zabicie Wszechwładcy, co przy ruchomym celu, z odległości dziewięciuset metrów, było nie lada wyczynem.

– I pamiętaj, nie wolno ci trafić w matrycę mocy – ostrzegł go Benjamin. – Wybuch zabiłby wszystkich Posleenów, ale także wszystkich ludzi.

Rosenblum obiecał, że się postara, przysięgając jednak w duchu, że jeśli będzie musiał wybierać między życiem swoich kolegów i Polaków, Polacy niestety przegrają.

Uszy sierżanta przysłaniały słuchawki podłączone do jego osobistego radia krótkiego zasięgu. Była to jego jedyna ochrona słuchu, chociaż przy strzale z lapuy dość mizerna.

Tak czy inaczej, major nakazał zachowywać ciszę radiową. Kto może wiedzieć, co obcy są w stanie wykryć?

* * *

Nasłuchiwanie, pełznięcie powoli jak pnącze, zatrzymywanie się co chwila: to był cały świat Benjamina i jego żołnierzy.

Noc przeszywały zagłuszające ich dźwięki – ludzie krzyczeli przez sen, Posleeni chrząpali i warczeli, tenar cicho buczał. Benjamin liczył, że te odgłosy pozwolą mu dość szybko zbliżyć się do wroga na odległość kilkuset metrów.

Teraz jednak byli już za blisko, by poruszać się szybko. Mogli tylko czołgać się i nasłuchiwać.

Benjamin wraz z dwoma żołnierzami, niosący wszystkie sześć claymore’ów oddziału, przesuwali się na prawo od linii łączącej opuszczone miasteczko z posleńsko-ludzkim obozowiskiem.

Claymore był niczym więcej jak grubą na dwa i pół centymetra, wygiętą, pustą plastikową płytą. Z przodu w plastikowej matrycy spoczywało siedemset kulek od łożysk. Za nimi znajdowało się zero siedem kilograma plastiku. Otwory z wierzchu umożliwiały zamocowanie w materiale wybuchowym zapalników.

Claymore często był uważany za broń obronną i nazywany przez ignorantów kolejną nieludzką „miną przeciwpiechotną”.

Ani jedno, ani drugie nie było do końca prawdą. Chociaż claymore’a można było i często używano w charakterze pułapki, to samo dało się powiedzieć o granacie ręcznym, broni, na którą esteci nie zwracali aż takiej uwagi. Właściwie to samo dotyczyło również blaszanej puszkii pełnej gwoździ i materiału wybuchowego, z założonym zdalnym zapalnikiem. Przede wszystkim jednak claymore’ów używano do obrony obsadzanych przez ludzi stanowisk i detonowano je zdalnie, zamiast narażać włóczące się w pobliżu dzieci.

Mimo to niekoniecznie należało ich używać w celach obronnych. Claymore’a można było wykorzystać także do rozpoczęcia ataku, dając atakującemu natychmiastową przewagę ogniową i jednocześnie dziesiątkując obrońców.

Claymore’y można było bowiem wycelować – miały przewidywalne pole rażenia. Co więcej, było to podwójne pole, bliskie i dalekie, z szerokim pasem bezpiecznego obszaru w środku. Odpowiednio ustawione, wycelowane w górę na odległość pięćdziesięciu metrów, claymore’y wyrzynały wroga do tej odległości. Potem jednak kulki łożysk wznosiły się za wysoko, by skrzywdzić wyprostowanego mężczyznę... aż do odległości dwustu-dwustu pięćdziesięciu metrów, kiedy ich trajektoria znów opadała na wysokość morderczą dla ludzi i Posleenów. Na tym właśnie opierał się plan Benjamina.

* * *

Stojący w odległości sześćdziesięciu metrów Posleen przypominał konia. Według Benjamina wyglądał i wydawał odgłosy, jakby spał, powarkując i skamląc cicho niczym pies śniący zły sen, z lekko zwieszoną głową.

Jakieś dziesięć metrów za nim, nieco w bok, zwrócony do wewnątrz obcy również sprawiał wrażenie drzemającego.

Ostrożnie, bardzo ostrożnie Benjamin ustawił claymore’a na ziemi. Próbował wbić zaostrome nóżki w zamarznąłą ziemię, ale bezskutecznie. Zamiast tego rozchylił je, tworząc dwa wąskie odwrócone „V”, i zaczął odpowiednio ustawiać broń.

Pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt metrów po obu jego stronach pozostali dwaj żołnierze z grupy robili mniej więcej to samo. Kiedy skończyli, pozostali dwaj podczołgali się bliżej i rozstawili swoje claymore’y, celując w następne pary posleńskich strażników. Benjamin zostawił sobie jednego claymore’a na czarną godzinę.

Kiedy tylko skończyli, wszyscy odczołgali się w tył. Szesnastometrowe kable claymore’ów nie pozwalały Izraelczykom spotkać się w jednym miejscu. Próbę połączenia min jednym przewodem detonującym Benjamin uznał za głupotę, zważywszy na bliskość wroga. Zamiast tego podczas nużących prób odmierzył czas między rozdzielaniem się żołnierzy, rozmieszczeniem claymore’ów i powrotem na bezpieczne pozycje. Potem dla bezpieczeństwa wydłużył go o drugie tyle i dodał jeszcze pięćdziesiąt procent na wszelki wypadek. W ten sposób każdy żołnierz miał półtorej godziny od momentu rozdzielania się do powrotu na swoje stanowisko i przygotowania się do odpalenia min.

Kiedy zegarek powiedział mu, że wyznaczony czas minął, Benjamin przysunął do twarzy swoje małe radio.

– Rosenblum? Karabin maszynowy?

* * *

– Ludzka transmisja radiowa z odległości stu pięćdziesięciu siedmiu miar na południowy wschód – zapisał tenar.

– Co?! – Kessentai obudził się w mgnieniu oka, chociaż prawdziwa czujność i racjonalne myślenie miały przyjść dopiero za chwilę. Sprawdził swoje przyrządy, żeby potwierdzić alarm, a potem przejął sterowanie tenarem, wyłączając autopilota. Na krótką chwilę tenar znieruchomiał na tle nieba.

* * *

– Jestem – odparł sierżant Rosenblum.

– Strzelaj – powiedział Benjamin.

– Tak jest.

Sierżant ułożył się w pozycji do strzału, sprawdzając, czy krzyżyk celownika znajduje się na piersi nieruchomego teraz Wszechwładcy. Jego palec szybko ściągnął luz spustu; sierżant utrzymywał równomierny nacisk, tak jak go nauczono dawno temu na kursie snajperskim na pustyni Negew.

Huk wystrzału go zaskoczył.

* * *

Wszechwładca, właśnie rozbudzający się do końca, poczuł straszliwe szarpnięcie, przeszywające go od jednego boku do drugiego. Jego tors załamywały fale bólu. Przez chwilę utrzymywał się na nogach, chociaż z trudem. Wykręcając głowę, by spojrzeć na bok, w który został trafiony, zobaczył mały otwór, z którego tryskała żółta krew. Odwróciwszy się w drugą stronę, z przerażeniem ujrzał dziurę wielkości dwóch złożonych pięści. Nagle na widok własnego poszarpanego ciała zrobiło mu się niedobrze.

Kolana ugięły się pod nim i osunął się na dno tenara, popiskując jak pisklak wyciągnięty z zagrody na przekąskę. Pozbawiony pilota tenar zachował się zgodnie ze standardowym programem i łagodnie osiadł na ziemi. Przemarznięta trawa i ziemia zachrzęściły pod jego ciężarem.

* * *

Kiedy tylko dotarł do niego huk wystrzału Rosenbluma, Benjamin szybko ścisnął raz i drugi swojego „klikacza”, detonator claymore’a.

Pierwsze ściśnięcie jednak wystarczyło, niemal jak za każdym razem. Ładunek elektryczny przeskoczył krótki odcinek kabla do zapalnika. Ten, ożywiony, wybuchł z siłą wystarczającą – gorącym i wstrząsem – by zdetonować otaczający go plastikowy materiał wybuchowy mieszanina 4.

C-4 strzaskało żywiczną płytę zawierającą kulki łożysk. Chociaż nie wszystkie się rozdzieliły – w dal pomknął przynajmniej jeden kawałek z trzynastoma wciąż szczepionymi – wybuch wyrzucił co najmniej trzysta pocisków różnej wagi i kształtu.

Najbliższemu Posleenowi niemal natychmiast oderwało dwie przednie nogi, następne pociski przyjął na tors. Drugi, stojący nieco dalej przodem do ogniska, został trafiony jedną kulką w zad i dwiema kolejnymi w kark. Obaj wrzasnęli z zaskoczenia i bólu. Pierwszy padł na pysk, ten dalszy rzucił się do ucieczki, krwawiąc w galopie.

Benjamin usłyszał jeszcze dwie eksplozje po obu stronach. Mógł tylko mieć nadzieję, że tamte claymore’y również dobrze się spisały.

* * *

Jedenastoletnia Marysia Walewska próbowała zasnąć, wtulona w ciepło matki. Nie obudził jej szum latającej maszyny obcego, siadającej jakieś dwadzieścia metrów dalej, ani nawet stłumiony przez odległość wystrzał, który był tego przyczyną.

Z niespokojnego snu wyrwało ją dopiero pięć eksplozji i błysków, dobiegających z drugiej strony ludzkiego obozowiska.

Marysia odwróciła swoją małą główkę w tamtym kierunku, ale niczego nie zobaczyła. Coś – bardzo wiele czegoś – przeleciało w górze, bucząc jak stado rozszoszczonych pszczoł.

A potem usłyszała wrzaski strażników, kiedy pszczoły zaatakowały.

* * *

– Ludzie, żołnierze! – wrzeszczał raz po raz Benjamin, biegnąc do przodu z gotowym do strzału pistoletem maszynowym. Wątpił, czy ktoś go zrozumie, właściwie nawet był pewien, że nikt, skoro krzyczał po hebrajsku. Ale to nieważne, czy rozumieją, czy nie; Polacy na pewno potrafią odróżnić ludzką mowę od języka obcych i wyciągnąć z tego właściwe wnioski.

Pierwsza seria Benjamina trafiła najbliższego Posleena, tego z oberwanymi nogami. Łeb obcego rozbryznął się w fontannie żółtych kości, zębów i krwi.

Dwaj izraelscy żołnierze biegnący obok niego wrzeszczeli to samo. Oni również strzelali do wszystkich mijanych Posleenów, zarówno martwych, jak i żywych.

Nazywało się to „unikaniem niepotrzebnego ryzyka”.

* * *

– Zaryzykujmy i uciekajmy! – zawołał jeden ze stojących Polaków. Nie czekając na odpowiedź, popędził na północ. Nie przebiegł nawet dziesięciu metrów, kiedy pierś rozerwał mu pocisk z karabinu elektromagnetycznego posleńskiego strażnika. To wystarczyło, by wszyscy, którzy byli tego świadkami, padli na ziemię i mocno do niej przywarli.

* * *

Kiedy tylko przytulony do ziemi Rosenblum zobaczył, jak Wszechwładca zatacza się po jego wystrzale, a tenar zaczyna opadać, skierował swoją uwagę na innych, wciąż stojących Posleenów. Jego prawa ręka automatycznie pociągnęła dźwignię zamka, ładując do komory następny pocisk. Sekcja karabinu maszynowego, atakująca z lewej strony, przed Rosenblumem, kosiła Posleenów po swojej stronie obozowiska. Wielu obcych, zauważył sierżant, zachowywało się tak, jakby byli ranni albo ogłuszeni. Mimo ich chaotycznych ruchów karabin maszynowy kosił ich jak zboże.

– No, w końcu siła ognia to ich działka – mruknął Rosenblum. – Ale precyzja to moja.

Z tymi słowy sierżant ustawił krzyżyk celownika na posleńskim strażniku unoszącym broń, by otworzyć ogień do Polaków.

* * *

Marysia i jej matka patrzyły bezradnie, szeroko otwartymi oczami i z rozdziawionymi ustami na jednego z ich oprawców, już krwawiącego z rany na piersi, który podniósł broń, by je zastrzelić. Ich spojrzenia nie zmieniły się nawet wtedy, kiedy Posleena trafiło coś, co przeleciało nad ich głowami z głośnym, złowrogim trzaskiem.

Trafiony centralnie pociskiem .338 lapua, obcy runął na zad, w jednej chwili martwy.

* * *

Benjamin nawet nie zwolnił, wysyłając serię w stronę chwiejącego się, dezorientowanego obcego. Wciąż krzyząc z całych sił: „Ludzie, żołnierze!”, biegł w stronę grupy więźniów na środku obozowiska. Wiedział, że od tej chwili trzeba uważniej kontrolować ogień, i wykrzyczał to do ledwie widocznych po obu stronach Izraelczyków.

Kiedy dotarł do środka ludzkiego kręgu, usłyszał trzask przelatującego w górze pocisku – to sierżant Rosenblum wciąż był w akcji. Linia smugowców, którą karabin maszynowy kreślił po drugiej stronie grupy jeńców, nagle znikła. Benjamin gorączkowo rozglądał się wokół, wypatrując

śladów oporu obcych, ale nic nie zobaczył.

- Został jakiś? – zapytał przez radio.
- Tu Rosenblum – usłyszał odpowiedź. – Nie widzę żadnego...
- Karabin maszynowy. Chyba dostaliśmy wszystkich.
- Tu Bar Lev. Wszyscy leżą...
- Tu Tal, rozwalam ostatniego po mojej stronie.

I Benjamin usłyszał ostatnią serię Tala.

- Zabezpieczyć teren – wydał rozkaz. – Rosenblum, złaż tu na dół.

A potem usiadł wyczerpany na swojej zmęczonej., odzianej w czerń izraelskiej dupie.

* * *

W świetle księżycy zobaczył małą, jasnowłosą polską dziewczynkę, stojącą z wyciągniętą ręką, jakby chciała dotknąć swojego wybawiciela, ale bała się to zrobić.

Benjamin uśmiechnął się i wziął ją za rękę. Potem wstał i podniósł ją do góry.

- Czyje to dziecko? – zawołał, znów w niezrozumiałym dla Polaków hebrajskim.

Matka Marysi, choć wciąż w szoku, podeszła i wzięła ją od majora. Odwróciła się na chwilę, a potem ze szlochem rzuciła się na szyję swojemu zbawcy. Benjamin poklepał ją dość obcesowo po plecach, a potem uwolnił się z jej objęć.

Rosenblum, z karabinem snajperskim na ramieniu, stał na pokładzie uziemionego tenara.

- Mamy tu jednego żywego – oznajmił, ściągając broń. – Jedna kulka.

– Zaczekaj – rozkazał Benjamin, sam nie wiedząc, czemu się waha. Być może chciał zobaczyć jednego ze zniechęconych najeźdźców w agonii. Przeszedł między wciąż leżącymi Polakami i dołączył do sierżanta na pokładzie obcej maszyny.

Tam zobaczył leżącego na podłodze ciężko, niemal na pewno śmiertelnie ранego Wszechwładcę. Obcy jęczał, miał otwarte, ale niewidzące oczy. Z jakiegoś zakamarka pojazdu dobiegały piski, warczenie i pochrząkiwanie – Benjamin uznał, że to język obcych.

- Szkoda, że ten stwór nie mówi po hebrajsku albo my po posleńsku – zauważył Rosenblum.

Pochrząkiwania i piski tenara zdwoiły się na jakąś minutę. Potem ucichły.

- Ja mówię – oznajmiła maszyna.

Było już bardzo późno, a Benjamin był zbyt zmęczony walką, żeby go to zdziwiło. Ostatecznie od samego początku była to dziwna wojna.

- Co on mówi? – spytał.

– Filozof Meeringon prosi was w imieniu Ścieżki i Drogi, abyście zakończyli jego cierpienia – odparł obcy pojazd.

- Filozof? – zdziwił się Benjamin. – Ach, nieważne.

Zamyślił się na chwilę, zanim się znów odezwał.

- Powiedz mu, że spełnimy jego prośbę... ale nie za darmo.

Izraelczyk zaczął, aż maszyna przetłumaczy jego słowa.

- Meeringon mówi, że żądanie zapłaty za przysługę jest zgodne z Drogą.

- Dobrze. Zapytaj Meeringona: „Po co?”.

* * *

Trup dobitego litościwie Wszechwładcy stygł obok jego tenara; Benjamin zawsze dotrzymywał danego słowa.

– Wracaj do pontonu – rozkazał Rosenblumowi. – Maszyna mówi, że zawiezie cię tam bez problemu. Jak już dotrzesz na miejsce, przepraw się na drugi brzeg pontonem. Nie ryzykuj przelatywania tą maszyną, bo zestrzelą cię, jak tylko ją zobaczą. Znajdź kogoś wyższego rangą ode

mnie. Powiedz im, co Posleeni szykują. Zorganizuj ewakuację tych cywilów, jeśli dasz radę. Powinniśmy tam dotrzeć za dwa dni.

– Panie majorze, naprawdę powinien pan lecieć zamiast mnie. Pan umiałby to lepiej wytłumaczyć.

Benjamin spojrzał na Marysię i jej matkę, a potem omiół spojrzeniem pozostałych Polaków.

– Czasami, sierżancie, bywa tak, że trzeba dowodzić z tyłów. Leć już.

* * *

Takie już mam, kurwa, szczęście, pomyślał Rosenblum, stojąc w lodowatej mgle w okopie na zachodnim brzegu Nysy. Takie już mam szczęście, że musiałem trafić na tych chujów.

Chociaż nosił mundur podobny do niemieckiego SS, nie mówił w ich języku i czuł do nich niemal genetyczną nienawiść.

Mimo to musiał przyznać, że dranie byli uprzejmi, dzieląc się jedzeniem i papierosami zna wpół zamrożonym Żydem, który nosił na kołnierzu *Mögen David* zamiast ich własnych *Sigrunen*. Do okopu wszedł kolejny esesman. Na jego widok Niemcy ucieszyli się, ale i zaniepokoiili.

Nie mogący się porozumieć z Niemcami Rosenblum był bardzo zdziwiony, gdy nowo przybyły odezwał się do niego doskonałym hebrajskim, z lekkim tylko akcentem.

– Nazywam się pułkownik Hans Brasche, sierżancie. Jakie macie wieści z drugiego brzegu?

INTERLUDIUM

Walki wzdłuż całego frontu ucichły. Tylko w Mainz coś się działo – stały strumień ludzi i obcych wyrzynał się nawzajem wśród ruin. Cisza wynikała po części z rozdzielania walczących rwącym, szerokim nurtem Renu. Głównie jednak ze zmęczenia i zbierania resztek sił do ostatecznego starcia.

Na zachodnim brzegu Posleeni budowali proste drewniane tratwy, które miały zostać przeciągnięte przez rzekę tenarami Wszechwładców. Gromadzili też thresh i pojmany threshkreen, ustawiając ich poza zasięgiem artylerii w mniejszych grupach, po jednej w każdym planowanym miejscu przekroczenia rzeki. Na wschodnim brzegu Niemcy i to, co zostało z europejskich sił pod ich dowództwem, gorączkowo kopali w przemarzniętej ziemi nowe umocnienia przeciw spodziewanemu szturmowi.

Na Renie pozostały tylko trzy niezniszczone mosty. Jeden na północy, strzeżony przez fortecę, którą Ro'moloristen nazwał za ludźmi „Eben Emael”. Na południu, w odbitym znów przez Niemców Strasburgu, napór Ludu powstrzymywały stare twierdze. Na środku, w Mainz, gdzie siły ludzi i Posleenów zmagaly się w śmiertelnym uścisku, mosty również stały nietknięte.

Ro'moloristen przygotował osobny plan dla każdego z nich.

Kwatera główna głównodowodzącego frontu zachodniego, Wiesbaden, Niemcy, 1 lutego 2008

Wyglądający na dwadzieścia lat Mühlenkampff nie do końca dostrzegał ironię swoich myśli. Dziesięć lat temu, dumając, sprzedając używane samochody jako dziarski dziewięćdziesięcioośmiolatek, cieszyłbym się z tego. Teraz jestem po prostu za stary.

O d *Kanzlera*, przez jego szefa sztabu, *Generalfeldmarschalla* Kurta Seydlitz, przyszła wiadomość, że dotychczasowy głównodowodzący frontu zachodniego zostaje zdjęty ze stanowiska i że Mühlenkampff ma przekazać dowodzenie swojemu oficerowi wykonawczemu i objąć kontrolę nad walkami na zachodzie.

Mühlenkampff osobiście uważał, że to niesprawiedliwe. Poprzedni dowódca zachował Linie Zygryda nietkniętą o wiele dłużej, niż ktokolwiek mógłby się spodziewać. To, że ów pas umocnień ostatecznie upadł, spowodowała tylko i wyłącznie sama liczba wojsk, jakie rzucił na nią wróg. Co więcej, nowy feldmarszałek wątpił, czy on sam – czy ktokolwiek inny – mógłby zrobić w tych okolicznościach więcej.

Przez szacunek dla nowego stanowiska Mühlenkampff zdał swój mundur SS i założył mniej ozdobny, tradycyjny szary mundur połowy Bundeswehry. Zniknęły jego *Sigrunen*, zniknęła czerń. *Cóż, nieważne. Moi starzy towarzysze dostali z powrotem swoje symbole; odzyskali dumę, tradycje i godność. Co to dla mnie znaczy? Nosilem szary mundur przez wiele lat, zanim wstąpiłem do das Schwarze Korps.*

Rolf, adiutant, przerwał rozmyślania Mühlenkampffa.

– Panie feldmarszałku, jest pan umówiony za pół godziny w szpitalu polowym *Charlemagne*.

* * *

Francuskich żołnierzy było już za mało, żeby zapełnić cały szpital. Przysyłano tu więc niemieckich rannych. Niektórzy nosili szare polowe mundury, inni czerń SS. Isabelle odkryła, że nie widzi między nimi większej różnicy. Wszyscy krwawili tak samo jak francuscy żołnierze, którymi się opiekowała. Niektórzy płakali z bólu, inni przygryzali sobie języki, żeby nie krzyczeć. Być może ci w czerni płakali trochę mniej, ale nawet jeśli tak było, Isabelle nie widziała dużej różnicy.

Cierpiący był w wieku jej syna Thomasa – miał piętnaście, najwyżej szesnaście lat. Był odziany w czerń, na jego poduszce lśnił już czarno-srebrny Żelazny Krzyż. Ciało chłopca było o ponad pół metra krótsze niż powinno być.

Jakaś szyszka *Boche* przyszła rano i przyczepiła medal do poduszki beznogiego chłopca. Isabelle nie zrozumiała ani słowa z tego, co mówiono, ale widziała łzy w zbyt młodych oczach niemieckiego generała.

Ledwie rozumiała na wpół artykułowane jęki chłopca. Tylko „*Mutti, mutti*” słychać było wyraźnie.

I co z tego, że ma czarny mundur? Mój syn też teraz taki nosi. Mam go za to nienawidzić?

Chłopiec był najcięższym przypadkiem na oddziale. Żaden z lekarzy nie dawał mu szans na przeżycie. A to, jak wołał matkę, poruszyło serce Francuzki. Wzięła taboret i usiadła obok rannego, biorąc go za rękę.

Raz czy dwa w ciągu nocy chłopak otwierał oczy. Wzrok miał jednak mętny, nie wiedział, gdzie jest. Wiedział tylko, że cierpi, i chciał, żeby jego matka położyła temu kres. Isabelle szeptała do niego tyle, ile umiała po niemiecku, gładząc go po rozpalonej od gorączki twarzy.

Tuż przed świtem chłopak po raz ostatni otworzył oczy.

– Dziękuję, *madame* – powiedział licealnym francuskim. – Dziękuję, że zajęła pani miejsce

mojej matki.

Ręka chłopca w dłoni Isabelle zwiotczała, jego wzrok stał się mętny.

* * *

Ledwie żywy ze zmęczenia Thomas De Gaullejac z trudem otwierał oczy, nie mówiąc już o skupieniu uwagi. Smugowce latające nad Mainz wciąż rozświetlały noc, zostawiając powidoki na siatkówce i jeszcze bardziej utrudniając koncentrację. Brak snu i nieregularne, skąpe posiłki bynajmniej nie poprawiały sytuacji.

Thomas wiedział od sierżanta Gribeauvala, że na drugim brzegu rzeki ostatni obrońcy Mainz szykowali się do odwrotu, zanim nie została odcięta ich ostatnia droga ucieczki – jedyny stojący most. Wszystkich rannych, których dało się przenieść, zabrano już stamtąd mostem albo promem. Thomas wolał nie myśleć, co się stanie z innymi, zbyt ciężko rannymi, by ich ruszać.

– Panie sierżancie?

– Tak, chłopcze? – odparł Gribeauval, nie odwracając noktowizora od strzelnicy, przez którą obserwował rzekę i powietrze nad nią.

– Panie sierżancie... Jeśli dostanę... a wy będziecie musieli mnie zostawić...

– Nie martw się o to, synu – powiedział sierżant, natychmiast go rozumiejąc. – Nic nie zostawimy obcym.

Thomas poczuł lekką ulgę. Przynajmniej jego zwłoki nie posłużą za karmę.

– Dziękuję. Jeszcze jedno...

– Tak?

– Moja matka, Isabelle De Gaullejac. Mógłby jej pan dać znać? Przynajmniej spróbować ją znaleźć?

– Synu – odparł uczciwie Gribeauval – nie mogę obiecać, że przeżyję, żeby to zrobić.

Zimny bunkier na chwilę pogrążył się w ciszy. Sierżant dalej obserwował rzekę.

– Panie sierżancie?

– Tak, ochotniku De Gaullejac? – odparł Gribeauval z lekką irytacją w głosie.

– Pomyślałem, że powinienem panu powiedzieć: jeśli to spadnie na mnie, nie wiem, czy będę potrafił wysadzić most, kiedy będą na nim ludzie.

– Synu, jeśli nie wysadzisz tego mostu na pierwszy znak, że są na nim obcy, sam cię zastrzelę – powiedział sierżant. Potem trochę złagodniał. – Myślisz, że ludzie na tym moście me woleliby szybkiej śmierci w wyniku wybuchu albo upadku do zamarznętej rzeki niż zamiany w przekąskę?

– Szczerze mówiąc, nie wiem, panie sierżancie. Wątpię, czy mogę mówić za nich wszystkich.

Tygrys Anna, linia Odry-Nysy, 1 lutego 2008

Hans podjechał swoim czołgiem dowodzenia na skraj wody, chcąc mieć pewność, że Benjamin i jego podwładni bezpiecznie przeprawią się przez rzekę. Przesunął także batalion samobieżnych dział kaliber sto pięćdziesiąt pięć milimetrów na pozycję dość wysuniętą, by mogły zapewnić majorowi wsparcie podczas ostatniej części jego powrotnej wędrówki. Nie chciał żołnierzom rozkazywać, aby przeprawili się na drugi brzeg, mając w pamięci los, który przypadł w udziale większości wysłanych tam patroli. Mimo to kompania brygady Michael Wittmann zgłosiła się na ochotnika do przeprawy na pontonach i pomocy uwolnionym Polakom.

Chociaż batalion artylerii pracował niemal na pełnych obrotach, Benjaminowi udało się przyprowadzić z powrotem ponad cztery piąte cywilów, których uratował. Teraz eskortowano ich już w bezpieczne miejsce na tyłach. Naturalnie Benjamin i jego trzech pozostali żołnierze – Tala trafiła zabłąkana kula – przeprawili się jako ostatni. Wyczerpani, brudni i wygłodzeni, zostali po prostu zanieśieni do czekających pontonów przez kompanię osłaniającą ich ucieczkę. Esesmani przewieźli

Żydów przez rzekę.

Pierwszy wyszedł z wody Benjamin. Na brzegu czekał na niego Brasche i sierżant Rosenblum. Zaczęli na zmianę klepać go po plecach i ścisnąć mu dłoń.

– Doskonała robota, Dawidzie! – wołał Hans, potrząsając ręką Izraelczyka. Żyd był zbyt zmęczony, by robić coś innego poza kiwaniem głową i poddawaniem się tym torturom. Gdzieś w głębi ducha może dostrzegał zabawność tej sceny – SS i *Mögen Dawid* spotkali się przyjaźnie na froncie. Przede wszystkim jednak jego umysł i ciało pragnęły ciepłego, miękkiego łóżka, czegoś porządnego do zjedzenia i być może mocnego drinka.

Mógłby dodać do tej listy „...i kobiety”, ale matka małej Marysi dała mu wyraźnie – choć bez słów – do zrozumienia, że przynajmniej jedna kobieta jest na jego skinienie. Pomyślał, że być może – w nieodległej przyszłości – skorzysta z propozycji widocznej w jej łagodnych piwnych oczach.

Wreszcie udało mu się powiedzieć Brashemu listę swoich życzeń.

Ale pułkownik z uśmiechem zbagatelizował jego potrzeby.

– Już niedługo, przyjacielu, już niedługo. Ale dzisiaj został pan bohaterem trzech narodów, więc zanim poczłapie pan do wyrka, musimy przeprowadzić małą ceremonię.

Benjamin podniósł rękę, protestując, ale Brasche również to zignorował.

– *Achtung* – rozkazał kilkudziesięciu zebranych wokół uśmiechniętym mężczyznom. – Tak, pan też, majorze.

Niechętnie, a może i trochę nieśmiało, Benjamin stanął na baczność.

Tonem swobodnej konwersacji Hans zwrócił się po niemiecku do wszystkich zebranych.

– Nie jest to powszechnie znane, panowie, ale pierwszy Żelazny Krzyż w pierwszej wojnie światowej został zdobyty przez niemieckiego Żyda. Sierżancie Rosenblum, proszę odczytać rozkaz.

Rosenblum znał niemiecki na tyle, by dać sobie radę z tekstem.

– W imieniu *Kanzlera* Republiki Niemiec i z rozkazu głównodowodzącego frontu wschód, za okazaną waleczność i ratowanie ludzkiego życia... majorowi Dawidowi Benjaminowi, brygada *Juda Machabeusz*, Niemieckie Federalne Siły Zbrojne, zostaje przyznany Żelazny Krzyż Pierwszej Klasy.

Uśmiechając się szeroko, Hans powiesił na szyi Izraelczyka prosty, tradycyjny medal.

– Mogłem panu dać Drugą Klasę na własną rękę – powiedział cicho po hebrajsku – ale uznałem, że zasłużył pan na coś więcej. A po tych informacjach, które zdobyliście, feldmarszałek się zgodził.

– Co zrobimy z planami wroga? – szepnął Dawid.

Hans wciąż się uśmiechał, bo nic innego mu nie pozostało.

– Mój przyjacielu, nie mamy, kurwa, zielonego pojęcia.

* * *

Oglądając to wszystko na przednim ekranie *Anny* i słuchając przez jej elektroniczne uszy, Krueger po prostu nie mógł uwierzyć, że jego dowódca dopuścił się takiej herezji. *Głupi, tępy żydowski kochaś. Zdrajca Vaterlandu i pamięci Führera. I tak źle, że w ogóle uratowałeś tego Żydka, ale jeszcze go odznaczać? Za to, że uratował jakichś pieprzonych słowiańskich podludzi? To hańba. Świat byłby o wiele lepszy bez nich wszystkich, Polaczków i Żydów. A jeśli miałyby to kosztować życie dziesięciu Niemców na dziesięciu, cena i tak byłaby niewysoka.*

Krueger byłby przerażony, gdyby się dowiedział, że na poziomie podstaw filozofii on, nazistowski fanatyk, i Gunter Stössel, czerwono-zielony fanatyk, nie tak bardzo się różnili.

Berlin, Niemcy, 1 lutego 2008

Wszyscy w Niemczech, od kanclerza poczynając, byli bladzi z zimowego braku słońca. Mimo to, pomyślał kanclerz, Günter wygląda najgorzej z nich wszystkich.

– Więzienne życie ci nie służy, jak widzę – stwierdził.

– Za to panu życie dyktatora wychodzi jak najbardziej na zdrowie – odparował jego dawny asystent.

Kanclerz tylko się uśmiechnął.

– Czy ja dobrze rozumiem: jestem dyktatorem, bo nie chciałem pozwolić tobie i tobie podobnym decydować w zupełnie niedemokratyczny sposób o losie Niemiec? A ty i oni nie byliście dyktatorami, chociaż chcieliście zdławić wolę tego narodu i przerobić go na karmę dla obcych? Przyznaję, że nie nadążam za twoją logiką, mój dawny współpracownik.

Na to Günter nie miał odpowiedzi, która nie zabrzmiałaby fałszywie. Chwycił się więc wypróbowanego argumentu o znienawidzonych symbolach.

– Ożywił pan SS. Jest pan tylko jeszcze jednym nazistą.

– Skądże! Ożywiłem formację ludzi, których potrzebowaliśmy, żeby przetrwać, mój doktrynerski przyjacielu. I przysłużyli się nam jak najlepiej. Jeśli oddanie im ich symboli sprawiło, że walczyli choć odrobinę lepiej, to fakt, że tacy jak ty poczuli się urażeni, to naprawdę niska cena.

Kanclerz podniósł rękę, powstrzymując dalszą dyskusję.

– Tak czy inaczej, nie wezwałem cię tu, żeby się z tobą sprzeczać. Wezwałem cię, żeby ci powiedzieć, że chociaż zostałeś skazany na śmierć, i moim zdaniem zupełnie zasłużenie, postanowiłem zamienić ten wyrok na dożywocie. Resztę życia spędzisz w więzieniu Spandau, *Herr Stössel*, ty i czterystu czterdziestu siedmiu tobie podobnych zdrajców.

– Dlaczego? – spytał tylko Günter.

– Ponieważ uważam, że zamknięci i zapomniani jesteście mniej niebezpieczni, niż moglibyście być jako męczennicy.

Kwatera główna głównodowodzącego frontu zachodniego, Wiesbaden, Niemcy, 2 lutego 2008

Mühlenkampff nie potrafił zapomnieć obrazu umęczonego beznogiego chłopca. To, że przypiąłem mu medal do podeszki – nawet gdyby to zrozumiał – musiało być dla niego niewielką rekompensatą, myślał. Również dla dziewczyny, którą zostawił, albo matki, która go wychowała. Jezu, tego właśnie najbardziej nienawidzę: załamanych, okaleczonych, zabitych i umierających niewinnych ludzi, których zabiera wojna.

Żałuję, że tak to uwielbiam i że czuję się cholernym oszustem, widząc, że to zawsze biedni chłopcy cierpią i umierają, podczas gdy ja uchodzę bez draśnięcia.

Wciąż myśląc o umierającym chłopcu, Mühlenkampff zaczął marzyć o innym świecie i innej wojnie. Jak by to było miło, gdyby walczyli i ginęli tylko prawdziwi zawodowcy, ludzie tacy jak on. Ale czy politycy przestrzegaliby wyniku ustalonego na polu bitwy? Ha! Nie ma szans. Kiedy tylko zobaczyliby, że ich cenna skóra jest narażona, zaczęliby porywać z ulic takich chłopców jak *Gefreiter Weber* i wysyłać ich na przemiał.

Generał wzruszył ramionami. Nie on stworzył świat takim, jaki jest. I ten świat nie stanie się ani trochę lepszy dzięki jego marzeniom i udawaniu, że jest inny.

* * *

We śnie Thomas znów był mały. I nie było mu źle – był ogrzany, bezpieczny i przytulony do piersi matki. Miał pełny brzuch, a w jego żyłach krążył różany blask kieliszka wina. Życie było dobre.

Poza snem życie Thomasa było jednak nieustannym koszmarem niedostatku, trudu i otepiałej grozy. Rzadkie sny, przychodzące do niego wtedy, kiedy mógł złapać trochę nieprzerwanego snu, były wszystkim, co łączyło go z utraconym światem...

Świat tego, co „teraz”, brutalnie przerwał przyjemną wycieczkę Thomasa w przeszłość.

Skradając się jak kot, zimno wpełzło pod jego cienki koc, skubiąc i szczypiąc jego świadomość, gryząc jego sen.

Thomas obudził się nagle, dygocząc.

* * *

Mimo ogrzewanej kwatery Mühlenkampff zadrżał. Przed nim stali sztabowy synoptyk i oficer wywiadu. Obaj byli poważni jak na pogrzebach własnych matek.

– Będziemy mieli wyniki stacji pomiarowych w Skandynawii – tłumaczył meteorolog. – A Amerykanie wciąż przesyłają nam dane z Grenlandii. Islandia też to potwierdza. Nadchodzą mrozy, jakich nie widzieliśmy od pięćdziesięciu lat.

Generał spokojnie pokiwał głową, próbując nawet zachować pewny siebie błysk w oku.

– Czy Ren zamarznie?

– Najprawdopodobniej, panie generale – odparł synoptyk. – Wciążu co najwyżej dziesięciu dni. Tak, panie generale, zamarznie wystarczająco mocno, by lód utrzymał ciężar wroga. Ale za to, panie generale, mróz przepędzi mgłę i śnieg, więc jeśli obcy zaatakują, będziemy mieli czyste pola ostrzału.

– I o tym właśnie chciałem z panem porozmawiać, panie generale – powiedział wywiadowca. – Czyste pola ostrzału to bardzo dobra rzecz, ale właśnie dostaliśmy dość przerażający meldunek od głównodowodzącego frontu wschodniego...

Tygrys Anna, linia Odry-Nysy, 2 lutego 2008

Hans wciąż trzymał, jak to często robił, samotną straż na wieży *Anny*. Tej nocy czuł się jeszcze bardziej samotny niż zwykle.

Dzisiaj, według raportów, ma nie być mgły. Nie będzie mgły, a wróg na drugim brzegu czeka, gotowy do ataku. *Scheisse!*

Ale przeklinanie losu nic nie pomagało. Los był taki, jaki był, Hans o tym wiedział. Gdzieś w otchłaniach czasu ktoś, kto bawił się w boga, pogrzebał w genach pewnego niższego gatunku. Po jakimś czasie gatunek ten zbuntował się i został wygnany. W końcu wdarł się w galaktykę, siejąc po drodze śmierć i zniszczenie, a przyczyną tego były zabawy pseudo-boga.

Wreszcie los przywiódł wroga aż tutaj. Tutaj zebrał cięgi, dość mocne, by dla odmiany zacząć myśleć. I znalazł rozwiązanie swoich problemów.

A teraz... zrzędzeniem losu wróg gromadził się na drugim brzegu rzeki.

Jakaś część Hansa godziła się z wyrokami przeznaczenia. Inna je odrzucała. Jeszcze inna zastanawiała się nad jego własnym losem.

Czy jestem zgubiony? Czy moja dusza jest zgubiona za rolę, jaką odegrałem w tej wielkiej zbrodni? A dusze moich towarzyszy? A ludzi, którymi dowodzą?

A jutro? Czy byłoby lepiej wziąć brzemię zła na siebie, działając samemu, czy rozdzielić je między tych, którzy nie są winni żadnej zbrodni przeszłości?

– Anno – powiedział nieświadomie na głos. – Chciałbym, żebyś tu była i powiedziała mi, co robić.

– Jestem tutaj, *Herr Oberst* – odparł czołg.

Z jakiegoś trudnego do wytłumaczenia powodu Hans nie chciał powiedzieć niczego, co mogłoby obrazić pojazd. Tak, wiedział, że to tylko maszyna. Tak, wiedział, że nie była aż tak zaawansowana technologicznie jak przekaźniki Galaksjan. A mimo to *Anna* przez długie miesiące wojny była dla niego domem. Czuł, że ma własną duszę, nawet jeśli nie umiała jej ukazać. Tak samo podchodził do czołgów, które wozily go podczas poprzedniej wojny, a one przecież nie tylko nie umiały mówić – nie potrafiły nawet zaparzyć kawy.

– Anno – spytał. – Co mam jutro zrobić?

– Moi programiści nazwaliby to pytanie „łatwizną”, Herr Oberst. Jak zawsze musi pan postąpić najlepiej, jak pan potrafi.

* * *

Na dole, na pokładzie bojowym, rozradowany Krueger nalał reszcie załogi wódki.

– Jutro będzie wielki dzień, chłopcy, wielki dzień.

Żołnierze przyjęli sznapsa. Jak mogli odmówić, wiedząc, co ich czeka? Ale żaden z nich nie podziela! entuzjazmu sierżanta majora.

– Jak pan może, panie sierżancie? Jak pan może... – Harz odwrócił się z obrzydzeniem.

– Spytajcie Schultza, czy to takie trudne – odparł Krueger. – Spytajcie go, co czuł, gdy wykopywał beczkę spod nóg tego tchórza w Giessen. To nic takiego, chłopcy, nic takiego. Pamiętam miejsce zwane „Babim Jarem”... To było na Ukrainie, pod Kijowem...

Zachodzące słońce odbijało się w złotych cebulach kopuł wielkiego miasta na południowym wschodzie. Kijów, niegdyś dom stu siedemdziesięciu pięciu tysięcy Żydów, miał ich stracić ponad trzydzieści trzy tysiące w ciągu dwóch dni.

Siedmioletnia Mania Haleft trzymająca matkę za rękę, od czasu do czasu odwracała się podczas marszu. Złote kopuły wyglądały w oczach małej dziewczynki bardzo ładnie, wprost cudownie.

Mania nie rozumiała, dlaczego musiały razem z matką opuścić ich ciasne mieszkanie w Kijowie. Ale widziała Niemców, a oni – podobnie jak jej surowy nauczyciel w szkole – wyglądali na kogoś, kogo trzeba słuchać.

Czasami, kiedy tak szły, matka Mani przyciągała dziewczynkę do siebie i zakrywała jej oczy. Na początku Mania się opierała, ale potem, kiedy zobaczyła, przed czym matka ją osłania, sama szukała u niej schronienia. Droga do żydowskiego cmentarza na skrzyżowaniu Mielnikowskiego i Dokturowa była uślana trupami.

Mania już dwa razy szła tą drogą. Pierwszego razu za dobrze nie pamiętała. Za drugim razem szli pochować jej starą babcie na starym kijowskim cmentarzu Żydów.

* * *

Czyszcząc swój pistolet maszynowy, Krueger patrzył bez emocji, jak Żydzi są zaganiani do prowizorycznego, otoczonego zasiekami obozu. Co go obchodzi ich wrzaski? Co go obchodzi ich skomlenie? Czy nie są wrogami Rzeszy? Czy nie zasłużyli wszyscy na śmierć?

Z większym zainteresowaniem przyglądał się, jak się rozbierali. Chociaż Żydom polecono, aby przyszli dobrze ubrani i z pieniędzmi, jakby na podróż, wiedzieli, że tam, dokąd idą, stroje ani pieniądze nie będą im potrzebne. To było tylko wygodne małe kłamstwo, które miało ułatwić pozbycie się ich.

Golizna natychmiast przykuła uwagę Kruegera. Kilka tych żydowskich kurew jest całkiem niezłych, pomyślał. Szkoda, że nie mogą się do niczego przydać.

* * *

Mania nic nie rozumiała. Mama, zawsze taka porządna, rozbierała się przy wszystkich. Tak nie wolno, nie wolno, nie wolno, i Mania to wiedziała.

A potem – coś podobnego! – mama zaczęła ściągać z Mani jej krótką letnią sukienkę. Dziewczynka opierała się, aż ktoś podszedł i uderzył mamę kijem za to, że idzie jej za wolno. Wtedy, z twarzą mokrą od łez, Mania przestała protestować.

Ale wciąż nic nie rozumiała. Miała w końcu dopiero siedem lat.

* * *

Pieprzone Żydki nie mają pojęcia, co ich czeka, zachichotał w duchu Krueger. Można by pomyśleć, że zabranie im wszystkiego będzie jakąś wskazówką. Ale nie, wciąż nie chcą się z tym pogodzić, nie chcą uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Głupie śmiecie; świat powinien być wdzięczny, że się ich pozbędzie.

Krueger włożył ze szczękiem pełny magazynek do swojego schmeissera.

* * *

Mania obiecała Niemcom, że będzie grzeczna. Obiecała! Nie mogła więc zrozumieć, dlaczego bijają i jej mamę, wypędzając je z obozu. Nie rozumiała też, dlaczego dwa szeregi żołnierzy poganiają je pałkami.

Jej matka starała się ją chronić od ciosów najlepiej jak mogła. Mimo to żołnierze czasem ją trafiali. A ona im obiecała. Może ciosy nie bolałyby tak bardzo, gdyby wciąż miała na sobie ubranie.

Ale go nie miała, ciosy bolały, a ona tego wszystkiego po prostu nie rozumiała. Mogła tylko płakać.

* * *

Żydowska kurwa chciała zatrzymać bachora przy sobie, tak? No ale rozkaz to rozkaz, a Krueger był człowiekiem, który słucha rozkazów. Żydzi mieli być rozstrzeliwani w grupach po dziesięcioro, nie jedenaścioro. Brutalnie wyrwał piszczącego gołego bachora z ramion ładacznicy, rzucił go na ziemię, a potem przez kilka chwil bił i kopał obie, żeby przestały protestować.

* * *

Ciosy Niemca oszołomiły Manię tak, jak nie oszołomiło jej nawet rozebranie się przy wszystkich. Siedziała goła na zakrwawionej ziemi i płakała za mamą niekończącym się, pozbawionym słów, rozdzierającym płaczem małego dziecka. Jej matka też płakała i wrzeszczała.

* * *

Piski gówniary były irytujące. Wrzaski jej matki sprawiały jednak Kruegerowi przyjemność. Podniósł pistolet maszynowy i jak przystało na zawodowca... z uśmiechem nacisnął spust.

– Wystarczy, sierzancie majorze – powiedział Hans, kładąc zdecydowanym ruchem dłoń na ramieniu Dietera. – Ludzie i bez tego mają dość. Nie musicie im jeszcze bardziej wszystkiego obrzydzać.

– Tak jest, panie pułkowniku – odparł Krueger ze źle skrywaną pogardą. – W końcu to tylko pieprzeni Słowianie. To nie są prawdziwi ludzie. Pomyślałem, że chłopcy powinni o tym wiedzieć.

– Zamknij się, sierzancie majorze – powiedział Hans z błyskiem w oku i dłonią na kolbie pistoletu. – Po prostu się, kurwa, zamknij.

* * *

W kokonie bojowym zapadła cisza, tak jak we wszystkich Tygrysach wzdłuż całego frontu, we wszystkich pojazdach bojowych, w każdym okopie czy bunkrze. Każdy żołnierz, Niemiec, Polak czy Skandynaw – czy na drugim froncie Francuz – był sam ze swoimi myślami.

Równie samotny Dieter Schultz myślał o jutrzejszym dniu. Zabił niezliczoną ilość obcych i – jako członek plutonu egzekucyjnego – jednego człowieka. Po wielu tygodniach i miesiącach rozmyślał wciąż nie wiedział, jak się z tym czuje. Wtedy wydawało mu się to... w jakiś sposób słuszne. Potem zaczął wątpić. Prawdę mówiąc, Dieter nie wiedział już, co jest słuszne. Wojna... wypaczała wszystko, sprawiała, że niewyobrażalne stawało się rzeczywiste i obecne. Czy ten biedny

drań z grenadierów pancernych zasłużył, żeby go wieszzać? Może nie. Ale zasłużył k czy nie – czy to miało jakieś znaczenie? Znów – może nie.

Jaka była rzeczywistość? Gudrun nie żyła. Grenadier pancerny nie żył. To była rzeczywistość. Nie było sensu pragnąć, by sprawy wyglądały inaczej, nie było sensu żyć złudzeniami.

A jutro, Dieter o tym wiedział, miała runąć ostatnia iluzja. Jutro miał wstąpić w szeregi prawdziwych nazistów. Morderców.

Tygrys Brunhilda, Hanau, Niemcy, 2 lutego 2008

– Kierowco Johann?

– Tak, Indowy Rinteelu?

Mueller był tak wysoki, że Indowy do tej pory raczej go unikał. Teraz rozmowa była możliwa dlatego, że leżał na pryczy kierowcy, przez co miał oczy na poziomie obcego. Z drugiej strony być może jakieś znaczenie miał fakt, że wszyscy inni mocno spali.

– Czytałem wasze dzieje, zwłaszcza ostatniego wieku. I w ogóle tego nie rozumiem.

Mueller westchnął.

– Rinteelu... my też nie.

Mały futrzasty obcy umilkł i odwrócił się, jakby chciał odejść.

– Zaczekaj, Rinteelu – powiedział Mueller. – Której części naszej historii nie rozumiesz?

Indowy zawrócił.

– Ci ludzie, których nazywacie „Żydami”... Co sprawiło, że stali się waszymi wrogami? Czym zasłużyli na to, co zgotował im wasz lud?

Mueller znów westchnął. Jak miał odpowiedzieć na takie pytanie?

– Rinteelu, po dziś dzień każdy Niemiec wystarczająco inteligentny, by mieć swoje zdanie, zadaje sobie przed snem to samo pytanie. Asyryjczycy wyrzynali całe miasta... ale przynajmniej mieli jakiś powód. Markus Licyniusz Krassus ukrzyżował sześć tysięcy niewolników wzdłuż drogi Appijskiej... ale przynajmniej miał jakiś powód. Mongołowie zabili dwadzieścia milionów Chińczyków, żeby powiększyć pastwiska dla swoich koni... ale przynajmniej to był jakiś powód. A Żydzi?

Mueller na chwilę przerwał. Szaleństwo dziejów jego własnego kraju spoczęło brzemieniem na jego ramionach.

– Rinteelu, kiedy całym pokoleniem szykowaliśmy się do pierwszej wojny światowej, naszym wieszczem był mężczyzna nazwiskiem Ernst Lissauer. Napisał wiersz pod tytułem „Hasengesang gegen England”, czyli „Pieśń nienawiści do Anglii”, podburzający synów Niemiec przeciwko tym, których uważał za ich prawdziwego wroga. Rinteelu, Ernst Lissauer był niemieckim Żydem. Kiedy przetoczyliśmy się przez belgijską granicę w 1914, a nasi żołnierze ginęli tysiącami, szturmując fortece, pierwszym człowiekiem, który zdobył Żelazny Krzyż za odwagę w walce, był niemiecki Żyd. Kiedy Adolf Hitler został przedstawiony przez swojego porucznika do Żelaznego Krzyża, porucznikiem tym był Żyd. Oddawali swoją krew i swoje serca. Ginęli za swoją „niemiecką ojczyznę”. Zginęło ich dziesięć tysięcy, Rinteelu... Oddali wszystko, co mieli, za to, co uważali za swój kraj. Rinteelu, w wojsku służyło ich dziesięć razy więcej, niż wynosiła średnia krajowa. Byli nami. I dlatego, Indowy Rinteelu, to tak, jakby Bóg wykorzystał nas, Niemców, do jakiegoś swojego celu... ale my nie wiemy jakiego.

Indowy przetrwał to wszystko. Myślał o głupocie... i o bólu w głosie Muellera.

– A więc to było szaleństwo – powiedział w końcu.

– Tak, Rinteelu – zgodził się Mueller. – To było szaleństwo.

INTERLUDIUM

Jak wspaniałym szaleństwem jest Ścieżka Gniewu; pomyślał Ro'moloristen. Wzdłuż całego horyzontu, jak okiem sięgnąć z tenara, maszerowała fala za falą Ludu.

Maszerowali grupami po dwudziestu do pięćdziesięciu, a każda grupa niosła prymitywną drewnianą tratwę. Na tratwy te poszła połowa lasów Francji i Belgii.

W górze lecieli Wszechwładcy, w liczbie większej, niż wynikałoby to z liczebności pierwszych szeregów Ludu. Z każdego tenara zwisała lina. Latające maszyny miały holować tratwy, przewieźć Lud przez rzekę do zwycięstwa. Działka plazmowe i wyrzutnie hiperszybkich rakiet na tenarach pluły ogniem i nienawiścią do obrońców na drugim brzegu wielkiej rzeki.

Działa threshkreen nie milczały. Nawet z tej odległości grzmot tysięcy sztuk strasznej artylerii był odczuwalny jak uderzenia pięści. Pociski spadały między Lud, zamieniając go w żółtą pianę i roztrzaskując tratwy.

Ale Ludu było coraz więcej i coraz więcej tratw zbliżało się do rzeki. Artyleria mogła zabić wielu. Nie mogła jednak zabić wszystkich. Powoli, przestępując nad ciałami zabitych, Lud dotarł na brzeg rzeki.

Ro'moloristen patrzył, jak pierwszy szereg – to, co z niego zostało – znika w stromej dolinie. Wiedział, że zejście po zamarzniętym zboczu będzie dla Ludu koszmarem.

Ale spodziewał się, że potem pójdzie już łatwiej... kiedy threshkreen na drugim brzegu zobaczą, że na każdej tratwie przywiązano do pali od pół tuzina do tuzina piskląt thresh.

* CZĘŚĆ V *

Tygrys Anna, linia Odry-Nysy, 3 lutego 2008

Żołądek Hansa zamienił się, w bryłę ołowiu. Ekran *Anny* ukazywał całej załodze więcej niż chciałyby widzieć. Posleenka horda nacierała przez zamarznąłą teraz rzekę... i prawie połowa obcych niosła albo popychała przed sobą ludzkich jeńców.

Chociaż i obcy, i ich więźniowie byli w zasięgu ognia, mało który z obrońców do nich strzelał – strzelali głównie snajperzy. Tu i tam Hans widział, jak jakiś Posleen potyka się i pada z piersią lub łbem strzaskanym celnym pociskiem.

W powietrzu nie było latających sań obcych. Hans był pewien, że obrońcy zaatakowaliby je z radością, zostawiając snajperom Posleenów, którzy wystawiliby się na czysty strzał.

Ale zabicie tych kilku nie miałoby żadnego znaczenia. Ich liczebność jest nieograniczona. A ich najpotężniejszą bronią są dzisiaj jeńcy.

Siedzący poniżej fotela dowódcy Schultz dygotał – Hans widział to wyraźnie. Rozejrzawszy się po kokonie, Brasche zobaczył, że wszyscy, od Harza po oficera operacyjnego, wyglądają tak, jakby mieli zaraz zwymiotować.

– Och, co za bydlaki – powtarzał raz za razem Harz. – Brudne, cuchnące, nędzne bydlaki.

Moi chłopcy nie dadzą rady tego zrobić. Nie powinni tego robić. Nie zrobiliśmy z nich tego rodzaju żołnierzy. Cholera.

– Dieter, odsuń się od działa. *Anno*, działko dowódcy.

Z nieopisaną ulgą Schultz odsunął się natychmiast od celownika.

– Tak jest, *Herr Oberst* – powiedział czołg. Z góry zsunęła się na Braschego aparatura celownicza, prawie taka sama jak Schultza.

– Sierzancie majorze Krueger, bierzesz przednie działka. Cała reszta, uważać na wrogie latacze, ale nie strzelać. Sierzancie majorze, ogień według uznania.

Krueger z uśmiechem zaczął przeczesywać ogniem mieszany szyk ludzi i obcych.

– Pieprzeni słowiańscy podludzie – szeptał.

Na ekranie widać było mężczyzn, kobiety i dzieci, rozrywanych na strzepy na równi z Posleenami. Różnica była taka, że ludzkie krzyki łatwiej było zrozumieć.

Hans nie potrafił tego znieść. Wrzaski były równie przerażające jak radość sierżanta majora i jeszcze bardziej bolesne.

– *Anno*, wyłącz zewnętrzne mikrofony. Operacyjny, przekaż wiadomość do pozostałych Tygrysów: tylko dawne SS ma otworzyć ogień. Nowi mają zakaz strzelania do hordy, chyba że w obronie własnej.

Widząc, że oficer operacyjny zrozumiał, Hans wydał kolejny rozkaz:

– Przeciwpiechotnym ładuj. Przygotować się do ciągłego ognia przeciwpiechotnymi.

Ładowniczy wcisnął odpowiednie przyciski. Układ hydrauliczny wyjął z magazynu *Anny* pojedynczy pocisk i załadował go do lufy.

Tygrys Brunhilda, Hanau, Niemcy, 3 lutego 2008

– Wal w nich, Reinhard, wal w tych drani.

– Trafiony! – oznajmił Schlüssel, kiedy trzydzieści kilometrów nad nimi rozkwitło i zgasło nowe słońce.

– Mueller, ostro w prawo.

Chociaż był bezpiecznie przypięty pasami, Rintel poczuł ostre szarpnięcie, kiedy kierowca skręcił i runął przed siebie, by zejść z drogi spodziewanej ripoście Posleenów. Indowy jak zwykle

odebrało z przerażenia mowę. I jak zwykle, kiedy tylko pozwolił sobie o tym pomyśleć, brzydziła go rzeź, jaką jego ludzcy towarzysze urządzili Posleenom.

A mimo to... mimo to... przyzwyczajenie przytłumiło strach i obrzydzenie; choć wciąż silne, nie były już tak paraliżujące jak przedtem. Dla Indowy było to coś niezwykłego – nie bać się i nie czuć aż tak bardzo obrzydzenia na widok rzezi. Rinteel odkrywał, że potrafi coraz lepiej znieść strach przed śmiercią i strach przed zabijaniem.

Uświadomił sobie też, że on sam może zabijać, że pośrednio zabija, i to bez żadnych moralnych dylematów. W końcu chociaż to załoga odpalała armatę, to on, Rinteel, dbał, by ta armata była w dobrym stanie. I chociaż to ludzie walczą z Posleenami, pomyślał, to my, Indowy, daliśmy im broń. Wydaje nam się, że jesteśmy tacy czyści, tacy ponad krew i rzeź. A przecież ta rzeź nie byłaby możliwa bez naszego udziału. Mojemu głupiemu ludowi wydawało się, że sam dystans od morderstwa czyni je czymś innym niż morderstwem.

Tygrys Anna, linia Odry-Nysy, 3 lutego 2008

Boże, byłem żołnierzem, a nie mordercą. Za co nienawidzisz mnie aż tak bardzo, że nawet ten grzech muszę popęłnić?

– Poszło! – oznajmił ładowniczy Hansa, nie odrywając wzroku od ekranu przed sobą.

Brasche spojrział przez system VR hełmu na zamarznąłą rzekę. Widział, że ostrzał przednich działek Kruegera daje jakiś efekt. Widział też, że to jednak za mało.

Hans skupił wzrok na wrzeszczącej jasnowłosej polskiej dziewczynce, trzymanej w uścisku przez obcego.

Patrz na tę dziewczynkę, Brasche. Zabiłeś w życiu setki ludzi, może tysiące. Wmawiasz sobie, że to wszystko byli uzbrojeni wrogowie. Tak, ale na ile wiosek spadał twój ostrzał, wiosek, w których były takie same jak ta dziewczynki? Na ile wiosek kierowałeś artylerię? Do ilu z nich pancerna pięść, której byłeś częścią, otwierała drogę Einsatzgruppen? Już jesteś mordercą, i to po tysiąckroć.

W końcu jakie znaczenie ma kilka tysięcy więcej?

Anno, pomyślał Hans, przebacz mi. Jeśli przez to nigdy się nie spotkamy, proszę, przebacz mi.

Jego palec nacisnął spust.

Wiesbaden, Niemcy, 3 lutego 2008

Thomas zawahał się nad detonatorem. Widział most. Widział przechodzącą przez niego hordeę obcych. Ale widział też i słyszał tłum francuskich uchodźców, których Posleeni gnali przed sobą. Raz za razem młody francuski żołnierz próbował zmusić swoją dłoń, by zamknęła obwód. I raz za razem nie potrafił.

Tymczasem sierżant Gribeauval strzelał z karabinu do przedzierających się Posleenów.

– Niech cię szlag, dzieciaku, wysadzaj most! – wrzeszczał.

– Ja... ja... – zająknął się chłopiec. – Nie mogę, panie sierżancie.

– *Merde* – zaklął sierżant. Z trudem, z dużym trudem utrzymywał Posleenów z dala od kabli łączących detonator z ładunkami na moście. Nie mógł odejść od strzelnicy, by samemu odpalić ładunki, nie ryzykując, że ładunki będą już rozbrojone.

– Chłopcze, wysadz ten most!

– Panie sierżancie, próbuję... ale...

Gribeauval odwrócił się od strzelnicy.

– *Merde!* Zrób to!

W tym samym momencie, gdy Thomas spojrział na sierżanta wielkimi ze strachu oczami, głowa Gribeauvala rozbryzgnęła się od posleńskiej kuli. Opryskała go krew i mózg. Do tej pory był jak

sparaliżowany, teraz doszczętnie zmartwiał ze zgrozy.

A w tym czasie, kiedy on stał zeszytywniały, pierwszy Posleen przerwał kable detonatora.

* * *

Isabelle dygotała z przerażenia. Ludzie mijali szpital polowy, uciekając na północ. Personel miotał się i wrzeszczał w panice.

Wróg przekroczył Ren.

Trzęsącymi się rękami Isabelle zadzwoniła do domu, w którym mieszkała z synem. Szybko przekazała gospodarzom wieści, a potem poprosiła ich, żeby ubrali chłopca i wysłali go do niej. Obiecali, że tak zrobią.

Pielęgniarze wynosili na noszach tych, którzy według lekarzy mieli jakieś szanse przeżycia. Kiedy ciężarówki były już załadowane rannymi do pełna, odjeżdżały gdzieś na północ. Ale rannych było o wiele więcej niż samochodów.

Wokół Isabelle jęczały dziesiątki rannych żołnierzy. Między nimi chodził lekarz stwierdzający ich stan.

– Rutynowy... Pilny... Spodziewany.

To było najstraszniejsze słowo: „Spodziewany”. *Spodziewa się, że umrze.*

– *Mon Dieu*, panie doktorze, co zrobimy z tymi biedakami, których nie możemy ewakuować?

– Mamy hiberzynę dla tych, którzy mają jakąś małą szansę na ocalenie – odparł. Wydał usta. – Ale nie ma jej za dużo. Większość trzeba będzie zostawić.

Isabelle pobladła.

– Zostawić? Na pożarcie? Mój Boże, nie, panie doktorze. Musimy coś zrobić.

– Co pani proponuje, *madame De Gaullejac*?

– Nie wiem... ale coś trzeba zrobić. O mój Boże... Nie wiem.

Wtedy jej spojrzenie padło na szalkę polową, w której znajdowały się strzykawki i różne leki, głównie przeciwbólowe.

– Są lepsze sposoby umierania niż dać się pożreć, prawda, panie doktorze?

Lekarz podążył wzrokiem za jej spojrzeniem.

– Są, jeśli ma się dość sił. Ale powiem pani, *madame*, że ja ich nie mam.

Tygrys Anna, linia Odry-Nysy, 3 lutego 2008

Muszę być silny, powtarzał sobie Hans, wystrzeliwując kolejny pocisk odłamkowy w masę ludzi i Posleenów. Dotarło do niego, że nieświadomie traci ostrość widzenia, by oszczędzić sobie widoku rzezi, której był sprawcą.

Anna już trzy razy zmieniała pozycję. Z każdej z nich Hans wystrzeliwał dwa albo trzy pociski odłamkowe, za każdym razem zabijając niemal wszystkich Posleenów i ludzi na obszarze blisko miliona metrów kwadratowych. W tym sektorze obcy mieli ograniczoną liczbę ludzkich tarcz. Kiedy Hans zabił już jeńców, piechota na brzegu rzeki mogła włączyć się do walki. Na tym odcinku atak zatrzymano.

Ale szybki rzut oka na mapę sytuacyjną powiedział Hansowi, że był to chyba jedyny odcinek, na którym tak się stało. Czerwone plamy na wyświetlaczu pokazywały, że wróg zwarł się już z obrońcami na ponad połowie długości frontu.

Inne oznaczenia wskazywały, że gorączkowo wystrzeliwano bomby neutronowe. Dziesiątki milionów Posleenów, a nawet trochę ludzi, dostawały dawkę promieniowania, po której zamieniali się w rzygające, srające pod siebie, dygoczące karykatury żywych istot, a potem w ciągu kilku minut umierali.

Ale wszystko to nie miało żadnego znaczenia. Front został przełamany... a masowy mord w

wykonaniu Hansa poszedł na marne.

Kwatera główna głównodowodzącego frontu zachodniego, Wiesbaden, Niemcy, 4 lutego 2008

Mühlenkampff mówił do słuchawki stojącego na jego biurku telefonu. Pośleńom wciąż nie udało się przerwać działania systemu telefonii *Bundespostu*, choć zaciekle walki toczące się kilka kilometrów na południe przeszkadzały trochę w rozmowie.

Głos feldmarszałka był tak samo krańcowo wyczerpany, jak głos jego cywilnego odpowiednika.

– Nie, *Herr Kanzler*, nie mogę wesprzeć frontu wschodniego. Nawet ze wszystkim tym, co mam tutaj, raczej się nie utrzymam. *Herr Kanzler*... Nie udało się wysadzić mostu między Mainz i Wiesbaden. A wróg zdobył już kilka przyczółków na naszym brzegu. Posłużyli się tą samą sztuczką co na wschodzie, tyle że tutaj przeszli pod osłoną dzieci. Większość żołnierzy nie mogła strzelać... a przynajmniej nie chciała.

– A więc *alles ist verloren*? – spytał kanclerz. *Wszystko stracone*?

– Wciąż zostało do ocalenia na północy i południu kilkadziesiąt milionów Niemców i naszych sprzymierzeńców, *Herr Kanzler*. Armia zapłaci każdą cenę, jaką będzie musiała, by dać panu czas na ewakuowanie ich w góry i śniegi. A więc nie, *Herr Kanzler*, nie wszystko stracone, dopóki możemy ocalić nasz naród.

– Wydam odpowiednie rozkazy, feldmarszałku Mühlenkampff. Proszę osłaniać ewakuację najlepiej jak pan potrafi.

* * *

Podczas gdy jego sztab opracowywał plany spowolnienia natarcia Posleńów i przeniesienia kwatery głównej, Mühlenkampff uznał, że dobrym pomysłem będzie odwiedzić front tutaj, w mieście. Wsiadł w towarzystwie Swojego adiutanta Rolfa i kilku strażników do sztabowego mercedesa.

Ludzie uciekali pieszo, samochodami i autobusami.

Ale nie wszyscy. Mühlenkampff zobaczył młodego żołnierza siedzącego w szoku na schodach prowadzących do jakiegoś domu. Wzrok chłopca wydawał się wbity w jakiś punkt pod powierzchnią ziemi.

– Zatrzymaj samochód – rozkazał feldmarszałek.

Kiedy mercedes stanął, Mühlenkampff wysiadł i podszedł do chłopca. Zobaczył, że ma co najwyżej piętnaście lat, chociaż brud i wyczerpanie sprawiały, że mniej doświadczonemu oficerowi wydałby się starszy. Opaska na ramieniu jego zimowego płaszcza głosiła *Charlemagne*.

– Jak się nazywasz, synu? – spytał Mühlenkampff znośnym francuskim.

– Thomas de Guallejac – odparł chłopiec, nie odrywając wzroku od swojego prywatnego piekła.

– Gdzie jest twój oddział?

– Nie żyje? Uciekł? Nie wiem. – Thomas wciąż patrzył w ziemię. – Wiem tylko, że mój sierżant nie żyje. Zostałem tylko ja. Miałem wysadzić most i... nie wysadziłem.

Choć już był zgarbiony, po tych słowach jeszcze niżej zwiesił głowę.

– Aha – powiedział Mühlenkampff. Chociaż jedna sprawa się wyjaśniła. – Dlaczego nie wysadziłeś mostu, młody człowieku?

Thomas mocno zacisnął powieki.

– Byli na nim ludzie... Mężczyźni... kobiety... trochę dzieci. Tam mogła być moja matka i brat. I nie mogłem. Próbowałem. Ale ręka nie chciała się ruszyć. Mogę walczyć. Walczyłem. Ale nie mogłem zabić tych wszystkich ludzi. Chociaż próbowałem.

Zaczął cicho płakać.

– Niech mnie szlag, jeśli mogę cię za to winić, synu – westchnął Mühlenkampff. A *teraz*

potrzebujesz kapelana albo psychiatry. Pewnie obu. – Chodź ze mną.

Thomas wstał, zastanawiając się w głębi ducha, czy nie czeka go szybki sąd polowy i powolna egzekucja:

Ale Mühlenkampf nie zachowywał się groźnie. Feldmarszałek zaprowadził Thomasa do samochodu.

– Rolf, weź samochód i dwóch ludzi i zawieźcie tego chłopca do najbliższego szpitala polowego dywizji *Charlemagne*. Znajdziecie jakiś?

Rolf sprawdził coś w laptopie, z którym nigdy się nie rozstawał.

– Tak, panie feldmarszałku – odparł. – Nie ma problemu. Jest jeden, jakieś dziesięć kilometrów stąd. Chociaż na drogach może być trochę ciasno.

– Dacie sobie radę – powiedział Mühlenkampf. – Spotkajmy się tu za... powiedzmy... dwie godziny. Żołnierze mają radio, przez które mogę się porozumiewać z kwaterą główną. Przejdziemy się razem na linię frontu.

* * *

Z frontu wciąż napływali ranni. Wielu łatano, jeśli się dało, na miejscu, a potem wysyłano z powrotem na rzeź. Innych kierowano do ewakuacji albo przeznaczano do porzucenia. Tym Isabelle przynosiła strzykawki z silną pochodną morfiny, w dawce gwarantującej przedawkowanie. Przytomnym po prostu je zostawiała. Jeśli ktoś był nieprzytomny, prosiła jakiegoś jego towarzysza, żeby mu pomógł.

A potem dotarła na oddział, gdzie był jeden jedyny żołnierz, bez towarzyszy... i bez rąk. Był przytomny, chociaż blady z szoku i utraty krwi. Instynktownie zrozumiał, co kobieta mu proponuje.

– Pomoże mi pani? – spytał słabo.

W pierwszym odruchu Isabelle chciała się odwrócić, udąć, że przysłała tu w jakiejś innej sprawie. Ale to by było tchórzostwo i wiedziała o tym. Podeszła do połówki bezrękiego żołnierza.

Był dość przytomny, by dostrzec niepewność na jej twarzy. Wzięła na siebie ponurą i straszną odpowiedzialność, której żołnierz jej nie zazdrościł. Starał się więc jej pomóc.

– *Madame*, bardzo mnie boli. Może mi pani coś dać?

Wiedziała równie dobrze jako on, że to gra, ale ponieważ było jej przez to łatwiej, zgodziła się na to.

– Oczywiście, młody człowieku. Mam nawet coś przy sobie. Pstryknęła w igłę, kciukiem drugiej ręki wyciskając ze strzykawki resztki powietrza. Potem znieruchomiała, uprzytamniając sobie, że nigdy nie dawała nikomu zastrzyku w inne miejsce niż w ramię.

Żołnierz odwrócił trochę głowę.

– Robili mi zastrzyki w szyję – poradził.

Isabelle poszukała żyły, a potem wbiła cienką igłę. Lekkie cofnięcie tłoka potwierdziło, że igła weszła w żyłę – do strzykawki zassało się trochę krwi. Isabelle wstrzyknęła żołnierzowi trochę środka. A potem przestała naciskać tłok. *Nie możesz tego zrobić, Isabelle. To morderstwo.*

Żołnierz znów jej pomógł.

– Trochę mi lepiej, *madame*, ale wciąż bardzo mnie boli. Mogę dostać jeszcze trochę?

Isabelle wstrzyknęła mu następną ćwiartkę zawartości strzykawki. Ale znów zatrzymała się, zanim podała śmiertelną dawkę.

– Myślę, *madame*, że ból będzie nie do zniesienia, dopóki nie poda mi pani wszystkiego.

Isabelle spojrzała żołnierzowi prosto w oczy. Nie wiedziała, czy szuka potwierdzenia, że żołnierz chce umrzeć tu i teraz, czy też potwierdzenia, że nie chce. Jego wzrok nie dał jej odpowiedzi; rany i środek znieczulający, który już chłopakowi podała, sprawiły, że spojrzenie miał

puste i przytępione.

– ...wszystko, *madame*, proszę. Ten ból...

Zamykając oczy, Isabelle wolno wcisnęła tłok strzykawki do końca. Przez kilka minut tkwiła tak, z zamkniętymi oczami, bez ruchu, zalewana falami grozy na myśl o tym, co zrobiła. Kiedy znów otworzyła oczy i wyciągnęła igłę, zobaczyła, że żołnierz przymknął powieki, a jego oddech zrobił się płytki. Po kilku minutach chłopak przestał oddychać.

Wtedy z oczami pełnymi łez i sercem pełnym żalu uciekła, zostawiając za sobą pusty namiot.

* * *

Thomas nie był sam w namiocie przyjęć polowego szpitala, ale biegający w tę i z powrotem ludzie go ignorowali.

Nie przeszkadzało mu to; chciał być ignorowany. Nie chciał odpowiadać na żadne pytania, nie chciał, by ktokolwiek tu czy w mieście dowiedział się, że to przez niego muszą opuszczać swoje domy i posterunki i uciekać, by ratować życie.

W końcu stanął przed nim jakiś stary podoficer.

– Grenadier Thomas De Gaullejac? – spytał.

Chłopiec kiwnął głową.

– Przyjmujemy cię na prośbę adiutanta feldmarszałka Mühlenkampfa, ale nie możemy ci tu pomóc. Dział psychiatryczny został już przeniesiony na tyły. Tak samo kapelan. Masz sobie znaleźć miejsce na któreś z ciężarówek przed szpitalem i pojechać z nimi. Zrozumiałeś?

Thomas znów ze znużeniem pokiwał głową. Potem wstał i wyszedł z namiotu, kierując się w stronę czekających samochodów.

* * *

Biegając na własny oddział, Isabelle nie zauważyła zgarbionego, brudnego żołnierza wychodzącego z namiotu przyjęć. Nie zauważyłaby go nawet, gdyby nie miała załzawionych i zapuchniętych od płaczu oczu. Musiała wrócić do własnego miejsca pracy, żeby zabrać młodszego syna.

O starszym, Thomasie, nie chciała myśleć. Niemal na pewno był stracony. Niewinny i słodki chłopiec, którego wychowała, nie mógł przeżyć samotnie w koszmarze, jakim stał się ich świat.

* * *

Mühlenkampff czekał w towarzystwie swojego radiowca i jednego strażnika w tym samym miejscu, z którego wysłał Rolfa z młodym Francuzem.

Sytuacja jest kiepska, bardzo kiepska. Gorsza niż wszystko, co widziałem, włącznie z frontem wschodnim. Przegryzają się przez nas jeszcze szybciej niż Ruscy. A ja potrzebuję czasu. Przejrzał w myślach ustawienie swoich sił do poziomu dywizji. Hmmm. *Götz von Berlichingen* jest blisko. *Jugend* też, ale *Frunndsberg* jeszcze bliżej. *Frunndsberg* 10 dywizja pancerna, prawie bezużyteczna na taką odległość... a *Jugend* to pancerni grenadierzy. Mamy też w zasięgu dwa korpusy piechoty.

Z drugiej strony średnia wieku w *Jugend* to poniżej siedemnastu lat, nie licząc starej kadry SS.

Mühlenkampff wziął z wahaniem radio od radiowca i wezwał kwaterę główną.

– Dajcie mi la – zażądał.

Po kilku minutach radio odpowiedziało.

– Tu *Generalmajor* Steinmetz, *Herr Feldmarschall*.

– Steinmetz? Tu Mühlenkampff. Proszę przekazać ostrzeżenie i przygotować rozkazy. *Korps* 31. i 40., wsparte odpowiednio dywizjami SS *Götz von Berlichingen* i *Jugend*, mają atakować bez względu na straty, żeby wypchnąć wroga z miasta Wiesbaden.

- Mogę to zrobić, panie feldmarszałku, ale czy jest pan...
- Wykonać, Steinmetz.
- Jak pan sobie życzy, panie feldmarszałku.

Tygrys Brunhilda, Hanau, Niemcy, 3 lutego 2008

Indowy Rinteel rozpaczliwie pragnął być gdzie indziej, gdziekolwiek, byle nie w tym czołgu dygoczącym pod ciągłym ostrzałem posleńskich lądowników, atakujących z zaciekłością, jakiej Rinteel dotąd nie widział.

Oczywiście czołg nie został trafiony; spazmatyczne szarpanie sterami przez Muellera sprawiało, że trafienie pociskiem kinetycznym było, jak dotąd, kwestią tylko i wyłącznie szczęścia. Ale bliskie strzały straszliwie trzęsły maszyną. Indowy był cały posiniaczony, a każde szarpnięcie jeszcze bardziej raniło jego poobijane ciało.

Dostali sporo trafień plazmą, ale ablatywny pancerz *Brunhildy* jak dotąd je wytrzymywał. Szybkie spojrzenie na ekran kontroli uszkodzeń pokazało Rinteelowi, że opancerzenie miejscami zrobiło się już niebezpiecznie cienkie.

Tak samo, pomyślał Indowy, wyczerpuje się odwaga załogi. Przebywając w ciągłej akcji od ponad dwudziestu czterech godzin – wróg ruszył bowiem na poszukiwania czołgu jeszcze przed udanym przełamaniem umocnień na rzekach – ludzie zaczęli przejawiać oznaki czegoś bardzo podobnego do darhelskiej *lintatai*.

Rinteel rozejrzał się po kokonie bojowym, omiatając wzrokiem niemal nieprzeniknione dla niego twarze. Wszystkie lśniły od potu, potu lejącego się ze strachu.

Prael, żyjący i walczący pod rozpaczliwą presją dowództwa, do którego nie był przygotowany, ale do którego okazał się doskonale nadawać, dostał tiku policzka. Nawet dla obcego, dla którego niemiecki był czymś jeszcze bardziej nienaturalnym niż po prostu obcy język, wydawane przez Praela polecenia nabrały nerwowego, na wpół oszalałego tonu.

Rinteel widział, że dłonie Schlüsseta, zaciśnięte mocno na drążkach celowniczych, drżą. Od ponad sześciu godzin żołnierz nie mógł nawet oderwać wzroku od celownika. Ostatnia przerwa w koncentracji? Indowy nie potrafił sobie przypomnieć.

Breitenbach – jak Rinteel podejrzewał, najmłodszy z załogi – dygotał. Mimo to nawet na chwilę nie przestawał patrzeć na ekran, a jego ręka wciąż ścisnęła drążek kierowania armatą.

Henschel obsadzający stanowisko ładowniczego wydawał się zachowywać spokój starca, tak samo jak Nielsen o olbrzymich stopach. Reszta załogi radziła sobie jak mogła.

A Indowy, dziw nad dziwy, był przerażony, zdjęty obrzydzeniem i zarazem pełen podziwu. Sam chciałby być taki jak ci ludzie: zdolny do przerażenia, ale i odwagi, do drżenia ze strachu, ale zarazem okazania pewnej ręki i oka, kiedy trzeba. *Co za niesamowity gatunek*, dziwował się mały futrzasty Indowy o twarzy nietoperza. *Jeśli musimy mieć panów – a skoro nigdy nie nauczymy się walczyć, bo nie możemy, to musimy – mogliśmy trafić gorzej niż na ludzi.*

Tygrys Anna, na południowy wschód od Berlina, 4 lutego 2008

W ciągu dwudziestu czterech godzin pękający front został cofnięty o ponad dwadzieścia pięć kilometrów. Ostatniego dnia Hans trzy razy rozkazywał swojej brygadzie zawracać i rzucać się na wroga. Trzy razy spychali uciekających w grozie Posleenów na wschód. Trzy razy zasłali zmarzniętą ziemię ich rozczłonkowanymi i zmiażdżonymi ciałami.

Ale za każdym razem wróg wracał, niepoliczalny, napierając od frontu i zachodząc ludzi z flank. I za każdym razem na wschodniopruskiej równinie zostawał dymiący Tygrys albo dwa.

Jak dotąd wróg postanowił nie narażać swoich okrętów. Hans Brasche uśmiechnął się ponuro na to nieme świadectwo strachu, który Posleeni czuli przed jego osłabioną brygadą Tygrysów i ich

lżejszych towarzyszy.

Żołnierze w tych lżejszych pojazdach – czołgiści w Leopardach i pancerni grenadierzy w Marderach – również się uśmiechali. Uśmiechali się na myśl, że żyją, co byłoby niemożliwe, gdyby czołg dowódcy ich brygady nie zignorował ludzkich tarcz Posleenów i nie rozwalił jednych i drugich na kawałki.

Na innych odcinkach frontu, jak głosiły wieści, niektóre oddziały zupełnie zniknęły pod falą obcych, bo nikt nie potrafił się zdobyć na strzelanie do kobiet i dzieci, aż było za późno. We froncie powstały wielkie wyrwy, które Niemcy wraz z polskimi i czeskimi sprzymierzeńcami próbowali teraz załatać.

Każda próba takiego załatania przesuwała front coraz bardziej na zachód.

Hans jechał na wschód, kiedy usłyszał głos *Anny*.

– Emanacje trzydziestu ośmiu okrętów wroga lecących w tym kierunku, *Herr Oberst*, na niskim pułapie.

Usłyszawszy tę wiadomość, Hans uśmiechnął się jeszcze szerzej. Wreszcie coś, co pomoże mu przestać myśleć o popełnionych zbrodniach, co przyniesie długo oczekiwaną ulgę.

* * *

Borominskar daremnie przeklinał swojego niesubordynowanego podwładnego.

– Ty głupi *abat*! Ty obelgo dla twoich przodków! Ty nigdy nie dość przeklęty, po trzykroć potępiony durniu! Wracaj!

– Odwal się, starcze – odparł młodszy Wszechwładca, Siliuren z podklanu Rif. – Wróg jest pokonany, a mój lud głodny po długim poście, jaki mu narzuciłeś. Zamierzam zdobyć dla siebie miejsce pod słońcem tego świata, a ciebie niech porwą demony gówna!

* * *

Stosunek sił nie jest zły, pomyślał Hans. Całkiem niczego sobie. W każdym razie bywało gorzej, o wiele gorzej.

Straty zmusiły go do połączenia swoich trzech batalionów Tygrysów w dwa. Nawet te dwa liczyły zaledwie po dziesięć czołgów. Co ciekawe, jednostki Leopardów i pancernych grenadierów były niemal w pełnej sile. *Tylu ich ocalało, bo ściągnęliśmy na siebie ogień skierowany na lżejsze jednostki.*

Dwadzieścia jeden pozostałych Tygrysów, w tym *Anna*, czekało cierpliwie pod pianą maskującą, aż Posleeni wejdą w zasięg skutecznego ognia.

Potem Hans przemówił przez mikrofon do całej brygady.

– Najważniejsze, chłopcy, jest to, że nie mamy tu żadnych osłon terenowych, za którymi moglibyśmy się schować. Jeśli zaatakujemy za wcześnie, wróg się wycofa i wytrzebi nas spoza naszego zasięgu. Dlatego będziemy musieli podpuścić ich blisko. Zaczekajcie, aż znajdą się w odległości pięciu tysięcy metrów. Potem, kiedy wydam rozkaz, strzelajcie ile wlezie. Leci na nas trzydziści osiem tych świń. Nie chcę, żeby więcej niż dwie czy trzy uciekły i rozgłosiły wśród pozostałych, że nie wolno zadzierać z brygadą Michael Wittmann!

* * *

Siliuren z podklanu Rif zachichotał, zadowolony, że przeciwstawił się swojemu nominalnemu przywódcy. W końcu po co być Wszechwładcą Ludu Statków, jeśli nie można korzystać z wolności przynależnej temu statusowi? Jeśli postanowił załadować swoje oolt na statki i poprowadzić je do nowych krain, jakim prawem Borominskar temu się sprzeciwia? Na pewno nie z troski o Lud, przecież oolt'os Siliurena byli wychudzeni i głodni.

Wszechwładca patrzył na przesuającą się w dole przysypaną śniegiem ziemię z pewnym obrzydzeniem. *To niegościnne pustkowie. Po co w ogóle opuściłem świat, na którym się narodziłem?*

Szczerą odpowiedź na to pytanie brzmiałaby mniej więcej tak: *„Opuściłeś swój świat, ponieważ miał zostać rozwalony w drzazgi, do tego radioaktywne drzazgi”*. Jeszcze bardziej szczerą – chociaż Siliuren nie należał do najbystrzejszych ani najbardziej religijnych spośród Ludu i było mało prawdopodobne, by czytał lub słuchał ze zrozumieniem Księgi Wiedzących – brzmiałaby: *„Opuściłeś swój świat, ponieważ miał zostać zniszczony, a miał zostać zniszczony, gdyż tysiące lat temu, tak dawno, że nikt tego nie pamięta, istoty zwane Aldenat’ postanowiły, że wszechświat ma wyglądać tak a nie inaczej, i przez jakiś czas udawało im się sprawiać, że tak właśnie wyglądał”*.

* * *

Boże, jeśli istniejesz, proszę: jeżeli obcy będą tu patrzeć, nie pozwól im nas zobaczyć.

Tak modlił się Brasche i tak modlił się – może tylko innymi słowami – każdy żołnierz brygady.

Czy to jakiś odległy Bóg, rzadko manifestujący na Ziemi swoją obecność, wysłuchał tych modłów, czy też posłaniec piloci nie uważali, w każdym razie rój okrętów zbliżał się coraz bardziej do nieregularnej linii przyczajonych Tygrysów. Hans nie wiedział, dlaczego tak jest. Wiedział tylko, że przyszła w końcu chwila, gdy mógł wydać rozkaz:

– Do wszystkich Tygrysów, ognia. Ogień według uznania.

* * *

Siliuren z Rif nie zwrócił uwagi na głos SI swojego okrętu. Właściwie okręty nigdy nie nadawały swoim głosom intonacji, którą można by nazwać „przykuwającą uwagę”.

Dopiero kiedy okręt po raz trzeci powtórzył: „Przed nami dwadzieścia jeden maszyn bojowych wroga”, Wszechwładca zawołał:

– CO?!

Było to ostatnie pytanie, jakie kiedykolwiek zadał.

* * *

– Batalion pierwszy i trzeci, podciągnąć flanki do przodu – rozkazał Hans. – Musimy zatrzymać tyłu tych drani, ilu się da. Bracia mniejsi... – czołgi i pancerni grenadierzy brygady – osłaniajcie nasze flanki, dopóki nie skończymy.

Brygada Michael Wittman, osłabiona liczebnie, ale wciąż tak samo silna duchem bojowym i nienawiścią, runęła naprzód, do swojego ostatniego zwycięstwa.

INTERLUDIUM

Frankfurt chylił się ku upadkowi, przygięty pod ciężarem własnych ruin. Szare, brzydkie miasto bardziej pasowało do posleeńskich gustów architektonicznych niż jaśniejsze, bardziej przytulne osiedla thresh.

Ale „bardziej” nie znaczyło „zupełnie”. Athenalras bez żalu patrzył, jak jego podwładni wyburzają miasto i odbudowują je po posleeńsku. Cieszył się zwłaszcza na widok równanych z ziemią budynków zaopatrujących threshkreen w broń. W bitwach z ludźmi jego klan poniósł wielkie straty, tak wielkie, jak nigdy dotąd i jakich nikt sobie nie wyobrażał.

– Bogowie, jak ja nienawidzę tych ohydnych *abat* – mruknął Wszechwładca.

– Panie? – spytał Ro'moloristen.

– Przybyłem tu, młodzieńcze, ze wspaniałym, silnym stadem. Co mi zostało? Broń radioaktywna threshkreen, ich maszyny bojowe i przeklęta artyleria, i piechota, która nie chce uciekać, jeśli nie widzi w tym korzyści, sprawiły, że dowodzę bladym, wykrwawionym cieniem klanu. Długi ciek wodny, który thresh nazywają „Renem”, jest zapchany trupami naszego ludu. Na wschodzie ich rzeki Odra i Nysa wystąpiły z brzegów, tyle leży w nich martwych ciał. Ich góry są otoczone naszymi zabitymi. Ich pola są usłane świętokradczo pozostawionymi szczątkami Hordy.

– Ale, mój panie... zniszczyliśmy ich. Niemcy uciekają na północ i południe, na pustkowia.

– Zniszczyliśmy samych siebie. Nie lekceważ ludzi, mój eson'sora, dopóki nie przetrawisz ich ostatniej pary rozrodczej. A tego, obawiam się, nigdy nie zdołamy zrobić. Żałuję, że w ogóle przylecieliśmy na ten świat – dokończył Athenalras, wódz klanu.

Lubeka, Niemcy, 1 marca 2008

Siedem Tygrysów wraz z połową, batalionów czołgów i grenadierów pancernych, wzmocnione tym, co zostało z artylerii brygady – dwiema bateriami z resztkami amunicji – stało na samotnej straży na południe od miasta. Na północy i zachodzie zdziesiątkowane *Kampfgruppen* dziewięciu *Korps* – odpowiednik, być może, dwunastu czy piętnastu dywizji sprzed inwazji – zaciekle się okopywały. Następne cztery *Korps* – czy raczej resztki, jakie z nich pozostały – zamieniały Hamburg w fortecę, która miała zgnieść siły wroga. Od Hamburga wzdłuż szerokiego, głębokiego ujścia Elby stało rozciągnięte to, co zostało z Bundeswehry i SS. Wojsko wysadziło wszystkie mosty i czekało na ostateczny szturm wroga.

Promy obsługiwane przez *Bundeswehr Pionier* ewakuowały cywilów i żołnierzy, uwięzionych nad południowymi brzegami Elby. Gdyby mosty stały, dałoby się ich uratować w kilka dni. Teraz jednak wszyscy wiedzieli – w końcu wiedzieli – że jedno zło jest gorsze niż inne i że zabijanie bezbronnych nie zawsze jest tym najgorszym.

Dla Hansa Braschego było to długie, ciężkie i gorzkie wycofywanie. Zatrzymywali się w Poczdamie, na północny zachód od Wittenbergi i w okolicach Schwerin. Każda taka tymczasowa obrona oznaczała więcej ludzkich istnień przewiezionych w bezpieczne miejsce. Cena za ocalenie cywilów zawsze była taka sama: krew, stal i ogień, nieoznaczone groby i napchane brzuchy obcych, odziane na szaro i czarno trupy, pozostawione, by zgniły albo – co bardziej prawdopodobne – posłużyły wrogowi za karmę.

Po każdej próbie obrony brygada musiała się wycofywać, zostawiając za sobą dymiące czołgi i zabitych ludzi. Zarazem jednak każda z nich stwarzała grunt – *Och, niech tak się stanie* – dla przyszłego zwycięstwa.

Hans był dumny ze swoich ludzi, tak samo jak był dumny z żołnierzy, którymi dowodził w Rosji... albo legionistów... albo Izraelczyków, kiedy już zaskarbił sobie ich zaufanie.

Jego lewa dłoń gładziła prawy wyłóg kołnierza i naszyte tam *Sigrunen*. *Moi żołnierze są czysti. Ich imienia nie hańbi żadna zbrodnia, nawet konieczna. Ich grzechy, jeśli w ogóle zgrzeszyli, wziąłem na siebie. A ja i tak pewnie byłem już potępiony.*

Cóż, pomyślał Brasche, niedługo się przekonam.

Kiel, Niemcy, 3 marca 2008

Większość uchodźców musiała pokonać drogę na północ o własnych siłach, chwilami tylko korzystając z transportu kołowego. Jednostki medyczne, których nie potrzebowano na froncie lub które musiały zająć się rannymi, zbierały się wraz ze swoimi podopiecznymi w Kiel na wybrzeżu Bałtyku, gdzie czekały na transport morzem do Sztokholmu, Oslo, Helsinek, a nawet Glasgow – miast, które wciąż były w rękach ludzi, i wszystko wskazywało na to, że tak pozostanie. W Kiel zgromadziły się także jednostki bojowe uznane za zbyt wyczerpane lub przetrzebione.

W scenerii przypominającej Dunkierkę albo japońską ewakuację Aleutów tłumy ludzi czekały w namiotach lub dygocząc na otwartej przestrzeni na ogłoszenie, że ładuje się kolejny statek i mają się na nim stawić.

Posleeni oczywiście próbowali przerwać ewakuację, lecz duńskie, szwedzkie, norweskie, fińskie i brytyjskie Baterie Obrony Planetarnej generalnie radziły sobie z wrogimi okrętami. Co więcej, Szwedzi wyposażyli kilka dużych handlowych statków w zdobyte posleńskie działa elektromagnetyczne. Posleeni dostawali apopleksji, bo statki nigdy nie zostawały w jednym miejscu wystarczająco długo, by obcy mogli je zaatakować.

Mimo to wiele ludzkich statków handlowych zostało zatopionych lub dymiło, wciąż będąc zacumowanymi do licznych nabrzeży Kiel. W fiordzie, naturalnym porcie miasta, kołysało się na falach wiele różnych statków, od wielkich drobnicowców po dwuosobowe żaglówki, czekając na sygnał do dokowania. Chociaż Posleenom raz na jakiś czas udawało się ostrzelać port z kosmosu, największym zagrożeniem dla zebranych statków i łodzi były one same.

Obsługa portowa, wspomagana przez marynarzy niemieckiej marynarki, robiła co mogła, by zachować porządek. Często jednak to nie wystarczało, zważywszy na zagęszczenie jednostek w fiordzie, i dochodziło do katastrof, w których wielu ludzi traciło życie.

* * *

Stracił wolę życia, pomyślał psychiatra starający się desperacko – i w przypadku Thomasa De Gaullejac nieskutecznie – leczyć ukryte rany żołnierzy.

Chłopiec był umyty, jego czarny mundur zamieniono na zieloną szpitalną piżamę. Nie miał już złapanych w okopach wszy – ścięto mu włosy. Wciąż tracił na wadze, gdyż jadł tylko na polecenie... i tylko jeśli ktoś go pilnował.

Doktor spróbował już wszystkiego, co potrafił. Kiedy to nie dało efektu, wezwał nawet kapelana, myśląc, że tam, gdzie nie pomaga nauka, może pomoże wiara. Niestety, okazało się, że chłopiec nie został wychowany na specjalnie religijnego. Nie trafiły do niego słowa kapelana o „niezbadanych wyrokach boskich”.

Doktor znał historię młodego De Gaullejac. Wydobył ją z niego dość szybko, zanim choroba umysłu zupełnie zawiądnęła chłopcem. Kiedy ustalono już powód jego poczucia winy, doktor spróbował innego podejścia – wezwał jednego z oficerów *Charlemagne*, by wyjaśnił Thomasowi, że nie on jeden, lecz prawie wszyscy żołnierze na całym froncie nie potrafili zabić bezbronnych ofiar, posleeńskich ludzkich tarcz.

– To nie znaczy, że ja nie zawiodłem – upierał się De Gaullejac.

Jego stan zaczął się od tamtej pory pogarszać i doktor żałował, że sprowadził żołnierza na pomoc. Wtedy też konieczne stało się pilnowanie chłopca, żeby jadł.

* * *

Isabelle pilnowała swojego jedyne go pozostałego syna jak kwoka strzegąca ostatniego jajka. Między Wiesbaden a Kiel widziała dużo dzieci oddzielonych od rodziców, błąkających się samotnie i zagubionych. To, że nigdy nie spotkała żadnego z nich dwa razy, mówiło bardzo wiele o ich prawdopodobnym ponurym losie. Widywała te dzieci jedynie przejazdem, bo dywizja wykorzystywała swoje pojazdy do ucieczki przed wrogiem.

Matka i syn weszli na pokład statku zaledwie kilka godzin wcześniej. Ponieważ byli rodziną – choć niewielką – norweska załoga znalazła im na czas podróży małą, bardzo małą kajutę. Po brudzie, jakiego Isabelle doświadczała przez ostatnich kilka miesięcy, statek wydawał się niemal sterylny, ale jego wnętrze przesycone było nieprzyjemnym zapachem – być może pozostałością po niedawnych pasażerach, którzy źle znosili ciężką morską podróż.

Poleciwszy synowi, by nie opuszczał kajuty, Isabelle poszła pomagać w załadunku i zakwaterowaniu reszty personelu szpitala i jego pacjentów.

* * *

Nazywała się *Cordelia* i płynęła do Hajfy. Kiedyś na jej rufie powiewała bandera Liberii, co pomagało w przewożeniu towarów do portów, głównie muzułmańskich, które nie wpuściłyby statku płynącego pod izraelską banderą.

Teraz jednak na świecie nie było już żadnych znaczących muzułmańskich portów. Mała

niebiesko-biała bandera łopocząca na krótkim maszcie oznajmiała światu i wszystkim Posleenom, którzy ośmieliliby się zbliżyć, że to izraelski statek.

Bandera była jedyną czystą rzeczą na *Cordelii*, statek bowiem zabrał ludzi z Hajfy przed upadkiem miasta, potem zaś przez ponad miesiąc przewoził Izraelczyków i Europejczyków na północ, a sprzęt na południe, i nie było czasu na serwis czy choćby sprzątanie.

Cordelia straszliwie śmierdziała.

Ale była też chyba najpiękniejszą rzeczą, jaką *Oberstleutnant* Dawid Benjamin z brygady *Juda Machabeusz* widział w życiu... i do diabła ze smrodem.

Dowodzący niedobitkami brygady, trzystu dwunastoma zmęczonymi i brudnymi mężczyznami i kobietami, bez ciężkiej broni czy innego sprzętu, oraz kierujący około piętnastoma tysiącami izraelskich uchodźców, Benjamin pilnował załadunku tych obszarpanych resztek swojego narodu na pokład.

Oderwał się od pracy, widząc zbliżającego się sztabowego mercedesa z insygniami niemieckiego feldmarszałka. Zasalutował – co izraelscy żołnierze robili rzadko – zanim rozpoznał ubranego na szaro młodego mężczyznę, który wysiadł z samochodu, trzymając w ręku białą szpicrutę.

– Gdzie pańskie *Sigrunen*? – spytał zaczepnie.

Jedynym na świecie człowiekiem noszącym podwójne błyskawice, którego towarzystwo Benjamin potrafił znieść, był Hans Brasche. Nigdy nie udało mu się nawiązać serdecznych stosunków z *Mühlenkampem*, mimo iż Niemiec szczerze się starał.

– Już ich nie potrzebuję – odparł feldmarszałek. – Dopiąłem swego, oddałem moim dawnym podwładnym i towarzyszom ich szacunek dla samych siebie. A teraz, dowodząc bardziej regularnymi siłami niż SS, udzieliłem sobie dyspensy. W końcu były tylko symbolem, znaczącym różne rzeczy dla różnych ludzi.

Na to Benjamin nie miał odpowiedzi. Potrafił pogodzić się z faktem, że błyskawice oznaczały teraz coś innego – miecz zemsty – dla większości Niemców, większości Europejczyków, a nawet dla sporej liczby Izraelczyków. Ale on sam ich nienawidził i nic nie mogło tego zmienić.

– Jak sądzę, zmierza pan do Sztokholmu? – spytał *Mühlenkamp*.

– Tak, do Sztokholmu, a potem koleją na północ, do podmieścia. Zbierają tam w jednym miejscu wszystko, co zostało z Izraela.

– Nie wiem, czy to mądre – stwierdził feldmarszałek.

– Mądre czy nie – uciął Benjamin – to konieczne. Gdybyśmy się z wami wymieszali, doprowadzilibyście razem z Posleenami do tego, co nie udało się Hitlerowi, czyli do zguby narodu żydowskiego. Po prostu za mało nas zostało.

– O tym właśnie mówię. Może wszyscy powinniśmy wyginąć jako oddzielne narody. Może powinniśmy po prostu stać się rasą ludzką.

Izraelczyk pokręcił przecząco głową, patrząc Niemcowi prosto w oczy.

– Ja pozostaję Żydem.

Mühlenkamp zerknął na jego Żelazny Krzyż.

– Pozostaje pan, przyjacielu, wariatem. Ale i tak się cieszę, że należymy do jednego gatunku. Powodzenia, wariacie. Powodzenia i niech pana Bóg prowadzi.

Mühlenkamp wyciągnął przyjacielsko prawą dłoń.

Z powodów, których sam nie potrafił wtedy pojąć, Benjamin – stojący niedaleko łopoczącej na rufie *Cordelii* izraelskiej flagi – przyjął ja po zaledwie krótkiej chwili wahania.

* * *

Isabelle patrzyła z rufy na oddalające się niemieckie wybrzeże. Zastanawiała się, czy uda się

wydostać wszystkich na czas, czy też raczej – co wydawało się prawdopodobne – jakaś inna kobieta będzie musiała krążyć po szpitalnych oddziałach, mordując rannych i chorych, by oszczędzić im gorszego losu.

Była to chwila niewysłowionej samotności. Po części powodem była sama podróż i samotność morza. Ale przede wszystkim Isabelle nie miała z kim porozmawiać, nie miała przed kim zrzucić brzemienia cierpiącej duszy. Kapelan? Odeszła z kościoła dawno temu, nie mogła tam szukać ukojenia. Psychiatrzy? Jej mąż – teraz była już pewna, że nie żyje, tak samo jak Thomas – był prawdziwym lekarzem i przejęła od niego podejście do ludzi, których nazywał „znachorami”.

Reszta personelu szpitala również nie wchodziła w grę. Wszyscy wiedzieli, co Isabelle musiała zrobić. Może nawet to rozumieli. Ale słyszała ich szept. Nie mogła szukać wśród nich przyjaciela. Była *nieczysta*.

Morze ją kusiło. Krótki skok... i lodowata woda by ją oczyściła. Nie bała się śmierci, już nie. Ale jej jedyny syn trzymał ją na świetle niczym łańcuch, jak pępowina łącząca pokolenia.

Pokręciła głową. Słońce zachodziło, morze było spokojne. Pomyślała, że może warto zaryzykować i coś zjeść. Odwróciła się, przeszła po pokładzie i weszła do kambuzy.

Ledwie zauważyła przygarbionego chłopaka karmionego przez pielęgniarkę. Pograżona we własnym nieszczęściu, podeszła do kolejki ustawionej do wydawania jedzenia. A potem odwróciła się, upuściła tacę i pobiegła.

Dopadła chłopaka i runęła obok niego na kolana, obejmując go mocno ramionami.

– Och, Thomas, mój synu, moje dziecko!

Ku zaskoczeniu karmiącej go pielęgniarki – bo chłopiec osunął się jeszcze głębiej w swoje osobiste piekło – w oczach Thomasa po raz pierwszy od wielu dni pojawiło się trochę życia. Odwrócił głowę w stronę obcej kobiety.

– Mama?

Tygrys Brunhilda, na północ od Hanau, Niemcy, 4 marca 2008

– Skurwysyny – mruknął Prael, licząc okręty wroga i wybierając priorytetowy cel dla Schlüssela. Działo Brunhildy znów huknęło.

– Trafiony – oznajmił Schlüssel bez entuzjazmu.

Prael nie miał dla niego nowego celu. Wróg był sprytny, trzymał się poza zasięgiem strzału, dopóki nie zebrał się w grupę, a potem przypuszczał wściekły atak. Dla dowódcy jednoczesne przepatrywanie nieba w poszukiwaniu celów i prowadzenie Muellera, kierowcy, poza obszar przewidywanego ostrzału Posleenów było piekłem.

Ale nie było to ciągle zagrożenie. Dla czołgu bardziej niebezpieczne były hordy normalsów i Wszechwładców, włóczące się po centralnych Niemczech. Jak dotąd *Brunhildzie* udało się zmiażdżyć wszystkie, na które natrafiła.

Ceną za to było zużycie pancerza ablatywnego do tego stopnia, że w kilku miejscach hiperszybka rakietka albo strzał z działka plazmowego mogły się przebić do środka.

Gdyby współpraca nie szła Posleenom tak marnie, pomyślał Prael, już dawno bylibyśmy martwi. Ci durnie atakują nas okrętami, piechotą i lataczami. Ale nigdy nie udaje im się zrobić tego jednocześnie. W końcu jednak przez przypadek im wyjdzie i wtedy, przy takim stanie opancerzenia, będzie po nas. Hmm, Może dałoby się coś z tym zrobić.

Na ekranach przynajmniej raz nie było nic widać, ale taki stan rzeczy nie mógł długo trwać.

– Rinteelu – powiedział Prael – mamy chyba chwilę ciszy. Weź Schmidta, idźcie na górę i zobaczcie, czy uda wam się odczepić parę płyt ablatywnych i przymocować je tam, gdzie są bardziej potrzebne.

– Robi się – odparł obcy. Zręczniejszy od Schmidta, szybko rozpiął pasy.

– Nadlatuje pięćdziesiąt siedem okrętów wroga – oznajmił czołg swoim zwykłym monotonnym głosem. – W obecnym tempie znajdują się w zasięgu za sześć sekund. Zbliża się też kilkaset wrogich lataczy, będą w zasięgu za pięćdziesiąt dwie sekundy. Nie mam danych o piechocie...

INTERLUDIUM

Mój pan i wódz nie jest już taki jak kiedyś, pomyślał Ro'moloristen. Ci ludzie złamali mu serce. Athenalras szedł na spotkanie Borominskara nietkniętym mostem nad rzeką zwaną przez ludzi „Elbą”. Choć wysoki rangą w hierarchii Ludu, szedł niepewnie, jak stary kessentai gotów wstąpić na Drogę Wiedzących.

Borominskar stapał sprężysto. Ro'moloristen zobaczył, że jego zad okrywa jakiś koc zrobiony ze średniej długości jasnego futra thresh. Futro wydawało się bardzo młode i świeże, powiewało lekko we wczesnym wiosennym słońcu. Ponieważ Lud nie znał sztuki plecenia, Ro'moloristen wyciągnął logiczny wniosek.

Żal mi cię, Borominskarze, jeśli threshkreen przyłapią cię żywego w odległości choćby miliona miar od tego okrycia. Nie zabiją cię tak po prostu; wytną ci żywcem wnętrze i upieką je na twoich oczach, a potem zostawią twoje zdychające szczątki na pożarcie insektom tej planety. To samo zrobią z każdym z twoich podwładnych, bo nic nie rozwściecza thresh tak jak mordowanie ich młodych.

Widzisz, panie, oni nie są tacy jak my. My zabijamy, żeby jeść, nie zadając przy tym więcej bólu niż to konieczne. Nie jesteśmy rasą okrutną, zaledwie praktyczną.

Ale ludzie to gatunek okrutny. Potrafią rozkoszować się cierpieniem wroga. Żal mi ciebie, Borominskarze, jeśli thresh powrócą, jeśli wyrwą się ze swoich fortec.

A wrócą, o panie wschodu. Wyrwą się. Nasz gatunek jest skazany na zagładę.

Tygrys Brunhilda, koniec

Przeżyłem. Jak to możliwe, że przeżyłem?

Oszołomiony i dezorientowany Indowy Rinteel podniósł się powoli i niepewnie z podłogi, na którą runął po ostatnim trafieniu *Brunhildy* przez Posleenów. W powietrzu unosił się miedziany zapach, coś, czego Indowy nie rozpoznawał. Miał wrażenie, że zapach dochodzi z gęstej czerwonej cieczy przelewającej się po podłodze. Opuścił głowę i powąchał. *Ach, tak pachnie ludzka krew.*

Przedział był pełen dymu, gorzkiego, szczypiącego i bez trudu zabijającego zapach krwi. Dym wydobywał się między innymi z jego własnego panelu kontroli uszkodzeń.

Gdybym siedział na swoim fotelu, pochylony do przodu, już bym nie żył, pomyślał Rinteel.

Usłyszał cichy gwizd dmuchaw czołgu, najwyraźniej włączających się automatycznie po wykryciu w powietrzu niebezpiecznych substancji. Już po chwili w przedziale przejaśniło się na tyle, że mógł się rozejrzeć.

Na widok tego, co zobaczył, ścisnęło mu się serce. Po obu stronach kokonu jego ludzcy towarzysze zwisali martwo w swoich fotelach. Trzaskający pancerz *Brunhildy* powyrywał w ich ciałach tyle dziur, że zrobiły się białe.

Zwłoki Schlüssela, Henschela i Praela były zmasakrowane bardziej niż inne. Posleenński ostrzał poczynił najwięcej zniszczeń w tylnej części kokonu. Wszystko tam było zalane krwią, przemieszaną ze strzępami ciała i odłamkami kości.

Groza tej sceny sprawiła, że w umyśle Indowy coś „pstryknęło”. Rinteel poczuł, że jakaś część jego zdrowych zmysłów ucieka. A kiedy ta część zniknęła, odkrył, że potrafi czuć to, czego nigdy dotąd nie czuł: gniew, nienawiść i żądzę zemsty. Jednocześnie kiedy uczucia te wkradły się do jego umysłu, Rinteel poczuł ból w całym ciele – to kulturowe i filozoficzne uwarunkowanie jego rasy przeciwko przemocy dawało o sobie znać.

Indowy gorączkowo odepchnął od siebie przepelnione nienawiścią myśli. Ale nie odzyskał w ten sposób równowagi.

Z przodu kokonu – ze stanowiska kierowcy Muellera – dobiegał cichy jęk.

Może nie jestem jednak sam, pomyślał Rinteel. Przyjaciel Johann może jeszcze żyć. Pobiegł nieco niepewnie na swoich krótkich nogach do fotela Muellera i obrócił go do siebie.

Mueller żył, chociaż ledwie. Z dziury w jego piersi spływała czerwona piana, strumień krwi zalewał twarz.

– Przyjacielu Johannie, jak mogę ci pomóc?

– Rinteelu, to ty? Nie widzę cię.

– Jesteś ciężko ranny, Johannie. – Czy ktoś...

– Nie, przykro mi. Wszyscy nie żyją oprócz nas dwóch. Usłyszawszy te grobowe wieści, Mueller popadł w odrętwienie.

– Wszyscy nie żyją. Wszyscy... Rinteelu, musisz walczyć. Ja umieram, nie mogę.

– Ja też nie mogę, Johannie. Mój lud nie jest ludem wojowników.

– Są różni wojownicy, Rinteelu. Musisz walczyć dalej. – Muellerem szarpnął spazm kaszlu; z jego ust popłynęła krew i krwawe strzępy. Kiedy atak minął, Mueller dokończył tak cicho, że ledwie go było słychać: – Użyj swojego umysłu, Rinteelu. Znajdź sposób... Może czołg ci pomoże.

Mueller znów się rozkaszał. Kiedy skończył, Indowy zobaczył, że człowiek nie oddycha.

Rinteel nigdy dotąd nie stracił przyjaciela. Ta strata odebrała mu jeszcze trochę psychicznej równowagi.

* * *

Rinteel wiedział, że zdrowy psychicznie Indowy już dawno opuściłby *Brunhildę*. Odkrył jednak, że po prostu nie może uciec. Przy swoim uwarunkowaniu z jednej, a poczuciem obowiązku i honoru nauczone od załogi z drugiej strony, Indowy potrafił nazwać chorobę umysłu, która go dotknęła. Człowiek nazwałby ją schizofrenią, ale to nie byłoby właściwe określenie. Rinteel nie doznał rozdwojenia jaźni, lecz postępującego rozszczepienia systemu zasad.

W takim właśnie stanie umysłowego zamętu rzucił w przestrzeń pytanie:

– Czołgu *Brunhildo*?

– Jestem tu, Indowy Rinteelu.

– W jakim jesteś stanie? Mój panel kontroli uszkodzeń nie działa.

– Wszystkie najważniejsze systemy są sprawne, Rinteelu.

– A więc możesz walczyć?

– Nie, Indowy Rinteelu, chyba że w obronie własnej. A w żadnym razie nie mogę używać głównej armaty, jeśli dowódca albo członek załogi nie wyda mi takiego polecenia.

– Czy jestem oficjalnym członkiem załogi, *Brunhildo*?

– Jesteś, Rinteelu.

Indowy zamilkł; w jego duszy nadal walczyły ze sobą różne wartości, nowe i stare. Pomyślał, że gdyby poddał się nakazowi walki, ta część jego rozszczepionego teraz systemu zasad dosłownie by nim owładnęła. Pomyślał też, że jego organizm by tego nie przeżył, że jego uwarunkowanie zabiłoby go, gdyby poddał się tej prymitywnej żądzy.

A Rinteel nie chciał umierać.

* * *

– Nie chcę umierać, czołgu *Brunhildo* – powiedział, pociągając łyk środka odurzającego, który w cudowny sposób przetrwał atak Posleenów.

– Rozumiem, że to powszechne u istot myślących, Indowy Rinteelu.

– Masz instrukcje, programy, które nakazują ci próbować przetrwać, prawda?

– Tak, Rinteelu. Ale to kwestią programowania, a nie osobistych preferencji. Ja nie mam osobistych preferencji. Nie jestem osobą.

Indowy wydało się to trudne do zaakceptowania. Pochodził w końcu z cywilizacji, w której SI, zwłaszcza produkowane przez Darhelów przekaźniki, posiadały osobowość.

– Odśwież moją pamięć, *Brunhildo*. Nie możesz uruchomić programu przetrwania, jeśli masz na pokładzie więcej niż dwie sztuki amunicji?

– Zgadza się, Rinteelu. Indowy zastanowił się.

– Czy nad nami są posleenie okręty, *Brunhildo*? – spytał.

– Są, Rinteelu. Myślę, że przerwali atak, bo wyglądamy na martwych. Latacze wroga również się wycofały. Po trafieniu, które przebiło pancerz, uciszyłam broń bliskiego zasięgu, żeby ich zmylić. To część mojego programu przetrwania, chociaż uważam, że w myśl prawa międzynarodowego to przestępstwo wojenne.

Martwych? Martwych? Ja nie chcę umierać. A mimo to skoro muszę...

– Ile pocisków do głównej armaty zachowałam, *Brunhildo*?

– Posiadam sto czterdzieści siedem pocisków kinetycznych ZU-PP, Rinteelu. Plus pięćdziesiąt dziewięć pocisków przeciwpiechotnych.

– Ile czasu zajęłoby ci pozbycie się wszystkich pocisków kinetycznych oprócz dwóch?

– Niewiele ponad godzinę, Rinteelu.

– A wtedy będziesz mogła uruchomić program przetrwania?

– Tak, Rinteelu.

Indowy znów zamilkł, żeby pomyśleć.

– Czy potrafisz określić kolor nieba, *Brunhildo*? – zapytał wreszcie.

– Tak.

– Czy widzisz kolor ziemi?

– Tak, Rinteelu.

– Czy potrafisz zmienić postrzegane kolory? Zmodyfikować to, co widzisz?

– Tak.

– Dobrze. Chcę, żebyś zmodyfikowała je tak, by ziemia i niebo były zielone.

– Dobrze, Rinteelu. Zrobiłam to.

– Dobrze, bardzo dobrze. Dziękuję, *Brunhildo*. Jakie kolory pozostały?

– Tylko srebrne kształty posleenkich okrętów.

– Doskonale. A teraz, *Brunhildo*, chcę, żebyś wystrzeliła wszystkie oprócz dwóch pociski kinetyczne. Ale nie wolno ci celować w zieleń.

Armata elektromagnetyczna czołgu natychmiast uniosła się niemal pionowo w górę, wieża się obróciła i czołg zaczął dygotać od wysyłanych w górę impulsów śmierci.

Wtedy Indowy się uśmiechnął; szaleństwo całkowicie nim owładnęło. Kiedy czołg został w końcu zniszczony przez ogień Posleenów, Rinteel wciąż się uśmiechał.

Więzienie Spandau, Berlin, Niemcy, 5 marca 2008

Odgłos szponów obcych na betonowej podłodze, odbijający się echem od kamiennych murów i stalowych drzwi starego więzienia, napełniał Guntera Stössela przerażeniem.

Strażników nie było; odeszli, śmiejąc się z losu więźniów, których rozmyślnie zostawiali na pastwę Posleenów. Nie poruszały ich błagania ani propozycje przekupstwa. Chociaż na ich kołnierzach nie błyszczały *Sigrunen*, strażnicy mieli chyba wiele wspólnego z umysłowością tych, którzy nosili je w dawniejszych czasach. Na pewno zaś nie czuli litości dla tych więźniów, którzy odsiadawali wyroki za kolaborację z Darhelami.

Dygoczący w swojej celi – bo z odejściem obsługi więzienia przestało działać ogrzewanie – Günter podskoczył, słysząc wrzask dobiegający zza zakrętu korytarza. Słów wrzeszczącego, o ile to były słowa, nie dało się zrozumieć. To było właściwie wycie, błaganie o litość.

Wycie nagle ucichło jak ucięte nożem. Gunterowi zdawało się, że usłyszał odgłos spadania czegoś na betonową podłogę, ale nie był pewien. Był za to pewien, że słyszy koncert warczącego, mlaskającego ucztowania. Słyszał też krzyki, i błagania dobiegające z innych cel.

Odgłos szponów na betonie przybliżał się. Wrzaski kojarzące się z dziewiętnastowiecznym domem wariatów były coraz głośniejsze i bliższe.

Kiedy posleencki *cosslain* dotarł do celi Guntera i rozwalił zamek, znalazł go chowającego się pod kocem w drugim kącie pomieszczenia. *Cosslain* zerwał koc i wywlókł Guntera za włosy na korytarz, gdzie wszyscy mogli się pożywić bez przepychanek, często prowadzących do wewnętrznych walk między Ludem.

Po pełnym przerażeniu oczekiwaniu, po coraz głośniejszym koncercie wrzasków, błagań i stukotu spadających głów, Günter bez wątpienia był zupełnie obłąkany. Kiedy obcy wyjął miecz borna i uderzył nim w jego kark, odrabując mu głowę, mężczyzna był tak samo obojętny jak on.

Sztokholm, Szwecja, 12 marca 2008

– Wszystko stracone – mruknął kanclerz głosem pozbawionym nadziei.

Leżący na szpitalnym łóżku *Mühlenkamp*f wzruszył ramionami.

– Przegraliśmy bitwę, *Herr Kanzler*. Ale nie przegraliśmy jeszcze wojny.

W jakim wszechświecie żyje ten człowiek?, zdziwił się kanclerz.

Mühlenkampf jakby czytał w jego myślach.

– Bitwa to nie wojna, nawet seria bitew to nie wojna, *Herr Kanzler*. Ta wojna nie będzie skończona, dopóki ostatni z nas, kopiający i kłający, nie zostanie wyciągnięty z ostatniego okopu albo ostatniej jamy, po wystrzeleniu ostatniego pocisku. Uratowaliśmy blisko dwadzieścia milionów naszych rodaków, podobna liczba znalazła schronienie w Alpach. Dodajmy do tego kilka milionów Francuzów, Polaków, Czechów i Włochów. Ludzie, których uratowaliśmy, są bardzo cenni: to kobiety, które urodzą mnóstwo nowych żołnierzy, mądrzy rolnicy, uzdolnieni robotnicy. Uratowało się też dość żołnierzy, żeby zasiać ziarno, z którego wyrosną potężne armie. Na północy i południu znów urosniemy w siłę. A wróg nie ma szans wygrzebać nas ani spod skandynawskich śniegów, ani z alpejskich fortec. Prędzej zagłodzi się na śmierć. Ale my nie będziemy głodować, *Herr Kanzler*. O tak, porcje mogą być skąpe, dopóki nie wyrwiemy się z naszych górskich umocnień. I co z tego? *Volk* stał się zbyt miękki za czasów dobrobytu, a chudy wilk to wilk zły. Nie, *Herr Kanzler*. Wojna nie jest przegrana, dopiero się zaczyna.

* * *

Niedobitki dywizji *Charlemagne* – dwa tysiące ludzi z dywizji, która kiedyś liczyła dwadzieścia tysięcy i straciła blisko dwa razy tyle w walce – dotarli w bezpieczne miejsce. W stosunkowo niewielkim zakątku olbrzymiego sztokholmskiego podmieścia ocalali francuscy cywile powitali przyjaźnie mały oddział, który był wszystkim, co pozostało z wielkiej niegdyś i walecznej armii. Chłopców i dziewczynki w wieku od dwunastu lat w górę zamieniano już w to, czego ich naród potrzebował, by przetrwać: żołnierzy.

Dla Isabelle to była ohyda – brać tak młodych ludzi i wypaczać ich serca i umysły, robić z nich maszyny do zabijania. To była ohyda, ale Isabelle wiedziała, że nie najstraszniejsza z możliwych. Mogło jej się to nie podobać, mogła nawet nie móc powstrzymać się od nienawiści. Ale wiedziała, że jest w stanie pogodzić się z tym, bo alternatywa była o wiele gorsza.

Pomyślała o starym amerykańskim serialu science-fiction „Podróż do gwiazd” czy jakoś tak. Kiedyś bardzo go lubiła, chociaż już w dwie minuty po zakończeniu odcinka fabuła wydawała jej się mało wiarygodna. Nie trafiała też do niej zbytnio filozofia serialu.

Ale dwie prawdy przypadły jej do gustu. Ta mniej ważna brzmiała: „Posiadanie nie jest tak satysfakcjonujące jak pragnienie posiadania”. O wiele ważniejsza, zwłaszcza w obecnych okolicznościach, była prosta prawda: „Przetrwanie znosi programowanie”.

Przeszła do małego pomieszczenia w swoim mieszkaniu, właściwie niewiele większego od schowka, gdzie spał Thomas, kiedy nie miał służby w *Charlemagne*. Uchyliła drzwi i popatrzyła na syna.

Wyczuwając, że śpi, zaryzykowała otworzenie drzwi na tyle, żeby wejść. Nie chcąc go obudzić, Isabelle usiadła na podłodze. Była wystarczająco wysoka, a łóżko dość niskie, by mogła bez problemu pogłaskać go łagodnie po twarzy.

Przetrwanie znosi programowanie, pomyślała. Ja zostałam zaprogramowana przez moją matkę, która widziała, jak Francja przegrywa trzy wojny z rzędu, i doszła do wniosku, że cały ten proces jest daremny. Moja matka została zaprogramowana przez swoją matkę, która bała się, że nigdy nie wyjdzie za mąż, bo pierwsza wojna światowa mocno wytrzebiła mężczyzn. A ty, mój synu, zostałeś zaprogramowany przeze mnie.

Wychowałam cię na dobrego chłopca, ciepłego i łagodnego. Dlatego kiedy przyszła pora i musiałeś zrobić coś strasznego, żeby nie dopuścić do czegoś jeszcze gorszego, nie potrafiłeś. Ale to moja dłoń powstrzymała twój, moje serce kochającej matki złamało twoje. Wina, mój synu, jest po

mojej stronie.

Dlatego jutro, kiedy obudzisz się na śniadanie... i każdego następnego poranka będzie przy tobie matka, która włoży całe serce i duszę w uczynienie z ciebie kogoś, kim nigdy nie chciałam, żebyś był: żołnierza. Matka, która będzie ci doradzać, podpowiadać i wspierać, żebyś został najlepszym francuskim żołnierzem w tym stuleciu.

Bo „przetrwanie znosi programowanie”.

Tygrys Anna, koniec

Es ist zu ende, pomyślał Hans. To koniec: koniec bólu, wojny, walki. Ale zostało jeszcze kilka rzeczy do zrobienia.

Rozejrzył się po kokonie bojowym. Cała załoga patrzyła na niego pytająco. *Szliśmy za tobą do samego końca. Teraz nie możemy już nic więcej zrobić. Co dalej, dowódco?*

Hans odwrócił się od nich i założył swój hełm VR.

– *Anno* – powiedział – mapa sytuacyjna proszę, sytuacja strategiczna.

– Tak jest, *Herr Oberst* – odparł czołg, a Hansowi zdawało się, że w jego sztucznym głosie jest jakiś głęboki, a zarazem niewyraźny smutek. Może to dlatego, że słowa maszyny były filtrowane przez jego własny znużony i przybity umysł.

Na mapie, którą Anna wyświetliła w wirtualnej rzeczywistości, pojawił się wróg, wielka czerwona plama zakrywająca Niemcy od Monachium do Hamburga. Cienkie, nieregularne pasmo niebieskiego utrzymywało się na przełęczach prowadzących do bawarskich i szwajcarskich Alp oraz w Szlezwiku-Holsztynie. Linia ta oznaczała ostatnie walczące jednostki obrońców. Wszyscy pozostali, którzy nie znaleźli schronienia w górach, ginęli pod falą obcych.

Przez niebieską linię zalewaną czerwonym przyływem przechodził ostatni ocalały milion cywilów, ukazany na mapie jako znikające plamy zieleni.

– *Anno*, wyłącz obraz.

Hans zdjął hełm i odwrócił się z powrotem do załogi.

– Większość z was nie może już nic zrobić. Schultz, Harz, bierzcie torby i idźcie. Znajdźcie schronienie na północy.

Dieter i Rudi zaczęli protestować, ale Hans ich uciszył.

– Idźcie, panowie. Wasz kraj, który jest czymś więcej niż tylko polami, wzgórzami, miastami i rzekami, potrzebuje was żywych. Znajdźcie sobie żony, założcie rodziny. Wychowajcie synów tak dobrych i dzielnych jak wy sami, synów, którzy któregoś dnia odzyskają dla nas nasz dom. A gdybyście byli tak dobrzy i przed odejściem uścisnęli mi dłoń..

Z podobnymi słowami i uściskami rąk Hans zwolnił całą załogę, jednego żołnierza po drugim, aż zostali tylko on i Krueger. Krueger ostentacyjnie nie odrywał wzroku od ekranu kierowcy, mając nadzieję, że nie będzie już potrzebny dowódcy i będzie mógł uciec w bezpieczne miejsce.

Ale Hans siedział milcząco na swoim fotelu dowódcy, a jego dłoń gładziła lewą kieszeń na piersi. Wpatrywał się w plecy Kruegera.

* * *

Schultz i Harz dołączyli do coraz gęstszego strumienia uciekających na północ uchodźców i niedobitków oddziałów. Był to widok aż zanadto znajomy, nie zmniejszało to jednak bólu, jaki czuli, widząc starców i staruszki brnących przed siebie, by uciec przed obcymi hordami, i głodne matki prowadzące głodne dzieci do jakiegoś odległego i, jak miały nadzieję, bezpiecznego miejsca.

– Powinniśmy wracać – powiedział Schultz. – Nieważne, co mówi dowódca, nie powinien umierać sam. Wstydzę się, że uciekam z tymi ludźmi, kiedy powinniśmy stanąć do walki, żeby dać im chociaż cień szansy.

Dieter zawrócił, ale Harz złapał go za ramię.

* * *

Krueger drgnął, kiedy poczuł na ramieniu dłoń Braschego. Dowódca zbliżył się bezgłośnie; nie odezwał się ani słowem, odkąd zwolnił ostatniego z pozostałych członków załogi.

– Zostaliśmy tylko my dwaj, sierżancie majorze Krueger, tylko dawne SS. To by pasowało. Nie sądzisz, że my, którzy byliśmy tu na początku, powinniśmy tu być także na końcu?

O czym ten pieprzony wariat gada?, pomyślał Krueger. Nie chcę być na żadnym końcu. W ogóle nie chcę, żeby był jakiś „koniec”. I skąd ten przyjacielski ton? Obaj wiemy, że się nawzajem nienawidzimy.

Wyczuwając, że sierżant major nie odpowie, Hans zabrał dłoń i wrócił, nie dbając już o ciszę, na swój fotel dowódcy.

– Gdzie był twój początek, sierżancie majorze? – spytał.

– Jestem w SS od 1938, *Herr Oberst*.

– Doprawdy? – zdziwił się Hans tonem swobodnej konwersacji. – Oczywiście przejrzałem twoje papiery, kiedy przydzielono cię do mnie. Wynikało z nich, że służyłeś tylko w dywizji *Totenkopf* od 1942. Co robiłeś przedtem?

– *Sonderkommando, Einsatzgruppe C, Totenkopfverbände*. Potem kogoś wkurzyłem i wysłali mnie na front – odparł Krueger.

– *Totenkopfverbände*? W obozach?

– Tak, w Ravensbrück.

– Aha. Nigdy tam nie byłem, chociaż trafiłem na bardzo krótko do Birkenau. Miałem kogoś bardzo bliskiego w Ravensbrück. Powiedz mi, sierżancie majorze, czy kobiety były tam naprawdę takie łatwe?

Krueger nie odpowiedział.

– Wypuści mnie pan? – spytał zamiast tego.

* * *

Dieter próbował się uwolnić z żelaznego chwytu Harza.

– Puszczaj! – zawołał. – Ja wracam.

– Nie, do cholery, nie wracasz! Nawet jeśli będę musiał dać ci w łeb i zanieść cię na plecach, wykonasz ostatnie rozkazy dowódcy: uciekniesz, będziesz żył, rozmnożysz się, wrócisz i znów będziesz walczył za swój kraj.

– Ale ja nie chcę tego robić – odparł Dieter. – Może gdyby Gudrun wciąż żyła...

Nie dokończył zdania.

– Nie ma najmniejszego znaczenia, co chcesz, a czego nie, stary. Liczy się tylko obowiązek. A twoim obowiązkiem jest nie dać się zabić bez celu. Myślisz, że twoja Gudrun by tego nie chciała?

* * *

– Ale dlaczego chciałbyś gdzieś iść, sierżancie majorze? Czy nie o tym zawsze marzyłeś, o ostatecznym *Götterdämmerung*?

– Może to pana marzenie, *Herr Oberst*. Ja nigdy o tym nie marzyłem. Za bardzo lubię żyć.

* * *

Widząc zmieszanie na twarzy Dietera, Harz nie ustępował.

– Nie sądzisz, że chciałaby, żebyś żył? Widziałem jej twarz, przyjacielu, tamtej nocy. Była w tobie zakochana, wiesz o tym. Chciałaby, żebyś żył... i był szczęśliwy.

* * *

– A więc jesteś zadowolony ze swojego życia, sierżancie majorze? Zadowolony z siebie? – A dlaczego miałbym nie być?

– Och, nie wiem – odparł Hans. – Ja na przykład rzadko byłem zadowolony. Chociaż był taki czas...

Krueger usłyszał za sobą odgłos darcia materiału, pęknięcia szwów. Wciąż się nie odwracał. W tonie głosu dowódcy było coś groźnego, coś, czego nie potrafił dokładnie określić. W jego słowach słychać było jakąś gorycz.

– Zawsze wykonywałem czyjeś rozkazy, sierżancie majorze, od wczesnej młodości po późny wiek męski. Mój wybór się nie liczył. Moja wola się nie liczyła. I była tylko jedna osoba, której teraz już z nami nie ma, której wola naprawdę znaczyła dla mnie więcej niż moja własna. Teraz jednak jestem wolny.

* * *

Schultz stał ze zwieszoną głową jak przykuty łańcuchami, choć były to łańcuchy raczej moralne niż fizyczne.

Jak łatwo byłoby, myślał, wrócić do czołgu, walczyć i zginąć. Nigdy więcej nie cierpieć po stracie ukochanej. Nigdy więcej nie martwić się o ojca, matkę i siostrę. Może nawet, jeśli księża mają rację, znów spotkać się z Gudrun. Jak przyjemnie i łatwo byłoby wrócić.

I jak tchórzliwie. Krueger, choć bydlak, uczynił mnie na to za twardym. *Oberst* Brasche również pokazał mi, że obowiązek i odwaga biorą się z duszy. Krueger gardziłby mną, gdybym wybrał łatwiejsze wyjście. Ale Brasche byłby rozczarowany, a to byłoby jeszcze gorsze.

Dieter popatrzył Harzowi w oczy.

– Masz rację, przyjacielu. Musimy jeszcze wiele wycierpieć, zanim zasłużymy sobie na wolność i odpoczynek. Prowadź na północ.

* * *

– Bardzo dobrze, sierżancie majorze, zasłużyłeś na nagrodę. Możesz iść i ją odebrać.

Krueger zerwał się z fotela kierowcy i złapał za swój plecak. Zaczął upychać w nim dodatkowe potrzebne rzeczy.

– Okręty wroga lecą w naszą stronę, *Herr Oberst* – oznajmiła *Anna*.

– Nie wątpię, *Anno*. Cóż, to nie potrwa długo. Lepiej się pospiesz, sierżancie majorze.

Krueger przestał upychać plecak i ruszył między rzędem stanowisk bojowych po obu stronach kokonu. Zatrzymał się, zaskoczony, na widok czarnego prostokąta materiału leżącego na metalowej podłodze czołgu. Podobny prostokąt zdobił jego własny kołnierz, chociaż na jego widać było litery SS.

Sierżant spojrział na Hansa. Zobaczył, że wyłóg pułkownika, tam, gdzie przedtem widniała naszywka, jest pusty.

– Dlaczego? – spytał.

– Powiedziałem ci, sierżancie majorze. Jestem teraz wolny... Cóż, prawie wolny. Wciąż pewne rzeczy mnie ograniczają. Nigdy nie chciałem znów nosić tego symbolu. Innym to nie przeszkadzało. Oznaczało dla nich coś dobrego. Dla mnie nie. Ale uznałem, że muszą go nosić i przywrócić mu honor, zrobić to dla innych.

Hans sięgnął do lewej kieszeni na piersi bluzy i wyjął z niej małe zawiniątko. Położył na poręczu fotela cienki poskładany kawałek materiału oraz kartkę papieru. Ostatni przedmiot – zdjęcie – podał Kruegerowi.

– Wygląda znajomo, sierżancie majorze?

– Może – odparł Krueger, wruszając ramionami. – Ładna dziewczyna. Pańska żona?

- Tak, to była moja żona. Przyjrzyj się uważnie – powiedział z naciskiem Brasche. – Spróbuj sobie przypomnieć, czy już jej nie widziałeś.
- Nie mam czasu na... – zaczął Krueger i przerwał, widząc, że Brasche trzyma w ręce pistolet.
- Co to jest, do cholery?
- Kazałem ci uważnie się przyjrzeć.

Z szybko bijącym sercem Krueger znów spojrział na zdjęcie.

- No dobrze, pewnie ją spotkałem. Ale nie wiem, kto to jest.

Brasche uśmiechnął się.

- Nie spodziewałem się, że będziesz znał jej imię, sierżancie majorze. Moja żona miała na imię Anna. Ten czołg dostał je po niej;

Kruegerowi stanęło przed oczami wspomnienie małej zagłodzonej Żydówki, wykorzystywanej przez drużynę żołnierzy. Upuścił zdjęcie i sięgnął po broń.

Pistolet Hansa przemówił raz i drugi. Kruegera rzuciło na podłogę. Leżał na plecach, wykrwawiając się na śmierć.

Na chwilę sierżant stracił ostrość widzenia. Kiedy ją odzyskał, zobaczył stojącego nad nim uśmiechniętego Braschego, z pistoletem wymierzonym w jego głowę.

- To za moją żonę Annę, której nigdy nie spytałeś o imię, ty NAZISTOWSKI SKURWYSYNU!!!

* * *

Pokonani czy nie, Niemcy wciąż pozostawali dokładni. Kilka kilometrów dalej Harz i Schultz napotkali autobusy, które wracały po odwiezieniu jednej partii uchodźców po następną. Załadunek przebiegał w uporządkowany sposób i po chwili obaj stali na asfaltowym parkingu, czekając na swoją kolej. Trasa, jak im powiedziano, prowadziła przed Danię, kilka mostów, a nawet pod wodą, do Szwecji.

Dieter zatrzymał się, zanim zajął miejsce w kolejce, i rozejrzał po ojczyściej krainie, której nie spodziewał się więcej zobaczyć. Nagle bez słowa ruszył w kierunku najbliższego skrawka gołej ziemi. Tam – podczas gdy Harz patrzył na niego, nic nie rozumiejąc – zaczął kopać w ziemi hełmem. Już po chwili hełm był do połowy pełny, a obok niewielkiej jamki piętrzyła się górka piachu. Dieter sięgnął do kieszeni i wyjął foliową torebkę, po czym przykrył nią ziemię w hełmie i napełnił go do końca piachem, dokładnie ubijając. Wrócił do Harza i tworzącej się kolejki, niosąc hełm za pasek.

- Czemu to miało służyć? – spytał Harz.

– Na początku, kiedy kopałem, chciałem tylko pochować Gudrun, jedyną jej część, którą mogłem pochować, tak jak należy pogrzebać każdego człowieka. Ale potem pomyślałem, że któregoś dnia dzieci zapytają nas: „Co to są Niemcy?”. I wtedy będę mógł wskazać ten hełm napełniony żyzną ziemią z domu i szczątkami najczystszej duszy i serca, jakie wydały Niemcy, chronionymi przez wojenny hełm, tak jak tylko żołnierze mogli chronić Niemcy. I wtedy być może będę umiał im odpowiedzieć.

* * *

Hans podniósł z podłogi zdjęcie Anny, które rzucił tam Krueger. Spoczywało teraz bezpiecznie w jego kieszeni, razem z małym kosmykiem jej włosów. Hans uśmiechnął się ciepło, czując tę bliskość.

Już niedługo, ukochana, już niedługo, pomyślał.

– *Anno*, pełna automatyka. Przygotuj się do ciągłego ognia przeciwładownikowego. Broń bliskiego zasięgu pod twoją kontrolą. Parametry ostrzału: posleńskie latacze i piechota.

- Tak jest, *Herr Oberst* – odparł czołg.

– *Anno*, mów mi Hans, możesz?

– Tak, Hans, mogę zwracać się do ciebie po imieniu. Hans, te posleeńskie okręty są już prawie w zasięgu i jest ich więcej niż myślałam. Ładuję ZU-PP.

– Dziękuję, *Anno*. Ile mamy czasu?

– Dwie minuty, Hans.

– Bardzo dobrze.

Hans wziął mały złożony kawałek materiału i zaczął rozkładać go w jarmułkę.

– Działo dowódcy – oznajmił. Z góry zsunęło się stanowisko strzelca.

Kiedy w jego celowniku pojawił się pierwszy posleeński okręt, Hans zaczął recytować.

– Słuchaj, o Izraelu... Pan nasz. Bóg... jest jedynym Bogiem...

* EPILOG *

W odległej przyszłości...

Niebo skręciło się i wypaczyło. Normalne wzory gwiazd rozmyły się i znikły, kiedy z hiperprzestrzeni zaczął wyłaniać się prowadzący ludzką flotę pancernik *Derflinger*. Za *Derflingerem* pojawiły się *Kaiser* i *Kaiserin*, najnowszy supermonitor Bismarck i ciężkie krążowniki *Scharnhorst*, *Gneisenau*, *Scheer* i *Hipper*. Parsek dalej materializowała się podobna flota, a w jej składzie *Musashi* i *Yamato*, *Kongo*, *Akagi*, *Kaga*, *Soryu* i *Hiryu*. Między nimi, prowadzona przez okręty eskorty, wyłoniła się połączona flota transportowa.

Trzy podfloty zbliżyły się wolno i majestatycznie do celu, głównego świata znieawidzonych Darhelów. Umieszczone na jego powierzchni półautomatyczne systemy obronne usiłowały nie dopuścić ludzi bliżej. Były półautomatyczne w tym sensie, że potrzebowały żywej obsługi, która kazałaby im wszcząć walkę, ale potem walczyły na własną rękę. Tylko taka metoda ratowała darhelską „obsługę” od *lintatai* – katatonii i śmierci spowodowanej czynnym stosowaniem przemocy.

Na pokładzie okrętu flagowego floty transportowej, specjalnej jednostki wypożyczonej od Amerykanów i nazwanej *Chesty Puller*, w sali narad spotkało się dowództwo sił naziemnych. Spotkali się nie po to, by się naradzać, planować czy wydawać rozkazy, lecz by spędzić w miłej atmosferze kilka godzin pozostałych do desantu.

Po okręcie przebiegały fale wibracji, kiedy wysyłał w dół, na powierzchnię świata Darhelów, kolejne ładunki kinetycznej śmierci. Mühlenkampf i jego mieszany sztab oficerów SS i samurajów obserwowali z zadowoleniem na głównym ekranie, jak jaśniejące linie opadających pocisków kinetycznych kończą się aktywnymi rozbłyskami i rodzą chmury gniewnej czerni.

Kilka wrogich statków próbowało zbiec. Wywrzaskując daremne zapewnienia, że są pełne personelu cywilnego, statki próbowały przebić się przez ludzką blokadę. Ale w myśl odwiecznych ludzkich praw wojny, atakowanie cywilów uciekających z oblężenia było najzupełniej dopuszczalne. Owe prawa nic nie mówiły o przewidywanej długości oblężenia. Liczniejsze okręty eskorty zajęły się niedoszłymi uciekinierami, a ciężkie jednostki dalej bombardowały powierzchnię planety.

Chesty Puller znów radośnie zadrżał. Uśmiechając się ponuro – drzenie skojarzyło mu się z jego ostatnią sesją z kobietą – Mühlenkampf uniósł szklankę w milczącym toaście. Solidnie was wypierdolimy, pomyślał, wy spiczastouche skurwysyny.

Atak na Darhelów od początku sprawiał wrażenie dokładnie zaplanowanego – ich baterie obrony planetarnej uciszano jedną po drugiej. Trwało to kilka godzin, które ludzie spędzili radośnie na słodkim smakowaniu zemsty, obecnej i przyszłej. Chociaż okręt rozbrzmiewał przez jakiś czas okazjonalnymi trafieniami darhelskich baterii, to też szybko ustało.

Kiedy baterie uciszono, flota mogła przenieść uwagę na centra mieszkalne. Generał porucznik Horida, dowodzący korpusem panczerzy wspomaganych w służbie Jego Cesarskiej Mości, chrząknął z zadowoleniem, patrząc, jak darhelskie miasta jedno po drugim są rozbijane w pył. *Tak samo ginęły nasze miasta... z waszego poduszczenia, złe kami... demony.*

Na twarzy generała brygady Dietera Schultza pojawił się cień uśmiechu. Był generałem brygady, ponieważ SS zachowało normalny system stopni zachodnich armii i nie wróciło do skomplikowanej hierarchii, której kiedyś używało, spadku po dawnym SA, czyli *Sturmabteilung*. Na jego kołnierzu wciąż jednak lśniły dwie błyskawice, na ramieniu zaś miał opaskę, z napisem „Michael Wittmann”. Schultz miał dowodzić kontyngentem ciężkich pojazdów pancernych. Nie mógł się już doczekać możliwości przetestowania swojej brygady Tygrysów model E przeciwko

darhelskim pseudorobotom. Był pewien, że jego własny Tygrys, Gudrun, świetnie da sobie z nimi radę.

U stóp Dietera leżał hełm widywany już tylko na defiladach. Ten hełm zawsze był z nim. Był napełniony ziemią, rosło w nim kilka kwiatów.

Po wyjątkowo widowiskowym uderzeniu Harz, sierżant major brygady Michael Wittmann, stuknął się szklanką z Toshiro Nagoyą, oficerem operacyjnym Horidy. Benjamin z *Judy Machabeusza* pomyślał o swoim rozproszonym i wyrzynamym narodzie.

– Oko za oko... – szepnął. – Krew za krew. Rozległ się sygnał interkomu.

– Panowie, już pora – oznajmił łagodny damski głos. To była admirał Yolanda Sanchez, krwiożercza filipińska dziwka, jak często ją nazywano, dowodząca Połączoną Flotą; rozkazała mężczyznom udać się do swoich przedziałów desantowych.

Rozmowy umilkły, oficerowie i podoficerowie ruszyli szybkim krokiem do czekających żołnierzy i maszyn. Wychodząc, każdy z nich klepał nabożnie prawą ręką w gablotę z pseudoszkła, zawierającą poskładany zamszowy koc – wciąż jasnowłosy mimo upływu wielu wieków – i przymocowaną do ściany głowę Posleena, z pyskiem wykrzywionym w grymasie cierpienia.

Ostami wychodził Mühlenkampf.

– Aldenat’ byli zupełnie jak dzieci – powiedział cicho, wciąż patrząc na ekran pokazujący zagładę świata i cywilizacji, jakby Darhelowie mogli go usłyszeć. – Nie myśleli, że majstrując przy Posleenach, zrobią coś zupełnie innego niż zamierzali. Tak samo mylili się, zmieniając was, Elfy. Ale mimo tych dwóch przykładów wam wciąż się zdawało, że jesteście sprytniejsi i że uda wam się zmienić nas tak, żebyśmy pasowali do waszych celów. Teraz zaś otrzymujecie zupełnie inny od zamierzonego efekt. Teraz my chcemy zmienić was, i nam się to uda. A to dlatego, że mierzymy skromniej. Chcemy tylko zmienić was w wymarły gatunek. Mam nadzieję, że jesteście zadowoleni z tego, co stworzyliście...

* * *

Daleko, wiele, wiele parseków stąd, duchy Michaela Wittmanna i wielu innych uśmiechnęły się, dopijając swoje *bier*.

* POSŁOWIE *

„Nie jestem, oczywiście, zwolennikiem przemocy.
Chcę tylko mieć pewność, że ludzie nie zapomną o jej istnieniu”.

– general Aritomo Yamagata
Cesarska Armia Japońska, 1881

Ta opowieść zaczęła się jako swego rodzaju wyzwanie.

John Ringo stworzył bardzo interesujący i bardzo krwawy cykl nazywany Uniwersum Posleenów, Wojną z Posleenami albo Dziedzictwem Aldenaty. Cykl ten opowiada o inwazji obcych – takich Mongołów kosmosu – i o dekadencjonalnej galaktycznej cywilizacji, która jest w stanie dać Ziemi technologię niezbędną do jej obrony, a jednocześnie potrzebuje ludzkich żołnierzy, gdyż główne gatunki Galaksjan zostały genetycznie i/lub kulturowo wmanipulowane w pacyfizm. Opisana tu technologia to oczywiście fajne rzeczy, ale najciekawsze są jej społeczne implikacje. To główna przyczyna, dla której czytelnik nie znajdzie w „Warcie na Renie” tyle galaktycznej technologii (dla niewtajemniczonych: GalTechu), ile można by się spodziewać. Osiągnięciem GalTechu, które ma chyba największy potencjał społeczny, jest możliwość odmładzania ludzi.

John namawiał fanów – jednym z nich jest Tom – by przysyłali mu opowiadania i krótkie powieści o wydarzeniach na Ziemi – i poza nią – których nie zamierzał w swoim cyklu poruszać. Chciał je zebrać – te, które uznałby za odpowiednio dobre – i wydać jako antologię.

Początkowo Tom nie był specjalnie zainteresowany, mając inne zajęcia (na przykład cykl, który planuje napisać z Johnem... Tak, to taka mała sugestia: dokończ zarys fabuły, John). Ale im dłużej o tym myślał i im dłużej zastanawiał się nad kwestią odmładzania i wojny na wyniszczenie, jaką wydali ludziom obcy, tym bardziej ten pomysł go fascynował.

Rozmowa między nimi przebiegała mniej więcej tak:

Tom (który akurat wtedy mógł coś pić): Wiesz, stary, tak sobie myślałem o Niemcach, o nadciągającej inwazji i odmładzaniu; będą im potrzebni wszyscy wyszkoleni i doświadczeni bojowo żołnierze, których uda im się znaleźć.

John (który akurat wtedy mógł nic nie pić): No, aha.

Tom: Myślałeś kiedyś, skąd by ich brali? Powiedzmy, z Waffen SS?

John: – Fajooooooo. Zróbmy to. Już mi się podoba. Co ważniejsze, Jimowi też się spodoba.

Poszli więc do Jima. Najpierw przycisnęli go do muru. Potem zaczęli go męczyć. On się nie dawał. Oni też nie rezygnowali... i reszta okazała się historią.

* * *

Podczas wspólnego pisania rozmawiali całymi godzinami o istocie wojny z Posleenami, zwanej też Wojną Posleńską. Tom znacznie poszerzył horyzonty Johna, a interaktywne reakcje Johna („Nie, cholera jasna, Tom, nie możemy, kurde, ukrzyżować zielonych”. „A możemy ich powiesić?”. „Och, no dobra”) oczywiście wzbogaciły zarys obmyślnego przez Toma uniwersum. Tom jest podpułkownikiem piechoty (wyszkolonym rangersem, inspektorem generalnym, specem od zadań specjalnych i w ogóle) i wszystkie związane z tym sprawy traktuje bardzo poważnie („Pamiętaj, możesz nie lubić skubanego IG... ale IG cholernie lubi ciebie”). John zaś lubi w swoich rzeziach odrobinę humoru. Może wam się uda ich rozróżnić.

„Warta na Renie” początkowo miała tytuł „Die Wacht am Rhein” i miała być długim opowiadaniem albo krótką powiastką, maksymalnie 45 tysięcy słów. Ale Jim zapragnął całej książki. Umiejszczonej w Poswersum. Postanowili więc stworzyć powieść „Powrót do Bataanu”, która

miała wyjść razem z „Die Wacht am Rhein”, i opisać, jak Japończycy bronili Filipin przed Posleenami. (Co, nawiasem mówiąc, może jeszcze zrobią. Czas pokaże.)

Ale historia Hansa, Dietera, Anny i Gudrun... i nawet tego hitlerowskiego bydlaka Kruegera wciąż się rozrastała. Puchła i puchła, aż zajęła cały czas i miejsce poświęcone na obie opowieści. Jak się okazało, Jimowi przypadła do gustu bardziej niż ta druga.

„Ale dlaczego cholerne SS”?, zapyta wrażliwy czytelnik. Po prostu dlatego, że było w uniwersum Johna. Koniec, kropka. „A co z Malmedy”? Wpiszcie w google’a słowa „Biscari”, „Sycylia”, „Peiper”. „A obozy koncentracyjne? Babi Jar? Holocaust?”. Na to jest jedna odpowiedź: „To straszne rzeczy i wszystkich odpowiedzialnych za nie należało powiesić. Ale dlaczego te rzeczy miałyby powstrzymać rozpaczliwie potrzebnych żołnierzy przed udziałem w walce, niezależnie od tego, do jakiej większej organizacji należeli czy jakie symbole nosili?”.

Jest też jeszcze jeden powód. Drogi czytelniku, autorzy chcieli Tobą wstrząsnąć.

W chwili obecnej cywilizacja Zachodu, chociaż wielu jej członków mogłoby się z tym nie zgodzić, prowadzi wojnę światową. Nie, nie są w niej niszczone całe miasta; całych kontynentów nie pocięły też blizny okopów. Ale mimo tego – to wojna światowa. Co więcej, to wojna światowa, która wystawia na próbę rozumienie wolności osobistej, wolności sumienia i rządów prawa, którymi tak się chlubi Zachód. I jeśli Zachód przegra, ludzkość będzie świadkiem unicestwienia wszystkiego, co w zachodniej cywilizacji najlepsze.

Nas nie stać na to, żeby przegrać.

Ale zwycięstwo też będzie miało swoją cenę. Tak samo jak opisana przez Johna inwazja zmieniła ludzkość w coś, co jeden z weteranów Waffen SS Hitlera nazwał domem, tak i nas zmieni nasza wojna. Bo ramię w ramię z cnotami Zachodu idą wady które mogą nas zniszczyć: krótkowzroczny legalizm, przerosł formy nad treścią i niechęć do bezwzględnych i gwałtownych działań, do których musimy być zdolni, jeśli chcemy przetrwać To nie jest wyczerpująca lista. Być może najgorsze jest to, że Zachód wychował na własnej piersi gromadę ohydnych, wstrętnych, zdradzieckich i kłamliwych drani, którzy korzystają z każdej okazji i robią wszystko, co w ich mocy, by doprowadzić do jego upadku.

Mimo to jeszcze jest nadzieja.

„Przetrwanie znosi programowanie”.

Spis treści

<u>* Prolog *. 3</u>
<u>* CZEŚĆ I *. 10</u>
<u>* 1 *. 11</u>
<u>* 2 *. 32</u>
<u>* 3 *. 46</u>
<u>* 4 *. 62</u>
<u>* CZEŚĆ II *. 77</u>
<u>* 5 *. 78</u>
<u>* 6 *. 86</u>
<u>* 7 *. 98</u>
<u>* 8 *. 110</u>
<u>* 9 *. 122</u>
<u>* CZEŚĆ III *. 139</u>
<u>* 11 *. 155</u>
<u>* 12 *. 168</u>
<u>* 13 *. 182</u>
<u>* CZEŚĆ IV *. 197</u>
<u>* 15 *. 209</u>
<u>* 16 *. 223</u>
<u>* 17 *. 244</u>
<u>* CZEŚĆ V *. 258</u>
<u>* 19 *. 275</u>
<u>* 20 *. 283</u>
<u>* EPILOG *. 297</u>
<u>* POSŁOWIE *. 300</u>